

Ken MacLeod  
Dywizja Cassini

Spoglądając wstecz

Nadal istnieją nieruchome fotografie kobiety, która pewnego wczesnoletniego wieczora dwa tysiące trzysta trzeciego roku zjawiała się nieproszona na przyjęciu wydanym na tarasie obserwacyjnym Casa Azores. Przedstawiają ją absurdalnie młodą - wygląda na jakieś dwadzieścia lat, co jest niespełna jedną dziesiątą jej prawdziwego wieku - i wysoką; mięśnie wyhodowane na roztworach izotopowych i nie znające wpływu grawitacji; włosy niczym, czarna mgławica; ciemna skóra, skośne oczy, spłaszczony nos i cienkie wargi, ukazujące w uśmiechu szerokie białe zęby. Niesie w prawej ręce idealną kopię Lagrange 2046. Lewą trzyma zgiętą, na wskazującym palcu dynda jej zakieciak w kolorze starego złota, takim samym, jak sukienka, której spódnica, niemal pełne koło, faluje wokół kostek. Na jej prawym nagim ramieniu siedzi coś, co wygląda jak mała małpka. Coś błysnęło. Zamrugałam powiekami, by usunąć sprzed oczu obrączki światła i spiorunowałam wzrokiem młodzieńca w kobalto-woniebieskiej piżamie, który opuścił

rękę trzymającą skrzynkowaty aparat z obiektywami i blendami, rzucił mi zdawkowy przeprasający uśmiech i zniknął w tłumie. Oprócz niego nikt nie zauważył mojego nadejścia. Choć platforma miała dobre sto metrów kwadratowych, goście z trudem się mieścili - ci, którzy skorzystali z zaproszenia. Naturalny rytm wieczoru, odpływ i przemieszczanie się ludzi w bar-

-7-

dziej intymne otoczenie, miał z czasem przynieść ulgę, ale jeszcze nie teraz.

Miejsca starczało jednak na rozmaite rozrywki: przytulane tańce, jedzenie w tłoku, picie z doskoku, zapalczywe rozmowy; a także na zabawy biegającej pomiędzy gośćmi zaskakująco licznej gromadki dzieci. Sprytnie zogniskowany system audio zadowalał wymagania wszystkich grup. Ubrania spełniały wymogi

wieczornego przyjęcia, luźne i falujące, lecz bliskie ciała: kobiety w sari lub koszulkach, mężczyźni w garniturach-piżamach lub poważnych togach i płaszczach. Dominowały kolory morskiego jedwabiu, zielenie, błękity, czerwienie i biele. Moja suknia, aczkolwiek rzucająca się w oczy, była całkowicie stosowna na tę okazję.

Centrum tarasu zajmował szeroki na dziesięć metrów słup szybu powietrznego. Gdzieś w jednej z tych grup, rozmawiających przy akompaniamencie szumu powietrza, znajdowała się para gości honorowych przyjęcia - ludzie, z którymi musiałam porozmawiać, choćby przez chwilę. Nie było sensu się przedzierać; jak wszyscy, którym na tym zależy, z czasem do nich dotrę, niesiona przez tłum. Ruszyłam do stołu z drinkami, postawiłam butelkę i wzięłam kieliszek białego Marę Imbrium. Po pierwszym łyku wiedziałam już, że jest bardzo wytrawne. Skrzywiłam się lekko i napotkałam uśmiech pełen zrozumienia. Należał do mężczyzny w błękitach, który jakoś zdołał przedrzeć się ku mnie.

- Nie jesteś przyzwyczajona?

Więc wiedział lub odgadł, skąd przybyłam. Przyjrzałam mu się ostentacyjnie przy drugim łyku. Był autentycznie młody, w przeciwieństwie do mnie. Całkiem przystojny, w anglo-słowiańskim typie, ciemny blondyn ze zmierzwionymi włosami i

różową, wygoloną twarzą; szerokie kości policzkowe, niebieskie oczy. Prawie tak wysoki jak ja - wyższy, gdybym zdjęła szpilki. Dziwaczny aparat wisiał mu na pasku na szyi.

- Wódka Kometa bardziej mi smakuje - powiedziałam. Przekazałam kieliszek w czarne pazurki małpowatej istoty i wyciągnęłam rękę. - Ellen May Ngwethu. Miło mi, sąsiedzie.

- Stephan Vrij - odparł, potrząsając moją dłoń. - Mnie również. Przyjrzał się oddanemu kieliszкови.

- Inteligentna małpka.

- Aha - mruknęłam. Inteligentny kombinezon, prawdę mówiąc, lecz tutejsi byli

dość drażliwi wobec takich wynalazków.

- Jestem przedstawicielem komitetu blokowego - ciągnął - i dziś mam za zadanie witać nieproszonych i nieoczekiwanych gości.

- Ach, dzięki. I oślepiac ich światłem?

- To aparat fotograficzny - wyjaśnił, ważąc go w dłoni. - Sam go zrobiłem.

Wtedy to po raz pierwszy ujrzałam aparat fotograficzny widzialny gołym okiem.

Moje zainteresowanie nie do końca było udane, choć przede wszystkim chciałam odwrócić uwagę od siebie; po paru minutach wyjaśnień na temat celuloidowych klisz i głębi ostrości mężczyzna nie wydawał się zdziwiony, że moje szkliste spojrzenie odpłynęło od niego. Uśmiechnął się i powiedział:

- Dobrej zabawy, Ellen. Idę czekać na innych.

- Na razie. - Spojrzałam za nim, kiedy przepychał się przez tłum do drzwi. A zatem moje zdjęcie pojawi się w blokowej gazetce. Zobaczy mnie sto tysięcy osób. Sława. Ale nie aż taka, żebym się nią martwiła. To środek Atlantyku i środek końca świata.

Casa Azores stał (stoi? Mało prawdopodobne - będę używać czasu przeszłego, choć to boli) na Graciosie, małej wysepce w archipelagu na Północnym Atlantyku, który jest (być może nadal) ziemskim oceanem. Totalny koniec świata, do tego stopnia, że nawet z tarasu obserwacyjnego na wysokości kilometra nie można było dostrzec pobliskich wysp. Niebo i morze pewnie zrobiłyby na mnie wrażenie, lecz owego wieczora wszystkie wielkie okna odbijały jedynie światło z wnętrza. Winda, z której wyszłam, znajdowała się na skraju pomieszczenia, a ja musiałam w ciągu najbliższych godzin dostać się na jego środek. Zrobię to, kiedy tłum trochę się przerzedzi, lecz zanim wszyscy będą zbyt zmęczeni, żeby myśleć.

Osuszyłam kieliszek, wzięłam butelkę dobrej starej Sto licznej, podałam małpce parę kieliszków i zabrałam się do dzieła.

- Sama w sobie nanotechnologia jest w porządku - wyjaśniała mała i bardzo zapalczywa malarka. - No bo można widzieć atomy, tak? Kurczę, a tam możesz je poczuć, poruszyć i razem zestawić. Same mechaniczne wiązania aż do palców. I do

ekranu, dla ścisłości. Ale te elektroniczne kwantowe cholerstwa są, no wiecie, przerażające...

Miała innych słuchaczy. Poszłam dalej.

-9-

- Jesteś z kosmosu? Super. Ja pracuję z ludźmi na orbitach. Robimy porządek. Powiedzmy, że masz gdzieś wybuch replikatorów, naturalnych lub nano, jaka to różnica... Przed czyszczeniem trzepiemy ewa-kuzonę, raz żeby sprawdzić, że nikt nie został, dwa - żeby się przyjrzeć i spisać wszystko, co ma iść w cholerę. Nie masz dużo czasu, jesteś w kombinezonie izolacyjnym, który musisz zniszczyć z oczywistych przyczyn - zbiera większość włosów z ciała - ale i tak dużo widzisz, czujesz i słyszysz, nawet przez kilka godzin albo dni, zależy jak szybko rozprzestrzenia się wybuch, a w promieniu dziesiątek kilometrów nie ma nikogo innego. Wiesz co, za każdym razem znajdowałem gatunek, którego nie ma w banku. Czasami nawet rodzaj. Nieznany nauce, jak mówią. Skończyły mi się dziewczyny, na cześć których je nazywałem, więc musiałem się przerzucić na krewnych. A ty się nagle pojawiaasz, siadasz w okularach i przyglądasz się czyszczeniu. Słowo, chciałbym zobaczyć błysk, to prawie tak samo fajne, jak grzyb atomowy.

Ekolog zamilkł i zaciągnął się nargile. Nie skorzystałam z zaproszenia.

Westchnął.

- Kiedy wokół nie ma nikogo... musisz pokochać to sam na sam z przyrodą.

Byłam już w połowie drogi do centrum pomieszczenia. Chciałam zaproponować temu

naukowcowi w odlotowym nastroju setkę wódki, ale małpka zdążyła w chwili nieuwagi pożreć ostatni wolny kieliszek. Facet się nie obraził. Zapewnił mnie, że pamięta, jak się nazywam i że kiedyś nazwie na moją cześć jakiegoś żuczka lub bakterię. Zdałam sobie sprawę, że ja za to nie znam jego nazwiska. Może mi się nie przedstawił... a może też trochę odleciałam, jako bierny palacz, ma się rozumieć. Podziękowałam mu i poszłam da-

lej.

-1 nie rób tego więcej - mruknęłam. - Zwrócisz na nas uwagę. Zimna łapka musnęła moje ucho, a cichy, brzęczący głos powiedział:

- Mamy mało krzemianów.

Podrapałam pseudozwierzaka za uchem. Miałam nadzieję, że nikt nie zauważył ruchu

moich warg. Poczułam nagły skurcz głodu i potrzebę wypicia porcji rozjaśniającej umysł kawy, więc zatrzymałam się przy najbliższym bufecie. Kobieta w poplamionym

białym fartuchu na wspaniałym zielonym sari nałożyła chochlą na mój talerz gorące małże w sosie pomidorowym (prawdziwe, jeśli to kogoś interesuje. Na pewno, jeszcze teraz na samo wspomnienie do ust napływa mi ślinka). Wzięłam kieliszek białego wina. Zauważyłam

-10-

puste krzesła, więc usiadłam. Kobieta w sari też usiadła po drugiej stronie stołu i zaczęła rozmowę.

- Pogadałam właśnie z naszymi honorowymi gośćmi - oznajmiła. Mówiła z nietypowym

akcentem. - Jacy interesujący! Sztuczna kobieta i mężczyzna z gwiazd! I w pewnym sensie wskrzeszony z martwych. - Spojrzała na mnie przenikliwie. - Może ich znasz, skoro jesteś przestrzeniowcem?

Uśmiechnęłam się do niej.

- Jak to się dzieje, że wszyscy mnie rozszyfrowują?

- Przez sukienkę, sąsiadko. Złoty oznacza kosmos, prawda? To nie jest nasz kolor.

- Oczywiście - mruknęłam. Przez chwilę wydawało mi się, że rozpoznała kombinezon

kosmiczny. Gdy tak mówiła, przyjrzałam się jej ruchom i mimice i zrozumiałam z całą pewnością, że dawno już przekroczyła drugie stulecie. Nie można było jej

oszukać. Patrzyła wprost na mnie, a jej oczy lśniły pod czarną wieżą włosów.

- Złoto to bardzo użyteczny metal - zauważyła. - Lenin sądził, że będziemy z niego robić nocniki...

Roześmiałam się.

- Nie był to jego jedyny błąd! Odpowiedziała znacznie chłodniej niż poprzednio:

- Nie popełnił ich wiele, a te, które popełnił, stanowią przeciwieństwo tego co... co zazwyczaj się mu zarzuca. Zanadto cenił ludzi, jako jednostki i zbiorowość. Ale - dodała z zadowoleniem -niektórzy z nas nadal rewanżują się mu szacunkiem.

Wreszcie rozpoznałam jej akcent.

- Południowa Afryka?

Kraj zamieszkały przez nieuleczalnie konserwatywny naród. Wśród nich trafiali się prawdziwi komuniści.

-Naturalnie, sąsiadko! -Uśmiechnęła się. - Atyjesteś... nie, nie mów... nie z okolic Ziemi... nie Lagrange... nie Księżyc i nie Mars, to pewne. - Zmarszczyła brwi i przyjrzała się mi, kiedy podnosiłam kieliszek; potem ominęła mnie wzrokiem, być może przypominając sobie, jak podchodziłam do stołu. Oceniała moje

odruchy. - Tak! - Klasnęła w ręce. - Dziewczyna z Callisto, prawda? A to znaczy...

Jej oczy rozszerzyły się nieznacznie, brwi drgnęły.

- Tak - przyznałam cicho. - Dywizja Cassini. I tak, widziałam już twoich gości honorowych. - Mrugnęłam najdelikatniej jak moż-

-11-

na i zrobiłam nieznaczny ruch palcami, sięgając po kromkę chleba. Był zauważalny może dla jednej na sto osób. Zrozumiała mnie, uśmiechnęła się i zaczęła mówić o czym innym.

Dywizja Cassini... W astronomii znana jest ciemna szczelina w pierścieniach Saturna. Nosi nazwę przerwy Cassiniego. W astronautyce epoki heliocenu Dywizja

Cassini była dumnie brzmiącą nazwą - pierwotnie nadaną dla żartu - oddziału wojskowego z pierścienia Jowisza, prawdziwej bandy spod ciemnej gwiazdy. Wiecie o pierścieniu Jowisza, ale dla nas był on czymś więcej niż wyjątkowym produktem inżynierii planetarnej - był nieustannym przypomnieniem o potędze wroga, naszym Guantanamo, Murem Berlińskim. (Odszukajcie je. Historia Ziemi. Istnieją akta.) Dywizja Cassini była jednostką uderzeniową Unii Solarnej, kolektywnym ciosem w twarz wroga. W naszym bezklasowym społeczeństwie stanowiła odpowiednik elity;

w

powszechnej anarchii najbardziej przypominała państwo; we wspólnocie majątkowej posiadała największe bogactwa. Rekruci zgłaszali się sami, ale niewielu z nich potrafiło sprostać wymogom. W kategoriach uzbrojenia Dywizjabyła zdolna rozbić

w

puch wszystkie państwa Ziemi i jeszcze by jej zostało trochę broni, żeby postrzelać dla rozrywki po południu. Za bogactwa, które posiadała, mogłaby kupić wszystko na Ziemi - za czasów, gdy świat miał jeszcze właścicieli - i ciągle była gotowa do wymiany, oddania pięknym za nadobne, do przeciwstawienia potężnej

ludzkiej siły słabowitemu gniewowi bogów.

Innymi słowy... Dywizja zjawiała się, by skopać tyłek tym istotom, którymi stali się ludzie, tym postludziom. Co zrobiliśmy.

(I... tak. Nadal jestem z tego dumna.)

Kobieta z Południowej Afryki mogła sobie mieć niesłychane poglądy na temat Włodzimierza Iljicza, ale okazała się „starą towarzyszką”. Choć Międzynarodówka dawno rozplynęła się w Unii, jej byli członkowie zachowali dawne kontakty.

Masoneria weteranów. Nigdy tego nie pochwalałam, ale tutaj mi pomogło. Kobieta przedstawiła mnie przyjacielowi, który przedstawił mnie swój emu przyjacielowi, no i jakoś poszło. Za milczącą zgodą przekazywali mnie sobie, transportując przez tłum o wiele szybciej, niż zdołałabym tego

dokonać o własnych siłach. Zaledwie pół godziny po tym, jak dopiłam kawę, znalazłam się w małej grupce ludzi, w ścisłym pierścieniu otaczającym gości specjalnych: sztuczną kobietę i mężczyznę, który wrócił z gwiazd i spomiędzy umarłych. Jeszcze po pięciu latach od przyjazdu ściągali tłumy-tym bardziej, że rzadko sięudzielali. Woleli żyć spokojnie, gawędząc z przypadkowo spotkanymi ludźmi.

Sztuczna kobieta nazywała się Meg. Nie wyglądała na sztuczną i rzeczywiście, jej ciało - o ile mi wiadomo, sklonowane z ciała jakiejś od dawna nieżyjącej malezyjsko-amerykańskiej gwiazdy porno - było pod pewnym względem o wiele bardziej naturalne niż moje. Tylko jej osobowość była sztucznym tworem. Była pod każdym dostrzegalnym względem ludzka, lecz -jak sama zawsze podkreślała - obdarzona najwyższej klasy autentyczną sztuczną inteligencją.

Ta mała, ładna kobietka o parę kroków ode mnie, elegancko ćmiąca papierosa z prawdziwego tytoniu, kobietka z czarnymi włosami sięgającymi pasa, ubrana w długą czarną jedwabną koszulkę i (o ile wzrok mnie nie mylił) absolutnie nic więcej, była jedyną autonomiczną SI na Ziemi. Niepokojąca myśl, gnębiąca mnie od naszego pierwszego spotkania.

Autonomiczna SI jeszcze mnie nie zauważyła. Spoglądała na swojego towarzysza, Jonathana Wilde'a-Człowieka, Który Powrócił. Wilde, jak zwykle, gadał; jak zwykle, machał rękami; jak zwykle, palił tytoń, ohydny nałóg, który wrósł na stałe w niego i w Meg. Wysoki, o ostrych rysach i garbatym nosie, z donośnym głosem. Zmienił mu się akcent, lecz nadal wydawał mi się dziwny.

- ..właściwie go nie spotkałem - mówił - widziałem tylko w telewizji i przeczytałem to, co wydał w czasie Rewolucji Upadku. Szczerze mówiąc, dziwię się, że nadal się o nim pamięta. - Zrobił przerwę i błysnął przelotnym, krzywym uśmiechem. - Zwłaszcza, że o mnie się zapomniało!

Słuchacze wybuchnęli śmiechem. Był to jeden z żelaznych kawałów Wilde'a, który twierdził, że idee, jakie wyznawał - on lub raczej istota ludzka, której był kopią - w dwudziestym pierwszym wieku, były w tej chwili znane tylko



antykwarium, a jego nazwisko przetrwało tylko w krótkiej wzmiance w historii Ruchu Kosmicznego. W jakiś dziwny sposób pochlebiali to jego próżności. Rozejrzał się uśmiechnięty i zauważył mnie. Otworzył szeroko oczy i jakby się wzdrygnął. Meg odwróciła się, też mnie dostrzegła i uśmiechnęła się na powitanie. Wilde skinął lekko głową i podjął przemówienie. Nie wiedziałam, czy mam czuć urazę, czy ulgę. Jako

-13-

pierwsza osoba, którą ujrzał po wyjściu z korytarza, odegrałam w jego życiu pewną rolę - ale nie chciałam, żeby to rozgłaszał, żeby wszyscy dowiedzieli się, skąd pochodzę.

Meg podeszła i chwyciła mnie za rękę.

- Cieszę się, że cię znów widzę, Ellen.

- Aha, ja też się cieszę - powiedziałam szczerze. Może i miała syntetyczną osobowość, ale jej urok był całkowicie autentyczny. Czasami zastanawiałam się, co widzi w Wildem, którego słynny czar nigdy na mnie nie działał.

- Co cię sprowadza? - spytała.

- Trudno cię znaleźć - oznajmiłam lekko. - Postanowiłam skorzystać z okazji.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś zajęta kobietą. Czegoś chcesz.

- Och, no wiesz... może porozmawiamy o tym później? Spojrzała na mnie, a na jej gładkim czole pokazała się mała zmarszczka.

- Oczywiście. Wkrótce zrobi się spokojniej. Roześmiałam się.

- Kiedy już Wilde wszystkich zanudzi?

- Mniej więcej. - Zaprowadziła mnie do stojącego opodal krzesła, tuż za tłumem.

Razem usiadłyśmy. - To trochę męczące - wyznała z roztargnieniem. Potarła jedną nagą stopą o drugą zgniotła papierosa. Małpka zeskoczyła z mojego ramienia i chwyciła popielniczkę, błagalnie patrząc na mnie ogromnymi oczami. Pokręciłam głową. Wyszczrzyła zęby, odwróciła się i zostawiła popielniczkę Meg.

Donośny głos Wilde'a:

- ... wszystko to: utrwalenie jego powiedzeń na piśmie, zamienienie jego samego w proroka-męczennika, to chyba jedyny absurd, który zostawiliście, wy, ludzie! On pewnie by się roześmiał! - Po tych słowach rozległ się grzmiący śmiech Wilde'a. Słuchacze zawtórowali mu niepewnie. Rozmowa trwała jeszcze parę minut. Potem Wilde wyłonił się z tłumu i usiadł obok mnie. Wszyscy troje wyglądaliśmy, jakbyśmy przycupnęli na kłodzie drzewa pomiędzy wirującymi falami. Wokół nas ludzie bawili się, przechodzili, nie dostrzegali naszej reakcji i szli dalej. Niektórzy zostawali, lecz większość się wycofała, taktownie pozostając poza zasięgiem głosu.

Wymieniliśmy powitania, Wilde odsunął się ode mnie i usiadł tuż przy Meg.

-14-

- No, Ellen - zaczął. - Jesteśmy, tak jak chciałaś. - Zapalił papierosa i przyjął setkę wódki. Przyjrzał się swojemu kieliszkowi. - Tu już coś było - zauważył. - W wódce przyjemne jest to, że jej to nie szkodzi. Im więcej smaków, tym lepiej. Jestem już pijany, więc jeśli zapomniałaś nas o coś zapytać podczas pouczenia...

- Przesłuchania. - Nigdy nie lubiłam tego starego eufemizmu.

- ... to wal prosto z mostu. Masz okazję. - Odchylił się jeszcze bardziej i przyjrzał się mi z wyzywającym uśmiechem.

- Wiesz, czego chcę - powiedziałam ciężko. Też byłam trochę pijana i znacznie bardziej niż trochę zmęczona. Grawitacja przygniata (a kosmos to pustka, ale takie jest życie). - Nie każ mi tego wyjaśniać.

- Taki głupi nie jestem. To samo stare pytanie. Odpowiedź też jest stara: nie. Nie da rady, ni cholery nie da rady, nie oddam wam tego, o co tak bardzo prosicie.

- Dlaczego?

Zawsze to samo pytanie i ta sama odpowiedź.

- Nie pozwolę, żebyście dostali go w łapy.

Ręce same zacisnęły mi się w pięści; rozprostowałam je powoli.

- Wcale nie chcemy tego ohydneho miejsca!

-Ha! -zakrzyknął z jawną niewiarą. -Zresztą wszystko jedno. To nie ja pomogę wam je opanować.

A zatem zrobi to ktoś inny, pomyślałam. Staralam się nie podnosić głosu.

- Nawet po to, żeby walczyć z Zewnętrznymi?

- Nie musicie z nimi walczyć.

- Czy to nie my powinniśmy ocenić? Skinął głową.

- Jasne. Wy oceniacie i ja też.

Miałam ochotę wydusić z niego odpowiedź. Powieka by mi nie drgnęła. W moim pojęciu nie był człowiekiem, tylko zmyślną kopia.

Jednocześnie, o paradoksie, żałowałam, że nie mogę nazwać go człowiekiem, sąsiadem. To tylko potęgowało moją frustrację. Gdybym mogła go wtajemniczyć i wyjaśnić, jak straszliwie kiepsko wyglądają sprawy, być może zgodziłby się wytłumaczyć mi to, co musiałam wiedzieć. Ale Dywizja ufała mu jeszcze mniej, niż on ufał nam. Wyznanie całej prawdy mogło spowodować coś o wiele gorszego.

Wilde

i Meg byli w rękach wroga, właściwie stanowili dosłownie dzieło jego rąk i nawet teraz nie mieliśmy stuprocentowej pewności, czy są tymi, za których się podają.

Przez chwilę myślałam

-15-

o tym, co by się działo, gdybyśmy musieli potraktować ich jak wybuch i trzasnąć ich orbitalnymi laserami. Nie byłoby ostrzeżenia, ewakuacji, błyskawicznej akcji ekologów.

Małpowaty stworek przeskoczył z kolan Meg na moje. Wspiął się po moim ramieniu i

skulił na barku, a ja wygładziłam spódnice. Spojrzałam na nich.

- Doskonale - powiedziałam. - Wasza decyzja. - Wzruszyłam ramionami; sztuczne futerko musnęło mi policzek. - Róbcie to, co jest dla was najlepsze.

Wstałam i uśmiechnęłam się do nich. Przez chwilę Wilde wyglądał, jakbym zbiła go z tropu. Miałam nadzieję, że moja ustępliwość na tyle wytrąci go z równowagi, że zmieni zdanie. Nie udało się. Musiałam uciec się do wyjścia numer dwa: bardziej niebezpiecznego, trudniejszego i rokującego mniejsze nadzieje, jeśli w ogóle.

- To na razie - rzuciłam. - Do zobaczenia. W piekle, jak sądzę.

Przechyliłam się przez balustradę biegnącą wokół dachu Casa Azores i spojrzałam w dół. Ziemia znajdowała się kilometr poniżej. Nie miałam zawrotów głowy.

Wspinałam się już na wyższe drzewa. Wzdłuż plaży biegły światła, przy brzegu kiwały się łodzie, dalej falochron; a potem zielonobłękitne pola alg, rybnie farmy i plantacje wodorostów oraz konwertory energii cieplnej oceanu aż po horyzont. Statki powietrzne - czy to na nocnej zmianie, czy rekreacyjne, nie wiedziałam - dryfowały pomiędzy nimi jak srebrzyste bańki. Sam budynek, choć stał w samym środku tej energii cieplnej, pobierał elektryczność z innego źródła. Z technicznego punktu widzenia był wieżowcem Carsona, czerpiącym energię

z ochłodzonego powietrza, opadającego centralnym szybem i poruszającego po drodze turbinami.

Na dachu było zimno. Oderwałam wzrok od krajobrazu, otuliłam się żakietem i spojrzałam w niebo. Kiedy wzrok się przystosował, pomiędzy zatrzęsieniem orbitalnych fabryk, luster, satelitów i habitatów dostrzegłam Jowisza. Gdybym miała lornetkę, zobaczyłabym Callisto, Io, Europę... i pierścień. Symbol sił, przeciwko którym występowaliśmy.

Dzięki jakiemuś procesowi, który nawet dwieście lat później jest, jak powiadają, niezbyt zrozumiały, nasi wrogowie zdołali zdezinte-

-16-

grować największy księżyc Jowisza, Ganimedesa, pozostawiając po nim ten pierścień kosmicznego gruzu i niepokojącej maszynierii. Było tam również - początkowo w pierścieniu, lecz teraz spory kawał poza nim - coś jeszcze bardziej efektownego i groźnego: szeroka na tysiąc sześćset metrów szczelina w

czasoprzestrzeni, brama korytarza do gwiazd.

Dwieście lat temu Zewnętrzni - ludzie tacy jak my, którzy jeszcze niedawno prowadzili z nami spory polityczne w dusznych wnętrzach prymitywnych habitatów

-

stali się zupełnie do nas niepodobni: postludzie, nadludzie. Ludzie Jak Bogowie, można powiedzieć. Pierścień był ich dziełem, podobnie jak Brama.

A po tryumfach kara. Ich potężne umysły przekroczyły jakąś granicę, doznały objawienia albo po prostu coś w nich wysiadło. Większość uległa dezintegracji, inni pofrunęli w atmosferę Jowisza, gdzie wypracowali jakiś swoisty rodzaj kontaktu z rzeczywistością.

Po paru latach skontaktowali się z nami za pomocą wysypu przenoszonych na falach radiowych wirusów, które nie opanowały, ale zdołały zainfekować każdy komputer w

Systemie Słonecznym. Mroczne dwudzieste drugie stulecie rozsypało się w drobny mak.

Ludzki gatunek przetrwał Upadek, Zieloną Śmierć i Infekcję i wyszedł z mrocznego stulecia z głębokim wstrętem do systemu kapitalistycznego (który spowodował Upadek), Zielonych (odpowiedzialnych za Zieloną Śmierć) i Zewnętrznych (którzy spowodowali Infekcję i których programy wirusowe ciągle promieniowały, czyniąc elektroniczne obliczanie i łączność w najlepszym razie niebezpiecznym przedsięwzięciem.)

Obalono system kapitalistyczny, Zieloni wymarli, a Zewnętrzni...

Z Zewnętrznymi jeszcze sienie policzyliśmy.

Rozejrzałam się, czy na dachu nie ma nikogo oprócz mnie. Przewody wentylacyjne procesu Carsona wzdychały nieustannie. Obeszłam je ukryta w cieniu i spojrzałam nie na wiszącego nisko Jowisza, lecz na Księżyc. Kucnęłam, niedbale rozpostarłam suknię, podrapałam małąkę po łebku i szepnęłam jej do ucha jedno słowo.

Małąka zaczęła wtapiać się w rękaw żakietu, a potem i sukienka, i żakiecik

zaśniły jak rtęć i przekształciły się w talerz anteny. Kucnęłam w niej z głową okrytą cienką siatką, która wysnuła się z koł-

2 Dywizja Cassini

— \j —

nierza. Cienkijakiągła pręcik sięgnął ogniskowej anteny. Nitki drucików popęzły po podłodze, szukając źródeł mocy i znajdując je w ułamku chwili.

Przetransformowany inteligentny kombinezon zamruczał cicho wokół mnie.

- W dalszym ciągu nie - powiedziałam. - Przystępuję do drugiego wariantu.

I tyle. Odbiorcy będą wiedzieli, co miałam na myśli. Oni i nikt więcej. Moja misja wykraczała daleko poza ciszę radiową. Przyczyną, dla której zjawiłam się tu we własnej osobie było to, iż nie mogliśmy ufać nawet słowu mówionemu.

Wiadomość radiowa przenoszona wiązką skupioną mogła być przekazywana laserem, co

miało ten plus, że Jowiszanie nie potrafili jej zakłócić ani podsłuchać.

Trafiała prosto do naszego statku, „Terrible Beauty”, który znajdował się po drugiej stronie Ziemi i miał ją przekazać do bazy Dywizji na Calli-sto. W ciągu kilku godzin powinnam dostać zwięzłe potwierdzenie. Nie zamierzałam na nie czekać, nie w tym stanie. Wstałam i kazałam kombinezonowi przybrać poprzedni kształt. Kiedy znowu stał się sukienką, zrobiłam niepotrzebny, lecz uroczysty piruet i wpadłam prosto w czyjeś ramiona. Kiedy odskoczyłam, okazało się, że ramiona należą do Stephana Vrija, fotografa.

Przez chwilę staliśmy i patrzyliśmy na siebie.

- Co też się nie widzi, kiedy się nie ma aparatu - odezwałam się.

- Nie śledziłem cię - wymamrotał ze skrzepowaniem. - Tylko sprawdzałem. Mój ostatni obowiązek. Nie uwierzysz, co ci szaleńcy tu wyczyniają po przyjęciu.

- Zapomnisz o tym?

- Jasne - powiedział. Odwrócił wzrok.

- Więc ja obiecuję, że zapomnę o tobie. - Wzięłam go za rękę. - Chodź. Wypiłam masę drinków, a ty żadnego, tak?

- Tak. - Wydawał się trochę zdziwiony, kiedy pociągnęłam go w stronę szybu

windy. Uśmiechnęłam się do niego.

- Wspaniały początek nocy.

- Tu mnie masz.

- Hm, myślałam, że raczej gdzie indziej... Weszliśmy do jego pokoju, roześmiani.

Bowiem kiedy znajdziesz się z ludźmi lub ludzie znajdą się z tobą, a pożądać będziesz ich obcego ciała, idź i czerp z nich rozkosz, i miej z nimi synów i córki swój e, a lud twój będzie panować na ziemi, a dzieci twoje zapełnią niebo.

-18-

Przynajmniej tak twierdzą Księgi Jordanu. Genetyka, rozdział trzeci, wers ósmy.

Obudziłam się w wygodnym, choć rozbebeszonym łóżku. Ste-phan Vrij chrapał błogo

u mego boku. Oboje byliśmy nadzy, ale tylko ja leżałam pod kołdrą. Zarzuciłam ją na niego, a on przewrócił się na bok we śnie.

Sądząc po kącie, pod jakim wpadały przez okno promienie słońca, nastał późny ranek kolejnego pięknego dnia. Pokój był zbudowany z czegoś, co wyglądało i pachniało sosną, ale nie zostało pocięte na deski, a potem sklezione lub zbite (co, jak później odkryłam, nadal robią niektórzy na Ziemi - i wcale nie dlatego, że muszą, lecz ponieważ mają czas na takie fanaberie). Materiał został wyhodowany na miejscu, ściany i podłoga przenikały się nawzajem, kable wylaniały się z dziur po sękach niczym pędy winorośli. W ścianach tkwiły lśniące monochromatyczne obrazy - ludzie, krajobrazy, morskie widoki. Wydawały się bardzo szczegółowe, jak fotografie, tylko bez koloru. Na krzesłach, stole i podłodze poniewierał się raczej krępujący zbiór rozmaitej bielizny. Najwyraźniej zrobiłam striptiz, ja albo mój kombinezon. Moje wspomnienia o tej nocy były dość mgliste i ciepłe.

Leżałam przez parę minut, uśmiechając się do siebie i marząc, że zaszłam w ciążę. Coś takiego tuż przed wojną to perwersja - zwykle robi się to po niej - ale ta wojna skończy się, zanim ciąża stanie się widoczna. Jeśli wygramy, przez długi czas nie zawitam na Ziemię, a potrzebowaliśmy maksymalnie dużej liczby

genów. Jeśli przegramy. .. o tym nie warto było myśleć.

Zsunęłam się z łóżka, pozbierałam garderobę i kazałam się jej przekształcić w strój podróżny, z wyjątkiem paru fragmentów, które mogły okazać się użyteczne jako bielizna. Właściwie nie potrzebowałam bielizny, ale były bardzo ładne.

Podobnie zresztą, jak wysokie buty, szorty, skarpetki i plecak, które pojawiły się na podłodze. Kombinezon miał dobry gust.

Mieszkanko było dość surowe i przeciętne, a jego rozkład dobrze mi znany, więc bez trudu udało mi się skombinować śniadanie. Przyniosłam je Stephanowi, zjedliśmy i kochaliśmy się po raz ostatni. On zrobił mi parę zdjęć, ja obiecałam jeszcze raz, że o nim zapomnę i powiedzieliśmy sobie do widzenia.

-19-

Do tej pory pewnie już o mnie nie pamięta, ale lubię myśleć, że ktoś nadal ma moje zdjęcia.

Na dole było gorąco. Słońce stało wysoko na niebie, ogromne, tak jasne, że widziałam je przez zamknięte powieki i tak gorące, że przepalało mi skórę. Nawet powietrze było rozprażone. To jedna z rzeczy, o których ci nie mówią, tak jak o grawitacji.

Pomiędzy budynkiem a plażą stały niskie zabudowania. Sklepy i magazyny wyposażenia dla ludzi pracujących w niebieskozielonych lub bawiących się na plaży, stragany z jedzeniem, jadalnie i tak dalej. Wędrowałam drogą wzdłuż wybrzeża, wypatrując sklepu dla turystów.

Wokół biegały nagie dzieci, wrzeszczące, ścigające się z wieżowca na plażę i z powrotem. Trochę starsze dzieci siedziały w cieniu i słuchały dorosłych lub młodzieży, poważnie przemawiających przed mapą lub nad maszyną. Od czasu do czasu jakieś dziecko dołączało do jednej z grup; od czasu do czasu jakieś dziecko wstawało, kłaniało się grzecznie nauczycielowi i odchodziło do innych zajęć.

Dwoje takich dzieci powiedziało mi o sklepie dla turystów. Stał w widocznym miejscu, surowa konstrukcja z oceanobetonu, plastiku i czegoś, co wyglądało jak



wyrzucone przez morze kawałki desek, lecz prawdopodobnie było syntetycznym drewnem. Uznałam, że budowla jest pewnie bardziej solidna niż wygląda i weszłam, schylając głowę pod markizą z morskiego jedwabiu. Stałam, mrugając powiekami w chłodnym, mrocznym wnętrzu.

Pod ścianami stały uginające się półki, wyładowane wszystkim, co turysta potrzebuje do szczęścia. Stare blaszane pudełka ze złotymi i srebrnymi monetami, nowe plastikowe pudełka z nabojami, naoliwiona i ustawiona na stojakach broń palna, kapelusze, szaliki, wysokie buty. Z sufitu zwisał wielki wybór zwykłych ubrań: luźne plażowe sukienki, kostiumy z foczego futra, podkoszulki, frotowe szlafroki. Wydawało się, że ten sklep dawno nie widział turysty. Oprócz mnie nie było w nim żywej duszy, nie licząc chłopca i dziewczyny siedzących przy kontuarze nad szachownicą.

Chłopiec podniósł głowę.

- Cześć - powiedział. Machnął ręką. - Miłych poszukiwań. Jeśli będzie trzeba czegoś jeszcze, wystarczy powiedzieć.

Uśmiechnął się z roztargnieniem i wrócił do rozgrywki.

-20-

Przekopałam się przez brzęczące sterty dolarów, rubli, marek, funtów i jenów, aż wreszcie wydostałam sześćdziesiąt gramów złota i sto srebra, w najdrobniejszych monetach, jakie mogłam znaleźć. Ze stojaka z bronią wybrałam automatyczną czterdziestkę i tuzin magazynków z amunicją. Jedzenie i inne potrzebne rzeczy mogłam dostać wszędzie, a kombinezon produkował lepsze buty, skarpetki i tak dalej, niż ci tutaj. Ale nie mogłam przepuścić okazji nabycia zdumiewającego scyzoryka z żelaznym krzyżem w tarczy wtopionym w czerwony trzonek. Miał dwa ostrza i masę niesamowitych narzędzi. Na pewno wszystkie mi się przydadzą. Pożegnałam się z młodymi ludźmi, obiecałam odesłać wszystko, co nie będzie mi potrzebne i znowu wyszłam na palące słońce. Zawróciłam jak rażona gromem, wpadłam do sklepu i wzięłam ciemne okulary. Odprowadził mnie śmiech dziewczyny.

Teraz, skoro nie musiałam wysilać oczu, z łatwością znalazłam położenie portu powietrznego pomiędzy liniami statków powietrznych, mikrolatarni i helikopterów. Parę kilometrów szłam wzdłuż wybrzeża. Po drodze kilka osób proponowało mi podwiezienie, ale wszystkim odmówiłam. Mimo upału, grawitacji i chwil dezorientacji, kiedy konserwatywna część mojego umysłu zapewniała mnie, że horyzont nie może być aż tak daleko, musiałam przywyknąć do pieszego poruszania się po otwartych przestrzeniach tej planety; i wkrótce, ku memu zaskoczeniu, okazało się, że to całkiem fajne. Morska bryza niosła znany i bezpieczny zapach błękitnozielonych pól, odległe konwertory szumiały, woda za sztuczną rafą migotała, a radosne nawoływania pływaków i żeglarzy wypełniały powietrze. Port powietrzny zajmował kawałek lądu, sięgając poza barierę rafy. Statki powietrzne sunęły nad masztami przycumowanych statków, a pomiędzy nimi śmigały helikoptery i mikrolatarnie. Wysoko w górze latające skrzydła z diamentowego włókna szybowwały na naprężonych kablach jak gigantyczne latawce. Przybyłam najednym z nich, z portu kosmicznego Guine, i wyglądało na to, że w ten sposób również opuszczę to miej sce. Myśl o podróży statkiem powietrznym była kusząca, ale trwałaby zbyt długo. Nie wiedziałam, ile czasu mi zostało, ale ostateczny termin, Uderzenie, miał upłynąć za niespełna trzy tygodnie. Musiałam zdążyć. Tuż przed ogrodzeniem portu odwróciłam się i obejrzałam na Casa Azores. Widziałam go niemal w całości. Sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych podstawy, zmniejszające się na wysokości kilowimetra do stu metrów. Ściany wyglądały dziwnie naturalnie, porośnięte pnącymi się roślinami, pełne wiszących ogrodów, upstrzone lądowiskami ślizgaczy i dużymi widokowymi oknami, lśniącymi jak kawałki lodu. Zbudowany i utrzymywany przed kwadryliony organicznych nanomaszynek, był niemal równie wspaniały jak drzewo i daleko bardziej wydajny. To nie moje życie chronił ten budynek i otaczająca go akwakultura, lecz to ja z radością go broniłam. Masa interesującej roboty i masa interesującego leniuchowania; przygody, jeśli się chciało, lub spokój - do

wyboru. Młodość i zdrowie przedłużone w nieskończoność. Wszystko, czego nie dostanie się za darmo, można - przy pewnym nakładzie sił i czasu - nanodukować dla siebie.

Jedyne nasze straty przed Upadkiem i Infekcją stanowiło ograniczenie mediów informacyjnych i trudności z łącznościami w czasie realnym. Staraliśmy się uczynić z tego nasz atut. Wszystkie rozrywki i informacje, potrzebne trzydziestu miliardom ludzi, można było znaleźć (z czasem) w telewizji, a kontakt z żywym człowiekiem zapewniali nam regularnie przybywający ludzie rozrywki, naukowcy i wykładowcy. Brak sztuczności oznaczał nie kończące się niespodzianki.

W całym Układzie Wewnętrznym - Ziemia, około-Ziemia, La-grange, Luna, Mars i Pas

- życie wyglądało identycznie. Obyczaje i języki różniły się bardziej niż kiedykolwiek, ale łączący je system sprowadzał się do tego samego. W pływających miastach, w sztucznych górach wznoszących się niczym zikkuraty, w wieżowcach takich jak ten lub wyższych, w podziemnych miastach, w ogromnych orbitalnych habitatach, w oświetlonych słońcem ciśnieniowych kopułach, w lodowych jaskiniach panował ten sam styl życia: prosty, samowystarczalny i rozsądny ekologicznie.

To społeczeństwo przedstawicieli gatunku ludzkiego, naturalne środowisko myślącego zwierzęcia, które owo myślące zwierzę po tak długich wysiłkach wreszcie sobie stworzyło, sprawdzało się całkiem dobrze. Nazwaliśmy je Epoką Heliocenu. Wobec samego słońca wydawała się chwilą, lecz właściwie nie było

powodu wątpić, że go nie przetrwa i nie przeniesie się na wszystkie słońca we Wszechświecie.

Kontrolowaliśmy czapy polarne dzięki słonecznym lustrum. Złodowacenie i masowe wymarcie, którymi zaznaczył się w naszej świadomości plejstocen, nie miały się nigdy powtórzyć. Dzięki laserom i wycelowanej w niebo broni nuklearnej broniliśmy Ziemi przed ude-

rzeniami asteroidów. Mogliśmy wyhodować wymarłe gatunki z DNA okazów muzealnych.

Już wkrótce, to tylko kwestia stuleci, będziemy mogli kontrolować cykl Milankowicza. Byliśmy bezpieczni.

Nic dziwnego, że nie mieli tu turystów. Kto by się fatygował, żeby opuszczać takie samo miejsce? Westchnęłam, wzdrygnęłam się lekko i weszłam w bramę portu.

Po Londynie

Jednak wsiadłam na pokład statku powietrznego. Latające skrzydło doniosło mnie do Bristolu, miasta nadal pełniącego rolę portu, choć już nie handlowego. Doki starego miasta zachowały się całkiem nieźle, lecz tam, gdzie niegdyś wyładowywano cukier (wytwarzany przez niewolników i wymieniany za nich), teraz przybijały tylko statki wypoczynkowe. Nowe miasto było utrzymane w modnym stylu

azteckich piramid z górującym nad wszystkim lądowiskiem. Dotarliśmy na miejsce o pierwszej, po dwugodzinnej podróży. Szczęście mi dopisało i złapałam drugi lot do Londynu. Wystartowaliśmy o wpół do drugiej, do Portu Aleksandry dotarliśmy o szóstej. Tak to już jest z podróżami w atmosferze.

No i pogoda, ma się rozumieć. Wsiadłam z windy na dach, prosto w strumienie deszczu lejące się z szarego nieba. Wygrzebałam z plecaka pelerynę z kapturem - także część kombinezonu - i włożyłam ją. Kiedy deszcz przestał zalewać twarz, łatwiej przyszło mi sprawdzić, gdzie jestem. Dach przypominał niewielki park - gdyby nie odległe wzgórza i powodowane przez deszcz dziwaczne efekty wizualne, mogłabym uznać, że znajduję się pod dowolną miejską kopułą. Ruszyłam przez trawę, ociekające deszczem drzewa i krzaki ku stojącemu pod centralnym słupem sterowcowi w wesołych kolorkach. Inni ludzie, wszystkiego może z tuzin, także szli w jego stronę. Wspięliśmy się po spiralnych schodach i weszliśmy do gondoli. Moi towarzysze podróży byli ubrani tak jak ja, lecz nieśli więcej bagaży. Z podsłuchanych rozmów dowiedziałam się, że w większości byli to

- lub za takich się uważali - poważni ekoturysty, studiujący przyrodniczo lub miejską archeologię. Bardzo niewielu oparło się pokusie zabrania wędki lub karabinka. Londyn słynie ze wspaniałych terenów łowieckich i wędkarskich. Siedzenia zostały rozmieszczone raczej jak w pokoju niż w pojeździe, lecz bez trudu zdobyłam miejsce przy oknie. Wystartowaliśmy zgodnie z planem, przebijając się przez nisko wiszące chmury. Całe pół godziny gapiłam się przez okno na ciągnące się w nieskończoność liściaste lasy, z rzadka przecinane starymi drogami i nowymi budynkami. Potem wstałam, spytałam podróżnych, jakich

napojów

sobie życzą, i zajęłam się ich przygotowywaniem. Kiedy kawa była już gotowa, podeszła do mnie kobieta, która przedstawiła się jako Suze. Niska, śniada, o orzechowych oczach i smagłej cerze. Typowa Angielka. Uznałam, że ma tyle lat, na ile wygląda.

- Czy wiesz - odezwała się, kiedy nalewałyśmy kawę do kubków, a herbatę do filiżanek - że w starym ustroju istnieli ludzie, którzy zajmowali się tym na stałe?

- Czym?

- Podawaniem poczęstunku na statkach powietrznych. Wiedziałam doskonale.

-Naprawdę? - zdziwiłam się. - Dlaczego? Sprawiało im to przyjemność, czy co?

-Nie - powiedziała poważnie. - Robili to, ponieważ tylko w ten sposób mogli dostać wszystko, czego potrzebowali do życia.

Wskazałam tacę z kanapkami.

- To znaczy, że mogli jeść tylko to?

- Nie, nie, to dlatego, że... Nagle parsknęła śmiechem.

- Nabierasz mnie, tak?

- Tak - przyznałam. Wzięłam tacę. - Teraz sprawdzimy, czy poradzimy sobie lepiej niż wyzyskiwane masy.

Kiedy podałyśmy już poczęstunek wszystkim pasażerom, zabrałyśmy się do jedzenia.

Zauważyłam, że Suze siedzi sama, tak jak ja, więc zaprosiłam ją do siebie.

Zaczęłyśmy gawędzić.

Nie należy pytać sąsiadów, czym się zajmują, dokąd jadą i tak dalej. Trzeba zacząć delikatnie i nie narzucać się, jeśli ktoś nie chce mówić.

- Dlaczego wspomniałaś o starym ustroju? - spytałam.

-24-

- Chwilowo jestem socjologiem. Wyciągnęłam z pamięci dawno nie słyszane słowo.

- Kimś, kto bada społeczeństwo? Przytaknęła.

- Tak, lecz teraz nie ma już czego badać.

- Jak to?

- Rozejrzyj się - zatoczyła ręką krąg. - Spróbuj przyjrzeć się społeczeństwu. Co widzisz?

Pytanie było retoryczne, ale bardzo chciałam usłyszeć odpowiedź.

- To takie oczywiste, takie nachalne - ciągnęła. - Wszyscy wiemy wszystko już od dziecka. Chcesz się czegoś dowiedzieć i zaraz znajdujesz kogoś, kto ci to mówi! Prawdę, bez tajemnic, bez zakulisowych działań. Nie ma już żadnych kulis, jeśli rozumiesz, co mam namyśli.

- Oczywiście - powiedziałam, myśląc: ha, jeszcze mało wiesz, dziewczyno! - Więc jakie społeczeństwo badasz, jeśli nie własne?

- Stary ustrój. I dowiaduję się bardzo ciekawych rzeczy. Czasami po prostu muszę opowiadać o nich innym. Poza tym to dobry sposób na rozpoczęcie rozmowy. Prychnęłam.

- Zgoła fantastyczny. Dobry na każdą okazję. „Wiesz, że w systemie płacowym niektórzy ludzie musieli robić to codziennie, żeby nie umrzeć z głodu?”

Roześmiała się, bo przybrałam ton pełen świętej zgrozy i zrobiłam ogromne oczy. Przez parę minut szukałyśmy zajęcia, które nie pasowałyby do tego stwierdzenia, lecz okazało się, że nasze wiadomości o rzeczach strasznych i sprośnych są zbyt skąpe.

- Ale to i tak fascynujące - oznajmiła Suze, kiedy dałyśmy sobie spokój. - Na

swój sposób. - Rzuciła mi badawcze spojrzenie, jakby wahała się, czy ciągnąć dalej. - Kapitalizm miał w sobie coś... jakąś elegancję. Kłopot w tym, że starzy ludzie... bez obrazy... nie potrafią o nim mówić, bo go nienawidzą, a stare książki... - Westchnęła i wzruszyła ramionami. - Są bez sensu. Jest tam mnóstwo tych równań, całkiem jak w prawdziwych naukach ścisłych, ale potem patrzysz na wyniki i myślisz: hej, moment, to nie może być tak, jak to w ogóle działało? W każdym razie - ciągnęła już pewniej - to jedyne interesujące socjologiczne pytanie, które nam pozostało. - Wyrzała przez okno, pochyliła się ku mnie i wyznała cicho. - To dlatego jadę do Londynu. Żeby porozmawiać z ludźmi spoza Unii.

-25-

Wyprostowała się i spojrzała na mnie wyzywająco, jakby spodziewała się mojego oburzenia. Nie musiałam udawać - byłam przyjemnie zaskoczona i zainteresowana. Oczywiście mieliśmy siatkę agentów i kontaktów w rejonie Londynu, no i zawsze było można liczyć na starych towarzyszy, ale moja misja była utajniona nawet przed nimi. Nikt nie wiedział o moim przybyciu ani o przedmiocie moich poszukiwań, choć nie mogliśmy dłużej zwlekać z ujawnieniem niektórych informacji. Nastawiłam się już, że będę musiała polegać na pospiesznie zebranych i prawdopodobnie nieaktualnych wiadomościach.

A teraz trafiła mi się ewentualna przewodniczka. Szczęście mi sprzyjało... szczęście albo coś zupełnie innego, gdybym uparła się popaść w manię prześladowczą. Jej wcześniejsze uwagi o braku tajemnic były zbyt oczywiste, by uznać je za podwójny blef. Gdyby sama miała jakieś inne sekrety (inne niż te niesmaczne - dla niektórych - zainteresowania), prawdopodobnie w ogóle nie poruszałaby tego tematu. Poza tym była zbyt młoda...

Przyjrzałam się jej, usiłując ukryć nieufność. Po paru dziesiątkach lat traci się nosa. Dywizja nie należała do Unii, ale nawet nasza polityka uległa złagodzeniu, całkiem jak wrośnięte głęboko w mech zardzewiałe działo. Cała nasza moc niszczenia była skierowana na zewnątrz.

Uznałam, że muszę wykorzystać jej obecność, bez względu na to, czy jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności, czy też wynika z działania owych tajnych sił, których istnieniu tak naiwnie zaprzeczała. Jeśli jest niewinna, zdobędę cenne kontakty i informacje. Jeśli nie, mogę to sprawdzić tylko w bezpośredniej rozgrywce.

A zatem powiedziałam:

- Hm, bardzo to interesujące. Znasz jakichś niezależnych? (Było to grzeczne określenie; do innych należały: „pasożyty”, „parchy”, „męty” i - zawsze z parsknięciem i udanym splunięciem - „bankierzy”). Uważano, że można wymieniać z nimi monety za dziwne przedmioty i nanodukty, a także zatrudniać ich jako przewodników, lecz większość ludzi unikała kontaktu z nimi, jakby niezależni byli nosicielami jakiejś niewidzialnej skórnej choroby.

- Paru - wyznała z widoczną ulgą. - Wiesz, badam schematy handlu w Dolinie Tamizy.

- Schematy handlu?

- Powszechnie uważa się, że niezależni żyją z tego, co wyszarpią Unii, ale to przesąd. - Skrzywiła się; ciągle mówiła ściszym głosem,

-26-

sem, jakby się obawiała, że inni ją podsłuchają. - W rzeczywistości są całkiem samowystarczalni. Wytwarzają różne przedmioty i wymieniają się nimi, a małe metalowe ciężarki służą im jako symbol wymiany pośredniej. To dlatego robią różne rzeczy dla turystów tylko za te ciężarki. - Roześmiała się. - No tak, przecież ty to wszystko znasz.

- Teoretycznie - przyznałam - ale chętnie bym zobaczyła, jak to wygląda w praktyce. W gruncie rzeczy wybrałam się do Londynu, żeby... znaleźć pewną osobę.

- Miałam świadomość ryzyka. Czekano mnie poszukiwanie tego faceta pomiędzy wszystkimi rodzajami ludzi. I choćbym była nie wiadomo jak dyskretna, w końcu musiało się roznieść. Tutaj mi to nie groziło. - Nazywa się Isambard King-dom Malley.



- To on jeszcze żyje? - W głosie Suze brzmiało niedowierzenie. - W Londynie? Powoli na jej twarzy zaczęło świtać zrozumienie.

- Tak - potwierdziłam. - To niezależny.

Isambard Kingdom Malley jest, albo był, fizykiem. To on opracował Teorię Wszystkiego. Ostateczne równanie. Kiedy naprawdę liczyłam sobie tyle lat, na ile wyglądałam, bardzo modne były podkoszulki z jego równaniem.

Malley urodził się w dwa tysiące trzydziestymdziewiątym roku, więc w czasie Rewolucji Upadku miał sześć lat. Jego teoria powstała we wczesnych latach sześćdziesiątych, podczas krótkiego wybuchu nowych technologii i odkryć, które znaczyły okres upadku imperium USA/ONZ, ale barbarzyńcy j jeszcze nie wygrali. Jego ostatnia rozprawa była przyzwoicie klasyczna: Manipulacja czasoprzestrzenna z materią nieegzotyczną, dr I.K. Malley, 128 (10), 3182 (2080). Opisywała ona teoretyczną możliwość istnienia korytarza w czasoprzestrzeni oraz napędu na masę wirtualną fluktuacji próżni. Jego słynny Aneks II - Rozważania techniczne wskazywał pewne praktyczne problemy przy zbudowaniu Bramy i Korytarza, podkreślając, iż wymagałoby to komputerów miliard razy potężniejszych od ówczesnie istniejących.

Nie minął tydzień od publikacji tego artykułu, a gazeta została zamknięta przez bandę rządzącą tym rejonem Byłych Stanów Zjednoczonych za „niezgodne z Pismem

Świętym spekulacje", „błuznierstwo" i (według niektórych źródeł) „czarną magię".

Istnieje pewna smutna

-27-

logika w fakcie, iż dzieło, które wskazało drogę ku gwiazdom, zostało opublikowane w ostatnim numerze gazety: Zachód upadł, lecz ciągle bujał w obłokach.

Trzydzieści lat później Zewnętrzni zbudowali bramę korytarza i zapuścili w nią sondę międzygwiazdową, sięgając krańca czasu i przestrzeni. Sonda nie dotarła do celu i nadal rosła w siłę, nieustannie transmitując niemal niezrozumiałe dane z

niewyobrażalnej przyszłości, co obaliło teorię Malleya, bazującą na dotychczas niewzruszonym standardowym modelu skończonego Wszechświata. Ale teoria Malleya

pozostała jedynym, co posiadaliśmy. Pasowała do wszystkich danych, z wyjątkiem niezaprzecznego faktu istnienia sondy. W granicach naszej techniki teoria nadal się sprawdzała. Nikt nie wpadł na nic lepszego. (Uważam, że to dość niepokojące. Czasami wydaje mi się, że geniusz lepiej rozwija się w warunkach zagrożenia społecznego. Być może mamy taką samą szansę na dokonanie kolejnych odkryć fizycznych, jak mieszkańcy wysp na Pacyfiku na wynalezienie silnika parowego. A może po prostu - mam taką nadzieję - Newton, Einstein i Malley nie trafiają się codziennie.)

Podejrzywałam, że Malley mógł być Zewnętrznym, ale nie zdążył opuścić Ziemi. Ostatnie kosmodromy zostały opanowane przez gangi, których rakiety niszczyły warstwę ozonową lub dziurawiły kryształowe sfery firmamentu. Malley uciekł z Ameryki do Japonii, a w czasach Zielonej Śmierci wrócił do Anglii, gdzie pracował z nakładem niespożytych sił i mizernych środków jako szaman, sprzedając antybiotyki i leki przeciwko starzeniu przesądny osadnikom, dręczonym nostalgią i kinierom i przerażonym nastolatkom, uważającym jego zabiegi za kolejną próbę rytuału przejścia. Wiedzieliśmy, że przetrwał stulecie barbarzyństwa i zjawił się na wyborach, które oficjalnie obaliły kapitalizm i ustanowiły Unię Solarną. Najwyraźniej głosował przeciwko rewolucji socjalistycznej, gdyż w następnym stuleciu światowej wspólnoty wycofał się w dzikie ostępy Londynu i odmówił współpracy z systemem.

Bardzo jej potrzebowaliśmy.

Zdaje się, że Malley wyznawał epikurejską zasadę, by „żyć w zapomnieniu”. Suze pewnie nawet o niej nie słyszała.

- Czy chciałabyś, żebym towarzyszyła ci przynajmniej na początku? -

zapropozowała. - Mogłabym pomóc ci się rozejrzeć, a ty... no wiesz, są takie miejsca, których nie chciałabym odwiedzać sama.

-28-

- Tak, naprawdę bym chciała. To bardzo po sąsiedzku z twojej strony.

Rozpromieniła się i spytała:

- Jak zamierzasz go namierzyć? Wiesz, gdzie może mieszkać? I właściwie dlaczego chcesz z nim porozmawiać? Oczywiście nie musisz odpowiadać.

Podrapałam się za uchem i wyjrzałam przez okno. Znowu znaleźliśmy się nad jakąś nisko sunącą chmurą; przez oślepiającą biel prześwitywało miasto.

- Wieżowiec Swindon - wyjaśniła Suze. Przed nami po pokrywie chmur pędził cień naszego statku. Wróciłam spojrzeniem do dziewczyny.

- Odpowiem, kiedy znajdziemy się w jakimś bardziej zacisznym miejscu. Wtedy zdecydujesz, czy chcesz mi towarzyszyć, czy nie.

- Zgoda.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałas na temat Londynu - poprosiłam, a ona spełniła moją prośbę. Kiedy skończyła, byliśmy już na miejscu. Spojrzeliśmy na lasy i bagna, ruiny i ślady ulic i dróg, na dym sączący się z kominów przycupniętych osad. Suze wskazywała mi z ożywieniem ślady przeszłości: lotnisko Heathrow - heksagram pasów startowych, widoczny tylko z powietrza, niczym symbol

jakiegoś starożytnego kultu, czczącego bogów nieba; służę na Tamizie daleko na wschodzie, samotną linijkę srebrnych kropek; Hyde Park z Pomnikiem Nieznanego Socjalisty, wystającym sto metrów nad koronami drzewi spoglądającym z pogardą zwycięzcy na powalone lub walące się wieżowce City; a kiedy statek powietrzny zawrócił i zaczął opadać, nasz cel, dumne kolumny Portu Aleksandry.

Na sam jego widok zjeżyły mi się włosy na karku. Było to jedno ze wczesnych centrów ruchu kosmicznego, który ustanowili wspólni przodkowie, nasi i Zewnętrznych. Do dzisiaj żyją ludzie, których podróż kosmiczna zaczęła się w takich zatłoczonych halach, w oczekiwaniu na połączenie z kosmodromami w Guine

i

Kazachstanie. Jego maszty były dla nich Statuą Wolności.

Albo kolonią karną. Paznokcie same wbiły mi się w dłonie. Odwróciłam się i przygotowałam do lądowania.

Sterowiec wylądował z cichym pomrukiem silników. Przytoczono schody i zaczęliśmy

wychodzić. Parę osób z obsługi wsiadło na

-29-

pokład i przystąpiło do kontroli; choć systemy automatyczne znacznie lepiej nadają się do tego zadania, w przypadku maszyn latających istnieje coś, co nie pozwala zapomnieć o tradycji.

Z dachu terminalu mieliśmy niemal panoramiczny widok Londynu: łagodne wzgórza zasnuwane dymem z ognisk. Od czasu do czasu z gąszczy drzew wystawały wieżowce, których stal i beton oparły się dwustuletnim zniszczeniom. Na wschodzie Lee Water zalewała trzęsawiska Hackney; w oddali lśniła Tamiza. Po stronie zachodniej pomiędzy drzewami przebłyskiwały ruiny starych ceglanych budynków i resztki ulic.

Na świecie panuje mylne przekonanie - którego, co należy przyznać, nikt z nas nie zamierzał prostować publicznie, choć fakty same rzucają się w oczy, jeśli tylko ktoś chce popatrzeć - iż Zielona Śmierć była pojedynczym atakiem zarazy, spowodowanym przez wirus, genetycznie skonstruowany przez jakąś frakcję Zielonych w porwywie maltuzjańskiego szału. Bardziej trzeźwe badania epidemiologiczne ujawniły, iż istniało kilka różnych chorób, prawdopodobnie pochodzenia naturalnego, które uderzyły w tym samym czasie i zostały rozniesione przez żołnierzy, uciekinierów i osadników. Chaos i osłabienie socjalnych systemów immunologicznych medycyny i nauki rzeczywiście należy przypisać bandom

Zielonych i ich licznym zwolennikom i prekursorom, by nawiązać do ponad stu lat irracjonalizmu i antyhumanitaryzmu. Paniczna ucieczka z miast, stanowiących ogniska zarazy, świadczyła o takim rozumowaniu i prawdopodobnie spowodowała więcej zgonów niż same choroby. I choć Zieloni nie są odpowiedzialni za miliardy

ofiar, które się im przypisuje, trudno mi winić kogokolwiek za tak zwane „ekscesy” po uwolnieniu. (Nadmiernie entuzjastyczne lokalne komitety znacznie przesadziły, podając liczbę egzekucji. Nie było ich więcej niż sto tysięcy na całym świecie. Poważnie.)

Długotrwałym wpływem Zielonej Śmierci nie było ograniczenie liczby populacji - która po rewolucji gwałtownie podskoczyła, a i teraz miała się bardzo dobrze, piękne dzięki - lecz zmiana miejsc zamieszkania. Większość starych metropolii pozostała pusta, choć niebezpieczeństwo przestało już grozić. Opuszczono je skwapliwie, zostawiając - całkiem słusznie - tym, którzy odrzucili nowe społeczeństwo i woleli żyć do pewnego stopnia po staremu.

Tereny wiejskie także zaczęły dziczeć, gdyż agrokultura ustąpiła miejsca akwakulturze, hydroponice i sztucznej fotosyntezie. Jed-

-30-

nak nie odstępowano ich niezależnym tak chętnie, jak miast, ze względu na ich wartość rekreacyjną dla ludzi z Unii.

Sam Port Aleksandry nie zmienił się zanadto, ponieważ nigdy nie został wydany na pastwę ludzi czy natury. W czasach Zielonej Śmierci przepływały przez niego tłumy uciekinierów i nawet w stuleciu upadku Zachodu był utrzymywany przez tych przedstawicieli Ruchu Kosmicznego, którzy pozostali na ziemi. Strzeżono jego granic - małej wysepki w morzu pustki.

Zupełnie jak na starych zdjęciach, pomyślałam, kiedy zeszliśmy do hali: wystrój staroświecki już wtedy, kiedy powstał - w dwudziestym wieku. Nowsze budynki terminali i warsztaty zbudowane w dwudziestym pierwszym wieku, przycupnięte w cieniu wysokich kolumn. Jedynym dowodem istnienia nowoczesnej technologii, który

dostrzegłam, były ruchome schody i chodnik, który wyniósł nas do wyjścia.

Gładki pas plastiku - to nie nanotechnologia, tylko zmyślny wynalazek - pewnie wprowadziłby w osłupienie pierwszych budowniczych kompleksu.

Podeszliśmy do Pałacu Ludu, teraz służącego za dom gościnny i kwatery

pracowników portu. Spojrzałam na słońce, a potem na zegarek.

- Zostaniemy tu na noc? - zaproponowałam. - A rano ruszymy w dalszą podróż.

Suze skinęła głową.

-Tak, za późno, żeby jechać dalej. Znam w Londynie parę miejsc, w których ostatecznie można się zatrzymać, ale tylko w razie bezwzględnej konieczności.

Zameldowałyśmy się na portierni, gdzie powiedziano nam, że mają mnóstwo wolnych

miej sc. Większość naszych towarzyszy podróży dała się skusić wątpliwemu urokowi

i atrakcjom londyńskich gospod lub domków myśliwskich. My wybrałyśmy sobie dwuosobowy pokój w zachodnim skrzydle. Znalazłyśmy tam małą kuchenkę, zapas kawy

i innych produktów oraz zaproszenie na kolację i/lub wspólne zabawy towarzyskie.

Suze wzięła prysznic, a ja poprosiłam kombinezon, żeby dyskretnie przeczesał pokój. Nie znalazł niczego oprócz standardowych form fauny i normalnych

czyścipełzaków. Ani śladu innego rodzaju pluskiew - nie żebym się ich naprawdę spodziewała, ale to rutynowa czynność, tak jak inspekcja statku powietrznego.

Suze wyszła spod prysznic w chwili, gdy agent kombinezonu meldował mi o wynikach.

-31-

- Och! - zawołała. - Oswojona myszka. Jaka cudna!

- Wrrr - warknął kombinezon, choć Suze z pewnością usłyszała to jako pisk. Ja także się wykąpałam, a kiedy zjawiłam się z powrotem, Suze zdążyła zaparzyć kawę i przebrać się do kolacji.

- Dzięki - powiedziałam, biorąc kubek. - Ładna sukienka. Suze spojrzała na nią z zadowoleniem.

- To plisy Fortuny, tak się nazywają - oznajmiła. - Można to wepchnąć do plecaka, potem się tylko strzepuje i gotowe.

- Ach - mruknęłam. - Ja też ci coś pokażę.

Włożyłam ubranie, nadal przepocone i zmięte po podróży. Została tylko jedna część - inne stały się myszą oraz plecakiem wraz z zawartością- ale to i tak wystarczyło, żeby wykonać numer godny Kopciuszka. Okręciłam się wokół własnej osi i uśmiechnęłam na widok szeroko otwartych ust Suze.

- Inteligentny skafander kosmiczny - wyjaśniłam. Usiadłam i przyglądałam bufiastą spódnicę. Suze nadal patrzyła, jakby ujrzała ducha.

- Jesteś przestrzeniowcem?

- Tak - przyznałam. - Dywizja Cassini.

- Super! - W jej oczach pojawił się podziw i cień poczucia winy, które już widywałam. W świecie obfitości, pokoju i bezpieczeństwa Dywizja miała zwodniczy urok niebezpieczeństwa, seksowny wabik przemocy. Niektórzy nienawidzili nas i bali się z tego samego powodu, inni - czasami skrycie, nie przyznając się nawet przed sobą -kochali. Wyglądało na to, że Suze należy do tej drugiej grupy.

- To dlatego chcę porozmawiać z Malleyem - powiedziałam.

- O korytarzu? - Bystra dziewczyna.

- Tak. Chcemy, żeby nam pokazał, jak się przez niego przechodzi. Na Nowego Marsa.

- Żebyśmy też się tam zaczęli osiedlać? Pokręciłam głową.

- Nie trzeba nam nowych pustyni.

Coś -jakieś nagłe światełko w jej oczach - zdradziło mi odpowiedź: trzeba, trzeba! Nie wszyscy tak uważali, ale wiedziałam, że Wilde wystarczająco często widywał ten wyraz oczu, kiedy snuł swoje opowieści. Nic dziwnego, że twierdził, iż jeśli zdołamy przejść, skolonizujemy planetę.

- Więc dlaczego musimy przez niego przejść? Dlaczego teraz?

- Musimy - odparłam ostrożnie - ponieważ istnieje możliwość, że ludzie z drugiej strony korytarza babrzą się w tym samym, co

-32-

Zewnętrzni... Jowiszanie... po tej stronie. Zamierzamy przejść i powstrzymać ich za wszelką cenę. (Była to prawda- do pewnego stopnia, niezbyt określonego.)

Suze usiadła w fotelu i przyglądała mi się, kręcąc głową.

- Dlaczego nikt o tym nie wie? Dlaczego nam nie powiedziano?

- Właściwie nie trzymamy tego w tajemnicy. Podaliśmy to do wiadomości w naukowych raportach i tak dalej, zamiast zrobić wokół tego masę szumu. Na razie wszyscy, którzy wiedzą, co się dzieje, przyznali, że nie ma potrzeby panikować.

- Może i tak - mruknęła z urazą - ale to trzeba przedyskutować! Nie można tak po prostu, bez żadnego...

- Prawa? Właściwie możemy to zrobić, ponieważ nikt nie zdoła nas powstrzymać. Nie chcielibyśmy do tego dopuścić, ponieważ rozpadlibyśmy się - my, czyli Dywizja - gdybyśmy wystąpili przeciwko Unii. W naszych szeregach istnieje silna i dobrze uzbrojona mniejszość, która nie życzy sobie konfliktów z Unią. Ale w praktyce mamy do tego prawo. Dostaliśmy polecenie chronienia Wewnętrznego Systemu przed zagrożeniami zewnętrznymi, a jeśli ewentualna inwazja postłudzi, atakujących nas z Korytarza, nie należy do takich zagrożeń, to nie wiem, co może do nich należeć.

Jeszcze jej nie przekonałam.

-A Nowi Marsjanie? - spytała. -Nie sądzę, żeby się na to zgodzili.

Roześmiałam się.

- Jeśli są jeszcze ludźmi... To tylko banda niezależnych. I wiemy, jak z nimi postępować.

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem i otworzyła usta, ale jeśli zamierzała coś powiedzieć, rozmyśliła się.

- No, dość tego - oznajmiła energicznie. - Wyjdźmy wreszcie i złapmy sobie jakichś lotników.

Kolację podano w wielkiej hali; poprzedzało ją spotkanie towarzyskie przy barze, a kończyły tańce. Hala, niegdyś sala wystawowa, była ozdobiona freskami obrazującymi epizody historii Londynu: Zarazę, Ogień, Nalot, Śmierć; bitwy na Cable Street, Lewisham, Trafalgar Square, Norlonto; horror rządów Zielonych (jeden szczególnie efektowny wizerunek przedstawiał jakiegoś racjonalistę



przywiązanego do drzewa, gdzie miał umrzeć z głodu i odwodnienia, dzikich Zielonych, tańczących wokół niego i kobietę lojalnie tkwiącą w pobliskich krzakach i zapisującą słowa gospelu, płynącego z jego spieczonych ust); radość i zemstę po wyzwoleniu, wiwatujące tłu-

3 Dywizja Cassini

— \$ \$ —

my witające chińsko-sowieckie wojska (teraz nazywa się ich Chino-sowietami) wieszające przywódców Zielonych i znachorów na ich własnych świętych drzewach. Bardzo budujące.

Dekoracja, sporządzona przez mieszkańców budynku, była bardziej atrakcyjna. Na Ziemi panuje styl zgodny z miejscowymi tradycjami i możliwościami technicznymi; tutaj hołdowano nurtowi ludowemu, przejętemu od niezależnych (co zauważyliśmy później) -masa kolorów i haftów. Niektóre ubrania były o wiele ładniejsze od naszych, ale przynajmniej wyróżniałyśmy się jako goście. Nie narzekałyśmy na brak powodzenia i rzeczywiście poderwałyśmy sobie lotników.

Wczesnym rankiem wróciłyśmy kolejno do pokoju, w którym nie spędziłyśmy nocy, pozbierałyśmy rzeczy i zjadłyśmy śniadanie w głównym holu. W dziennym świetle freski wydawały się raczej naiwne niż wzniosłe. Przez panele sufitu wpadały promienie słońca, jasne i ciepłe. Suze rozpostarła mapę.

- No to dokąd się wybieramy?

-Nasz przyjaciel mieszka obecnie w lesie Ealing - oznajmiłam. - Mam coś w rodzaju adresu. Przebywa w jakimś niezależnym technikum; widywano go na jarmarkach, gdzie szukał starych książek i narzędzi.

- Łatwizna - orzekła Suze. - Pojedziemy główną ścieżką do Camden Market, weźmiemy samochód z magazynu Unii, potem łódź, żeby przepłynąć kanał do Północnej Obwodnicy - dziabnęła w ścieżkę na mapie, po czym pokazała inną cienką kreskę - i już mamy Ealing.

- Czy przez kanał na pewno będzie najszybciej? Skinęła energicznie głową.

- Niezależni zajmują się stanem dróg, które wyglądają dokładnie tak, jak się spodziewasz. Drogi wodne są nasze. Wszystko robią maszyny Unii.

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- To najbardziej dyskretny sposób podróżowania. A jeśli będziemy chciały zmienić środek transportu, w drodze powrotnej możemy wynająć poduszkowiec.

- Hmm... Właściwie zastanawiałam się, czy w ogóle nie wybrać poduszkowca.

-34-

- Zbyt hałaśliwy. Turyści tego nie lubią, a miejscowi staną się nieufni.

Wybrałyśmy sobie sfatygowany powozik o kołach, które mogły dać radę - zgodnie z zapewnieniem specja - każdemu wykrotowi w Londynie. Obsługiwało się go prosto, ale ciągle jeszcze nie ufałam swoim odruchom w tej grawitacji, więc Suze przejęła kierownicę. Ruszyłyśmy długą, krętą drogą do południowego wyjścia, przez tłum natrętnych ludzi (dla mnie nowe, niepokojące doświadczenie; dla Suze „sami żebracy i handlarze; przywykniesz”), ku wzgórzom i dzikim lasom.

Elektryczny silnik pojazdu działał cicho. Jechaliśmy powoli błotnistą ścieżką, w cieniu wysokich dębów i wiązów, mokrych po nocnym deszczu. Słyszałyśmy nieprzerwany śpiew ptaków, czasem wycie wilka lub szczekanie lisa, a daleko, daleko od nas rozlegał się niesamowity śmiech gibbonów. Wysoko w koronach drzew fruwały pustułki; dzikie gołębie trzepotały skrzydłami, a od czasu do czasu przed naszymi zachwyconymi oczami błyskały jaskrawe pióra papug. Co chwila na ścieżkę wyskakiwał jelen, rzucał nam nieufne spojrzenie i znikał w ułamku chwili, zaskakująco głośno dudniąc kopytami.

Większość ruin była porośnięta bluszczem, powoli i niepostrzeżenie wciskającym ceglane ściany w ziemię. Niektóre mury nosiły ślady niedawnego remontu, uzupełnione gliną i cegłami wyrwanymi z innych ruin. Dostrzegałyśmy polany, na których wybudowano całe wioski z odzyskanych materiałów; dawne budynki zostały rozebrane do czysta. Przywykłyśmy traktować pojawienie się dymu jako sygnał do zwolnienia i wypatrywania kurcząt, prosiąt, szczekających psów i biegających, rozwrzeszczanych dzieci. Dorośli okazywali nam na zmianę niechęć lub służalczość; ci ostatni zazwyczaj gorączkowo starali się przyciągnąć naszą uwagę do oferowanych towarów, odmalowanych lub opisanych na jaskrawych szyldach.

Zadałam Suze pytanie, które nasunęło mi się, kiedy porównywałam stare mapy polityczne z obecnymi geograficznymi: czy obecne społeczeństwa mogą być pozostałościami dawnych, kiedy mieszkaly tu plemiona chrześcijańskich fundamentalistów, anarchistów wokół Portu Aleksandry, lichwiarzy, nadal okupujących walące się wieżowce w dole rzeki, muzułmanów na wschodzie i Hindusów

na zachodzie... lecz zostałam wyprowadzona z błędu. Migracje ludów w czasach Śmierci oraz

-35-

podczas mrocznego stulecia dosłownie przenicowały wielkie miasto, nie zostawiając śladu po zamieszkujących je narodowościach.

W miarę, jak zbliżyliśmy się do Camden Market, na ścieżce zaczęło pojawiać się więcej ludzi. Zauważyliśmy kilka pojazdów mechanicznych i nieco więcej powozów ciągniętych przez konie. Wędrowcy najczęściej podróżowali w grupach: weseli turyści z plecakami i strzelbami, którzy machali do nas, kiedy przejeżdżałyśmy, oraz poważne oddziały niezależnych, maszerujących z ciężkimi bagażami na plecach, grzbietach zwierząt czy wozach. Ci rzucali nam najwyżej chytre spojrzenie.

Camden Lock Market, duży plac, do którego prowadziło kilka dróg oraz główny kanał, robił wrażenie miejsca, w którym nigdy nie słyszano o drzewach i ich czcicielach. Podobnie jak Port Aleksandry, choć z przyczyn raczej ekonomicznych niż strategicznych, przetrwał w dobrym stanie wszystkie nieszczęścia, które spadły na miasto. Był nawet większy niż w dwudziestym pierwszym wieku, ponieważ

inne tradycyjne londyńskie rynki znajdowały się obecnie dwa metry pod powierzchnią Tamizy.

Nasz pierwszy postój wypadł w budynkach Unii na brzegu rynku. Za kiepsko strzeżoną bramą znajdował się niski garaż, magazyn oraz budynek wypoczynkowo-rekreacyjny. Suze rzuciła temu ostatniemu lekceważące spojrzenie.

- Dla mięczaków - oznajmiła. - Po co tu przychodzić, jeśli nie po to, żeby  
wmieszać się w tłum?

Zaparkowałyśmy nasz pojazd, wyciągnęłyśmy bagaż, przypasa-łyśmy pistolety i  
jakiś czas włóczyłyśmy się bez celu. Dopiero wtedy zrozumiałam, o co chodziło  
Suze. W tym miejscu można było przeżyć szok kulturowy. W moich oczach  
wyglądało

to j ak - by użyć dawnego słownictwa - wieża Babel.

Na placu można było znaleźć długie, ogrodzone działki pełne zwierząt o smutnych  
oczach; marmurowe stoły ociekające krwią i zavalone mięsem; ryby pływające w  
szklanych zbiornikach; drewniane stoły z naczyniami, bronią, książkami,  
maszyną, ubraniami, materiałami, ziołami, antykami, jedzeniem i wieszakami,  
na których kołysały się płaszcze i trzepotały sukienki.

Za każdym straganem i stołem stał ktoś, kto miał obowiązek strzec dobytku,  
rozmawiać z ludźmi po drugiej stronie, podawać im towary i odbierać pieniądze.  
Sprzedający i kupujący przekrzykiwali się, kłócili, żartowali, przekomarzali,  
targowali, rozmawiali przy

-36-

wtórze niemiłosiernie hałaśliwej muzyki, odtwarzanej z przenośnych urządzeń,  
bardzo trafnie zwanych głośnikami.

I zapachy: woń zwierząt i ich nawozu, krwi, ludzkiego potu i zapachów, które  
miały go zatuszować, czyli palonych ziołowych narkotyków, które - co zaczęłam  
podejrzewać - nie były tu używką, lecz koniecznością.

Zatrzymałam się przed straganem, na którym leżały schludnie posortowane kupki  
wysuszonych liści tytoniu i haszyszu, przechowywanych w otwartych pudełkach.

Kobieta za ladą była pięknie ubrana w haftowaną bawełnianą bluzkę i długą  
spódnicę z drukowanej bawełny, zebranej w pasie. Nie potrafiłam określić jej  
wieku -jak wielu dorosłych niezależnych łączyła w sobie swobodną czujność  
dojrzałości z niewinnym egoizmem młodości. Poza tym zbijały mnie z tropu jej  
kosmetyki, czyniące z twarzy maskę: rumiane policzki, reszta twarzy blada,

pociemniałe oczy i zaróżowione usta, całkiem jakby nie spała przez całą noc i była w stanie podniecenia seksualnego. Ale miała pociągający uśmiech.

- Suze - odezwałam się, trącając moją towarzyszkę - czy mogłybyśmy...?

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Ale kiedy sięgnęłam do kieszeni plecaka, zmarszczyła brwi.

- Ja to załatwię - szepnęła.

Spojrzała na kobietę i wskazała listki z etykietką „Hasz Kent”.

- Ile za to?

- Pierwszorzędny towar, kochana - odpowiedziała kobieta. -Dwa gramy złota, pięć gramów srebra uncja.

Dopiero później rozszyfrowałam to, co powiedziała. Wtedy jej dziwny zaśpiew brzmiał w moich uszach następująco: Pirszrzynd-nytowar, kouchana, dwagram złota, pińćgram srebruncja.

Suze cofnęła się ze zgrozą.

- Ozeszkurr, ażtyli? (Tego nie rozumiem do tej pory, zostawiłam tak, jak brzmiało.)

- Wicie, to od tyj rzeki. Transportujomkurr drogo. Nigdzie taniej nie bydzie.

Ogarnęła gestem cały plac.

- Sespróbujcie. Wróćcie.

- Raczej nie - mruknęła Suze, biorąc mnie za łokieć i odprowadzając zdecydowanym krokiem. Po paru metrach kobieta zawołała:

- Dobra, spuszczem, tylko spróbujcie.

-37-

Więc wróciłyśmy i po krótkiej utarczce słownej dobiłyśmy targu. Ku memu zdumieniu Suze i kobieta uśmiechały się do siebie, najwyraźniej zadowolone z interesu, choć przed chwilą obie twierdziły na przemian, że padają ofiarą rozboju w biały dzień.

Usiadłyśmy przy stole nieopodal i zamówiłyśmy kawę z chleb-kami faszerowanymi gotowanym mięsem, które niemal na pewno nie zostało wyhodowane w

blękitnozielonych. Nie lubię się rozczulać nad zwierzętami, ale starałam się nie myśleć na ten temat - mięczaki to jedno, kręgowce to coś zupełnie innego. Kiedy skończyłyśmy jeść, Suze zrobiła małego skręta z tytoniu i konopii, zapaliła i przekazała mi go, zaciągnąwszy się parę razy z ukontentowaniem.

- Dobry towar - oceniła. Spróbowałam i potwierdziłam.

- Tak. Dokładnie jak mówiła ta kobieta. Ale, czy ona... czy ona nie czuje się pokrzywdzona?

Suze parsknęła śmiechem.

-Nieźle zarobiła. Onajest zadowolona, my jesteśmy zadowolone. Dzięki.

Zaciągnęła się ponownie. Przyglądałam się jej.

- Więc obie kłamałyście?

- Nie, oczywiście, że nie - zachichotała. - To zwyczaj. Jak blef.

- Ale dlaczego zadawałyście sobie tyle trudu? Dlaczego od razu nie dałaś jej tyle, ile chciała? No wiesz... - wzruszyłam ramionami. Miałam dość rozumu, by wiedzieć, że nie powinnam głośno mówić, ile mamy przy sobie metalu.

-Ach, to interesujący pogląd. Teoretycznie wszystko gra, wszyscy turyści z Unii mogą przynosić tu tyle tych, no... środków płatniczych, ile uniosą kupować za nie wszystko, czego dusza zapragnie. Ale wtedy miejscowi zaczną się spodziewać, że dostaną więcej za swoje towary i wszystko zacznie się psuć. To jedna ze spraw, które wyjaśnia się nowicjuszom. W czasach istnienia państw to się nazywało inflacją. - Zmarszczyła brwi. - Mniej więcej, chyba że używali umownych pieniędzy...

Przerwałam jej pospiesznie, nie chcąc zaprzętać sobie głowy kolejną komplikacją (umowne pieniądze? Że co proszę?)

- Dobrze, ale gdyby ta kobieta upierała się przy pierwszej ofercie, co... a!

Rozumiem. Poszłabyś do innego straganu.

Suze uśmiechnęła się i podała mi skręta.

- Byłby z ciebie dobry ekonomista.

-38-

- Ha! Trudno uwierzyć, że kiedyś cały świat działał na takich zasadach.

Przytaknęła z powagą.

- Plus jeszcze najrozmaitsze formy pomiatania człowiekiem. Dziwne.

Zaczęłyśmy się zbierać do wyjścia, kiedy za naszymi plecami rozległ się pełen pretensji ryk strażnika straganu.

- Przepraszam! - Suze, zarumieniona, podała mu srebrną monetę. - Reszty nie trzeba.

Musiała mi to długo tłumaczyć, zanim pojęłam: zwyczaj dawania czegoś, co nie było zapłatą, a dodatkiem do niej, kwotą, o którą nikt nie prosił, lecz którą należało dać bezwarunkowo. Ruszyłyśmy ku straganom z książkami i maszyną. Papieros, kawa i jedzenie podkręciły mnie, tak jak się spodziewałam. Dzięki temu lepiej przy-stosowywałam się do otoczenia, ale nadal pozwalałam Suze dokonywać transakcji.

Szperała pomiędzy książkami, w sklepikach z mechanizmami, od czasu do czasu kupując jakiś drobiazg i leniwie wypytując o Mal-leya. Czasami wymieniała jego pełne imię i nazwisko, czasami tylko dopytywała się, czy ktoś nie słyszał o „naukowcu” lub „starym doktorze”. Większość sprzedających znała ją z widzenia; traktowali ją lepiej niż turystów z Unii. Przy ostatnim straganie zaczęła przeglądać podręcznik fizyki, wygrzebany z plastikowego pudła na ziemi.

- Szkoda, że nie znam nikogo, kto by mi to wyjaśnił - rzuciła, niedbale podając książkę sprzedawcy. Był pulchny, nawet jak na niezależnego, różowy i ubrany w przeraźliwie pstrokaty płaszcz, w którym wyglądał jak zażywny czarodziej.

Spojrzał na książkę; oczy się mu zwęziły.

- Przykro mi, panienko, to nie na sprzedaż.

Suze spojrzała na niego jak na niewinną turystkę przystało.

- Nie? Szkoda. Dlaczego?

- Mój kumpel Wheeler prosił mnie, żebym odkładał wszystko dla profesora.

- Pewnie profesora Malleya, prawda? - Suze wydawała się zupełnie nie zainteresowana tematem. Pochyliła się i wyciągnęła ze sterty rzadki egzemplarz:

Nanotechnologia domowego majsterkowicza (Loompanics, 2052).-Hej, patrz! -

Podala

mi książkę i spojrzała na straganiarza, unosząc brwi.

- Tak, Malley - potwierdził. - Czasem przychodzi. Ale nie widziałem go od paru tygodni.

-39-

- Ciągłe prowadzi tę szkołę przy drodze do Ealing, nie?

- Tak - przyświadczył. Zaczął mówić w moim scowym dialekcie, ale miał dobrą dykcję, jak mi się wydawało. Suze zerknęła na cenę, wypisaną ołówkiem na wewnętrznej stronie okładki i podała mężczyźnie złotą monetę, nie bawiąc się w zwyczajowe targi. Straganiarz chyba zrozumiał, że zapłacono mu za coś więcej niż książka (zaczynam pojmować, jak rozumują ci ludzie, pomyślałam z zadowoleniem) i ciągnął dalej: - Śmieszne, że pytacie o niego. - Podrapał się po szczeciniastej brodzie. - Byli tu wasi... - odchrząknął - członkowie Unii i pytali o niego.

Poczułam nieprzyjemne zaskoczenie.

- No, jest naprawdę sławny - rzuciła Suze lekko. - Na pewno masa ludzi chce z nim pogadać. Ciekawe, może ich znam?

Wzruszył ramionami.

- Ciężko powiedzieć, wy wszyscy... to znaczy, byli tacy dwaj, w twoim wieku... prawdziwym wieku... i tacy wysocy jak ona - wskazał na mnie. - Wysocy, ciemni, ale nie.. .no, bardziej jakby Indianie, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

- Zauważył pan - spytałam ostrożnie - czy nie poruszali się jakoś dziwnie?

Twarz mu się rozjaśniła.

- Tak! O to chodziło! To właśnie mnie gnębiło, ale nie wiedziałem, co to. Jeden z nich tak śmiesznie się trzymał stołów, zupełnie jak pani teraz... - Na wpół świadomie puściłam ładę i wyprostowałam się. - I obaj upuszczali różne rzeczy. Książki. - Wyjął zza ucha ołówek i zademonstrował, naśladując kogoś, kto mimowolnie kładzie ołówek pół metra nad stołem, odwraca się i nie znajduje go na



miejscu. Wszyscy się roześmieliśmy.

- Chyba ich znam - oznajmiłam z uśmiechem. - Kiedy dokładnie tu byli?

- Pewnikiem w niedzielę. Dzień targowy.

Dzisiaj była - musiałam się zastanowić - środa. Skinęłam głową z miłym wyrazem twarzy.

- Bardzo dziękuję.

- Na razie - usłyszałam.

- Bużka, Tommy - dodała Suze i oddaliśmy się. Suze pochłonięta starą książką pokazywała mi przerażająco dokładne instrukcje zbudowania nanoreplikatorów za pomocą prymitywnego komputera, elektronowego mikroskopu skonstruowanego z części

telewizora

-40-

oraz substancji chemicznych, w większości spotykanych pod kuchennym zlewem. Te ostatnie miały stanowić „bezpieczną izolację” -według określenia zbrodniczo lekkomyślnego autora książki, doktora Franka N. Steina (prawdopodobnie pseudonim, powiadomiła mnie Suze z powagą).

- Rozprowadzana wyłącznie w celach informacyjnych - przeczytała z niedowierzaniem. - Wiesz co, to nadal jest niebezpieczne! Można wywołać własny wybuch!

- Na szczęście uratowałaś książkę z paskudnych rączek niezależnych.

Zerknęła na mnie.

- Hmm. Masz rację. Nie myślałam o tym.

Dotarliśmy do końca rzędu straganów. Skierowałam się do skraju placu. Suze podążała za mną w cieniu wysokich drzew. Usiadłyśmy na bukowej kłodzie i spojrzaliśmy na tętniący życiem rynek.

- Nie miałam pojęcia - wyznałam z przeciągłym westchnieniem - że to ciągle tak wygląda. Byłaś wspaniała. W dawnych czasach mogłabyś pracować jako szpieg, detektyw albo ktoś w tym stylu.

- Dzięki. - Suze podniosła wyschnięte ziarno i zaczęła skubać je paznokciami. - Właściwie jestem kimś takim. W pewnym sensie. Wywiadowcą. - Zerknęła na mnie nieśmiało, niemal z zażenowaniem, a ja nie po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, jaką presję -dla niej tak niezauważalną jak powietrze - wywiera na niej społeczeństwo, którego nie badała: jej własne. - Więc inni ludzie także szukają Malleya.

- Tak. I nie wiem, kto to może być.

- Może to tylko studenci, którzy pragną porozmawiać z wielkim fizykiem - powiedziała bezbarwnym tonem. - O co chodziło z tą ich niezdarnością?

- Przestrzeniowcy. Klasyczne odruchy z mniejszej grawitacji. Lagrangerzy albo Lunarianie. Nie z Dywizji, o ile mi wiadomo.

- Ale czy na pewno?

- Tak sędzę. Suze uniosła brew.

- Wiem o wielu rzeczach. - Spuściła wzrok, po czym spojrzała na mnie. - Z książek.

Zwalczyłam pokusę, by opowiedzieć jej o wszystkim.

- Ten sprzedawca książek... Nazywałaś go Tommy. Znasz go?

- Zamieniliśmy parę słów. Kiedyś... kiedyś był w Unii.

-41-

-Naprawdę? To tłumaczy jego wymowę. Roześmiała się.

- Wszyscy mamy świadomość naszej wyższości, co?

- Chyba tak. - Owszem, zachowywaliśmy się z wyższością. Nigdy o tym nie myślałam. - Dlaczego ktoś miałby opuszczać Unię?

- Pytałam go o to, ale nie wydobyłam z niego żadnej sensownej odpowiedzi. - Zabrzmiało to jak wyznanie winy. - Twierdził, że nie mógł się dogadać z sąsiadami.

- Co, z nikim spomiędzy trzydziestu miliardów?

- Nie sędzę, żeby miał na myśli konkretne osoby. Skrzywiłam się.

- Dziwne. No, ale to jego sprawa.

- On twierdził tak samo.

Spojrzałam w górę, na prześwietlone słońcem liście. Po niskiej gałęzi skakała wiewiórka. Spojrzała na mnie i zaczęła jazgotać, zupełnie jak moje sumienie.

- Prawie południe - odezwałam się. - Chyba na mnie pora. Buzia Suze wydłużyła się.

- Nie chcesz, żebym z tobą poszła? Pochyliłam się i uścisnęłam jej dłoń.

- Bardzo mi pomogłaś. Ale... nie mogę cię w to mieszać. To może być bardziej niebezpieczne niż się spodziewasz.

Protestowała jeszcze, lecz nie przekonała mnie. Uparła się, żeby odprowadzić mnie do portu i pożegnała mnie niespodziewanym, bardziej niż sąsiedzkim uściskiem.

Pożyczyłam mały ponton z elektrycznym silnikiem. Osiągał szybkość pięciu kilometrów na godzinę, tak że przy nieuniknionych postojach na śluzach po paru godzinach dotarłam do unijnej stacji na skrzyżowaniu Wielkiego Kanału Unii z trasą znaną jako Północna Obwodnica.

Kanał, którego brzegi były porośnięte dębami, bukami i wierzbami, tonął w cieniu. Mijałam głównie łódki pozbawione silników: powolne barki niezależnych handlowców i podróżników, bezszelestne szalupy, skify i kajaki unijnych turystów. Roboty porządkowe uwijały się wokół własnych zajęć, lśniące metalowe kraby połyskiwały na dnie lub wspinały się na brzegi. Ławice piskorzy i cierników wychylały pyszczki ponad powierzchnię, znacząc ją gęsto niczym padają-

-42-

cy deszcz. Czaple i zimorodki tylko na to czekały. Spomiędzy walących się kamiennych lub ceglanych ścian spoglądały na mnie jelenie i kangury. Mosty były nowe, drewniane; prawie wszystkie kamienne zdążyły się już zawalić, a ich resztki, wyłowione z wody, rzucono bez ceremonii na sterty po obu stronach kanału.

Rozsiadłam się wygodnie i rozluźniłam mięśnie; w głowie galopowały mi myśli, z trudem przebijające się przez otępienie spowodowane wypalonym skrętem.

Pozwoliłam, by kołnierz mojej koszuli wypuścił cienką mackę, która wniknęła mi w szyję i popęzła ponad szczęką policzkiem, aż wreszcie owinęła się wokół tylnej części gałki ocznej i wtopiła w nerw wzrokowy. Ktoś, kto przyjrzałby mi się z bliska, pewnie by to zauważył, lecz z daleka musiało to wyglądać jak dziwna, cienka jak włos blizna. Przez chwilę zostawiłam ją na miejscu, by zarejestrowała moje położenie na mapie, która stawała mi przed oczami, jeśli mrugnęłam w specjalny sposób. Maleńka kropeczka mojej Pozycji Ogólnej przesuwała się powoli wzdłuż krętej linii pomniejszonego kanału.

Patrzyłam na nią i martwiłam się. Dwaj przestrzeniowcy szukali Malleya i mieli nade mną trzy dni przewagi. Jedną z pomniejszych spraw, o których nie powiedziałam Suze, był fakt, że w łonie Dywizji mieliśmy odłam... nie, to za mocne określenie, raczej szkołę filozoficzną (także pomiędzy osadnikami kosmicznymi, a nawet na Ziemi), której przedstawiciele chcieli negocjować z Zewnętrznymi, gdyby było to możliwe. Jakby nie rozumieli! Sama myśl o negocjacjach z osobnikami, którzy mogą wniknąć do ludzkiego mózgu z taką łatwością, jak haker dostaje się do komputera, przejmowała mnie zimnym dreszczem. Jeśli ci, którzy szukają Malleya, należą do takiej grupy - nazywaliśmy ich Zgodnymi - oznacza to, że czekają nas najgorsze z możliwych kłopoty.

Nie mogłam wezwać pomocy, nie narażając się na większe niebezpieczeństwo niż to, w którym się znalazłam.

Silnik pontonu mógł w razie konieczności osiągać ciut większą szybkość; szarpnęłam mocno za dźwignię. Dotarłam do punktu Unii o kwadrans szybciej, niż się spodziewałam. Spuściłam powietrze z pontonu, wzięłam cylinder z paliwem i zapakowałam się do kolejnego pożyczanego pojazdu. Ruszyłam na południe, starannie manewrując pomiędzy złomami betonu i zwalonymi drzewami.

Na Północnej Obwodnicy nie można jechać szybko.

-43-

Wiadomości    znikąd

Strzelanina. Od wycia alarmu przepierzenia dygoczą, okostna re-zonuje: cała szczęka pulsuje mi bólem. Padam na siedzenie. Odbijam się, potem to łapie mnie i obejmuje. Kombinezon sztywnieje na sekundę (nie mogę się ruszać!), wszystko na ułamek chwili ginie w mroku (w następnej wersji musimy się pozbyć tego drania albo ktoś UMRZE!), potem oko zaczyna działać, stawy miękną, a moje palce bębnią o oparcie fotela i znowu jestem sobą.

- Cicho tam!

Moje zęby i uszy płaczą z ulgi. Patrzę prosto przed siebie. Brama jest o jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów, w polu widzenia, jak zawsze, a liczba wrogich statków, komet lub pędzących na nas love-craftowskich paskudztw równa się, policz dobrze, zero.

- Jeśli to znowu fałszywy alarm...

- To nie jest fałszywy alarm - mówi statek. Pojawia się powiększenie, najazd, klikanie kamer. - Patrz.

Jakie maleństwo. Odczyt podaje, co? Sześćdziesiąt centymetrów. Ktoś ze służby przeciwpożarowej parska śmiechem. Moją pierwszą myślą jest: witaj w domu, Pionierze Dziesiąty! Rzeczywiście, wygląda jak bardzo starożytna sonda kosmiczna: korpus jak ciało pająka, rozum jak łepiek od szpilki; ale (po namyśle) to nie nasz. Nie wygląda jak żaden wytwór ludzkiej myśli technicznej, żaden istniejący pojazd kosmiczny (znam je wszystkie, jak twarze przyjaciół), a najwyraźniej solidne oprzyrządowanie tego czegoś jest (klik, klik) niezaprzeczalnie dziełem nanotechnologii. Jeszcze większe zbliżenie sondy, która próbuje przemknąć się obok nas: płynne, poruszające się powierzchnie...

Uderzam w wyłącznik i obraz zmienia się w kropkę na czerni. Ostrość nie była na tyle duża, żeby ci wpuścili wirusa (ale pomyślałabyś o tym, prawda?), więc przebiegłam wydruk mikroskopijnych silniczków Babbage'a, które zaraportowały, że wszystko czyste. Żadne paskudne wirusy, przesłane po naszych nerwach optycznych, nie zaatakowały nam siatkówek i nie przejęły mózgow (ale tak by powiedzieli, czy nie?), a paranoja przywołuje...

Dość. Zignoruj uczucia. Zaufaj komputerom.

(Tak, wiem że hack Langforda to tylko wirus, replikujący się przez stulecia jak stary kawał. Niszczy nasze zasoby za każdym razem, kiedy działamy ze słabą nadzieją, że jeśli ktoś go wymyślił, ktoś inny może go usunąć. Jaki pokręcony umysł dał mu życie?)

Na patrol wyleciały dwa tuziny statków, a tuż przed alarmem (raptem dziewięćdziesiąt sekund temu) ucięto łączność między nimi; totalna cisza radiowa jest pierwszym odruchem statku, jeszcze przed ostrzeżeniem załóg. Dziesiątki lat ćwiczeń, przetestowana każda istniejąca ewentualność (i jeszcze parę dodatkowych). Wszyscy w Dywizji muszą to robić, trafia to na każdego, nieustannie wbijają ci do głowy, że jeśli coś się stanie, możesz liczyć tylko na siebie.

Jesteśmy tuż za tobą. Ale jeśli staniesz oko w oko z nadczołowie-kciem, rozkazy wyglądają inaczej: pierwszy to *saive ąuipeut*, drugi to zniszczenie, trzeci to „nikt ci nie pomoże”... i tak dalej w ten deseń.

Jestem tu po to, żeby myśleć samodzielnie. W tej chwili cudowna możliwość Pierwszego Kontaktów łączy się z alarmującą myślą, iż będzie to kontakt z naszymi dawno nie widzianymi - lecz ciągle obecnymi - nieprzyjaciółmi. Ta mała sonda zbliżyła się na odległość dwudziestu kilometrów i chyba zwalnia. Te obłoczki produktów lotnych masy reakcyjnej to kolejny dowód na to, że nie jest to jakiś nasz dawno zagubiony pojazd.

- Kontakt - mówię i wysyłam standardowe pytania i pojedynczy sygnał radaru. Ku mojemu zdumieniu otrzymuję natychmiastową odpowiedź. Babbage ćwierkają przez chwilę, po czym kombinezon tłumaczy wiadomość:

- Statek wydobywczy NK osiem siedem osiem z Miasta Statków do niezidentyfikowanego obiektu, proszę o odpowiedź, odbiór.

Nie wpuszczam go; nadal podejrzewam, że mam przed sobą prawdziwą sondę innej cywilizacji (choć najwyraźniej nie jest to nadejście wroga, który daje nam do

rozumienia, że opór jest bezcelowy i tak dalej.) Wstydę się jak nie wiem co, ale przychodzi mi do głowy tylko jedno: włączyć przekaz wideo i odezwać się piskliwym ze zdumienia głosem:

- Mówisz w j ęzyku anglosłowiańskim?

Znowu ćwierkanie komputera, po czym odzywa się ludzki głos:

- Po angielsku?

- Tak, po angielsku - plotę jak głupia, nadal falsetem. - Bierzesz to ze starych transmisji, tak? Język się zmienił...

-45-

W tej samej chwili rusza wizja, obraz ziarnisty przez działanie programu antywirusowego. Widzę twarz stareńkiego człowieka. Miał chyba jakiś niewiarygodnie prymitywny zabieg odmładzający, ale na tym koniec. Wszystkie dostarczone informacje wreszcie zaczyna-jąmi coś mówić. To nie wysłannik obcej cywilizacji, ale ktoś niemal równie niesamowity: digitalny duch zbiegłego więźnia, jednego z zakładników Zewnętrznych, którzy przed dwustu laty uciekli z orbitalnego obozu pracy ku czekającej ich za Bramą niewiadomej.

- Wiele się zmieniło - mówię duchowi.

Na wspomnienie pierwszego spotkania z tymi, którzy okazali się zreplikowanymi umysłami Wilde'a i Meg, nadal pałą mnie uszy. Nawiedziło mnie to na względnie prostym odcinku drogi tuż za lasem Ealing.

Mniej więcej wiedziałam, kim lub czym był. On nie miał poj ęcia, kim jesteśmy i zdziwił się, kiedy mu powiedziałam. Nie sądzę, żeby nam uwierzył. Zanim do pewnego stopnia przewyciężyliśmy wzajemną nieufność, przegadaliśmy wiele godzin, po czym nastąpił niemal bezpośredni kontakt fizyczny, zanim Wilde i Meg przy-j ęli, że j esteśmy ludźmi. Nawet kiedy pobraliśmy zakonserwowane komórki, które ze sobą przywieźli (przechowywane jak talizman podczas wszystkich mechanicznych przygód) oraz wyhodowaliśmy z nich ludzkie ciała dla nich obojga, po czym przenieśliśmy ich umysły do nowych mózgów, nigdy nie zdołałam uznać ich

za istoty ludzkie. Ich opowieści o tym, co przeżyli, nie pomogły mi przełamać oporów.

Wilde opowiedział nam, że robotnicy - ludzie oraz postludzie przebili ścieżkę przez wysnuty „korytarz-córkę” do niemal przyjaznego świata, który nazwali Nowym

Marsem. Ci, którzy się wydostali, na powrót stali się ludźmi i „teraz” (oddaleni od nas o tysiące lat świetlnych, w przyszłości, którą spotkamy za tysiące lat) zmieniają Nowego Marsa w nową Ziemię poprzez dość śmiały proces, wykorzystujący

bogaty zapas komet tamtejszego układu słonecznego.

Wilde nazywał społeczeństwo Nowego Marsa wolnorynkową anarchią. Nam wydawało się

raczej wzajemną różnorodną tyranią. Jej naj-potężniejszą postacią jest nasz najstarszy żyjący przeciwnik - niejaki David Reid, niegdyś właściciel firmy pracy przymusowej. Znajdował

-46-

się on w posiadaniu kopii umysłów Zewnętrznych i nie miał nic przeciwko propozycji zrekonstruowania ich W Każdej Chwili. Wyobraźcie sobie nasz zachwyty. Zatrzymałam pojazd przed dwumetrowym głogowym żywopłotem, rodzajem naturalnego

drutu kolczastego, tuż obok bramy do Technikum Ealing. Wyłączyłam silnik i przez chwilę siedziałam, przeciągając się i rozluźniając obolałe po długiej jeździe mięśnie. Rozejrzałam się ciekawie. Technikum zostało zbudowane w połowie dwudziestego pierwszego wieku, kiedy używało się wielkich ilości stali, betonu i szkła. Ten przysadzisty trzypiętrowy budynek oparł się zniszczeniom o wiele lepiej niż jakieś dwadzieścia innych, starszych budowli, otaczających go na placu. Dawno już przekształcono je w mieszkania z tym wszystkim, co towarzyszy życiu niezależnych: dziećmi, psami, świniami i gnojem.

Była mniej więcej czwarta po południu. Cień dębów i wiązów z pobliskiego lasu



zakrywał ćwierć placu. Na skraju zauważyłam małą szopę z dymem sączącym się z komina. Dochodziło z niej nieustanne metaliczne stukanie: rodzaj prymitywnych zakładów metalurgicznych, jak się domyśliłam, usiłując dociec, jaką mogą tu nosić nazwę. Nieliczni dorośli zachowywali się bardziej odpychająco niż zawsze, ostentacyjnie ignorując mojaobecność i ostro karcąc dzieci, jeśli ich nie naśladowały. Zostawiłam plecak bez dozoru - potrafił sam zadbać o siebie, lepiej niż zły pies - ale pistolet umyślnie przesunęłam na przód, żeby był bardziej widoczny.

Podeszłam do bramy, zbitej z twardego impregnowanego drewna. Była zamykana na skobel, najwyraźniej jako zabezpieczenie przed zwierzętami mniej inteligentnymi niż pies. Zamknęłam ją za sobą i poszłam brukowaną ścieżką do głównego wejścia. Po obu stronach znajdowały się grządki z warzywami, działki starannie oddzielone sznurkami i oznaczone tabliczkami. Jakiś młodzieniec, klęczący na starym worku i dziabiący ziemię, podniósł głowę i spojrzał na mnie bez zainteresowania.

Na betonowym schodku przed podwójnymi drzwiami ktoś wykuł pierwotną nazwę, po

czym dodał drugą, otaczając ją plątaniną ozdobnych liści, młotów, sierpów i naczyń, by zatuszować ten konieczny akt wandalizmu. Okna na pierwszym piętrze przypominały otwory strzelnicze. Podniosłam głowę i dostrzegłam, że kilka z nich

-47-

popękało, najwyraźniej tak dawno, że szczeliny zdążyły zarosnąć jakimiś algami czy mchem, snującym się po tafli zielonymi zygzakami. Twarde szkło. Natomiast same ściany były, naturalnie, pokryte bluszczem.

Popchnęłam drzwi, które uchylły się przede mną; stanęłam w obszernym holu z kamiennymi schodami, pnącymi się na prawo i lewo, oraz szeroką drewnianą balustradą w kształcie litery U, za którą siedział inny młody człowiek, paląc fajkę i czytając książkę. Nie znalazłam nikogo więcej, choć w oddali rozlegał się szmer głosów i pomruk jakiejś maszyny. Wszędzie niósł się mocny zapach niemineralnego oleju, prawdopodobnie służącego do smarowania, a nie jako artykuł

spożywczy. Światło padało przez drzwi, klatkę schodową oraz bardzo jasną tubę nad siedzącym mężczyzną. (Suze powiedziała: „Nie spotkałam jeszcze niezależnego, który nie byłby zbyt dumny, by wytwarzać elektryczność, lub zbyt biedny, by jej nie kraść“.)

Drzwi za moimi plecami zamknęły się, młodzieniec spojrzął, odłożył niedbale fajkę, lecz nie wyjął ręki spod biurka. Przyjrzał się mi nieufnie. Miał pociągłą twarz i wąską bródkę, a na sobie koszulę z samodziału.

- Dzień dobry pani - odezwał się.

- Dzień dobry, mężczyzno - odpowiedziałam równie oficjalnie. - Chciałabym wiedzieć, czy mogę porozmawiać z doktorem Mal-leyem?

Najeżył się.

- Niestety, nie. - Jego prawa ręka zeszywniała.

- Zaczekam, jeśli jest zajęty - oznajmiłam i rozejrzałam się, jakbym szukała krzesła.

- To na nic - poinformował mnie. - Doktor Malley mówi, że nie chce was więcej widzieć.

- Jakich „was“?

Odwrócił wzrok, po czym spojrzął wyzywająco.

- Przestrzeniowców. Ach.

- Słuchaj no, młody człowieku. Przebyłam długą drogę, żeby spotkać się z doktorem, nawet dłuższą, niż ci się wydaje. I nie ustąpię przed tobą ani nawet przed tą śmiechu wartą bronią, którą tam ściskasz. Skoro mowa o strzelaniu, mam nad tobą przewagę kilkuset lat ćwiczeń.

-48-

Wyciągnął rękę z bardzo głupią miną.

- A teraz - dodałam grzecznie - będę bardzo wdzięczna, jeśli zaprowadzisz mnie do Malleya.

Szłam w ślad za nim, bardzo nadąsanym, przez dwa biegi schodów i ciemny korytarz do pokoju, na którego drzwiach widniała mosiężna tabliczka z nazwiskiem doktora

I.K. Malleya (otoczonym mnóstwem fantazyjnego listowia, w którym łańskie litery wyglądały niczym kolumny ruin).

- Zapukaj i wejdź - poradziłam cicho; usłuchał. Wkroczyłam do małego gabinetu z dużym oknem o bardzo grubej i starej szybie, zniekształcającej widok. Drewniane półki pod ścianami ugięły się pod ciężarem gazet i książek, poniewierających się także na podłodze. W powietrzu unosiła się woń starego papieru, brudnego dywanu, dymu z fajki, whisky i potu. Zauważyłam dwa fotele. W jednym z nich - za biurkiem, które stało bokiem do okna - siedział zgarbiony człowiek, którego pozorny wiek ustabilizował się w okolicach trzydziestki, lecz który najwyraźniej nie brał leków antygeriatrycznych przez co najmniej sto lat. Miał siwe włosy i brodę, ciemną i pomarszczoną skórę, a szare oczy zimne jak marsjańska zima.

- Zdaje się, że mówiłem... - zaczął. Spojrzał na mnie i machnął ręką ze znużoną rezygnacją. - No dobrze - mruknął. - To na nic. I tak będą przychodzić. - Na biurku stała na wpół opróżniona butelka whisky i pełna szklanka.

Młodzieniec wyszedł z ociąganiem, odpowiadając ponurym grymasem na mój pożegnalny uśmiech. Malley odwrócił się do mnie i skinął w stronę wolnego, wytartego skórzanego fotela koło okna. Przedstawiłam się i wyciągnęłam dłoń. Wydawał się nieco zaskoczony, ale wstał i uściśnął ją. Miał rękę jak zniszczona skórzana rękawiczka, oblepiająca żelazną łapę. Był wysoki, lecz przygarbiony; miał na sobie bawełnianą koszulkę polo i spodnie z samodziału. Ubrania wydawały się za szerokie w pasie i za krótkie. Wcisnął się w fotel i oparł łokcie o biurko.

- I czego znowu chcecie, bydlaki? - spytał bezceremonialnie. Pociągnął łyk i zmarszczył brwi.

Wzruszyłam ramionami.

- Muszę przyznać, doktorze, że nie całkiem rozumiem, o co panu chodzi. Jestem tutaj jako przedstawicielka Dywizji Cassini z Solarnej Organizacji Obronnej i zapewniam pana, że nie wysyłaliśmy do pana nikogo innego.

Malley bawił się fajką. Miał krótkie, grabę palce o żółkłych i ubrudzonych popiołem czubkach.

-Przedwczoraj byli u mnie jacyś dwaj. Powiedzieli, że są ze służby ochronnej i że sprawdzają, czy naprawdę wmieszałem się w działania z SI. Oczywiście to kompletna bzdura. Ja tylko uczę miejscowych wiejskich chłopaków podstaw elektroniki. Jeśli załapią, podsuwam im parę słów Feynmana i Hawkinga. - Pochylił się konspiracyjnie. -1 odrobinę Malleya. Ci, do których to dotrze, nieodmiennie rzucają wszystko w diabły i wstępują do Unii, obojętne co im mówię.

- Rozpiął skórzany kapciuch i zaczął nabijać fajkę, wyglądając smutno przez okno. - Można powiedzieć, że obniżam tu poziom inteligencji... w moich oczach to zbrodnia, choć w waszych chyba nie.

Parsknął śmiechem. Uśmiechnęłam się zachęcająco; nie całkiem rozumiałam, o czym

mówi, ale wyczuwałam jego intencje.

- A więc - ciągnął, zapalając fajkę antyczną zapalniczką zippo -nieco się zdziwiłem, kiedy dopadło mnie dwóch waszych osiłków. Ostrzegali mnie przed poważnymi konsekwencjami. Zdaje się, że padły słowa „wybuch” i „rozpalony do czerwoności krater”. Całkiem jak za dawnych dobrych czasów, za Jankesów. Nie ubierają się w czarne garnitury i nie noszą spluw pod pachą, ale poza tym plus ca change.

To, muszę powiedzieć, nieco mnie zastopowało. Nie istnieje żadne prawo zabraniające zajmowania się sztuczną inteligencją (ani czymkolwiek innym, skoro o tym mowa). Nie ma nawet takiej unijnej zasady. Wszystko, czego nie dotyczą zasady Unii, streszcza się w słowach: „Rób to, co ci ujdzie na sucho”. Ale zapoczątkowanie wybuchu - sztucznej inteligencji, zarazy, nanoduktów lub innych replikatorów - nie może nikomu ujdąć na sucho. Sąsiedzi wykluczą cię ze swego grona, będą cię bojkotować, a j jeśli na przykład uznają, że nie powinieneś dożyć wieczora, cóż - to jest właśnie to, co im mogłoby ujdąć na sucho.

W najgorszym razie, jeśli wybuch zacznie się rozprzestrzeniać, organizacja

obronna Wewnętrznego Systemu mogłaby wkroczyć do akcji z orbitalnym laserem.

Ale

nigdy nie słyszałam, żeby przedtem lądowali i straszili ludzi. To by było ograniczeniem praw.

- Nadmiar zapału - odezwałam się, do pewnego stopnia blefu-jąc. - Muszę to sprawdzić. Ale zapewniam pana, że Dywizja nie ma z tym nic wspólnego. Mamy dla pana raczej odmienną propozycję.

- Tak - westchnął. - Na pewno. Zły glina, dobry glina. Stary numer.

-50-

Jak to możliwe? Na samą myśl, że ktoś z Dywizji lub spoza niej bawi się moją misją, tak mnie wzburzyła, że na chwilę odjęło mi mowę. Na szczęście. Po paru sekundach otrząsnęłam się i pozbierałam myśli. Być może zapomniałam o zasadach konspiracji, ale nie wyzbyłam się opanowania. Wzruszyłam ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Więc czego ode mnie chcecie?

- Doktorze - zaczęłam z uśmiechem. - Wie pan, jak nazywają korytarz ludzie z drugiej strony, ludzie, o których opowiedział nam Wilde? Mila Malleya.

- Widziałem taśmy - oznajmił sucho. - Pochlebające, nieprawdaz?

Miałam taką nadzieję. Pora wyłożyć na stół inne atuty.

- Uważamy, iż sytuacja wymaga - ciągnęłam ostrożnie - byśmy zrozumieli istotę korytarza. Nie potrafimy tego zrobić o własnych siłach. Istnieje tylko j edna osoba, która może nam pomóc - pan. Czy zechciałby pan polecieć ze mną na Jowisza i zająć się prawdziwą fizyką?

Malley pociągnął łyk whisky, kiedy zaczęłam mówić, teraz parsknął tak głośno, że się zakrztusił. Przez chwilę kaszłał i prychał, potem odchylił się na oparcie fotela i wybuchnął śmiechem.

- Więc do tego doszło! Trzydzieści miliardów ludzi i musieliście przyjść do mnie! Naprawdę, sprawiacie mi zawód.

Uśmiechnęłam się.

- Rozumiem, co pan ma na myśli. I sądzę, że to, czego chcemy, może w rezultacie doprowadzić do zmiany sytuacji. Dywizja nie należy do Unii. To wszystko, co na razie mogę powiedzieć.

Oparł brodę na splecionych palcach i przyjrzał się mi uważnie.

- Hmmm. Interesujące. Niegdyś nazywało się to gambitem Wolffa. Uniosłam brew. Wzruszył ramionami.

- Sprawdźcie to. - (Nigdy tego nie zrobiłam.) - W każdym razie, za późno. -

Ponownie napełnił szklankę i wznosił ją w ironicznym toastie. - Za geniusz Isambarda Kingdoma Malleya. - Wychylił ją i odstawił z rozmachem. - A to jest to, co go zgubiło. To, podeszły wiek oraz zepsuta młodość.

- Nie! - Wstałam. - Myli się pan! To tylko objawy. Prawdziwy problem wygląda tak: opracował pan najpiękniejszą i najbardziej popularną teorię, jaką kiedykolwiek opublikowano, a potem nadludzie użyli jej, zastosowali, doprowadzili do granic i obalili! A pan nigdy

-51-

nie wyzbył się przekonania, iż aby wyjść poza granice swojej teorii, musiałby pan wyjść poza ludzkie ograniczenia. A tego pan nie potrafi.

- Otóż to. - Znowu nalał whisky. - Dzięki wam.

-Nam? - powtórzyłam, urażona niesprawiedliwością tego oskarżenia.

- Owszem, dzięki wam... dzięki ograniczeniu podróży kosmicznych i komputerów, i tej nie kończącej się zimnej wojnie z Jowiszana-mi. Dywizja Cassini nieźle się urządziła, podczas gdy reszta ludzkości tkwi w rodzaju wygodnego bezruchu. Są spętani, choć o tym nie wiedzą, ograniczeni choć nie mają pojęcia, co tracą.

Byliście hojni, trzeba wam to przyznać, ale ogólnie to, co tak dumnie nazywacie Unią Solar-ną, znajduje się na peryferiach wojennej gospodarki.

Z tym nie można się było nie zgodzić.

- Może pan myśleć, co się panu podoba, ale może przekona się pan na własne oczy, jak sprawy stoją?

Malley wyjął scyzoryk, wysunął pożąłkłe stalowe ostrze i zaczął grzebać w fajcie.

Odwróciłam wzrok. Błysnął płomyk i w pokoju rozniósł się znajomy zapach palonych suszonych ziół.

- Kuszące - przyznał Malley. - Prawdę mówiąc, chętnie zobaczyłbym z bliska bramę... Mila Malleya, ha, ha! Z najwyższą radością przeszedłbym przez nią do świata, który opisał Wilde. Wydaje się o wiele bardziej interesujący niż ten. - (Omal nie podskoczyłam. Jeszcze nie poruszyłam kwestii podróżowania w korytarzu, prawdziwego celu, do którego zamierzałam go nakłonić.) - Ale jak powiedziałem, to strata czasu. Nie mogę się brać do matematyki. To zadanie dla młodych ludzi, a Malley nie jest już młody.

Zaczęło go ogarniać pijackie rozczulenie. Usiadłam, pochyliłam się ku niemu i spojrzałam poważnie w jego nieco przekrwione oczy.

- Starość i alkoholizm sąuleczalne. Dobrze pan o tym wie. Parę zabiegów i będzie się pan czuć dobrze jak jeszcze nigdy dotąd, lepiej niż może pan sobie wyobrazić. Dostanie pan dostęp do największych komputerów, jakie posiada Dywizja, do najlepszych instrumentów. Chcemy tylko, żeby wskazał nam pan drogę na Nowego Marsa. Jeśli pan to uczyni, może pan robić wszystko, co uchodzi na sucho, jak my wszyscy.

Malley odchylił się na oparcie fotela i pyknął z fajki. Nie znałam dotąd tego okropnego bulgoczącego dźwięku, jaki wydaje ślina zmieszana z ziołową mazią.

- Umowa stoi - powiedział.

-52-

Musiałam się chwilę zastanowić, zanim dotarło do mnie, że się zgodził.

- To znaczy, że mamy plan?

- Tak! - Zachichotał. - W rzeczy samej, mamy plan.

Natomiast mój plan zakładał powrót do Portu Aleksandry, złapanie połączenia do Guine i dotarcie do „Terrible Beauty”, na której przybyłam. Po drodze zamierzałam opisać Malleyowi niektóre realia unijnego społeczeństwa, z którego

tak definitywnie wykluczył się sto lat temu: gigantyczne silniki

Babbage'aprzetrzające matryce Leontiewa, morskie ферmy, wysokościowce wznoszące się na kilometr, kilometrowe jaskinie w ziemi, wielka (niemal pusta) galeria Centralnej Rady Planowania ze złotym posągiem Misesa...

Tyle o planach.

- Czy chce się pan z kimś pożegnać?

Malley upychał w wielkiej torbie książki, przyrządy i wory tytoniu. Uśmiechnął się zimno.

- O co pani chodzi?

- Nie jest pan z nikim związany?

- Nie wątpię, że wioskowa kurwa będzie za mną tęsknić. Zarumieniłam się i zmieniłam temat.

- Dlaczego ten budynek wygląda jak forteca?

Malley zakrztusił się kurzem, który zdmuchnął z książek.

- Posterunek policji. Nawiasem mówiąc, okna się otwierają. Zakładam, że po to, żeby więźniowie mogli się z nich rzucać.

Nie całkiem zrozumiałam, co miał na myśli (a może raczej nie chciałam przyjąć tego do wiadomości); szarpnęłam za klamkę. Okno otworzyło się gwałtownie, a ja wychyliłam się, by zaczerpnąć wreszcie nie skażonego powietrza. Westchnęłam z ulgą, powiodłam wzrokiem po chwiejących się wierzchołkach drzew, słońcu skłaniającemu się ku horyzontowi i...

Przed technikum stał tłum; około pięćdziesięciu osób, przeważnie dorosłych, wszyscy uzbrojeni: strzelby, karabiny, nawet-całkiem jak w starym horrorze - widły. Niektórzy pilnowali bramy, inni otoczyli półkolem mój pojazd, nad którym zawisł plecak, przetransformowany w rój rozwścieczonych szerszeni.

-53-

Musiałam coś powiedzieć, bo Malley zwrócił na mnie uwagę. Wystawił głowę przez okno.

- O w mordę! - powiedział.



- To pewnie robota tego miłego młodzieńca z recepcji?

- Pewnie tak.

- Dlaczego?

Odwrócił się do mnie z grymasem.

- Naprawdę nie rozumiesz, co? Ludzie mieszkają tu, ponieważ was nie lubią! I nie chcą, żebyś mnie stąd zabrała.

- Może im pan powiedzieć, że odchodzi pan z własnej woli! Cofnął się.

- Spróbuję.

Ludzie cofali się od pojazdu, bezradni wobec roju. Zbliżyli się do bramy i ci bardziej awanturniczo nastawieni od innych poprowadzili tłum ku drzwiom technikum. Ktoś podniósł głowę i zobaczył mnie. Rozległy się krzyki; tłum przyspieszył.

Za chwilę będą na górze.

- Kombinezon! - krzyknęłam, wystukując instrukcje na mankiecie. Rój zatoczył jeszcze jedno koło, po czym śmignął ku mnie, otoczył ze wszystkich stron i zaczął się zmieniać. Moje ubranie rozpląnęło się i przybrało formę skafandra kosmicznego. Kształt ze-sztywniał, zapadła ciemność (dwie nowe wersje, aten drań ciągle nie naprawiony), potem znowu zrobiło się jasno i mogłam się ruszać.

Malley zagapił się z otwartymi ustami na moje ubranie, przekształcone w matową, jednorodną, dopasowaną zbroję, nadmiernie umięśnione bary i czarną kulę zakrywającego twarz hełmu.

- Nanotechnologia - wyjaśniłam niecierpliwie. - Na parapet, już!

Zawahał się; usłyszał tupot stóp w korytarzu. Chwycił torbę i wygramolił się z wysiłkiem na parapet pod otwartym oknem. Stałam obok i objęłam go mocno.

- Trzymaj się - dodałam niepotrzebnie. - Sznur - poprosiłam i skoczyłam. Z ramion kombinezonu wysnuły się dwie liny. Jedna przylgnęła do parapetu, druga doprowadziła nas do lądowania. Staaliśmy na ziemi. Rozejrzałam się. Awangarda pościgu patrzyła za nami z okna. Liny wpełzły z powrotem w kombinezon. Tłum wieśniaków stał pomiędzy bramą i drzwiami, wpatrując się w nas z wyrazem, który

do dziś przypominam sobie z nieco złośliwą satysfakcją.

-54-

Malley chwiał się obok mnie, blady jak trap. Zwymiotował na kombinezon, który łąpczywie wchłonał substancje organiczne. Podniosłam go, całkiem jak aktor w kostiumie Złego Robota, unoszący aktorkę w kostiumie Podartym i Odsłaniającym, i ruszyłam do powozu. Tłum nas otoczył. Posadziłam Malleya i wskoczyłam za kierownicę.

Jednak ich nie doceniłam. Nie miałam do czynienia z zastraszoną zbieraniną, lecz ze społecznością wioski, przekonaną, iż porywam ich ulubionego i bardzo potrzebnego nauczyciela. Ci, którzy wbiegli na piętro, pędzili już z powrotem, a pozostali otaczali powóz. Studenci, w większości młodzi mężczyźni, wybiegli z sal lekcyjnych. Nie starali się zbliżyć, pozostawali w pewnym oddaleniu, ale tworzyli wokół nas coraz bardziej ścisły krąg. Przyjrzałam się tym ludziom, odzianym w kolorowe wełniane i bawełniane stroje, przepasane szerokimi skórzanymi pasami; zauważyłam, jak wprawnie trzymają prymitywną broń, spojrzałam

na ich gładkie, wrogie twarze.

Dobrze, ja też mogę odsłonić swoją.

- Otworzyć hełm - mruknęłam i kula wokół mojej głowy utworzyła szczelinę na czubku, która zaczęła się rozszerzać, aż wreszcie to, co było hełmem spoczęło na moich obojczykach. Odwróciłam się do Malleya, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, i powiedziałam:

- Zechciałbyś im to wyjaśnić?

Wzruszył ramionami. Ręce trzęsły się mu lekko. Otarł usta wierzchem dłoni i wstał, przytrzymując się szyby.

- Przyjaciele! - zawołał. - Posłuchajcie! Dzięki za troskę, ale wszystko gra.

Wyjeżdżam najakiś czas z takobietą... z kosmosu. Jadę z własnej woli, więc nie martwcie się o mnie! Przepuście nas, proszę.

Najwyższy i najbardziej zawzięty mężczyzna przepchnął się przez tłum.

- Przykro mi, doktorze - oznajmił - ale nie jesteśmy pewni, czy naprawdę kierujesz się własną wolą. Ci przestrzeniowcy, ci socjaliści, mogą zrobić ci coś takiego, że będziesz myślał, iż sam tego chcesz, ale będziesz robił to, czego chcą oni, rozumiesz?

- Znowu to samo - mruknęłam pod nosem. Powinnam się domyślić, że ta ich ideologia dominacji jest niczym więcej, jak wytworem paranoidalnych złudzeń.

- Z pewnością - przyznał Malley. Odzyskał już nieco dawnej godności. - Ale bardzo wątpię, żeby potrafili tego dokonać w ciągu pół godziny.

-55-

Wysoki stracił kontenans tylko na dwie sekundy.

- W takim razie - powiedział z niezachwianą logiką - musiała cię zastraszyć. Że zniszczą wioskę czy jakoś tak. Wszystko w porządku, doktorze, możesz nam powiedzieć! My się ich nie boimy!

- Zapewniam... - zaczął Malley, ale już wiedziałam, że to na nic. Dyskusja nic nam nie da. Nie mogłam zagrozić doktorowi, a gdybym zaczęła straszyć tłum pistoletem (teraz wewnątrz kombinezonu, boleśnie wciśniętym w moje biodro), wypadłabym głupio w porównaniu z ich strzelbami. Był to eksperyment, do którego wcale mi się nie spieszyło, nawet gdyby kombinezon zdążył odbudować hełm na tyle szybko, by zasłonić mnie przed strzałami.

- Zamknąć hełm - szepnęłam i włączyłam silnik. W przejściowych ciemnościach chwyciłam Malleya za ramię.

- Siadaj! - ryknęłam. Drugą ręką złapałam kierownicę. Namacałam stopapedał kontroli i wdepnęłam go z całej siły. Powozik skoczył naprzód, a kiedy odzyskałam wzrok, ujrzałam mężczyznę w ostatniej chwili uciekającego spod kół. Inni poszli w jego ślady. I wreszcie uwolniliśmy się; mknęliśmy po uliczkach wioski wśród uciekających kur i w gradzie kamieni. Wystrzelono za nami parę razy, ale kule gwizdnęły nam nad głowami. Wątpię, żeby naprawdę chcieli nas trafić. Ludzie, których spotykaliśmy, woleli zejść nam z drogi, niż nas zatrzymać. Ale jeden z nich, którego dojrzałam w przelocie, trzymał prostokątny

kawałek plastiku z długim i cienkim prętem. Jeden koniec miał przy uchu, drugi przy ustach i mówił coś pospiesznie.

Odniosłam przykre wrażenie, że to radio.

- Mówiłem, że uczyłem ich elektroniki - oznajmił Malley po chwili, kiedy wpadliśmy na kolejną leśną ścieżkę, prowadzącą w stronę przeciwną do Portu Aleksandry.

- Jesteś nieodpowiedzialny! - ryknęłam. - Przez radio można złapać wirusa, dobrze o tym wiesz.

- Tak, a wtedy odbiornik rozpuści ci się w ręce. I co z tego?

- A wirusy mózgu? Pomyślałeś o tym?

- Oczywiście - mruknął Malley, usiłując zapiąć pas. - To tylko określenie idei, które wam nie leżą.

- Komu nie leżą?

- Waszym - machnął ręką wokół głowy. - Unii. Dywizji. To zwykła cenzura.

-56-

Zaczęłam się śmiać tak głośno, że omal nie wpadłam na drzewo.

- Jasne, a branie tego, czego się pragnie, jest ograniczeniem.

- Dokładnie - oznajmił z bezgranicznym tryumfem. Westchnęłam.

- Doktorze, żywię ogromny szacunek dla ciebie i twoich osiągnięć, nawet potrafię zrozumieć, że działałeś dla dobra tych ludzi, ale chciałabym zasugerować, że chyba masz złe informacje, a może zostałeś wprowadzony w błąd...

-Ha!

- ..ale zobaczysz wszystko w innym świetle, kiedy znajdziemy się na miejscu.

- Nie wątpię - zachichotał. - Absolutnie.

Mapa, nadal przyklejona do mojego oka, wskazywała, że zbliżamy się do Gunnersmere, jednego z pierwszych moczarów Ujścia Tamizy. Wieś Pod Wiaduktem

została zaznaczona jako mozaika domków wzdłuż wybrzeża. Drzewa przed nami zaczynały się już przerzedzać, dęby i buki ustąpiły miejsca brzozom i olchom.

- Jak sądzisz, po co używali radia? - spytałam. Malley uśmiechnął się złośliwie.

- O, pewnie dla ostrzeżenia.

- Na litość, człowieku! - delikatnie zahamowałam; spod kół bryz-nęły opadłe liście i bukowe orzeszki. Wokół nas zapanowała zupełna cisza, j eśli nie liczyć złowrogiego trzaskania gdzieś w cieniu drzew. W mrokach lasu przemykały jakieś kształty. - To znaczy, że jedziemy prosto w zasadzkę?

- Owszem, zwłaszcza ty - oznajmił ze spokojem. - Zatrzymałbym cię już wcześniej, ale chciałem się przekonać, kiedy ci zaświta, że potrzebujesz mojej znajomości terenu.

Odetchnęłam głęboko.

- Dobra, doktorze. Potrzebuję twojej znajomości terenu. Albo helikoptera.

- Może obu tych rzeczy. Najpierw najważniejsze. Zjedźmy z drogi, w miarę możliwości dyskretnie. Paręset metrów przed nami jest odsłonięta droga oraz ruiny. Ślady nie powinny się rzucać w oczy, zwłaszcza w kiepskim oświetleniu.

Włączyłam silnik; pojazd potoczył się cicho ku terenowi, który wskazał Malley.

Odnalazłam ruiny, jeszcze nie całkiem zasłonięte roślinami, i zlokalizowałam zniszczony betonowy podjazd prowadzący do dziury, w której niegdyś znajdowały się drzwi. Po chwili

-57-

zaparkowaliśmy w osłonie kraszących się ścian, pomiędzy wybujałymi wierzbówkami,

konopiami i pokrzywami. Przejrzałam byłą zawartość plecaka, rozrzuconą na tylnym siedzeniu pojazdu. Przekształciłam znowu kombinezon w plecak i czarno-zieloną panterkę, po czym spakowałam się, dodając solidny balast w postaci pontonu, elektrycznego silnika, baku i dodatkowego cylindra z paliwem.

- To jedyne wyjście - powiadomił mnie Malley.

- Co teraz?

- Możesz się jakoś skontaktować z najbliższą placówką Unii? Placówką, coś podobnego.

-Nie bezpośrednio. Mogę się z nimi połączyć poprzez mój statek. Znajdzie się nad horyzontem wciągu... - przywołałam mrugnięciem zegar unoszący się w moim lewym

oku - piętnastu minut. Ale wołałabym tego nie robić, żeby nie spowodować ogólnego zaniepokojenia...

Z kierunku, z którego przyjechaliśmy, dobiegło rytmiczne dudnienie.

- Co to?

- Galopujący koń - syknął Malley. - Na ziemię!

Przykucnęliśmy za ścianą. Wyjęłam pistolet, żałując, że nie znałam właściwości pokrzyw, zanim zmieniłam kombinezon. Na rękach miałam paskudne bąble. Głośne dudnienie zbliżyło się, zwolniło i przeszło w stukanie, kiedy koń wbiegł na twardą powierzchnię. Kiedy się zbliżył, wyrzałam pomiędzy łądygami zielska. Na grzbiecie dziwnego, wielkiego zwierzęcia siedziała młoda kobieta, utrzymująca się na nim dzięki konstrukcji ze skórzanych pasków i metalowych oparc na stopy. Jechała dość powoli, rozglądając się na boki. Jej ubranie było brudne, podobnie jak boki konia, a po skroni ciekł jej zasychający strumyk krwi. Kiedy odwróciła się w prawo i niemal mnie dostrzegła, rozpoznałam ją.

- Suze! - zawołałam, wstając.

Drgnęła, a koń spłoszył się i zarżał. Szarpnęła za skórzane paski i powiedziała coś, a zwierzę się uspokoiło. Malley sapnął i spojrział na mnie nieżyczliwie, po czym również wyłonił się z ukrycia. Przeskoczyłam rozwalony ceglany mur i dotarłam do ścieżki.

- Nic ci nie jest? - Spojrzała ponad moim ramieniem na Mal-leya i oczy się jej rozszerzyły. - Czy to...?

- Sam wielki człowiek, owszem. Ale co się stało z tobą? - Nietrudno było zgadnąć.

-58-

- Śledziłam cię - wyznała. - Wiedziałam, że nie chciałaś mojego towarzystwa, ale...

- To bardzo miło z twojej strony.

- Hmm... - Uśmiechnęła się niepewnie. - Wzięłam barkę, a potem wypożyczyłam tę oto Bonnie. - Poklepała szyję zwierzęcia. - Jeździłam już na niej, a na leśnych ścieżkach sprawdza się o wiele lepiej niż taki powozik. Kiedy wjechałam do wioski, miejscowi zorientowali się, że jestem z Unii i zaczęli się burzyć, wrzeszczeć i ścigać mnie. Obrzucili mnie kamieniami i, eee, gównem. Nie rozumiałam, co się dzieje, więc wzięłam nogi za pas. No i jestem.

No i jest. Kolejne niewiniątko, którym trzeba się zająć.

- Ktoś cię gonił? Pokręciła głową.

- A co z tobą?

Przedstawiłam ją Malleyowi i zaprezentowałam ogólne zarysy naszej marnej sytuacji.

- Och! - Rozejrzała się niespokojnie. - To znaczy, że mogą nas teraz szukać?

- Owszem. Kolej na ciebie, doktorze.

- Mów mi Sam - warknął, najwyraźniej zirytowany wlepionym w niego rozjarzonym spojrzeniem Suze. - Wszyscy mnie tak nazywają. Zdrobienie od Isambarda. Suze, możesz zadzwonić do Portu Aleksandry i zamówić kurs helikopterem?

- Oczywiście, dok... Sam.

- Dobra. - Zamknął oczy i podparł czoło kciukiem i palcem wskazującym. Wyglądał na równie zmęczonego jak ja. - Zajmij się tym, powiedz im, żeby byli gotowi do startu za godzinę. Pójdziemy lasem na wschód, obejdziemy wioskę od tyłu, ukryjemy się przy brzegu, a wtedy Ellen bez wątpienia zdoła podać im nasze dokładne współrzędne, prawda?

Przytaknęłam.

- W porządku. Suze, będziesz się musiała pożegnać ze swoją klaczą, ale zapewniam cię, że miejscowi będą ją dobrze traktować.

Suze zdjęła uprząż ze zwierzęcia i skierowała je na południe, klepnąwszy czule po zadzie. Potem odpięła od paska wąskopasmowy nadajnik, złapała najbliższego satelitę komunikacyjnego i przywołała Port Aleksandry. Zmarszczyła brwi i

pokręciła głową.

- Wiadomość doszła, ale nie ma potwierdzenia. Malley wzruszył ramionami.

-59-

- Spróbujesz jeszcze raz, kiedy się stąd wydostaniemy.

Ruszył na wschód, a ja i Suze podążyłyśmy za nim. Ścieżka biegła między starymi drzewami o koronach tak wysokich i gęstych, że zdławiły większość krzewów i mniejszych drzewek. Szło się trudniej niż przypuszczałam. Obijaliśmy sobie nogi o ukryte bloki cementu, wpadaliśmy po kolana do niewidocznych jam. To, co wydawało

się suchą gałęzią, okazywało się przeraźliwie twardym i ostrym metalowym prętem.

Malley upierał się, żeby pozostawać w gęstszej części lasu; sam przemierzał te zdradliwe tereny z dużą wprawą. Wyglądał jakby szedł z hotelu terminalu. My skupiliśmy się na unikaniu poważniejszych obrażeń i wlokliśmy się w milczeniu - albo przynajmniej bez słów - w pewnej odległości za nim.

Po półgodzinie Malley skierował się trochę bardziej w prawo i wreszcie dotarliśmy do polany, porośniętej wysoką trawą, krzakami i niskimi drzewami. Rzeka znajdowała się o jakieś sto metrów od nas, a w tym miejscu miała szerokość mniej więcej kilometra. Pół kilometra na lewo znajdowała się wioska Pod Wiaduktem, położona wśród pól i ogrodów. Po konstrukcji, która użyczyła jej nazwy, zostało zaledwie parę słupów.

Przez pole szedł szereg ludzi z psami, systematycznie przeczesujących teren w naszym kierunku i komunikujących się z innymi dzięki przenośnym nadajnikom.

Kucnęliśmy, a Suze jeszcze raz próbowała połączyć się z Portem Aleksandry.

-Nic - zaraportowała. -Nie rozumiem. Całkiem jakby umyślnie nas ignorowali!

- Czy to polityka władz? - spytałam. - Może to ma coś wspólnego z tym zamieszaniem, jakiego narobiliśmy... narobiłam w wiosce? No wiesz, jeśli zaczynasz z niezależnymi, licz tylko na siebie?

Potrząsnęła głową z oburzeniem.

-Nic podobnego. Trzeba się tłumaczyć, ale zawsze wyciągamy naszych ludzi. Nawet



pomagamy niezależnym, jeśli o to poproszą. Malley parsknął.

- Zazwyczaj tym, którzy na to najmniej zasługują. Wioskowym chuliganom i złodziejom.

Suze zgodziła się z nim bez oporu. Obława podchodziła coraz bliżej.

- Dość - zdecydowałam. - Zrobimy tak...

-60-

Mój plan polegał na tym, żeby popędzić na złamanie karku ku rzece. Galopowałam przez wysoką trawę, nie starając się chować, ześliznęłam się po brzegu, poczułam żwir pod stopami i pociągnęłam za przewód pontonu. Zamontowanie cylindra z paliwem i motoru było jedyną czynnością przygotowawczą, jaką wykonaliśmy. Ponton nadał się ze świstem w ciągu pięciu sekund, jeszcze w powietrzu, kiedy rzuciłam go na wodę. Suze stanęła obok mnie, dysząc, po chwili dołączył zziębnięty Malley. Wszyscy troje z pluskiem pobrnęliśmy przez pływającą i wypchnęliśmy ponton na głębszą wodę. Wgramoliliśmy się do niego; wszystko to trwało niespełna minutę. Zanim pierwszy uczestnik pościgu pojawił się na brzegu rzeki, zdążyłam włączyć silnik i oddalić się o jakieś dziesięć metrów. Paru mężczyzn pobrnęło za nami, a jakiś odważny pies rzucił się do wody i popłynął.

Obejrzałam się. Zbliżali się, ale kiedy zaczęło robić się głębiej, sytuacja uległa zmianie. Po chwili znaleźliśmy się poza ich zasięgiem. Ktoś gwizdnął i pies także zawrócił. Na brzegu stało sześć postaci, a kiedy odwróciliśmy się i spojrzeliśmy w dół rzeki, zauważyłam, że jedna z nich mówi do nadajnika.

- Jak sądzisz, co się szykuje? - zwróciłam się do Malleya. W odpowiedzi wskazał na długi drewniany pomost przy wiosce Pod Wiaduktem. Czterej mężczyźni wsiadali na łódź. Chwycili za wiosła i ruszyli za nami.

- Nie mają szans - zawyrokował Malley. W tej samej chwili dwaj mężczyźni rzucili wiosła i postawili maszt, a następnie żagiel.

- Teraz mają- mruknęła Suze.

Łódź nabrała prędkości, choć obliczyłam, że dogonią nas dopiero za pół godziny.

Oddalałam się od brzegu w nadziei, że trafię na nurt i zyskam nieco szybkości.

- Co to jest? - wrzasnęłam. - Co za szaleństwo! Przecież wiedzą, że chcesz z nami pojechać, nie dałbyś się tak łatwo zabrać, gdybyś nie chciał. Nie mogą wierzyć w te bzdury o praniu mózgu czy co tam jeszcze. Więc dlaczego nas ciągle gonią?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Bardziej mnie dziwi, że twoi ludzie nie odpowiedzieli na wezwanie. Nie byli to tak zupełnie moi ludzie, ale miał rację. Bardzo dziwne. Rozejrzałam się. Słońce znajdowało się już całkiem nisko, a okolica - lustro wody, zadrzewione brzegi - w innych okolicznościach

-61-

wyglądałaby idyllicznie. Wodne ptactwo unosiło się na falach, a o-prócz nas rzeką płynęło zaledwie parę małych łódek...

- A te inne łodzie? - zwróciłam się do Suze. - Nie ma tu gości z Unii?

- Owszem, ale trudno określić... ach...! Wskazała na maleńki wir białej piany.

- Jesteśmy uratowani! To unijna łódź patrolowa! - Zaczęła wymachiwać rękami, uniesiona radością. Ale łódź - wodolot, jak zauważyłam - nadal pozostawała o parę kilometrów od nas. Po chwili Suze zdjęła koszulkę i zaczęła wywijać nią w powietrzu.

- Co robią łodzie patrolowe? - spytałam.

- Głównie czuwają nad bezpieczeństwem - powiedział Malley. - I zaznaczają swoją obecność, jak mi mówiono - dodała Suze, machając koszulą jak chorągwią.

- Czy ingerujaw konflikty z niezależnymi? Malley nachmurzył się i pokręcił głową.

- Może powinni. Na Tamizie wszystkie chwytty są dozwolone. Robbój w biały dzień. Nie zrozumiałam, ale Suze roześmiała się z aprobatą. Wodolot zboczył z kursu o włos.

- Zobaczyli nas - powiedziałam. Obejrzałam się przez ramię. Mężczyźni na łodzi także usiłowali zmienić kurs. W ciągu paru minut wodolot - długości dziesięciu

metrów, biały, z symbolem Unii: gwiazdzistym pługiem - zatrzymał się, opadł na wodę i okrążył nas z rozpędu. Kobieta za sterem pomachała nam i krzyknęła:

- Cześć! Macie kłopoty z tymi ludźmi?

- Tak! - wrzasnęłam. - Dzięki za pomoc.

- W porządku. Dokąd płyniecie? Zastanowiłam się.

- Do Portu Aleksandry, ale jeśli chcesz nas podwieźć, wystarczy ujście Lee.

- Jasne. Nie ma sprawy. Wchodźcie na pokład. - Rzuciła nam linę; przybiliśmy do małej drabinki na burcie łodzi. Pierwszy Malley, potem Suze, na końcu ja.

Bosakiem wyłowiliśmy ponton z wody. Kobieta, która przedstawiła się jako Carla, miała długie jasne włosy i opaloną twarz, a w uśmiechu, ukazywała krzywe zęby.

Na żółtym kombinezonie widniała plakietka z napisem „Patrol rzeczny”.

- Dostałaś nasze zgłoszenie? - spytała Suze. - Usiłowaliśmy złapać Port Aleksandry.

-62-

Carla pokręciła głową. Zaprosiła nas do kabiny i włączyła silnik.

- Rozgośćcie się! - krzyknęła. -1 opowiadajcie, co się stało.

Wodolot nabrał szybkości i uniósł się ponad wodę. Malley zapalił fajkę, Suze zaczęła wyglądać przez okno, a ja stanęłam obok Carli i wyjawiałam jej ocenzurowaną wersję wydarzeń. Była zaskoczona brakiem odpowiedzi, tak jak i my.

Właśnie docieraliśmy do Dorzecza City, kiedy Carla zauważyła:

- Jakoś dużo tu łodzi niezależnych.

Ja też je zauważyłam, ale nie miałam żadnego punktu odniesienia, by stwierdzić, że coś odbiega od normy. Łodzie, żaglówki, skify, parowe szalupy, statki na węgiel drzewny i barki pływały jak okiem sięgnąć, początkowo bezładnie, a potem najwyraźniej biorąc jakiś kurs. Na nas.

Carla zauważyła to parę sekund po mnie. Zmarszczyła brwi i włączyła sprzęt komunikacyjny. Mikrofalowy laser dotarł do satelity, ale odpowiedź nie nadeszła.

Łodzie nadal były oddalone o paręset metrów, ale powoli zaczynały nas okrążyć.

Suze i Malley wyszli z kabiny i przyglądali się im ze zdumieniem i rosnącą

zgrozą.

- Dość tego - oznajmiłam. - Koniec grzeczności. Proszę cię, rozpocznij akcję szybkiego odwrotu, zanim zupełnie odetną nam drogę.

Carla wyszczerzyła zęby w uśmiechu i dodała gazu. Wodolot śmignął do przodu, po czym skierował się ku wieżowcom City, lśniącym złotem i brązem w promieniach zachodzącego słońca. Wyglądały jak pijane, zakute w zbroje Goliaty, gotujące się do spotkania z jakimś wodnym Dawidem. Pomiedzy nimi i nami pozostało parę niezależnych jednostek: cztery łodzie z wiosłami, być może podobne do tej, która rozpoczęła pościg za nami. Po chwili pokazał się znacznie wolniejszy i cięższy parowiec, który z szokującą determinacją przesunął się przed naszym dziobem. Carla dotknęła steru, raz w prawo, raz w lewo. Zalaliśmy fontanną wody jedną łódź, a kiedy minęliśmy o włos rufę parowca, dostrzegłam wpatrzone w nas pobladłe twarze. Po czym nagle znaleźliśmy się pomiędzy wieżowcami, odbijającymi

nasze sylwetki w zwierciadlanych ścianach.

Wycofałam się ostrożnie na tylny pokład, przykucnęłam, rozłożyłam kombinezon w postać anteny i wysłałam pilną wiadomość do „Terrible Beauty”.

-63-

Pozostali przyglądali się mi ze zdumieniem. Wstałam, a kombinezon znowu mnie otoczył.

- Dwadzieścia minut - oznajmiłam. Łodzie niezależnych wpłynęły w ślad za nami na teren zatopionego centrum, ale trzymały się z tyłu.

- Co się stanie za dwadzieścia minut? - chciała wiedzieć Carla.

Uśmiechnęłam się, nagle spokojna i pewna siebie, znowu we własnym świecie, już teraz wysoko ponad tym - z jego spiskami niezależnych, nieodpowiedzialnymi służbami ratowniczymi i nienaruszalną zasadą nie ingerowania w świat naturalny.

- Patrzcie na niebo - nakazałam. - Nadchodzi „Terrible Beauty”.

Malley zauważył ją pierwszy; nową i jaśniejszą gwiazdę wieczorną, zawieszoną nisko w blasku zachodzącego słońca. Choć schodziła do lądowania, wydawała się

unosić. Dwa razy zabłysła mocniejszym światłem. Potem, kiedy znalazła się bliżej, ostro błysnęła przy akompaniamencie grzmotu, który niespodziewanie zniknął w gwiździe kanałów spalinowych aerohamulców. Spod jej powierzchni bryznęły fontanny przegrzanego powietrza, a następnie rozwinął się trzeci i ostatni spadochron, potężna kopuła z monomolekularnych włókien węglowych, na której ogromny statek żeglował niczym na-sionko niesione na puszku z dmuchawca.

- Kieruj się na środek kanału - rzuciłam Carli. Usłuchała, niemal nie odrywając wzroku od schodzącego w dół statku. Ścigające nas łodzie rozpierzchły się w jego cieniu na wszystkie strony. Wodolot wynurzył się spomiędzy wieżowców i ruszył wyzywająco ku naszym prześladowcom.

- Och, och! - zawołała Suze. - Jaki piękny... prawdziwa ślicznotka!

Powierzchnia statku lśniła, zwinięta niczym muszla, ozdobna jak waza; kształtem przypominała jajo obcej istoty, jakiegoś skrzydlatego gatunku żyjącego w innym wymiarze. Wydawała dźwięki jak chór rozgniewanych aniołów lub zachwyconych diabłów. Rzuciła kotwicę dryfującą, która znikła pomiędzy wieżowcami i drzewami. Z pewnością ten, kto ją znajdzie, stanie się posiadaczem fortuny. Jeszcze tylko eksplozja z dysz korygujących i silnika hamującego - wokół

-64-

nas uniosły się pióropusze pary wodnej - i usiadła na dnie rzeki w rozlewisku Londynu.

- To najbardziej szokujące marnotrawstwo wody, jakie kiedykolwiek widziałem - oznajmił Malley.

Carla zerknęła na mnie spod oka. Skinęłam głową.

- Cała naprzód.

Wodolot przebył paręset metrów, które dzieliły nas od nieprawdopodobnego obiektu na rzece. Kiedy zbliżyliśmy się do niego, woda zasyczała i zakotłowała się, a statek się zakołysał. Carla przesunęła dźwignię kontrolną i kadłub zanurzył się głębiej. Wprawnie zredukowała szybkość, aż zatrzymaliśmy się niemal przed zakrzywionym nawisem statku. Wokół nas błyskały srebrne brzuchy martwych lub

ogłuszonych ryb. Niektóre z nich niewątpliwie ugotowały się żywcem; miałam nadzieję, że zawory wlotowe, już otwarte i łykające wodę, by uzupełnić zmarnotrawioną masę reakcyjną, przefiltrujanie-które z nich do magazynów żywności. Było to możliwe; podobnie jak wiele mechanizmów Dywizji, statek miał nosa - i ogromny apetyt - do użytecznych organizmów.

Mniej więcej piętnaście metrów nad nami, w najszerszym miejscu statku, w otwartym luku pojawiła się twarz: Tony Girard, obecny oficer straży.

- Cześć, Ellen! - zawołał. - Zrzucamy drabinkę. Chwyciłam plastikowy szczebel i odwróciłam się do Malleya.

- Ty pierwszy.

Z jego twarzy znikł wszelki ślad cynizmu. Wyglądał jak chłopiec, który za chwilę przejedzie się na diabelskim młynie. Wziął torbę, zarzucił ją na ramię i zaczął wspinać się do góry.

- Zaczekamy, dopóki sienie oddalisz. - Zwróciłam się do Carli: Czy na pewno nic ci nie grozi?

Ośloniła ręką oczy i spojrzała na rzekę, teraz niemal zupełnie pustą.

- Nic mi nie będzie - oznajmiła. - U ujścia Lee znajduje się posterunek Unii.

Dowiem się, dlaczego nikt nie odpowiedział na wasze wezwanie... i moje... i dlaczego nie zjawily się tu inne łodzie patrolowe. - Spochmurniała. - Ktoś będzie się musiał bardzo tłumaczyć.

- Skontaktuj się z nami - poprosiłam, zapisując jej nasz znak przywoławczy.

Oddałam go jej razem z pieniędzmi, które zabrałam z Graciosy. - I dziękuję za wszystko. Jeśli ktoś będzie ci sprawiać

5 Dywizja Cassini

— q5 —

kłopoty, zadzwoń. - Skinęłam w kierunku statku, a ona uśmiechnęła się, wdzięczna za moralne wsparcie, lecz pewnie nie biorąc mojej obietnicy poważnie. Ludzie przeważnie robią ten błąd w odniesieniu do Dywizji, ale nigdy go nie powtarzają. Uśmiechnęłam się, na poły do siebie, i dotknęłam ramienia Suze.

- Byłaś świetna. Bardzo mi pomogłaś, i bardzo to po sąsiedzku, że przyjechałaś

za nami.

- Choć nie było to konieczne! - Roześmiała się. - Daruj sobie pożegnania, Elien, jadę z tobą. - Położyła rękę na szczeblu drabinki.

- Co? Nie możesz...

- Mogę - oznajmiła z wielką pewnością siebie. - Każdy może dołączyć do Dywizji, jeśli trafi mu się statek, który go zabierze. - Poklepała jego pancerz. - A mnie się trafił.

Miała rację. Istniała taka zasada, ale w praktyce stosowała się tylko do doświadczonych przestrzeniowców z Wewnętrznego Systemu, którzy w ramach naturalnego postępu przechodzili ze służb obronnych do Dywizji, a także do członków rozmaitych komitetów administracyjnych, którzy przybywali do nas z misją, za jaką uważali demokratyczną kontrolę. Mieliśmy duże doświadczenie w zniechęcaniu zafascynowanych młodych Ziemiaków, ale w końcu mogliśmy tylko im odradzać, a jeśli nowy ochotnik okazywał się beużyteczny, delikatnie odsuwać ich poprzez przydzielanie wyjątkowo nużących zajęć.

- Ale, Suze... Masz tu zadanie. Coś dzieje się pomiędzy niezależnymi.. . ta łączność radiowa, nikt sobie nie zdawał z niej sprawy. Lepiej pomóż Unii dowiedzieć się...

Uniosła wolną rękę.

-Nie. Tutaj na nic się już nie przydam. Niezależni widzieli mnie z tobą, a właśnie zauważyliśmy, jak szybko roznoszą się tu wieści. Teraz już mi nie będą ufać i wcale się nie dziwię! A jeśli naprawdę lecicie tam, gdzie powiedziałaś, za żadne skarby sobie tego nie daruję. Jadę z wami.

Odwróciła się z determinacją i wdrapała po drabince. Przez jakiś czas patrzyłam za nią, po czym zerknęłam na Carlę. Uśmiechała się ironicznie, jakby chciała powiedzieć: będziesz miała z nią kłopoty. Mogłam tylko wzruszyć ramionami i rozłożyć ręce.

- Takie jest życie - mruknęłam, kręcąc głową, po czym podążyłam w ślad za moją nową towarzyszką.

#### 4 Dzień sztuki

Dźwięk zamykanego za mną luku wydał mi się jednym z najbardziej przyjaznych na świecie. Tony Girard wziął mnie za rękę, a ja objęłam go i uścisnęłam.

- Dobrze, że już jestem - powiedziałam, oswobodziwszy go z objęć, purpurowego na twarzy. Potem zamknął się luk wewnętrzny i u-słyszeliśmy krótki, stłumiony pomruk, kiedy komora powietrzna napełniała się wodą. Pod stopami dudnił pokład, otaczały mnie zaokrąglone ściany wąskiego korytarza i znowu czułam cudowny znajomy zapach metalu, plastiku i w kółko przetwarzanego powietrza, wody i substancji organicznych. - Muszę przyznać, że było to fantastyczne lądowanie.

- Świetnie, że wróciłaś - oznajmił Tony. - Zwłaszcza, że z takim sukcesem.

Skrzywiłam się.

- Wilde byłby lepszy. Zna drogę...

- A kto powiedział, że to nadal działa? Na dłuższą metę Malley da nam więcej.

Spisałaś się świetnie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Ale najpierw musimy go wysuszyć i podrasować mu mózg.

Tony parsknął śmiechem.

- Dwie piguły i po wszystkim. Doprowadzałem do porządku gorsze przypadki po drakach w Aldingradzie. - Wskazał gestem, żebym szła przed nim. - Co to za śliczne maleństwo?

- Nazywa się Suze. Nie znam nazwiska. Zgłosiła się na ochotnika. Spotkałam ją przypadkiem i pomogła mi. Jest socjologiem...

- Czym?

Obejrzałam się na niego. Spojrzał w górę, potem w dół.

- A, rozumiem. - Mrugnął, zamykając encyklopedię kombinezonu.

- Sprawdź ją- poradziłam. - Jest miła, ale... - Machnęłam ręką.

- Jasne. Miałaś kłopoty z tubylcami?

- Niezbyt poważne. Żadnych obrażeń cielesnych, ale tam się dzieje coś poważnego.



Dwóch gości, którzy podawali się za pra-

-67-

owników obrony z Wewnętrznego Systemu, nachodziło Malleya, a z opisu wynika, że

mają odruchy z mniejszej grawitacji. Uznali, że może spowodować wybuch.

Zaprzecza, ale wiadomo, że uczył niezależnych elektroniki. Nie ma w tym nic złego, ale te wieśniaki mają łączność radiową.

- Istnieje zagrożenie wirusami mózgu.

- Być może. A może zgodni zorientowali się w naszych zamiarach. Sprawdza to jedna taka z Unii. Odezwie się do nas.

- Zorientuję się - obiecał Tony. Dotarliśmy do wewnętrznego wejścia do środkowego pokładu. - Aha, właśnie...

- Tak? - zatrzymałam się i spojrzałam na niego. Zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów i skrzywił się przesadnie. -Nie możesz im się pokazać w czymś takim.

- O... - Zerknęłam na poplamioną, podartą panterkę i zniszczone buty. Poprawiłam opadające paski plecaka. - Rzeczywiście.

Zawahałam się przed przekształceniem kombinezonu. W naturalnym środowisku słabej

gravitacji i swobodnego spadku większość z nas ubierała się w obcisłe i lekko powiewające rzeczy. Jednak przez jakiś czas te przyjemne warunki nie będą nam dostępne, a mnie potrzebna była pewna izolacja. Wybrałam odpowiednie wymiary i zostawiłam kombinezonowi swobodę w doborze szczegółów. Po chwili okazało się, że

mam na sobie obszerne, pikowane odzienie z szerokimi mankietami, przechodzącymi

w obcisłe, jak druga skóra, rękawice i skarpetki. Miałam też kaptur, który w razie potrzeby mógł się przekształcić w hełm. Na każdym udzie znajdowała się głęboka kieszeń. Cały przyodziewek niewątpliwie nawiązywał do skafandra

kosmicznego z projektu Apollo, tyle tylko, że był intensywnie różowy, lśniący i ozdobiony mnóstwem równie różowych wstążeczek, koronek i kokardek.

Czasami kombinezon ma swoje humorki.

- Cudnie - oznajmił Tony. - Bardzo godnie. Wyglądasz jak prababcia w nocnej koszuli.

A więc o to chodziło. Pod wierzchnią warstwą mojego ubrania znajdowało się jeszcze kilka innych. Na podstawie ich dotyku kombinezon opracował ten macierzyńsko-buduarowy styl. Być może zauważył, że jestem w ciąży, choć nie prosiłam go, żeby to sprawdził. Bardzo wzruszające, na swój sposób.

- Bo j estem czyjąś prababcią - przypomniałam Tony' emu, wyj -mując pistolet, amunicję i scyzoryk. Na ten ostatni Tony spojrzał z łapczywym zainteresowaniem.

-68-

- Szwajcarski! - powiedział z podziwem. - Dasz mi?

- Nie - mruknęłam i schowałam scyzoryk do kieszeni. - Ale możesz sobie wziąć spluwę. Nasi nowi rekruci na pewno spodziewają się czegoś takiego po oficerze straży.

- Aha. - Wcisnęłam tabliczkę i drzwi rozsunęły się. - Ale nie sądzę, żeby spodziewali się takiego kombinezonu po kapitanie.

Środkowy pokład jest strefą kontroli statku. Okrągły, sto pięćdziesiąt metrów średnicy, cztery i pół wysokości, jest oddzielony od silnika głównym zbiornikiem wody, a od zewnętrznego promieniowania zapasami wody pomiędzy zewnętrznym i wewnętrznym kadłubem. Całkiem tu jak w cieplarni, ciepło i dość wilgotno; światła dostarcza słońce, które przenika przez wodę, oraz lampy elektryczne; przyrządy i kable mieszają się z uprawami hydroponicznymi i nieuniknionymi zwiniętymi rurkami z przezroczystego plastiku, w których krążą algi. Podczas burz słonecznych może znaleźć tu schronienie całe towarzystwo - zwykle liczące do sześćdziesięciu osób, załoga i pasażerowie - lecz zazwyczaj na pokładzie znajdują się tylko pracownicy. Podczas tego kursu nie mieliśmy pasażerów, więc wszyscy siedzieli właśnie tam.

Moja wspaniała załoga, moja banda. Tony Girard u mego boku, specjalista od spraw bezpieczeństwa, którego umiejętności wykuły się w ogniu walki z frakcją na Lagrange. Jaime Andrades, nawigator, który żartem twierdzi, iż talent zawdzięcza portugalskim przodkom, lecz jest czarnym jak heban byłym więźniem niesławnej księżycowej kolonii. Borys Grobowski, strzelec, który pierwsze sto lat po osiągnięciu dojrzałości spędził w chino sowieckiej artylerii, powoli, lecz nieustępliwie pełną z Władywostoku do Lizbony i niosącej demokrację od morza do morza. Andrea Gromowa, pilot, wystartowała jeszcze przed Upadkiem przenosząc starożytną Energię, kumulowaną przez pracowników prywatnych gułagów do kopalniach na asteroidach, po czym wzięła udział w rewolucji, rzucając się do walki o New South Yorkshire. Lu Yeng, specjalistka od komputerów; jako siedemdziesięciolatka jest najmłodsza z nas. Urodzona na Callisto. Jej rodzice przybyli tam podczas wstępnych negocjacji pomiędzy Unią i Dywizją.

Doświadczenia

z neutralizowaniem wirusów Zewnętrznych doskonale ukształtowały jej względną młodość, choć w kontekście politycznym zdradza odrobinę naiwno-

-69-

ści, darząc dziwnym szacunkiem Kim Nok-Yung, Shin Se-Ha i innych badaczy dysponujących prawdziwą wiedzą.

Nikt z załogi nie mrugnął nawet powieką na widok mojego kombinezonu.

Ekscentryczność to nasza zasada numer jeden. Suze i Mal-ley usiedli razem na brzeжку leżanki przyspieszeniowej i z pewnym trudem opanowali śmiech. Rzuciłam im złowróżbne spojrzenie, uśmiechnęłam się i skinęłam ręką pozostałym członkom załogi, wyciągniętym na innych leżankach.

- Dziękuję wszystkim - powiedziałam. - To było fantastyczne lądowanie.

Gratulacje dla Jaime i Andrei.

Nawigator i pilotka podziękowali skinieniem głowy. Podeszłam prosto do

najbliższej leżanki i zajęłam na niej miejsce. Tony także usiadł, wyciągnął przyrząd przypominający ekran telewizyjny z kierownicą i zaczął sprawdzanie.

- Tony - odezwałam się po chwili. - Czy w odległości kilometra znajdują się jacyś ludzie?

Przez parę sekund kręcił kierownicą.

- Nie. Na pewno nie ma nikogo na wodzie, a ci, którzy siedzą zbyt daleko między drzewami, żebym ich zobaczył, powinni być względnie bezpieczni.

- Ale włącz alarm.

Wewnętrzne alarmy na myśliwcubombardującym to wściekła kako-fonia.

Zewnętrzne

alarmy szybkościowca, który zamierza wystartować, podniosłyby umarłego; mało, zmusiłyby go do panicznej ucieczki. W środku słyszeliśmy je słabo, ale i tak dostaliśmy gęsiej skórki. Zostawiłam je na dziesięć minut, wykorzystując ten czas na ostatnią kontrolę: wszyscy zapięci, zawory wlotowe zamknięte, lasery naładowane, tor lotu czysty...

- Dobra, towarzysze - odezwałam się. - W drogę.

Statek uniósł się w powietrze, początkowo powoli, drżąc od dziobu po ogon.

- Dwadzieścia metrów - zaintonowała Andrea. - Trzydzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt...

- Zaczynij na siedmiuset - rozkazałam.

- Giń, Kanarkowy Karle! - wrzasnęła Suze. -Ej, spokojnie. Szyby popękają.

Po dziesięciu sekundach Andrea otworzyła regulator do oporu, a tłum niewidzialnych ludzi rozpoczął paskudny eksperyment polegający na sprawdzaniu, ilu z nich zmieści się na mnie. Zanim dotarliśmy na orbitę, zważyło się na mnie siedmiu.

-70-

Napęd został wyłączony i zaraz wszyscy zniknęli. Odpięłam się i przez chwilę dryfowałam w powietrzu, rozkoszując się tym uczuciem.

- Wszyscy w porządku? - zawołałam. Tak było. - Dobrze, nie cieszcie się za

bardzo. Musimy zebrać trochę lodu, a potem przez całą drogę będziemy mieć jeden g.

- Dzięki ci, Panie - mruknął Malley, który przywarł do leżanki, jakby bał się, że spadnie. Suze była milcząca i blada, jak ktoś, kto nie chce myśleć o tym, że mu niedobrze. Paru członków załogi jęknęło.

- Cicho tam - zarządziłam. - Byłam w jeden g przez trzy dni, kiedy wy byczyliście się na orbicie. Możecie się przemęczyć przez dziesięć dni.

- Ale myśmy się już męczyli przez dziesięć dni - burknęła An-drea. - W tamtą stronę.

Malley przetoczył się na leżance i spojrzał na mnie.

- Więc wszyscy będziecie w j eden g przez dwadzieścia trzy dni? Nie wiem, jak ludzki szkielet może to wytrzymać.

- Nie może - oznajmiłam, przepływając nad nim. - Stąd te liczne choroby, które nękają nasze ciała. A, właśnie.

Dotarłam do wnęki medycznej i wystukałam trzy zabiegowe.

- Połknij - powiedziałam, wróciwszy. Malley chwycił trzy kolorowe kapsułki i przyjrzał się im podejrzliwie.

- Jak działają?

- Jedna zamrozi nałogi. Drink lub fajeczka nadal będą ci sprawiać przyjemność, ale nie będziesz od nich zależny. Druga cię odmłodzi: krążenie, napięcie mięśni, skóry i tak dalej. A trzecia wypoleruje ci do połysku synapsy. - Uśmiechnęłam się na widok jego naburmuszonej miny. - To tylko sprzęt. Oprogramowanie w dalszym ciągu zależy od ciebie. Prania mózgu nie mamy w menu, słowo.

- Chyba muszę ci czasem wierzyć - mruknął zgryźliwie, włożył kapsułki do ust i przełknął. - No właśnie, chętnie bym się czegoś napił.

- Lepiej poczekaj, aż wyjdziemy z przyspieszenia - poradziłam. - Nie będziesz zachwycony, jak strzykniesz alkoholem z pojemnika.

Suze przyglądała się nam z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Pewnie nie masz niczego na chorobę kosmiczną?

- Raczej nie. Będziesz musiała do tego przywyknąć. - Powstrzymałam się przed oświadczeniem, że najgorsze jest pierwsze pół roku.

-71-

Suze skupiła wzrok na jakimś odległym punkcie i skinęła głową, zaciskając mocno usta. Współczułam jej, choć bawiło mnie, że wystąpiła z pytaniem zadawanym przez każdego żółtodzioba. Lekarstwo na chorobę lokomocyjną, też coś! Czego ona się spodziewa po medycznej nanotechnologii, cudów?

-A co z imperialnymi jednostkami miary? - spytał Malley, przysłuchując się Andrei, prowadzącej nas do doku ze zbiornikiem lodu.

- Usłyszysz spory na temat ludzkiej skali, intuicji, wygody i tak dalej - wyjaśniłam - ale co starsi i bardziej konkretni streszczą to w dwóch słowach: pieprzone NASA. Większość kosmicznych osiedli zostało zbudowanych przez niegdysiejszych członków NASA albo ich specjalistów w odległych czasach i od tej chwili nikt nie chciał niczego zmieniać, ponieważ za dużo z tym kłopotów.

Ugrzęźliśmy.

- Aha - przyświadczyła Andrea. - To dlatego stoimy właśnie dwa koma pięćdziesiąt siedem mil od stu tysięcy ton lodu. Pokochasz to wszystko, zobaczysz.

- Przypominam - powiedział Malley z chichotem, trzymając w zębach nie zapalona fajkę - że chyba powinienem okazać jakąś wdzięczność. Jeden Koma Pięćdziesiąt Osiem Kilometrów Malleya nie brzmiałoby chyba tak dobrze.

Nawet Suze zdołała się roześmiać, choć nadal była zielonkawa. Myśl o bałaganie, jakiego mogła w każdej chwili narobić, kazała mi poszukać dwóch kombinezonów. Podałam je im obojgu.

- Dlaczego mam to wziąć? - chciała wiedzieć Suze, unosząca się w powietrzu z kulą gumowych glutów w objęciach.

- Zaraz się przekonasz - oznajmiłam. Kombinezon już owijał się wokół jej talii i klatki piersiowej. - Najpierw przybierze kształt podstawowego kombinezonu i nauczy cię, jak go zmieniać. Może naśladować niemal każdy materiał i zewnętrzny wygląd. - Machnęłam dłonią, obleczoną w atłasową rękawiczkę; różowa koronka za-

furkotała za moim ramieniem. - Ale jeśli nie określisz szczegółów, spodziewaj się niespodzianek! Mimo to, bez względu na to, jak frywolny przybrałby wygląd, będzie reagował na próżnię, zanim zdążysz mrugnąć. Jeśli wyjdiesz na zewnątrz albo jeśli będziemy mieli, hm... nagły spadek ciśnienia w kabinie, stanie się skafandrem kosmicznym. Złap butlę z tlenem, jeśli zdołasz, ale w razie potrzeby może w nieskończoność działać na zasadzie obwodu zamkniętego.

-72-

- A nasze ubrania? - spytał Malley.

- Zostaną zasymilowane - zapewniłam. - Kombinezon przyswaja dokładnie wszystko.

Suze rozejrzała się dzikimi oczami wyrazu; kombinezon wypełzał jej z objęć.

- A jeśli będę musiała iść do toalety?

- Mamy takie miejsce na dziobie, tam... a, jeśli będziesz w kombinezonie, tak?

-Tak.

- Jak powiedziałam - powtórzyłam cierpliwie - kombinezon przyswaja a wszystko.

W tej samej chwili Suze dała kombinezonowi możliwość popisania się umiejętnościami, zwłaszcza zdolnością łapania wyrzuconych z organizmu płynów. Zostawiłam ich samych, niech się bawią.

Po godzinie uzupełniliśmy zapasy masy reakcyjnej i paliwa, wykorzystanego w nieprzewidzianej planetarnej wyprawie, i ruszyliśmy przy stałej grawitacji mniej więcej prostą trasą ku Jowiszowi - a raczej ku miejscu, w którym Jowisz miał się znaleźć za dziesięć dni. Po pięciu dniach wyłączyliśmy silnik, odwróciliśmy statek i hamowaliśmy przez resztę trasy. Jest to, co każdy może potwierdzić, najbardziej ekonomiczny sposób. W Układzie Słonecznym prawie nie używa się paliwa do celów transportowych; przy odpowiednio dużym żaglu świetlnym można przedostać się z orbity okołoziemskiej na Marsa w ciągu paru tygodni, na Jowisza w ciągu kilku miesięcy. W przypadku nielicznych podróży, kiedy nie mieliśmy tygodni ani miesięcy do stracenia, używaliśmy statków takich jak „Terrible Beauty”.

Tak się składa, że wydajność paliwa, a nawet masy reakcyjnej nie jest czynnikiem ograniczającym. Przy dostępnym napędzie termojądrowym oraz praktycznie niewyczerpanych zasobach lodu mogliśmy używać tych statków do wszystkiego. Czynnikiem ograniczającym była liczba statków.

Powrót do ciężenia poprawił humor Malleyowi i Suze, a zepsuł innym. Szliśmy po schodach z głównego pokładu do stołówki. Było to nieco mniejsze pomieszczenie, także okrągłe, z kilkoma małymi stolikami i jednym dużym okrągłym stołem, zdolnym pomieścić nas wszystkich. Na jego środku znajdowała się winda, a przy każdym

-73-

nakryciu przeglądarka menu. Usiadłam, mając Malleya po jednej ręce, a Suze po drugiej.

- Można przebierać w szerokiej ofercie dań i alkoholi - wyjaśniłam - ale z oczywistych przyczyn naszą specjalnością są gotowane potrawy. - Przejrzałam menu. - Czy mogę polecić państwu łososia z Tamizy, świeży połów?

Prawie wszyscy wybrali to samo, dotykając stosownych wersów menu i po chwili parujące, przybrane płatkami migdałów talerze pojawiły się na środku stołu.

Powitano je entuzjastycznie. Teraz, mając dostarczony wzorzec, kuchnia mogła powielać w nieskończoność „świeżo złowionego” łososia z Tamizy, dopóki nie wyczerpałby się napęd, ale zawsze co nowość, to nowość. To subiektywne doznanie, lecz, jak wyjaśnił nam Malley (nieco pijany Tranquilitatis 2296 oraz oszołomiony pierwszym kopem połkniętych kapsułek zabiegowych), upodobania zawsze są sprawą

całkowicie subiektywną. Wydawało mu się, że ma rację, a my pominęliśmy grzecznym

milczeniem to błędne pojęcie.

Skończyliśmy jeść i postawiliśmy talerze na środku stołu. Winda zabierała bezszelestnie. Malley zaczął grzebać w kieszeniach (jego kombinezon odtworzył ogólny kształt poprzedniego ubrania i nawet zdołał przybrać nieco pomięty



wygląd), wyciągnął fajkę i tytoń.

- Czy na statku można palić? - spytał.

- Jasne. Siedzimy na stosie atomowym. Ogień to ostatnie, czym się będziemy martwić.

Miałam nadzieję, że po pigułkach da sobie spokój z fajką. Inni towarzysze zaczęli mimowolnie pociągać nosami, aż wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby podkręcić wentylację.

Do chwili podania kawy zdołałam przedstawić wszystkich: An-dreeę, Jaime, Borysa, Tony'ego i Yeng. Kiedy skończyłam, Suze spojrzała na mnie i spytała:

- Ale, Ellen... kim ty jesteś? Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

- Ellen May Ngwethu - powiedziałam. - Urodziłam się w 2041, w osadzie kosmicznej

Lagrange, więc jestem prawie tak stara, jak Malley... to znaczy, Sam. Brałam udział w pierwszej walce pomiędzy Zwolennikami Ziemi i Zewnętrznymi, a także na Ziemi w czasach mrocznego stulecia. Przez długi czas pracowałam w Obronie Ziemi, potem wyniosłam się na Jowisza. Jestem w Dywizji Cassini od, zaraz, jakichś siedemdziesięciu lat, a teraz znajduję się w Komi-

-74-

tecie Dowodzenia, a także jestem oficerem łącznikowym Komitetu Badań Anomalii.

Jest to cywilna, naukowa organizacja, podległa Radzie Solarnej i mająca prawo podejmowania decyzji w omawianiu polityki Dywizji. Ostateczny głos ma Rada Solarna.

- Powiodłam z uśmiechem spojrzeniem po zebranych. - Teoretycznie. W praktyce Dywizja robi to, na co ma ochotę.

Suze wydawała się nieco wstrząśnięta, Malley - zadowolony.

- Znam się na teorii - oznajmił. - W teorii wszyscy robią to, co się im podoba.

„Swobodny rozwój jednostki jest warunkiem wojny wszystkich przeciwko wszystkim”

i dalej w ten deseń.

Yeng ściągnęła brwi. Malley machnął ręką.

- Kichać na politykę. Z tego, co powiedziałaś, Ellen May Ngwe-thu, jesteś tym, kogo w bardziej bezpośredniej terminologii hierarchii nazwalibyśmy członkiem sztabu generalnego. Naczelnym oficerem i politykiem. Więc co do wielkiej Anielki robisz przy tej brudnej robocie, dlaczego to ty tarzasz się w błocie kułackiego rezerwatu, żeby zabrać starego fizyka?

- Dobre pytanie - przyznałam. Malley patrzył mi prosto w oczy. Zaczął bawić się fajką. Żałowałam, że nie mam równie dobrego zajęcia dla rąk. - Częściowo dlatego, że nie działamy tak, jak się spodziewasz. Nasze komitety mogą przypominać organizacje hierarchiczne, ale tylko z pozoru. Naprawdę jest to struktura demokratyczna. Jeśli Komitet Dowodzenia chce coś załatwić, nie wyręcza się jakimś nieszczęsnym wyrobnikiem. Jesteśmy wybierani, a ja otrzymałam najwięcej głosów. Druga część odpowiedzi brzmi tak, że musimy utrzymać tę misję w tajemnicy. Oprócz Komitetu Dowodzenia Dywizji tylko tu obecni wiedzą o planowanym ataku na korytarz. Jesteśmy zespołem, a wy do niego należycie. Jeśli nie podoba wam się to, co robimy, możecie się wycofać, ale nie opuścicie terenów Dywizji, dopóki to wszystko się nie skończy.

Malley i Suze, zaniepokojeni, otworzyli usta, żeby zadać pytanie. Pierwsza była Suze.

- Ale przed kim zachowujecie tajemnicę?

- Przed Jowiszaniem - odezwał się Tony.

- Ale... ale... - zająknął się Malley; jego synapsy rozpoczęły gorączkową pracę.

- Jowiszanie, Zewnętrzni, są... są tylko szaleńcami, uwięzionymi we własnym świecie!

Powiodłam wzrokiem po załodze i zauważyłam, że wzruszają niezauważalnie ramionami.

-75-

- Już nie - oznajmiłam. - Ale to długa historia, a wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Załatwimy to jutro. Na razie oprowadzę was po statku.

Nasz szybkościowiec różni się od innych statków tym, że jego zewnętrzna powłoka

ma określoną „górze” i „dół”, a także jest w nim mnóstwo kabin, które mogłam zaprezentować Malleyowi i Suze. Po kolacji zużyłam resztę energii na wspinanie się po wszystkich schodach na statku i wyjaśnianie tego, co należało wyjaśnić. Kadłub szybkościowca wygląda jak nieco groszkowate jajko mające siedemdziesiąt metrów długości i prawie dwadzieścia pięć średnicy w najszerszym miejscu, zajmowanym przez główny pokład. Wąski koniec kryje dysze i stos atomowy, główne

zbiorniki z wodą oraz systemy ratownicze. Ponad lub przed głównym pokładem znajdują się kwatery sypialne - ciasne, lecz upiękkszzone pnącymi roślinami i przewodami uzdatniającymi (w praktyce trudno je odróżnić). Jeszcze wyżej, pod wielkim szklanym okiem tarczy termicznej znajduje się zaczepno-obronne działo laserowe, używane głównie do usuwania błakających się w przestrzeni śmieci i złomu, które należy likwidować ze względu na szybkość osiąganą przez statek. Nasza wycieczka zakończyła się w sypialnej galerii, która, co typowe dla tego rodzaju statków, została zaprojektowana tak, żeby przypominała jaskinie w skalnej ścianie, wychodzące na centralny szyb powietrzny, którego dno stanowi przezroczysty sufit głównego pokładu, a przejrzysty górny koniec jest tarczą termiczną, pozwalającą dostrzec skrzywione, lecz wyraźne gwiazdy. To milczące, nieregularne migotanie pyłu i meteoroidów, zmienianych w parę przez lasery systemu obronnego statku, w miły sposób przypomina spadające gwiazdy na zwykłym,

dobrze znanym niebie.

Malley przechylił się nad barierką i spojrzał w górę i dół.

- Dlaczego system uzdatniania? - spytał. - Podróż trwa kilka dni lub tygodni.

Dlaczego nie wozicie zapasów?

- Nie wszystkie podróże są tak krótkie i nie wszystkie kończą się w portach.

- Hmm. Kolonizacja?

- No cóż - wzruszyłam ramionami. - W końcu jest Pas Kuipera i Oort.

- A Nowy Mars? - rzuciła przebiegle Suze.

- Planujemy z dużym wyprzedzeniem - oznajmiłam ugodowo. Oboje się roześmieli.

-76-

Malley przeciągnął się i ziewnął.

- Miałaś rację - mruknął. - Pora do łóżka. Gdzie to ja zostawiłem torbę?

Sprowadziłam ich bagaże, zaprowadziłam ich do kabin i sama wpełzłam do swojej.

Jest w niej akurat tyle miejsca, żeby stanąć i się położyć; jej zaokrąglone ściany, pożyłkowane przezroczystymi przewodami, w których migoczą roje sztucznych nocoświatlików, nada-jajej wygląd podwodnej grotty. Jedynym meblem jest w niej prostokąt piaskowej pianki - łóżko. Zewnętrzne elementy kombinezonu kosmicznego zmieniły się w grubą kołdrę i poduszkę; odkryłam, że wewnętrzne warstwy przekształciły się w puchatą wełnę i trykot z j e-dwabnej surówki, w kolorach beżowych, kremowych i rozmaitych odcieniach brzoskwiniowego.

Wszystko

bardzo przytulne. Rozwiązałam parę kokardek, naciągnęłam kołdrę na głowę i zasnęłam.

- Chcecie żyć w świecie snów! - mówię oskarżycielsko.

Wiszę, zaczepiona lewym palcem u nogi o dziurę w aluminiowej konsoli, dryfując nad chłopakiem, z którym się kłócę. Strumienie piwa z haszem wysnuwają się z plastikowej butelki, która niegdyś zawierała coś innego (a smak pozostał).

Jesteśmy na pokładzie rekreacyjnym statku Obrony Ziemi, dawno wyrzuconym na pastwę osadników i zniszczenia, jest rok dwa tysiące sześćdziesiąty drugi i wiem, że to niemożliwe, a ja śnię. Dlatego oskarżenie nie brzmi specjalnie autentycznie.

Chłopak ma jakieś dziewiętnaście lat i chyba niedawno przybył; jest gruby, a w stanie swobodnego opadania nikt nie tyje i nie zachowuje tłuszczu. To ta wspaniała dieta, jakiej przestrzegamy. Jego twarz, poznaczona kraterami liczniejszymi niż na Io, przywodzi na myśl wszystkie pizze, które z pewnością pochłonął. Ma wyłupiaste oczy: to współczesny odpowiednik kryształowych

soczewek, rezultat kilku operacji rogówki dla skorygowania nabytej krótkowzroczności. Nie znosi używek, które uważa za niezdrowe, więc pociąga jakiś paskudny koktajl leków zmieszanych z substancjami euforycznymi. Wie wszystko.

- Bujasz w obłokach - mówi. Wskazuje okno, oddalone o dziesięć metrów. Przez tłum dryfujących i popijających ludzi, przez chmury dymu i zabłąkanych kropelek przesuwają się obraz powierzchni z czerwonej cegły. Madagaskar, wszędzie bym go poznała. - Ciągłe czepiasz się tego komunistycznego altruizmu. Chcesz pomagać lu-

-77-

dziom, którym się nie da pomóc. Są skazani. „Ziemia - Trzeci Świat”, ha, ha. Pora dorosnąć i działać zgodnie z programem, Ellen. Pora działać. To duży Wszechświat.

- Zgadzasz się. - Ja także wskazuję na to, co jest teraz Oceanem Indyjskim. - A Ziemia jest jego częścią. Ty chcesz żyć w wirtualnej rzeczywistości.

- Niezupełnie. - Uśmiecha się, odsłaniając zepsute zęby. - Zwracamy wielką uwagę na sprawy zewnętrzne. Musimy, jeśli chcemy zamienić te głupie masy w inteligentną materię. Materię, która myśli i marzy. Świat cudów, w którym możesz być wszystkim, czym zechcesz, nie tylko tym, na co pozwalają ci okoliczności i genetyka.

- Nie chcę zmieniać Wszechświata w wielki komputer z wirtualną rzeczywistością - mówię. - Nie nazywaj mnie komunistyczną altruistką. To zwykła ludzka troska. Nie lubię patrzeć na ludzkie cierpienie, więc uważam, że byłoby dużym egoizmem ignorować dziesięć miliardów błądzących w ciemnościach ludzi.

- Nie musisz widzieć ich cierpienia - odpowiada z nieznośną pewnością siebie. - Możesz ich wykasować. To ich problemy. Dlaczego się nimi przejmujesz?

- Ponieważ nie sami obojętni, a jeśli to dla ciebie altruizm, pomyśl o tym w ten sposób: jestem na tyle egoistką, że chcę być, hm, księżniczką Galaktyki! Dobra,

może właściwie wystarczyłoby mi żyć wiecznie w Imperium Galaktycznym.

Osobiście

życzę sobie, żeby we Wszechświecie roilo się od szczęśliwych ludzi.

Macham energicznie ręką w stronę pokładu, żeby podkreślić swoje słowa.

- Ludzie! - Parska pogardliwie. - Gdzie twoja ambicja? Stać cię na więcej.

- Ty chcesz być maszyną. - Wychylam piwo do końca. - Ja nie. Wzrusza ramionami.

- Jeśli chcesz żyć w przestrzeni, lepiej poradzisz sobie jako maszyna, niż jako worek z morską wodą. Ludzkie ciało jest jak skafander kosmiczny dla ryby.

Maszyny są w przestrzeni na swoim miejscu.

Uśmiecham się tak szeroko, że chyba mu się wydaje, iż go lubię. Cytuję mu zdanie ze stareńskiej książki, która zrobiła na mnie w dzieciństwie ogromne wrażenie:

Tego pięknego dnia Iry Levina. (Nie dlatego, żebyśmy byli zagrożeni tego pięknego dnia czy jakiegokolwiek innego, ale po prostu mi się spodobała.)

- „Maszyny są we Wszechświecie na swoim miejscu. Ludzie są obcy.”

-78-

Nadal się uśmiecha, ciągle sądzi, że się z nim zgadzam. Piwo z haszem skłania mnie do wygłoszenia pijackiego i wkurzonego przemówienia:

- Obcy w obcym kraju. Marks się mylił, nie jesteśmy wyobcowani z człowieczeństwa, wyobcowanie jest człowieczeństwem. Zawsze możemy zatrzymać się

i spojrzeć na to, co robimy, jakbyśmy znajdowali się na zewnątrz. Bo mamy przestrzeń zewnętrzną, wewnątrz nas, i jest nieskończona jak przestrzeń

kosmiczna. Maszyny kalkulują, ludzie liczą. Maszyny mają programy, ludzie mają cele. -Milknę, przyglądam się mu i biorę następne piwo. - No to za te cele.

- Ludzie także są maszynami - upiera się. - A maszyny będą miały wszystko to, co my, kiedy przeniesiemy w nie nasze umysły.

- Tak to nazywasz. Dla mnie rozebranie mózgu na części i naniesienie go na komputer to śmierć.

- To przekroczenie granic - odpowiada. Uderza się w pierś tak mocno, że prawie

się przewraca. - To jest śmierć. „Mięso to morderstwo”.

- Tak - mówię z okrucieństwem. - Gdybym miała twoje ciało, też chciałabym się zmienić w coś innego.

Wbrew moim intencjom nie uważa tego za miażdżący cios.

- Aha - zgadza się z uśmiechem. - Kiedy się zainstaluję, może wymodeluję moje wirtualne ciało na twoim.

Moje spojrzenie ucieka ku ekranowi telewizora na końcu baru; widzę twarze moich rodziców, przemawiających do mnie w j ęzyku, którego nie rozumiem; uśmiechają się, zachęcają mnie. Ich drgające, martwe, lecz zgalwanizowane, ciała płyną na ekranie, skrępowane rurkami, które wysysają im mózg.

- Żegnaj, Ellen - mówią. - Żegnaj. Do zobaczenia za dziesięć tysięcy lat.

Wściekła, odwracam się plecami do chłopaka, ale on już się zmienił w pierwotniaka, w dziwny bąbel pełen drgających rzęsek, z którego odrywa się jeden maleńki płatek i przywiera do twarzy -mojej twarzy.

- Podoba mi się twoje ciało - słyszę.

- Nie waż się! - wrzeszczę. - Nie waż się! I budzę się.

Kołdra mnie otula, poduszka pije moje łzy.

- Ćśśś - szepcze kojąco. - Wszystko będzie dobrze.

-79-

Następnego ranka wstałam około jedenastej czasu pokładowego (który, co jest bardzo wygodne dla tych, którzy niedawno dołączyli do załogi, jest taki sam, jak czas Greenwich) i zjawiłam się na pokładzie środkowym. Ku mojemu zawstydzeniu wszyscy już czekali, a dla uczczenia chwili nadali swoim kombinezonom cechy okrutnie męskiego militaryzmu. Andrea i Borys zabawiali Suze i Malleya, demonstrując zalety systemu obronnego, który, choć zautomatyzowany, może służyć efektownej zabawie, biorącej na cel małe, lecz szybkie meteoroidy. Inni zabawiali się w mniej produktywny sposób.

Wymamrotałam powitanie i spożyłam samotnie śniadanie w stołówce, rozmyślając przy mocnej kawie nad szczegółami mojego snu. Trzeci kubek wzięłam ze sobą i

usiadłam na leżance.

- Dobrze, towarzysze - odezwałam się. - Mamy zebranie. Yeng, zechcesz być przewodniczącą?

Skinęła głową, odsunęła okulary i klasnęła w rękę.

- Ej, ludzie! Włączcie komputery i chodźcie tutaj.

Andrea, Borys, Malley i Suze oderwali się niechętnie od ręcznych pulpitów sterowniczych i przysiedli na leżankach. Suze uśmiechnęła się nieśmiało, Malley zarozumiale. Zabiegowe kapsułki, aczkolwiek nie zakończyły jeszcze pracy, zmieniły jego wygląd przez jedną noc. Wyprostował się, twarz mu się wygładziła, zniknęły zmarszczki wokół oczu.

- Te piguły wpłynęły mi na refleks - oznajmił. Borys pokiwał dłonią.

- Zważywszy, od czego zacząłeś...

Obaj parsknęli śmiechem. Miałam nadzieję, że oznacza to początek przyjaźni.

- Posłuchajcie - wtrąciłam. - Reszta załogi wie, co wam powiem, ale możecie mieć do mnie różne pytania, więc...

Dotknęłam pulpitu kontrolnego; splątana maszyna nad naszymi głowami uniosła się, a na jej miejsce zjechał projektor holograficz-ny. Moje rękawice wypuściły macki, które popęły ku interfejsowi systemu. Elektryczne lampy zgasły, a ja wywołałam obraz Jowisza, łagodnie lśniącego globu wielkości piłki. Obracał się z nadmierną prędkością przy świetle z zewnątrz, pod nieostrymi plamami prawdziwych gwiazd.

- Krótka historia systemu Jowisza - powiedziałam. - Zaczniemy od czasów, zanim Zewnętrzni wtargnęli do Projektu Jowisz. - Cztery

-80-

księżycy galileuszowe mknęły wokół globu, Wielka Czerwona Plama obracała się razem z kolorowymi smugami planety. - Oto pierwsze wskazówki zdradzające, że dzieje się coś poważnego. Zauważyliśmy je w dwutysięcznym dziewięćdziesiątym. Prawdziwa taśma archiwalna z Odległego Obserwatorium.



Ganimedes rozpadł się - nie wybuchł, nie rozleciał się na kawałki, po prostu rozdzielił się na miliony cząstek, które natychmiast utworzyły pierścień.

Widzieliśmy to już wcześniej - to film Zaprudera, najpowszechniej znany obraz oraz najdokładniej przebadana i przedyskutowana sekwencja zdjęć w historii badań kosmicznych. Technik, który to zarejestrował, miał zarówno poczucie humoru, jak i wycucie powagi chwili, a ja puściłam taśmę z jego rzekomą reakcją: „O gwiazdy, ile bogów!”

Ciche kurtuazyjne śmieszki.

- W porządku - podjęłam. - Wszyscy już to słyszeliśmy. Ale miał rację. A my nadal nie wiemy, jak tego dokonali, nawet w ogólnych zarysach. Sam Malley dowiódł, iż idea Bramy, Napędu, nano-technologii i instalacji były znane już wcześniej, najwyraźniej nawet w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Ale dezintegracja największego księżyca w Układzie Słonecznym jest jednak nieoszukująca.

Dokładnie mówiąc, była to najstraszniejsza chwila mojego życia. Skinęłam głową Tony'emu, który podjął opowiadanie.

- Wszyscy pamiętamy, że Zewnętrzni ogłosili swój zamiar zmiany wszystkiego, z wyjątkiem gwiazd, w inteligentną materię. Zaczęli od mniejszych asteroidów i konsekwentnie szli dalej, aż do punktu, który nazywali „mózgami wielkości Jowisza”. Mieli takie powiedzonko: „Jeśli coś nie uruchamia programów i nie dokonuje fuzji atomów, to na pewno zakrzywia przestrzeń”. Więc wszyscy raczej się zmartwiliśmy, kiedy zobaczyliśmy coś takiego. - Uśmiechnął się blade. - Zwłaszcza ci, którzy mieszkali na Księżycu.

Malley podniósł głowę znad notesu, w którym coś gryzmolił.

- Mogą istnieć sposoby na wyprowadzenie tego, hm, niszczyciela planet z tego samego schematu, co Brama. Przez lata zastanawiałem się nad tym, ale nie doszedłem do niczego. Popracuję nad tym.

- Dobrze - powiedziałam, uśmiechając się najcieplej jak mogłam. - A co do Bramy... - Przewinęłam taśmę do przodu, skupia-

jąc się na pierścieniu i powiększając obraz do granic możliwości naszych teleskopów z lat dziewięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku. Złożona konstrukcja wiązań nagle obrosła w kształt, trójwymiarową sieć czarnych włókien wewnątrz pierścienia. W tym samym czasie powierzchnia Jowisza zmieniła się, smugi przecięły linie. Zrobiłam zbliżenie.

- To ujęcia z akt odzyskanych z robota konstrukcyjnego przez tak zwaną sztuczną kobietę, Meg, która była towarzyszką Jonathana Wilde'a w ciele tegoż robota - wyjaśniłam. - Te czarne podpory są, dość prozaicznie, poliwęglowymi dwuetówkami,

choć posiadają skomplikowaną maszynę wewnętrzną. Małe roboty, które najwyraźniej pracują nad konstrukcją, to ubezwłasnowolniona siła robocza. Każdy ma skopiowany ludzki umysł, działający we wmontowanym komputerze. -

Zamilkłam i

zaczęłam na chwilę usta. Odetchnęłam głęboko. - A to - zatrzymałam film, po czym znowu go puściłam - zupełnie inny rodzaj instalacji. Nazwaliśmy to supre-organizmem, a robotnicy, postludzie ochrzcili to nazwą „makro”. Jest to inteligentna materia, konstelacja trylionów nanomaszynek, jeden z wielu egzemplarzy. Każdy z nich zawierał dosłownie miliony umysłów, przeważnie zreplikowanych - i przy tym udoskonalonych - należących do potomków Zewnętrznych.

Wilde nazywa je „szybkim ludem” i termin ten się przyjął, ponieważ oddaje istotę problemu: ich umysły myślą przeżywają przynajmniej tysiąc razy szybciej niż nasze.

Siedzieliśmy i gapili się na makro - koszmarnie wielki i kolorowy ameboidalny kształt o kipiącej nierównej powłoce, na pulsujące pseudomacki, wylewające się wokół konstrukcji. W porównaniu z nim jego uciskani śludzy wydawali się maleńcy, jak blaszane robociki.

- Nie pokazaliście tego Ziemianom - odezwała się Suze oskar-życielsko.

Skinęłam głową.

- Właśnie. Na razie trzymamy film dla własnej wiadomości. Wszystko, co widział Wewnętrzny Układ, to zamazane obrazki, które otrzymaliśmy z sondy szpiegowskiej,

zanim została wykryta i zniszczona.

- Bardzo demokratycznie - mruknął Malley. - Nie chcecie wywołać paniki, tak?

- Niezupełnie - zareagował Tony, pochylając się ku niemu. - Jeśli jesteś do mnie podobny, z pewnością odczuwasz niepokój, a na-

-82-

wet przerażenie, co obiektywnie raczej trudno usprawiedliwić. Sami nie potrafimy tego wyjaśnić, a podejrzewam, że reakcja ta może być sztucznie wywołana przez jakiś subtelny wpływ wzorów na powierzchni. Jeśli tak, to jest to efekt zaprojektowany w celu przerażenia sił roboczych. Testy na naszym personelu dowiodły, że ta reakcja z łatwością przeradza się w potrzebę przedsięwzięcia akcji przeciwko obecnym potomkom tych osobników. Takiego przymusu chcielibyśmy unikać.

Na razie, dodałam w myślach. Przeszłam do dalszej części wykładu, ukazując następne stadia budowy. Struktura nagle się podzieliła; mniejsza, okrągła część odizolowała się od reszty. Powierzchnia Jowisza obróciła się, na równiku zauważyliśmy rozrzucone punkty czegoś, co wyglądało jak źródła, wznoszące się zakrzywionymi trajektoriami ku pierścieniowi. Wokół pierścienia lśnił cienki jak włos okrąg, rozpalony do białości. Oddzielona struktura jakby się zwinęła i oto, zawieszona jak płatek mydła na pierścieniu, pojawiła się sama Brama: szeroki na półtora kilometra okrąg rozciągniętej przestrzeni o brzegach mieniących się kolorami spektrum.

- Mila Malleya - oznajmiłam. Malley skłonił się ironicznie. - Jeśli przyjrzyście się uważnie, dostrzeżecie moment, w którym podzieli się na dwa pokrywające się okręgi, oba końce korytarza. Już. Ten mały ciemny obiekt w środku to statek

Zewnętrznych lub sonda, która...

Promień światła wyprysnął z lśniącej linii wokół wielkiego pierścienia i ugodził w sam środek Bramy.

- ...zniknęła. - Wszyscy otworzyli szeroko oczy i wstrzymali oddech, nawet ci, którzy widzieli ten film po raz setny. - Zabrała ze sobą jedno wejście korytarza. Zauważcie, że wytrysk plazmy najwyraźniej się zatrzymał, kiedy dotarł do Bramy. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że przebiegł z obecnej strefy czasoprzestrzeni do... w każdym razie gdzieś indziej. Ale gdyby kogoś to ciekawiło, zdołaliśmy odnaleźć sondę podczas tych pierwszych minut. - Ziarniste obrazy ukazały strumień światła i niewyraźną kropkę. - Jak widzicie, oto wytrysk plazmy, pojawiający się najwyraźniej znikąd i przemierzający paręset j ardów przestrzeni, dzielącej go od sondy, gdzie zmienia się w energię kinetyczną via... hmm, malleyowski napęd masy wirtualnej. Szacujemy, że sonda osiągnęła w ciągu miesiąca niemal prędkość światła. Następnie sprawy się skomplikowały, ponieważ oba końce korytarza znajdują się w tym samym układzie odniesienia.

-83-

Suze patrzyła na mnie ze zdumieniem. Uśmiechnęłam się do Malleya.

- Sam, oddaję ci głos. Wzruszył ramionami.

-Upraszczać... nie można mówić o „dwóch wejściach” korytarza. Statek porusza się z prędkością zbliżoną do szybkości światła, przez co doświadcza względnego spowolnienia czasu - na statku czas płynie wolniej. Prawdziwie paradoksalną cechą korytarza jest to, że oba jego końce znajdują się w tym samym miejscu. Więc wszystko, co wchodzi jedną stroną, wychodzi drugą w czasie pokładowym statku, który po, dajmy na to, roku może się oddalić o setki lat świetlnych i setki lat w przyszłość. Przy ciągłym przyspieszeniu sonda osiąga kraniec obserwowalnego Wszechświata po trzydziestu latach pokładowych. I tak, po trzydziestu latach od startu, wszystko, co przechodzi przez korytarz, znajduje się nagle w tym samym miejscu. To jakby maszyna czasu przenosząca w przyszłość. Suze uśmiechnęła się niepewnie.

- Skoro tak mówisz... Roześmiałam się.

- A przez ten czas na Jowiszu nieźle się działo, jeśli można tak powiedzieć.

Powierzchnia planety była poznaczona kropkami i żyłkami, nadal czynnymi tornadami rozprzestrzeniającymi się w nowy wariant Wielkiej Czerwonej Plamy. Wyświetliłam zatrzymane ujęcia z taśm odzyskanych ze sztucznego umysłu Meg. Makra zmieniały się na naszych oczach; ich gorączkowa aktywność wewnętrzna przyspieszała, po czym zwalniała do zera. Parę z nich wydawało się krystalizować; odpłynęły w atmosferę Jowisza. Reszta skurczyła się i wyschła; zostały z nich szkieletowate kształty, przypominające żyłkowanie na suchym liście.

Na ekranie pojawił się nowy kształt, przebijający martwe makra i ich ogromną konstrukcję jak kamień pajęczasiec. Zbliżenie ukazało długie zbiorowisko prowizorycznych statków kosmicznych i habitatów, obracających się leniwie wokół własnej osi i zmierzających wzdłuż wytrysku plazmy. Wreszcie obraz ukazał statek, przez który przepłynęła rozpalona do białości linia. Strzał zakończył się wybuchem błękitnego światła.

- Promieniowanie Czerenkowa - oznajmiłam. - Przeszli przez korytarz... a raczej przez jego odgałęzienie, korytarz-córkę, i jak

-84-

wiemy, znaleźli nowy dom. Teraz zostawimy ich na chwilę i wrócimy do tego, co stało się po tej stronie. - Przełączyłam na widok teleskopowy: fontanny gazu oraz powodowany przez nie wytrysk plazmy zniknęły.

- Nie jesteśmy pewni - ciągnęłam - czy to zaplanowane działanie. Może statek osiągnął jakiś punkt, w którym mógł kontynuować przyspieszenie bez zasilania z bazy. Może to efekt jakiejś katastrofy, a może naprawdę reakcja na ucieczkę sił roboczych na tej rozpaczliwej imitacji statku kosmicznego.

Suze uśmiechała się od ucha do ucha.

- Fajna była ta ucieczka.

- Fajna - potwierdziła Andrea. - Za każdym razem, kiedy to widzę, dostaję

dreszczy.

- Dlaczego nie wrócili do domu, do Wewnętrznego Układu? -odezwał się Malley. Wzruszyłam ramionami, kryjąc ból.

- Częściowo dlatego, że jak na ironię nie mieli zapasów na długą podróż w, hmm, realnej przestrzeni. Zanim dotarliby w czymś takim do najbliższej ludzkiej osady, minęłyby całe lata. A częściowo dlatego, że ich przywódcy... nie była to demokratyczna akcja, zresztą czego wymagać po orbitalnym obozie pracy... zdecydowali, że chcą lecieć w gwiazdy.

- A także - dodał Tony - podejrzewam, że postludzie systematycznie karmili ich kłamstwami na temat Wewnętrznego Układu. Wilde sądził, że zerwaliśmy z nimi kontakt, co j est mniej więcej przeciwieństwem prawdy.

- Aha - mruknął Malley.

- Tak - podjęłam. - Następnym wypadkiem, który miał miej sce po niespełna roku, był zalew niszczących wirusów komputerowych, przenoszonych na falach radiowych z

atmosfery Jowisza. Po tym ciosie podnosiliśmy się bardzo powoli, a jeszcze więcej czasu zajęło nam dotarcie na Jowisza. W ciągu pięciu lat nasze teleskopy wychwytywały to, co teraz jest znane wszystkim. Trudno uwierzyć, jak bardzo nas to wtedy zdumiewało. - Parsknęłam krótkim śmieszkiem. - Pewnie dzisiejsze dzieci sądzą, że Jowisz zawsze tak wyglądał.

Obraz planety stał się niewyraźny, pomarańczowe smugi znane od czasów Cassiniego

rozplynęły się w chaosie, po czym ustaliły w nowej konfiguracji, którą znaleźliśmy przez ostatnie stulecia: szerokie heksagonalne wytryski cieczy.

-85-

- Jak widzicie, potrafili zmieniać swoje środowisko. Nie wiemy, czy zrobili to świadomie. Pamiętajcie o prędkości, z jaką działały umysły postludzi. Jeśli nic sienie zmieniło, osobnicy, których obecnie nazywamy Jowiszanami, musieli dokonać tego w trakcie pięciu czy sześciu tysięcy lat subiektywnych, więc może to być po

prostu produkt uboczny ich działalności. Mniej więcej co pięć lat te komórki obumierają zmieniają się, podobnie jak wysyłane stamtąd fale radiowe. Sądzymy, że oznacza to nieustanny wzrost i upadek kultury postludzi w wirtualnej rzeczywistości, choć z tego co wiemy, mogli się równie dobrze cofnąć do poziomu inteligencji człowieka pierwotnego, a to tutaj ma tyle samo znaczenia, co wegetacja koralowców lub pszczół. Same wirusy mogą być zwykłym odruchem obronnym, odpowiednikiem żudeł czy wydzielanych przez rośliny środków owadobójczych.

Yeng uniosła głowę, wykorzystując swoją funkcję.

- To nie umniejsza niebezpieczeństwa, na jakie jesteśmy narażeni - zauważyła. - Choroby biologiczne także nie są inteligentne, ale mogą nam zagrażać, a wirusy komputerowe, które wytwarza to coś, są zdecydowanie groźne.

Skinęłam głową.

- Owszem... to dlatego mamy tak ograniczone możliwości komunikowania się, to dlatego nasze najważniejsze komputery są takimi powolnymi potworami, a wszystkie, łącznie z tymi w skali nano, są mechaniczne. Ale to tylko część problemu. Bez przerwy spotykamy się z próbami wyrzucenia rozmaitych rzeczy z atmosfery. Zdarzają się one coraz częściej. To dlatego przybyliśmy.

Wyświetliłam materiał propagandowy Dywizji Cassini, ukazujący nieustannie czuwające orbitalne patrole, przeczesujące atmosferę Jowiszai eliminujące wszystko większe od ziarnka piasku, jeśli zmierza w niewłaściwą stronę, a także strzegące Bramy. Głos lektora wyjaśnił, że to ostatnie nie jest kompletną stratą czasu, na jaką wygląda, ponieważ analizujemy dane przesłane przez sondę i w ten sposób pogłębiamy naszą wiedzę o odległej przyszłości Wszechświata. Malley uśmiechnął się sceptycznie. Ja też.

Zatrzymałam projekcję.

- Wszystko to jest, niestety, nieaktualne - oznajmiłam - ponieważ wydarzyło się coś nowego. - Zaznaczyłam miejsce do późniejszego użytku i włożyłam do projektora nowy materiał.

- To najnowsze wieści. Z paru ostatnich miesięcy. Jeszcze... hm, jeszcze nie podaliśmy tego do wiadomości ogółu.

-86-

Wielkie heksagony sklęśły, tak jak to już bywało w przeszłości. Kiedy się odnowiły, pomiędzy nimi pojawiły się grona pęcherzy, pulsujących i znikających. Za każdym razem, kiedy ukazywały się na powierzchni, rozdymały się i mnożyły, połączone długimi i cienkimi (w tej skali) czarnymi liniami. Zrobiłam maksymalne zbliżenie; zobaczyliśmy czarne kształty, poruszające się pomiędzy liniami.

- O, w mordę - powiedział Malley.

- Właśnie - przyświadczyłam. - Wygląda to jak jakiś rodzaj stabilnej, zorganizowanej formy życia, z habitatami, technologią, transportem. Na razie to najlepszy materiał, jaki otrzymaliśmy. Być może najważniejsze jest to, że pomiędzy tymi gronami przebiegają kierunkowe wiadomości. Jeszcze ich nie przetłumaczyliśmy, ale z całą pewnością robią wrażenie inteligentnego porozumiewania się. Mamy wszelkie powody przypuszczać, że widzimy dowód na to,

iż Jowi-szanie wydostali się wreszcie z pułapki wirtualnej rzeczywistości i pojawili się jako nowy gatunek. Szybko się rozwijają i zmieniają; widzimy ślady łączności w atmosferze, a jej częstotliwość zwiększa się z każdym tygodniem.

- Rany - szepnęła Suze. - Obcy!

- Nie - skorygowałam. - Postludzie... nadludzie, forma życia stojąca nad nami o tyle wyżej, o ile my stoimy wyżej nad mrówkami. Tak jest albo będzie, już całkiem niedługo.

Powiodłam wzrokiem po załodze. Malley i Suze byli zbici z tropu, ale nie zmartwieni. Moi ludzie okazywali ponure zdecydowanie.

- Czy to dlatego tak wam zależy, żeby przejść przez korytarz? - spytała Suze. - Żebyście mogli... uciec, jeśli to będzie konieczne?

- Częściowo - przyznałam. - A także z powodu, który wam wyjaśniłam. Nie mamy pojęcia, co się dzieje po tamtej stronie. Jeśli coś takiego jak tutaj, musimy to



wiedzieć.

- Jest coś jeszcze - wtrącił Borys. - Coś, o czym powinniście wiedzieć. - Skinął głową w moim kierunku. Przewinęłam taśmę do miejsca, które zaznaczyłam. Obraz ukazał nasze dalekie wyprawy do Pasa Kuipera, kiedy laserami i taktyczną bronią jądrową kierowaliśmy komety w stronę Wewnętrznego Układu, wysyłając je ku Jowiszowi, Marsowi lub w stronę Pasa.

Zatrzymałam projekcję i włączyłam światło. Wszyscy spojrzeli na Malleya i Suze. Podejrzewam, że załoga czuła takie samo napięcie jak ja. Po długich dyskusjach podczas podróży na Ziemię zdecydowaliśmy, że Malley (albo Wilde, jeśli go przekonamy) będzie chciał

-87-

poznać całą historię, ponieważ nie zdołamy jej przednim ukryć, gdy zaczniemy pracować nad problemem korytarza, a on z pewnością nie ucieszyłby się na wieść, że usiłujemy zrobić z niego idiotę.

Malley otworzył usta i zamknął je bez słowa. Przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Chyba nie mówicie poważnie - wykrztusił. - Chyba nie... Czy to znaczy, że zamierzacie dokonać bombardowania i zniszczyć nowych Jowiszów?

- Tak - przyznałam. - Dokładnie to zamierzamy zrobić. Jak tylko zobaczymy to nowe osiągnięcie, puszczamy maszynę w ruch... dosłownie. Kosztowało nas to wiele pracy, ale jesteśmy gotowi. Wyślemy wiele potężnych komet, które pojawią się za niespełna trzy tygodnie. W ostatniej chwili damy im szturchańca i spowodujemy ostrzał całej planety. Powinno się udać, nowi Jowiszanie wydają się bardziej bezbronni niż kiedykolwiek. Te pęcherze, które widzieliście, to po prostu pęcherze w atmosferze. Wygląda na to, że ich technologia jest oparta na manipulacji polami elektromagnetycznymi, gazami oraz na chemicznych reakcjach na

wielką skalę. Zamierzamy skierować w atmosferę Jowisza strumień szybkich i potężnych jąder komet i zaatakować z siłą większą niż milion wojen nuklearnych. Skasujemy ich definitywnie.

- Ale nawet nie wiemy, czy mają wrogie zamiary! - zaprotestowała Suze. - Czy próbowaliście się z nimi skontaktować?

- Oczywiście, że nie - odezwała się Yeng. - Ciągłe wysyłają nam te same stare wirusy. Jeśli zaczniemy się z nimi porozumiewać, skąd wiemy, że nie wyślą nam jeszcze bardziej niszczących wirusów?

- Na pewno możecie opracować system obronny - rzucił Malley, żując cybuch fajki.

- Nie macie usprawiedliwienia.

- Mogą nas odeprzeć - powiedział Tony. - Przynajmniej istnieje poważna możliwość, że są do tego zdolni. Są dla nas zagrożeniem już przez sam fakt istnienia. Czy to nie wystarczające usprawiedliwienie?

Suze i Malley pokręcili głowami.

- To kiepski pomysł - oznajmiła Suze. - Możemy się od nich uczyć... albo ich przekonać, żeby przestali wysyłać wirusy. Może nie są zdolni nas skrzywdzić. Może nawet nie wiedzą o naszym istnieniu!

- Na to liczymy - wyznała Andrea. - Wtedy nie zdołają się obronić. Roześmieliśmy się wszyscy, oprócz Suze i Malleya.

- A moralność? - spytał Malley.

Większość z nas wzruszyła ramionami. Yeng zmarszczyła brwi.

- Moralność? A co to takiego? - spytała niepewnie. Niektórzy się uśmiechnęli; Malley parsknął śmiechem.

- To taka ideologia - wyjaśniła Suze. - Ludzie sądzili, że istnieje jakaś potężna inteligencja, kontrolująca Wszechświat. Ta inteligencja miała im mówić, co należy robić. Potem odkryli, że nie ma żadnej wyższej inteligencji, lecz przez jakieś sto lat uważali, że to Wszechświat narzuca im sposób postępowania. Niektórzy w to wątpili, ale twierdzili, że jeśli ludzie nie będą w to wierzyć, zaczną się nawzajem zabijać, krzywdzić i gwałcić. - Skrzywiła się. - Nigdy nie pojęłam, dlaczego byli o tym przekonani, ponieważ ludzie i tak się zabijają, krzywdzą i gwałcą. Większość powstrzymuje się przed tym, ponieważ nie chce tego robić albo wie, że nie ujdzie im to na sucho. Wiemy, że jeśli chcemy zabronić

ludziom popełniania złych uczynków, musimy im to narzucić i nie pozwalać, żeby pozostawali bezkarni. To dlatego mamy Unię - zakończyła tryumfalnie, nieco zdyszana, lecz najwyraźniej zadowolona, że jej hermetyczny kierunek studiów wreszcie zaczyna wydawać owoce.

- Dobrze - zgodziła się Yeng. - Rozumiem. To coś, w co ludzie wierzyli, zanim nabyli prawdziwą wiedzę?

- Otóż to! - powiedziałam. - Dokładnie. Więc co powiesz, Sam? Malley spiorunował mnie ponurym wzrokiem. Potem wzruszył ramionami.

- Dobrze. Skoro tak to widzicie, proszę bardzo. Sądzę, że to gadanie „postępuj zgodnie z wolą swoją, oto prawo” jest tak samo diabelsko szkodliwe, jak facet, który to pierwszy powiedział, ale pomińmy to.

Skinęłam głową. Bardzo łatwo było mi to pominąć, ponieważ nie widziałam w tym najmniejszego sensu.

- Więc, mówiąc waszym językiem - ciągnął Malley - nie sądzę, żebyśmy coś zyskali, niszcząc Jowiszan. To myśląca forma życia, prawdopodobnie czująca, a brak szacunku dla odczuwających istot to niebezpieczna rzecz. Zły precedens. Poza tym, jak zauważyła Suze, moglibyśmy zyskać na jakimś rodzaju pokojowego współistnienia z nimi, jeśli porozumienie jest w ogóle możliwe.

Spojrzałam na niego, nieco wstrząśnięta. Wiedziałam, że jest stary, a przez większość życia był niezależny, ale jak na geniusza wydawał się wyjątkowo tępy.

-89-

- Po pierwsze - powiedziałam - nie mylisz się co do zdolności odczuwania. Musimy to uszanować, choćby tylko dla własnego spokoju sumienia. Ale tylko istoty ludzkie potrafią odczuwać, a te stwory to tylko programy komputerowe! Mogą sprawiać wrażenie, że potrafią odczuwać, ale jeśli tak, są to jedynie barwy ochronne. Możesz nawiązać głęboką, filozoficzną rozmowę ze swoim kombinezonem...

co mówię, możesz nawiązać z nim związek seksualny, jeśli to cię bawi, ale nikt

nie będzie utrzymywać, że kombinezony potrafią odczuwać. To tylko coś, co wykształciły drogą naturalnej selekcji, aby współżyć z istotami ludzkimi. Jowiszanie, jeśli się z nimi skontaktujemy, bez wątpienia wydadzą się nam wrażliwi, ale nie potrafią odczuwać, tak jak oczka na piórach pawiego ogona nie potrafią widzieć.

Malley odrzucił głowę i wybuchnął grzmiącym śmiechem.

- A wy się wyśmiewacie z ideologii! - wykrztusił, kiedy zdołał się nieco uspokoić. - To najcudowniejszy przykład dogmatu, jaki kiedykolwiek spotkałem! Naprawdę chcecie powiedzieć, że roboty, instalacje, sztuczna inteligencja nie może naprawdę odczuwać i nie jest warta naszej troski?

- Absolutnie - powiedziała cierpliwie. - To jasne. - Nawet gdybyście mieli rację, co dobrego przyjdzie wam, nam czy komukolwiek z niszczenia tych „pawich oczek”, tylko dlatego, że mogą być ślepe? Co?

- Pozwól, że wyjaśnię. Nie istnieją żadne dowody na istnienie innych inteligentnych istot we Wszechświecie. Sonda Zewnętrznych przebyła długą drogę i żadne dane, które z niej otrzymaliśmy, nie zdradziły choćby minimalnego śladu sygnału. Jesteśmy sami, jeśli nie liczyć Jowiszan. Jeśli górują nad nami, choćby wydawali się nie wiadomo jak przyjaźni, zawsze będziemy zdani na ich łaskę. Nie będę żyła na niczyjej łasce. To nasza najlepsza, jedyna i ostatnia szansa zachowania Wszechświata dla nas. I nikt nam jej nie odbierze.

Malley wstał i powiódł po nas wzrokiem, ani rozgniewany, ani zniecierpliwiony. Może trochę smutny, jakby starcze zmiany, których zaczynał się już pozbywać, znowu do niego wróciły.

- Beze mnie - powiedział.

-90-

Nadchodzący wyścig

Malley poszedł ciężko w kierunku schodów i poczłapał do stołówki. Suze wstała, spojrzała na mnie niespokojnie, wzruszyła ramionami i poszła za nim.

- Koniec zebrania - oznajmiła Yeng. Rozejrzała się, niepewna jak ma zrozumieć to, co się stało. Wreszcie zdecydowała się spojrzeć na to od jaśniejszej strony.

- Pora na obiad.

Obiad zwykle upływał nam w lekkiej atmosferze. Nie tym razem. Zasiedliśmy przy mniejszych stolikach, pojedynczo i parami. Suze znalazła się z Malleyem po jednej stronie pomieszczenia, ja z Tonym po przeciwnej. Rozmawialiśmy zniżonym głosem.

- Myślisz, że spaliliśmy sprawę? - spytał Tony. Wzruszyłam ramionami.

- Callisto aż huczy od plotek o bombardowaniu. Nie mogliśmy mu o tym nie powiedzieć. Musielibyśmy go odizolować, co od razu obudziłoby jego podejrzenia. Tony podrapał się po brodzie i spojrzał na mnie pytająco.

- Przypuśćmy, że się mylimy - powiedział cicho. - Kiedy myślę o tym, co zamierzamy zrobić... wiesz, Ellen, tak między nami... czasami sam się waham. Przypuśćmy, że Jowiszanie naprawdę są myślącymi, czującymi istotami, jak ty i ja, lecz znacznie lepszymi, z głębszym i bogatszym życiem wewnętrznym. W końcu mogli w naturalny sposób ewoluować, oddalając się od przodków i nie są już nowymi wersjami starych szaleńców, ale nowym gatunkiem, świeżą krwią. Czy to, co

zamierzamy, nie byłoby, powiedzmy, odpowiednikiem ataku bandy szympanów, pragnących rozwalić kamieniami mózgi pierwszych ludzi?

Opanowałam nieprzyjemne zaskoczenie wobec tego niespodziewanego odwrotu, rozłam w szeregach, jak powiedzieliby dawni towarzysze. Opanowałam rozdrażnienie. Jeśli Tony ma wątpliwości, z pewnością inni także, a on robi mi przysługę, informując mnie o tym otwarcie.

- Jeszcze jeden powód, by to zrobić - oznajmiłam, klepiąc go po plecach. - Zobacz, jak skończyły szympansy.

-91-

Rozumieliśmy się bez słów. W trakcie dwustu lat naszej znajomości nigdy nie nawiązaliśmy związku seksualnego (z wyjątkiem szybkich numerków po pijaku, ma

się rozumieć). Nie był w moim typie, ani ja w jego. Ale na każdym innym polu łączyło nas prawdziwie intymne porozumienie. Nie zgadzaliśmy się we wszystkim, przynajmniej nie od razu, ale wiedzieliśmy, jak osiągnąć porozumienie lub jak zgodzić się na dzielące nas różnice. Wiedzieliśmy, jak działają nasze umysły. Miałam świadomość tego, co się w tej chwili dzieje w mózgu Tony'ego. Intelktualnie przyjął prawdziwą wiedzę, ale nigdy go nie podbiła - w przeciwieństwie do mnie. Dla mnie miała obezwładniającą moc objawienia. Prawdziwa wiedza... angielskie tłumaczenie koreańskiego wyrażenia, oznaczającego „nowoczesne oświecenie”. Jego twórcy, grupa japońskich i koreańskich „pracowników kontraktowych” (tym razem niedokładne tłumaczenie angielskiego zwrotu „pracownicy przymusowi”) czerpali nowoczesne oświecenie ze zniszczonych, starych wydań dzieł Stirnera, Nietzschego, Marksa, Engelsa, Dietzgena, Darwina i Spencera, którzy stanowili wyłączną reprezentację myśli filozoficznej w bibliotece obozu pracy. (Dwudziestowieczna filozofia i nauka zostały wykluczone przez pracodawców jako dekadencjonalne lub wywrotowe, nie pamiętam dokładnie.) Wzięli więc te dzieła -które ironicznie nazywali ostatnim krzykiem nowoczesnej myśli -i zsyntetyzowali z nich i z własnego gorzkiego doświadczenia pierwszą filozofię socjalistyczną, opartą na kompletnie pesymistycznych i cynicznych poglądach na ludzką naturę. Życie to proces przełamywania i wykorzystywania materii, a jeśli to konieczne, także innych istot. Dlatego życie jest agresją, a życie udane to udana agresja. Życie jest szumowiną materii, a ludzie to szumowina życia. Nie istnieje nic oprócz materii, siły, przestrzeni i czasu, które razem dają potęgę. Nic nie jest ważne oprócz tego, co jest ważne dla ciebie. Moc daje prawo, a siła daje wolność. Możesz robić wszystko, co jest w twojej mocy, a jeśli chcesz przetrwać i żyć w dostatku, musisz robić wszystko, co leży w twoim interesie. Jeśli twój interes stoi w sprzeczności z interesem innych, niech zmierzą się z tobą. Jeśli twój interes jest taki sam, jak interes innych, niech sprzymierzą się z tobą

przeciwko reszcie. Jesteśmy tym, co jemy, a jemy wszystko.

-92-

To, co cenimy, a także dobro, prawda i piękno życia, ma swoje korzenie w tej najwyraźniej nieurodzajnej glebie.

Oto prawdziwa wiedza.

Na tej skale zbudujemy kościół. Oparliśmy swój idealizm na najbardziej nihilistycznych implikacjach nauki, oparliśmy socjalizm na bezdennie głupim egoizmie, a naszą wolność na determinizmie. Zastąpiliśmy moralność konwencją, odwagę bezpieczeństwem, umiarkowanie dostatkiem, filozofię nauką, stoicyzm znieczuleniem, a pobożność nieśmiertelnością. Uniwersalny kwas prawdziwej wiedzy

wypalił świat słów i ukazał nam wszechświat rzeczy.

Rzeczy, których można używać.

- To Wniebowzięcie dla idiotów!

Wreszcie łyk świeżego powietrza, myślę i odwracam się, żeby zobaczyć, kto wymierzył ten celny strzał w Osobliwość. To facet, który obija się obok mnie, szczupły mężczyzna z prostymi czarnymi włosami, usztywnionymi i zaczesanymi w zalotny loczek, ostrą bródką a la Lenin, subtelnymi rysami i przeszywającym spojrzeniem czarnych oczu. Podoba mu się śmiech, który wzbudził po jednej stronie i niezadowolone miny po drugiej.

Jest rok dwa tysiące sześćdziesiąty piąty i znowu znajdujemy się na pokładzie rekreacyjnym, ale jego wymiary się powiększyły, podobnie jak stacja kosmiczna, która po prostu została przeniesiona wyżej. Zjawiliśmy się tutaj, żeby uczcić zakończenie pracy. Zebrało się chyba parę setek ludzi. Na początku stanowiliśmy jeden tłum, ale kiedy zaczęły się dyskusje, rozdzieliliśmy się na dwie grupy po obu stronach pokładu.

Dyskusje trwały od lat, ale zawsze pracowaliśmy razem. Obie strony, których stanowimy zaledwie ułamek, mają luźny związek z dwiema tendencjami kolonizacji międzygwiazdnej. Pierwsza powstała w latach czterdziestych dwudziestego

pierwszego wieku i była lansowana przez pierwszych osadników i siły Obrony Ziemi, które przeszły na stronę Rewolucji Upadku. Zwolennicy drugiej pojawili się w późnych latach pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych tegoż stulecia i byli produktem całkiem innego procesu: umyślnego opuszczenia Ziemi przez techników, inżynierów i naukowców - oraz zdesperowanych bogaczy - którzy rozwinęli coraz bardziej zaawansowaną technologię podróży międzygwiazdnych w wyizolo-

-93-

wanych i obleganych enklawach. Mieli swój występ w katastrofalnie sfuszerowanym i nieprodukcyjnym „Uderzeniu Ruchu Kosmicznego” w dwa tysiące pięćdziesiątym dziewiątym roku.

Właściwie ciągle działają i nadal wykorzystują pracowników -przeważnie kryminalistów, a także politycznych więźniów i jeńców wziętych do niewoli podczas Rewolucji Upadku oraz następnych konfliktów - którzy budują i bronią ich infrastruktury, w przestrzeni i na Ziemi. W naszych oczach to, co robią, wygląda na proceder tylko nieco lepszy od ciągnięcia zysków z niewolnictwa, nie wspominając już o podstępym niweczeniu tradycji prywatnej inicjatywy lub etosu pracy ochotniczej. Według nich jest to zapłata za długie lata prześladowań sprzed Rewolucji, a także za ciągle prześladowanie ze strony rządów i ogarniętych gorączką Ziemi.

Oczywiście nie mają żadnego interesu w wykorzystywaniu swojej siły do pomocy tym, przed których ślełą furją ledwie zdołali uciec. My, po pierwszej fali idealistycznych lub skąpych osadników przekonałiśmy się, że pomaganie Ziemi jest najlepszym sposobem na przezwycięzenie tej ślepej furii.

Nazywamy siebie pierwszymi osadnikami, zwolennikami Ziemi, pięknymi ludźmi, gwiazdnymi wojownikami.

Nazywamy innych: inni, obcy, idioci, nowe plemię.

Inni nazywają nas: ziemioluby, zieloni, komuchy, prostaki, wie-śniaki, Kosmiczni Robinsonowie.



Inni nazywają siebie: Zewnętrzni, Grupa Osobliwości, Futuryści, postludzie.

Ich marzeniem jest Osobliwość. Naszym - Imperium Galaktyczne, Federacja albo jeszcze coś. Oni się z tego śmieją.

A teraz my śmiejemy się z nich, lub inaczej: dziesiątki ludzi śmieją się z równie licznej grupy Zewnętrznych.

- To po prostu głupota - ciągnie mężczyzna. - Nie rozumiem, jak ktokolwiek może dać się przekonać, że komputerowy model umysłu to to samo, co prawdziwy mózg. I wymówicie o mechanicznym materializmie! To tak, jakby stać się maszyną, to śmierć, dążenie do czegoś takiego jest chore!

- Nie byłbyś taki mądry, gdybyś wiedział, że wkrótce umrzesz -mówi najbliżej stojący Zewnętrzny, młody mężczyzna (ale teraz wszyscy wyglądamy młodo), który nie pasuje do powszechnego stereotypu idioty, ponieważ zamienił dietę składającą się z coli i pizzy na inny konik Zewnętrznych: kulturystykę. Unosi się, opalony, lśniący od olejku

-94-

i nagi, w pozycji lotosu, powoli obraca się wokół własnej osi i robi coś dynamicznego i sprytnego z wytryskującą strugą napoju. - Już mamy pliki zapasowe ludzi, którzy zginęli broniąc Canaveral, wiecie?

Chwyta ustami wirujący okrąg płynu i przełyka; obraca się z pytającym uśmiechem.

-I zamierzacie ich uruchomić? - pytam.

- Jasne - twierdzi. - Jak tylko pozbędziemy się paru pluskiew z programu wirtualnego środowiska.

Mężczyzna obok mnie parska śmiechem.

- Więc wasi niewolnicy otrzymali obietnicę raju po śmierci! Trzymajcie się tego pomysłu, Mahometowi się udało.

Ta druga aluzja religijna prowokuje natłuszczonego do wyzywającego pytania:

- Czytałeś kiedyś coś napisanego z punktu widzenia rezurek-cjonistów? Choćby coś klasycznego, jak Fizyka nieśmiertelności?

- Nieee - rzuca niedbale brodaty. - Życie j est zbyt krótkie! Zewnętrzny

zaprzestaje obrotów, rzuca celnie pustym zbiorniczkiem i spogląda zimno w moją roześmianą twarz.

- Oto cytat, krótki, specjalnie dla was: nieuznawanie inteligentnych robotów za ludzi jest równoważne z rasizmem.

- To co? - pyta mężczyzna u mego boku. - Więc jestem rasistą. I człowiekiem.

- Bardzo dobrze - wtrącam wiedząc, że Zewnętrzny uderzył w strunę rasizmu, mając na myśli moją śniadą skórę. Spogląda na mnie spode łba.

- Więc drugi cytat: utrzymywanie, iż ludzkie osobowości nie mogą zostać przekazane komputerom, jest równe z akceptacją śmierci na zawsze. Czy to także wydaje się wam takie dobre?

- Mogę z tym żyć - oświadczam. Mężczyzna obok śmieje się z aprobatą i dodaje:

- Jeśli wy nam dacie żyć.

Zewnętrzny uśmiecha się i spogląda na swoich kolegów. Potem wraca do nas.

- Ależ pozwolimy. W rezerwatach, razem z innymi interesującymi zwierzętami.

Niektórzy z nas już teraz uważają was za zwier-zaczki. Nie wątpię, że sentymentalni postludzie będą walczyć o „ludzkie prawa”. To będzie jedna z tych chwytających za serce spraw, tak jak oszczędzanie starodrzewu i śnieżnych sów. Czy nie lepiej dołączyć do nas i żyć jak bogowie?

-95-

Czuję, że coś się we mnie skręca. Nagle wszystko staje się zrozumiałe. Zaczynam widzieć to, co później rozpoznam jako prawdziwą wiedzę.

- My jesteśmy podobni bogom! - warczę. - Jesteśmy tu najbardziej niebezpiecznymi drapieżnikami. Jeśli chcecie, możecie się stać maszynami, ale wtedy umrzecie, a my będziemy żywi i będziemy was traktować tak, jak maszyny. Jeśli nie uda nam się was wykorzystać, rozbijemy was na kawałki!

- Jeśli zdołacie. Patrzę mu prosto w oczy.

- Jeśli zdołamy.

Macha lekceważąco ręką i odwraca się ode mnie.

Mężczyzna obok robi salto w powietrzu i podpływa do mnie z rozłożonymi rękami.

Pewnie wydaje mu się, że pozdrowił mnie tak, jak pozdrawiają się lotnicy.

- To było niezłe - mówi.

- Podobało mi się to, co mówiłeś - odpowiadam. - Wniebowzięcie dla idiotów.

Śmiejemy się jakby ze znanego dowcipu. Wymieniamy swoje nazwiska. Mężczyzna nazywa się Tony Girard i uczestniczy w radzie kierowniczej stacji. Jest odpowiedzialny za kontrolowanie stronnictwa Zewnętrznych. Ich obecność jest ważna - właśnie ukończona rozbudowa stacji obejmowała również zmontowanie nowych

silników rakietowych, które wyglądają, jakby wyrosły z diamentu i są nanoduktami Zewnętrznych. Mimo to Tony nie może się powstrzymać, żeby nie wdawać się w dyskusje.

- Twierdzą, że jesteśmy źli - ciągnie. - Mówię im, że owszem, jesteśmy.

- Ale to nieprawda! - protestuję.

-Nie z naszego punktu widzenia. Ale z ich -tak. Reakcyjniści, kontr-ewolucyjniści, broniący im dostępu do następnego etapu ludzkiego rozwoju.

- Tak, wyginięcia!

Zastanawiam się, czy jesteśmy źli. Zdaję sobie sprawę, że dla nich rzeczywiście możemy być szkodliwi, ale - ta myśl sprawia, że braknie mi tchu - nie jesteśmy tacy dla siebie i tylko to się liczy. Więc dopóki działamy na swoją korzyść, nie ma znaczenia, czy jesteśmy źli dla wrogów. Nasza Federacja będzie w ich oczach prawdziwym imperium zła, domeną panów ciemności. A ja będę panią

-96-

ciemności. Rzeczywiście, ludzkość jest zła z każdego punktu widzenia poza ludzkim. Pojmuję to z dreszczem rozkoszy.

Streszczam Tony'emu moje rozważania, a on potakuje.

- To bardzo wyzwalające. Nosimy czarne kapelusze. - Udaje, że wyjmuje i obraca rewolwer. (Jak większość z nas, ma na biodrze prawdziwą broń.) - To oszczędza wielu bolesnych wątpliwości. Dopóki nie bijesz swoich, jesteś w porządku.

- Może jesteśmy Indianami.

Ten pomysł podoba się Tony'emu.

- Fajnie. Skazani, lecz dzielni. Ciężar u kół postępu. Strzelamy z łuków do żelaznych koni Manifestu Przeznaczenia.

- Są tacy mechaniczni - mówię.

- Właśnie. To dlatego tak lubię ich wkurzać.

Śmieję się tak bardzo, że wpadam mu w ramiona, a później po raz pierwszy idziemy do łóżka na szybki numerek po pijaku.

Uśmiechnęłam się do Tony'ego, może cieplej niż zwykle. Wstając zauważyłam wbite w siebie spojrzenie Yeng; zerknęła ku stolikowi, przy którym siedzieli pochyleni ku sobie Malley i Suze. Kiwnęła głową. Obie wzięłyśmy tace i powędrowałyśmy do nich.

- Możemy się przysiąc?

Malley spojrzał na nas, potem na Suze.

- Bardzo proszę.

Usiadłam obok niego. Yeng przysiadła na ławie obok Suze, rzucając jej przelotny uśmiech. Suze wbiła wzrok w talerz. Podniosła głowę.

- Musimy zadać wam pytanie - odezwała się. - Ja jestem z Unii, on jest niezależny, ale okazuje się, że chcieliśmy was zapytać o to samo.

- Dobrze.

- Czy nie zechcecie przynajmniej spróbować skontaktować się z Jowiszanami, zanim ich zniszczycie? Czy przynajmniej spróbujecie osiągnąć jakieś porozumienie?

Na samą myśl o kontakcie z Jowiszanami dostałam gęsiej skórki, ale musiałam przyznać, że to pociągająca perspektywa. Niebezpieczeństwo mnie podnieca, nienawiść do Jowiszan każe mi odczuwać ciekawość, jacy naprawdę są- a ponad wszystko musimy mieć współpracę Malleya, żeby przejść przez Miłą Malleya. To podstawa.

7 Dywizja Cassini

— y/ —

Yeng chciała odpowiedzieć. Wzrokiem nakazałam jej milczenie.

- Rozważymy to - obiecałam. - Nie mogę przemawiać w imieniu Dywizji, ale nie

powiedziałabym, że to wykluczone. A co?

- Byłbym o wiele spokojniejszy, gdybym wiedział z całą pewnością, że Jowiszanie są dla nas zagrożeniem - wyjaśnił Malley. -Prawdziwym, konkretnym niebezpieczeństwem. A bezpośrednie porozumienie z nimi jest jedynym sposobem, by się przekonać.

Suze skinęła głową.

- Kiedy nasi ludzie dowiedzą się, co robicie... bo przecież zamierzacie ich uprzedzić, prawda?... oni także chcieliby mieć pewność. Byłoby cholernie szkoda wytluc obiekty -jeśli to tylko obiekty - które mogłyby być naszymi jedynymi przyjaciółmi w całym Wszechświecie. A jeśli naprawdę są bogami, ale bogami stojącymi po naszej stronie?

A więc Suze jest Zgodna, pomyślałam ze smutkiem. Znowu nawiedziło mnie podejrzenie, że została przysłana jako szpieg. I znowu odsunęłam je od siebie.

- Dobrze - odezwałam się. - Tak zrobimy.

- Jak? - chciał wiedzieć Malley.

- Kiedy tylko wrócimy, flota sond zacznie przenikać w atmosferę Jowisza. W zasadzie w celach szpiegowskich, by rozpoznać teren, w który mają uderzyć komety. Ich radia, radary, lasery z łatwością dadzą się przystosować do nawiązania pierwszego kontaktu. Będę na to nalegać, a jeśli sądzicie, że możecie pomóc, także się tego domagajcie.

W oczach Yeng błysnęło zaskoczenie.

- To niebezpieczne!

- Owszem - przyznałam. - Ale j eśli ktoś j est w stanie nas obronić, to tylko ty. Domyślałam się, że mamy gdzieś plan awaryjny, programy i sprzęt?

Niechętnie skinęła głową.

- Dobrze się domyślasz.

Było to coś więcej niż domysły, ale nie musiałam informować Yeng, że wiem więcej niż powinnam.

- Więc je sprowadź. Wykorzystajmy jakoś te dziewięć dni. -Odwróciłam się do Malleya. - Pomożesz nam przy korytarzu?

- Tak, jeśli dotrzymacie słowa. - Wyjął fajkę i przesunął sobie pod nosem jej cybuch, wdychając zapach tytoniu. Potem znowu ją schował. - Zacznę już teraz. Prawdę mówiąc, nie mogę przestać o tym

-98-

myśleć. Kiedy wylądujemy, skorzystam ze wszystkich pomocy naukowych, jakie mi obiecaliście, a jeśli rzeczywiście przekonam się, że czynicie prawdziwe starania, żeby uniknąć... wojny, ponieważ tak to należy nazwać, wtedy poinformuję was, do czego doszedłem.

- Umowa stoi - oznajmiłam. Malley skinął głową; Suze uśmiechnęła się do mnie. Yeng miała nieodmiennie zdziwiony wyraz twarzy. - Mamy plan - dodałam wyjaśniająco.

- Ja też mam mnóstwo planów - odparła. - Świetnie! Ale przygoda! - Jej słodka drobna twarzyczka rozpromieniła się. - Spokojnie, Ellen May, będziesz miała najlepszą z możliwych obronę.

Zerwała się i niemal popędziła po spiralnych schodach, nie mogąc się doczekać, kiedy zacznie pracować nad programem antywirusowym.

- O co jej chodziło? - spytał Malley. - Dlaczego to ty musisz nawiązać komunikację?

Jednym haustem wypiałam wystygłą kawę.

- Z tego samego powodu, z jakiego pojechałam po ciebie. Jeśli ktoś namawia cię do jakiegoś szalonego, niebezpiecznego pomysłu, sprawiedliwość wymaga, żeby to on się z nim użerał.

Malley spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Pewnie miałaś ostatnio dużo kontaktów z kadrą kierowniczą.

- Nie mamy „kadry kierowniczej” - wyrwała się Suze.

- W Dywizji mamy - oznajmiłam. - Tylko że nie kierujemy innymi, sami siedząc na tyłach.

Suze wydawała się tak zmartwiona, że musiałam ją uspokoić.

- Ale robimy kopie zapasowe - zapewniłam ją.

Kopie zapasowe to kontrowersyjny temat. Zostawiłam Malleya, rozmawiającego z Andreąo dostępnych zarejestrowanych obserwacjach bramy korytarza, oraz Suze wyjaśniającą Tony'emu swoje zainteresowania i badania, usiadłam, nalałam sobie kawy i zaczęłam się martwić.

Ogólnie rzecz biorąc, istnieje kilka metod sporządzania kopii zapasowych: bezinwazyjne techniki skanujące żywych, wlewki inteligentnej materii w przypadku umierających i niedawno zmarłych. Końcowy efekt to zdjęcie stanu mózgu, aż po ostatni neuron i synapsę. Stan ten może zostać zreplikowany w „czystym” mózgu, zwykle - choć niekoniecznie - wyhodowanego klona osobnika oryginalnego.

Zewnętrzni udoskonalili tę technikę już dawno temu, w latach pięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku, a my nauczyliśmy się tego od nich. Z czasem doprowadzili do perfekcji o wiele szybszą metodę „uruchamiania” skopiowanego umysłu, rozwijania stanu umysłu od jego ostatniej chwili po następną, i jeszcze następną... czy to w mechanizmie robota, czy w wirtualnej rzeczywistości, czy w kombinacji obu tych stanów. Nazywali to instalacją, ale tego nie robiliśmy. Do tego celu trzeba było mieć autonomiczną sztuczną inteligencję, a cały proces miał własną logikę, która prowadziła nieuchronnie do Osobliwości, Wniebowzięcia dla idiotów, jak nazywał to Tony.

Ponieważ: kiedy mózg znalazł się poza ciałem, kiedy działał dzięki silikonowi, a nie związkom węgla, otoczony sztuczną inteligencją, która w każdej chwili służyła mu pomocą, nie było sposobu go powstrzymać, a działał tysiąc razy szybciej i rozszerzał swoje umiejętności - wiedzę, zmysły, zasoby pamięci - poprzez dołączanie nowego materiału. Zainstalowany mózg mógł być rozbudowywany, a przy każdym rozbudowaniu stawał się doskonalszy i szybszy. A to prowadziło do ucieczki sztucznej inteligencji: Osobliwości.

Zewnętrzni uważali, że nie jest to takie złe. Uważali też, że już dawno należało wyrugować ludzkość. My, którzy z rozmaitych powodów zamierzaliśmy pozostać ludźmi, mogliśmy nawet to zrozumieć. Niepokojąca myśl, że instalacje nie mają duszy ani uczuć, że są bezrozumnymi produktami współzawodnictwa rozumów, że subiektywność jest (jak wyraził się odkrywca Shin Se-Ha) „właściwością węgla”, nawet nam wydawała się absurdalna. Wszystko wskazywało na to, że przypuszczalni nadludzie zwariowali, co do jednego. Wyjątki, na przykład ci, którzy przetrwali Projekt Jowisz i stali się Jowiszanami, stały się szkodliwe.

Szkodliwe dla nas.

Doświadczenie oraz długotrwały konflikt, który nastąpił potem, utwierdziło nas w naszych przekonaniach. Pierwsze dyskusje z Zewnętrznymi (dawno temu, kiedy byli ludźmi z krwi i kości, jak my) doprowadziły nas do ustalenia teorii, która -jak zauważył Malley -denerwująco przypominała ideologię: maszyny nie myślą, tylko kalkulują; tylko ludzie potrafią liczyć; instalacje są martwe, a kopie to nie oryginały.

Co dla każdego, kto chciałby się zastanowić nad sensem robienia kopii zapasowych, było dość niepokojące. A już szczególnie nie-

-100-

pokojące dla tych, którzy po przebudzeniu stwierdzili, że są kopią stworzoną z danych zapasowych.

Tak mi mówiono; i wkrótce, jeśli moje ewentualne spotkanie z nowymi Jowiszanami nie pójdzie dobrze, sama się o tym przekonam.

Może... może nie ja, lecz inna kobieta, taka sama jak ja, kobieta z moim imieniem, moją twarzą, moimi wspomnieniami, w tym również wspomnieniami o dzisiejszych rozważaniach. Życzyłam jej szczęścia.

Malley siedział na leżance z podniesionym oparciem. Yeng zajmowała podobnie przysposobiony mebel o parę kroków od niego. Mieli przed sobą ekrany komputerów,

standardowy typ spotykany w Unii i Dywizji - zrobione z dwóch warstw cienkiego,



twardego szkła, mniej więcej sto centymetrów na sześćdziesiąt, z grubą warstwą kolorowego płynu pomiędzy nimi. Różnobarwny płyn był po prostu czystą wodą rojącą się od nanomaszynek, obarczonych maleńkimi cząsteczkami w rozmaitych kolorach. Zgodnie z instrukcjami przenoszonymi przez chemiczne i elektryczne impulsy, nanoma-szynki formowały wykresy, ruchome obrazy i tekst.

Na ekranie Malleya nie było niczego prócz przesuwających się stronic tekstu. Jego palce śmigały po podkładce przytwierdzonej pod ekranem. Nie potrafiłam dostrzec, co robi, pisze czy czyta. Symbole na ekranie mogły być naszymi danymi lub jego obliczeniami. Z kącika ust zwisała mu fajka, z której co parę sekund unosiły się obłoczki dymu. Szybowały ku górze, aż wreszcie ginęły w systemie wentylacyjnym. Wiedziałam, że lepiej się do niego nie odzywać. Zresztą wątpiłam, żeby odpowiedział.

Natomiast Yeng spojrzała na mnie tak, jakby miała okropną ochotę opowiedzieć mi, co robi. Uniosła się i skinęła, zapraszając mnie do zajęcia miejsca obok niej.

Na leżance było nam całkiem wygodnie, choć potrzebuję więcej przestrzeni niż ona.

Jedną z zalet takiego rodzaju komputera nad dawnymi, niebezpiecznie zawodnymi komputerami elektronicznymi jest możliwość stworzenia warsztatu i laboratorium biochemicznego. Można fizycznie wyizolować niewielką przestrzeń - nazywaliśmy to

fikselem -na ekranie i rozpocząć prawdziwą nanodukcję. Była zbyt mała, by dostrzec ją gołym okiem, ale bez trudu dawało się powiększyć jej widok na reszcie ekranu.

-101-

Ekran, na który spojrzałam, ukazywał linię na górze oraz jakiś tuzin kolumn.

Yeng wskazała je palcem.

- Ostatni wariant ich transmisji radiowej. Sygnały trwają dziesięć sekund.

Sprawdzam na szeregu przyrządów - radiu, telewizji, radarze, mechanicznych

komputerach różnych rozmiarów, które mogą odebrać sygnał przypadkiem. Nawet na

ludzkich barwnikach wzrokowych. Zaczynam.

Wiadomość została wyemitowana - bezgłówny i niewidzialny puls, reprezentowany przez falę zmierzającą od linii na górze do szczytu szeregu kolumn. Zniosły ją - lub kompletnie na nianie zareagowały - wszystkie mechanizmy z wyjątkiem jednego, którego kolumna zaczęła błyskać. Yeng usunęła resztę i powiększyła migającą kolumnę. W obwodzie zminiaturyzowanej wersji naszego standardowego radaru sygnał

wywołał falę, która - kiedy Yeng połączyła radar ze zbiorem nanokomputerów - wniknęła w nie i zniszczyła.

- Paskudnie - powiedziałam. - Teraz biorą się za babbage. To coś nowego.

Yeng odpowiedziała uśmiechem.

- To prawda, ale wydaje mi się, że mogę to zneutralizować. - Oznaczyła wiadomość i przeniosła ją do fiksela, zawierającego złożoną molekułę organiczną, której wielkie ilości odkryto niedawno w atmosferze Jowisza. Znalezione w niej interesującą umiejętność niszczenia mechanizmów naszych nanobotów, zajmujących się pancierzem statku.

- Hmm - mruknęła Yeng, ssąc kosmyk swoich długich, granatowoczarnych włosów. -

Pewnie podchwycili coś naszego. Chyba że to przypadkowe, co wydaje się niemożliwe. - Przywołała model mechanizmu D-3. - Hmm - powtórzyła. Uznałam, że

pora zostawić ją samą.

- Wiadomości dla ciebie - powiedziała Yeng.

Był poranek czwartego dnia podróży. Powoli wszystko podporządkowało się rutynie. Załoga nie miała zbyt wiele roboty, jeśli nie liczyć czytania, oglądania filmów, przyglądania się gwiazdom, gier i uwodzenia Suze. Malley był pochłonięty oglądaniem zarejestrowanych obserwacji Bramy. Godzinami gapił się na dziwne

obrazy, a potem wbijał wzrok w arkusz papieru, który bardzo powoli zappełniał się równaniami. Yeng przebijała się przez programy antywiru-

-102-

sowę, rozbudowywała je, rzucała do walki z pochwyconymi wirusami Zewnętrznych (niektóre z nich były komputerowe, inne niemal dosłownie biologiczne, molekularne silniczki niosące zniszczenie) oraz rozmnażała te, które przetrwały. (Ten darwinowski proces także należało dozorować - jak wnikać do systemu, jeśli nie poprzez subtelne kierowanie i manipulowanie atakami wirusa, dzięki którym dokonywała się ewolucja programu?)

Przed chwilą zajrzałam do naszej poczty. Parę nieuniknionych wiadomości, przeważnie o przybyciu i odjeździe, przyszło bezpośrednio, choć nawet wówczas bariery obronne zachowały aktywność. Skrzynka pocztowa była przeznaczona na mniej pilne lub osobiste wiadomości, z których każda przechodziła kryptograficzną kwarantannę. Yeng podała mi fiolkę z kulturami nanomaszynek, na których została zapisana laserowa wiadomość.

Mój kombinezon zjadł ją i wyświetlił mi wiadomości przed oczami.

- Masz cholerne kłopoty, Ellen May Ngwethu - brzmiała pierwsza. Zobaczyłam nachmurzoną twarz Sylvestra Tatsuro, obecnego przewodniczącego Komitetu Dowodzenia. - Komitet Badań właśnie przegłosował wotum nieufności wobec ciebie,

więc nie jesteś już oficerem łącznikowym. Prosimy nas, żeby zawrócić statek na Lagran-ge i zabrać przedstawiciela Rady Solarnej, który osobiście przeprowadzi dochodzenie. Nasze intencje wzbudziły wiele wątpliwości. -Pozwolił sobie na przelotny uśmiech. - O czym nie wie jeszcze nikt spoza Dywizji. Nasza samodyscyplina na razie wytrzymuje atak, ale organizacje Obrony Ziemi dają upust zwykłej zazdrości wobec nas i szerzą najróżniejsze plotki. Na szczęście zrozumieli wszystko zupełnie na opak i podejrzewają, że staliśmy się Zgodnymi! Najwyraźniej twoje nieporadne wywiezienie Malleya spowodowało poruszenie, a różni ludzie, którzy widzieli, jak rozmawiałaś z Wilde'em, wypowiadają się

publicznie. Naturalnie prawdziwi Zgodni robią z tego sensację i sugerują, że wreszcie zmądrzeliśmy i chcemy skontaktować się z Jowiszanami. Ogłosiłem komunikat, w którym twierdziłem, że jest to ostatnia rzecz, jaka przyszlaby nam do głowy i że jesteśmy równie czujni, jak zawsze. - Kolejny uśmiech. - Nie mam powodu rozgłaszać, że jesteśmy nawet jeszcze czujniejsi. I, na koniec, wszystko to wywołało zainteresowanie Jowiszem. Paru naszych astronomów w Odległym dało sobie spokój z rutyną i po raz pierwszy od dziesiątków lat zaczęło przyglądać się naszej planetce. Już teraz zauważyli pewne... niezwykle cechy. Jednym słowem, potrzą-

-103-

snęłaś gniazdem szerszeni. Wszyscy cię kryjemy, ale kiedy wylądujecie, spodziewam się wyjaśnień. Na marginesie, nie oczekuję odpowiedzi na tę wiadomość. Do zobaczenia, towarzyszeko.

Nastąpiła może sekunda ciszy, zanim obraz się wyłączył. W tym ułamku chwili głowa Tatsuro pochyliła się, co można było uznać za ukłon, a jedna powieka drgnęła w czymś na kształt perskiego oka.

Dawno temu zawarliśmy prywatne porozumienie, określające, co będziemy robić, jeśli wydarzy się najgorsze: plan B. Było to coś, o czym nie mieliśmy odwagi rozmawiać. Nawet myśli o tym przyprawiały mnie o niepokój. Ale jakiegokolwiek popełniłam błędy, Tatsuro potrzebował mojej pomocy. Będzie mnie bronił przed oskarżeniami - osłaniał, jak się wyraził.

To, że ciągle cieszyłam się jego zaufaniem, było dla mnie jedyną pociechą.

Pozostałe wieści zaniepokoiły mnie i rozdrażniły. Powstrzymałam się przed innymi reakcjami i zaczekałam, aż kombinezon puścił mi drugą wiadomość.

Była od Carli z rzeczno patrolu na Tamizie. Zobaczyłam ją, siedzącą w małym pokoiku, wokół porzrzuconych ekranów i papierzysek.

- Wiadomość dla Ellen May Ngwethu z „Terrible Beauty” -zaczęła ze skrzepowaniem.

- Ellen... eee... właściwie nie powinnam ci tego mówić, ale, no, wydawałaś się całkiem rozsądna. Dowiedziałam się, dlaczego nie dostaliście odpowiedzi z Portu

Aleksandry. Paru sąsiadów z Obrony Ziemi było tam w tym samym czasie. Ostrzegli przed jakąś radiową łącznością między niezależnymi i możliwością przecieku wirusów z Jowisza. Wiesz, wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że niezależni używają radia i okazuje się, że Port Aleksandry, rzeczny patrol i tak dalej miał ciszę radiową, na wszelki wypadek. Ludzie z Obrony Ziemi rozmawiali z naszym komitetem

i wygląda na to, że interesują się tym człowiekiem, którego zabrałaś, doktorem Malleyem. Czekali, żeby zobaczyć, co zrobi, a muszę powiedzieć, że nie byli specjalnie zachwyceni, kiedy „Terrible Beauty” nagle spadła z nieba i go zabrała. Teraz się pieklą. - Westchnęła. - Prawdę mówiąc twierdzą, że Malley i Dywizja kontaktowali się już od pewnego czasu, a niezależni tak bez troski używali radia, ponieważ Malley zachęcał ich do tego. Wy też. Ma to być jakiś eksperyment, żeby przekonać się, jaki wpływ na ludzi mają komunikaty z Jowisza. Wiesz, podobno testowaliście je na biednych niezależnych zamiast na waszych ludziach. Wyobrażasz sobie, co się tu teraz dzieje.

-104-

Wyobrażałam sobie, a jakże.

- No i - ciągnęła Carla - to właściwie tyle. Jestem pewna, że to jakieś nieporozumienie, więc teraz wszystko zależy od was. Wszystkiego najlepszego. - Uśmiechnęła się z przymusem i sięgnęła po wyłącznik.

Wirtualny obraz rozplynął się i ujrzałam zatroskaną twarz Yeng. -Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - zapewniłam ją, wstając.

- To nie jakieś osobiste złe wieści? Uśmiechnęłam się i objęłam ją.

- Nie, nic podobnego. Problemy polityczne, to wszystko. Przyjrzała mi się czujnie i wróciła do komputera. Spojrzałam na jej plecy i na nieświadomego niczego Malleya. Potem odszukałam Tony'ego. Siedział w stołówce i czytał. Jego oczy poruszały się, śledząc niewidzialne strony. Na dźwięk moich kroków zamrugał powiekami, żeby zamknąć książkę.

Spojrzał na mnie, unosząc brwi. Skinęłam lekko ku stolikowi w kącie, gdzie Borys rozmawiał z Suze nad gwałtownie opróżniającą się butelką wódki.

Tony skinął głową, pokazał mi pięć palców i wrócił do lektury. Wzięłam kawę i poszłam po schodach do galerii sypialnej i mojego pokoju. Tony zjawił się po pięciu minutach, tak jak obiecał. Zapukał do pokrywy luku i wszedł, pochylając głowę. Usiadł przede mną, na rozpostartej kołdrze zewnętrznego kombinezonu.

- Ciągłe nastroje macierzyńskie - zauważył. - Hm, nie wiem, czy zdołam powściągnąć żądzę.

- Lepiej powściągnij - mruknęłam. - Pod tym wszystkim jestem ja.

- Przestań... Nie zaprosiłaś mnie, żebym to z ciebie zdał, więc... Wysłuchał streszczenia obu wiadomości. Potem położył się na wznak i spojrzał w sufit, podkładając sobie dłonie pod głowę.

- Wydawało mi się, że mamy umowę. Obrona Ziemi... towarzysze... prawdopodobnie usiłują wepchnąć się w nasze sprawy. Na pewno nie uważają, że zamierzamy dążyć do ugody, co to, to nie. Myślą, że zamierzamy wygrać wojnę w chwili ich nieuwagi, zebrać wszystkie zaszczyty dla siebie, oznajmić, że Układ Słoneczny jest do dyspozycji i zabrać sobie na własność jego spory kawał.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Obrona sądzi, że chcemy rozpocząć... co, kontrrewolucję? Rozwiązać Unię Solarną? To szaleństwo.

-105-

- Muszą się o to martwić, to ich zawód.

- Dobrze, przyjmuję, że masz rację. Ale chciałabym cię raczej spytać...

-Tak?

- ..czego dowiedziałeś się o naszej ślicznotce.

- Ach, skromność nie pozwala mi tego wyznać. A poza tym: jest zwykłą miłą dziewczyną. Wychowała się w Unii i naprawdę nie wyobraża sobie niczego innego. Wszystkie konflikty, jakie zna, miały miejsce głównie w kółku dyskusyjnym.

Westchnął.

- Gorące debaty na temat tego, jaki gatunek będzie badany w tym roku. To trochę... zbijające z tropu, mówić do kogoś tak młodego. Już dawno nie miałem spotkania trzeciego stopnia, a nie chciałem...

Uśmiechnął się i spojrzał w bok.

- Pomimo wszystkich okrzyków, które mogłaś usłyszeć...

- Teraz ty przestań. Myślisz, że jest czysta?

- Tak. Sądzę, że to miła, zwyczajna dziewczyna, która nie ma pojęcia, jak trudne może być życie. Ta dzisiejsza młodzież, co?

- Jest jedna sprawa, przy której robi się naprawdę twarda. Chce, żeby powstrzymać wirusy. Chce ekspansji.

- Powiedziała ci to?

- Nie, zgadłam.

- I dobrze zgadłaś. Wyznała mi, że Nowy Mars ją fascynuje.

- Tak jak i Sama Malleya. A on mi to powiedział. Jeśli tym, czego Suze naprawdę chce, jest koniec tej rozgrywki, może...

- Mogłaby wpłynąć na nasze działanie?

- Tak. I mogłaby mieć wpływ na poglądy Malleya, zwłaszcza jeśli... no, mają wiele wspólnego.

Tony spojrzał na mnie; bioświatełka pełzały mu po twarzy.

- Jesteś niepoprawna. Wzruszyłam ramionami.

- Musisz przyznać, że z każdym dniem wygląda i pachnie coraz lepiej.

- Będziesz moją dłuźniczką, jeśli przegram słodkie młode ciało Suze do tego starego reakcjonisty.

- Skoro nalegasz...

- No dobrze - dodał minutę później. - Nie możemy dopuścić, żeby ludzie myśleli, że spiskujemy czy coś w tym rodzaju.

-106-

- Rzeczywiście - zgodziłam się, usiłując znaleźć sposób rozpięcia najbardziej szczelnych wewnętrznych warstw kombinezonu. - Jeszcze zaczną się plotki.

Tego wieczoru po kolacji podeszłam do Suze i usiadłam z nią w kącie.

- Ciekawie się gadało z Borysem? Oczy jej zabłysły.

- Jest niesamowity! Prawdziwy chinosowiecki weteran! Jeszcze nigdy nikogo takiego nie spotkałam. Jest jak... żywy podręcznik historii.

- Ha - mruknęłam. - Ten podręcznik nie zawsze jest wiarygodny. Wspomnienia Borysa nieco się wykrzywiły po drodze.

(Było to bardzo życzliwe określenie.)

- Co? Więc nie było ludzi z dwoma głowami? Ani yeti? Ani zagubionych legionów reanimowanych ofiar USA/ONZ? - spytała z uśmiechem.

- Niestety. Przynajmniej nie takie, jakimi je opisuje. Na stepie i w lasach Europy faktycznie spotykały ich dziwne rzeczy, między innymi halucynogeny taktyczne. To wiemy na pewno, więc reszty nie możemy być pewni.

- No tak - powiedziała z żalem. - No dobrze - zerknęła na mnie z ukosa. - Nie przyszłaś, żeby porozmawiać o wojnach o demokrację. Chodzi ci o wojnę, która nadchodzi.

- To prawda. Przepraszam, że jestem tak...

- Nie szkodzi. Już miewałam takie pogadanki. Mówisz coś niestworzonego i nie dzieje się nic oprócz tego, że ludzie zaczynają się sprzeciwiać. A ty z pewnością spotkasz jakiegoś starego towarzysza, który wpadnie z przyjacielską pogawędką, żeby skierować cię na właściwą drogę.

- Nie jestem starą towarzyszką!

- Ależ jesteś. Wszędzie poznałabym to spojrzenie. Tolerancja zrodzona z niewzruszonej pewności, że to ty masz rację.

Wobec czegoś takiego musiałam się uśmiechnąć i przytaknąć, ponieważ sama znałam

to spojrzenie, nawet jeśli nigdy nie zauważyłam go w lustrze.

- W porządku, Suze. Prawda wygląda tak, że musimy wygrać. Tak jest od stuleci: oni nas prześladują, my ich niszczymy. Nikt

-107-



nigdy nie powiedział, że nie powinniśmy tego robić. Trzeba to dokończyć.

Spojrzała na mnie ze strapieniem.

- Tak, ale to takie nieodwracalne! Wszystko się zmieni. Energicznie skinęłam głową.

- Owszem. Ale jeśli my tego nie zrobimy, wszystko zmieni się na gorsze. Przy naszym udziale rzeczywistość stanie się lepsza. Wreszcie będziemy mogli dokonać prawdziwej ekspansji. Zresztą musimy to zrobić. Wiesz, ile dzieci teraz się rodzi?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Tak. Ale to, co proponujesz przypomina mi... to, o czym czytałam, dawne czasy. Lebensraum. Manifest Przeznaczenia. I w ogóle.

Niemal pożałowałam, że nie kryłam niczego (prawie) przed nią i Malleyem. Ale w przyszłości mieliśmy toczyć dziesiątki takich dyskusji. Kiedy przybędzie przedstawiciel lub przedstawicielka Rady Solarnej, nie da się ogłupić i rozpowie wszystkim. Wtedy dopiero się zacznie.

- To nie tak - oznajmiłam - Naprawdę. Zewnętrzni... Jowisza-nie... to nie ludzie. W żaden sposób nie przypominają ludzi. To inteligentne wirusy komputerowe, a my mamy szansę dokładnie wyczyścić dysk. Jeśli jej nie wykorzystamy... - zawałam się, ponieważ doszłam do rdzenia moralności Dywizji, naszego Centralnego Dogmatu, który nie podoba się ludziom, wiodącym bardziej bezpieczne życie - ..oni zniszczą nas lub wykorzystają natychmiast, kiedy zauważą tę możliwość. Albo my, albo oni.

Suze zastanowiła się głęboko.

- Dobrze, rozumiem. Staram się wyobrazić sobie, jakbym się czuła, gdyby ktoś opanował mój mózg, tak jak to było ze starymi komputerami za czasów Infekcji i... - Zadrzała. - Zrobiłabym wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Wolałabym umrzeć.

- Bardzo dobrze. Ale do tego nie dojdzie, ponieważ my wolimy ich zabić.

- Ale najpierw spróbujecie z nimi porozmawiać? Tak jak obiecaliście?

Choć nasz przewodniczący prawie obiecał, że tego nie zrobimy.

- Oczywiście.

Zaczęliśmy rozmawiać o mniej bolesnych problemach, a kiedy po paru drinkach wreszcie się rozstałyśmy, byłam całkowicie pew-

-108-

na, że wypróbowana i sprawdzona technika przyjacielskiej rozmowy ze starą towarzyszką jest nadal najlepszym z możliwych wynalazków.

6 Wafdaffa

Zabawne - zauważyła Suze. - Zawsze mi się wydawało, że Jowisz widziany z Callisto zajmuje pół nieba, a wszystko inne tonie w ciemnościach.

- Nie przejmuj się, dziewczyno - powiedziałam. - Jowisz jest ponad półtora miliona kilometra od nas, a mnie ciągle wydaje się duży.

Była godzina ósma czterdzieści osiem czasu Greenwich dziesiątego dnia podróży.

Znajdowaliśmy się na orbicie Callisto, globu o powierzchni pokrytej lodem i podziurkowanej kraterami. Charakterystyczny wygląd ostrzelanego szkła. Obok nas przesunęły się pierścienie Walhalli, a nad horyzontem unosił się ogromny Jowisz.

Na obu widać było efekty działania myślących istot: heksagony czyniące z Jowisza gigantyczny plaster miodu, j jeszcze po dwustu latach napełniający mnie

przeżeniem. Na Callisto -jaskrawe zielonożółte bąble równikowych wiosek kraterowych, ciemne wieże laserów obronnych, długie białe linie torów pomiędzy dryfującymi blokami lodu. Callisto ma w swojej lodowej skorupie cztery razy

więcej wody, niż Ziemia we wszystkich oceanach. Wykatapultowane ku Jowiszowi lodowe bloki sunęły niespiesznie na powolnych orbitach transferowych do Systemu

Wewnętrznego. Woda, którą zatankowaliśmy na orbicie ziemskiej, przebyła całą

długą drogę z Callisto, a mimo to nadal warto było to robić; to o wiele bardziej

wydajne, niż wyciąganie wody z ziemskiej studni grawitacyjnej czy zeskrobywanie szronu z polarnych cieni Luny.

Pomiędzy tym najodleglejszym z dużych księżyców Jowisza a nim samym znajdował

się pierścień; jego krawędź wyglądała pod tym kątem i z tej odległości jak niewiarygodnie słabe światełko, a po

-109-

dłuższej obserwacji przybierała postać białej półokrągłej wstęgi. Słońce nadal dawało się rozpoznać jako nasze ziemskie słońce, ale jego światło sprawiało jedynie, że dni były jasne. Nie oszałamiało ani nie przepalało skóry na wylot; wyglądało o wiele bardziej naturalnie niż na Ziemi.

- Wszyscy zapiąć pasy! - ryknęła Andrea. - Hamowanie za dwie minuty!

Oderwaliśmy się od szerokich ekranów i zajęliśmy miejsca na leżankach.

Przypięłam się, ściągnęłam na dół nadal dryfującą Suze i delikatnie popchnęłam ją na miejsce. Przetoczyła się, chwyciła czegoś i odwróciła. Malley siedział

przypięty już podczas swobodnego spadania. Miał mocno zaciśnięte powieki.

Zmarszczki, które w ten sposób powstały, były jedynymi najego odmłodzonej twarzy.

Fizjologicznie był teraz w wieku Suze, ale jego odruchy, nawyki i oczekiwania układu nerwowego pozostały przyzwyczajeniami człowieka, który żył przez dwieście

sześćdziesiąt lat w tej samej grawitacji. Suze, mająca mniej nawyków, szybciej się adaptowała.

- Hamowanie za dziesięć, dziewięć, osiem...

Właściwie nie było potrzeby odliczać, ale Andrea także miała dawne nawyki. Tym razem hamowanie było krótsze i mniej uciążliwe, niż przyspieszenie na Ziemi.

„Terrible Beauty” podeszła do lądowania i usadziła się w lądowiskowym kojcu jak jajo. Cisza, która zapanowała nagle po umilknięciu silników, wypełniła się złowrogim skrzypieniem.

- Woda zbiera się pod stosem atomowym - wyjaśniłam Suze i Malleyowi. - To rozmarzanie. Kojec, na którym siedzimy, ma podstawę sięgającą głęboko w lód, więc jesteśmy całkowicie bezpieczni.

Wstaliśmy uśmiechnięci i trochę poskakaliśmy sobie w słabszej grawitacji, pokrzykując i wpadając na siebie. Czuliśmy się, jakby zdjęto z nas wielki

ciężar. Suze i Malley przyjrzeni się nam, po czym też zaczęli eksperymentalnie podskakiwać.

- Dobrze być w domu - oznajmiłam, rozdając zbiorniki z powietrzem jak kieliszki szampana. Przypięłam swój na piersiach kombinezonu, który otoczył go i wchłonął.

-1 już? - upewnił się Malley.

Przytaknęłam, pokazując im równie proste techniki przygotowania kombinezonu do warunków panujących w próżni. Mój kombinezon zlikwidował co bardziej efektowne

ozdoby i stał się bardziej obcisły. Czulałam, że jego wewnętrzne warstwy pozbywają się

-110-

buduarowych fidrygalkówi stają się funkcjonalnym, izolującym jednoczęściowym strojem, otulającym mnie od czubków stóp aż po brodę. Włożyłam kaptur i mruknęłam:

- Zamknąć hełm.

- Śmiesznie wyglądasz - zauważyła Suze. - My chyba też.

- To bardzo praktyczne - wyjaśniłam. - Dzięki tym kolorom jesteś bardziej widoczna na powierzchni. W razie niebezpieczeństwa lub sytuacji alarmowej to może uratować ci życie.

- Aha - potwierdził Malley, wskazując swoje wściekle fioletowe odzienie. - Zrobisz wszystko, żeby nie umrzeć w czymś takim.

Przeszliśmy przez komorę powietrzną i parami wynurzyliśmy się z wnętrza statku. Winda czekała na nas przy brzegu kojca. Pomogłam Suze przedostać się na nią i razem zaczekałyśmy na dole na innych. Znajdowaliśmy się trzydzieści metrów nad powierzchnią. Wokół rozciągały się płaszczyzny brudnego lodu, dziesiątki podnośników i kojców, setki pełzających pojazdów, dziesiątki setek ludzi w jaskrawych kombinezonach. Z tej wysokości wyglądali jak anormalny gatunek różnokolorowych mrówek. Na horyzoncie wznosił się jeden z pierścieni - murów Walhalli. Złomy lodu dryfowały po niebie niczym zabłąkane meteory, pojawiające

się mniej więcej raz na minutę.

Poczułam, jak zawsze, że wróciłam do domu. Dosłownie zakręciło mi się w głowie od świadomości, że wróciłam szczęśliwie i że za parę minut otoczy mnie ludzki gwar w lodowych jaskiniach - a także od absurdalnej wdzięczności dla nieboskich, bezrozumnych sił, które umieściły tę cenną oazę wody w tak dogodnym dla człowieka miejscu. Pierwsi osadnicy kosmiczni ukuli powiedzenie, coś pomiędzy litanią i dowcipem. Szło to tak: „Gdyby Bóg chciał, żebyśmy żyli w kosmosie, dałby nam Księżyc; gdyby chciał, żebyśmy przekształcali oblicze planet, dałby nam Marsa; gdyby chciał, żebyśmy pracowali w kopalniach na asteroidach, dałbym nam Pas; gdyby chciał, żebyśmy stali się kolonizatorami, dałby nam Callisto". I tak dalej. Szczegóły, a także imię i płeć owego bóstwa ulegały odmianom, ale treść była taka sama. Istniały próby ponownego sformułowania tej myśli za pomocą filozoficznie poprawnych terminów, jako odrębny przypadek reguły antropologicznej, ale zawsze wydawały mi się dość nienaturalne.

Jeśli rzeczywiście, jak się teraz uważa, Bóg nie istnieje, wszyscy muszą przyznać uczciwie, że gatunek ludzki ma niesamowite

-111-

szczęście. Trzeba być zwycięzcą w tej kosmicznej loterii, gatunkiem, na którego korzyść działały wszystkie zbiegi okoliczności, od wyginięcia dinozaurów po nadejście lodowca; gwiazdy sprzyjały pomysłowi podróży kosmicznych. Oto nasz prawdziwy horoskop przeznaczenia, nieskończenie potężniejszy niż jakakolwiek przepowiednia astrologiczna.

Istnienie innych form życia było pewne: w Układzie Słonecznym aż się roilo od substancji organicznych, a nasze teleskopy dostrzegły biosferę na planetach znajdujących się poza Układem. Wilde twierdził, że na Nowym Marsie można spotkać

wielokomórkowe organizmy, pokłady skamielin i węgla. Być może istnieje gdzieś także inna inteligencja, ale co do tego niebo zachowuje martwe milczenie.

Niewykluczone, że obce cywilizacje osiągnęły ogromny poziom myśli technicznej,

lecz nie ma pomiędzy nimi łączności radiowej ani podróży kosmicznych. Gwiazdy nadal należą tylko do nas.

Spojrzałam na rojne, gwarne, przyjazne lądowisko; wejście do najbliższego tunelu obróciło się ku nam. Reszta załogi dołączyła do mnie parami, zatopiona we własnych myślach. Zabrzęczało nowo wbudowane laserowe połączenie komunikacyjne  
mojego hełmu.

- To miejsce jest lodowate - powiedziała Suze.

Schody ruchome i podziemny pociąg wywiozły nas z lądowiska do głównej kwatery Dywizji u podstaw Walhalli, dziesięć kilometrów pod lądowiskiem i półtora pod skorupą lodową. Zjazd schodami w znacznej mierze był swobodnym spadaniem ze stopniowym hamowaniem na końcu. Podziemny pociąg natomiast przez większą część

podróży mknął na czymś w rodzaju łyżew. Malley spytał o trzęsienia skorupy lodowej. Wyjaśniłam, że Callisto jest najbardziej stabilnym z większych księżyców. Nie wydawał się przekonany. Wszystkie te kratery, które wyglądają, jakby wybuchły przed chwilą, zrobiły na nim niedobre wrażenie.

Kwatera główna Dywizji stanowiła plątaninę tuneli i komór, uszczelnionych sprejem izolacyjnym, lekko pachnącym smołą i zabarwionym według tak dziwnego klucza, że zaprzestano tego procederu natychmiast po dokonaniu uszczelnień.

Stanęliśmy przed wewnętrznym wejściem do głównej komory powietrznej. Nasze hełmy

zwinęły się i spoczęły nam na ramionach. Powietrze było chłodne, pachnące raczej ludźmi niż maszynami, bez tego roślinnego aromatu

-112-

co na statku. Z oddali dobiegał szum pomp powietrznych; podłoga wibrowała nam lekko pod stopami.

Przed nami rozciągał się jasno oświetlony żółty korytarz, krzyżujący się z niebieskim. Co chwila przechodzili nim ludzie; poruszali się dobrze mi znanymi

ruchami charakterystycznymi dla słabej grawitacji i znanymi jako „księżycowe susy”. Dostosowane do tego korytarze nigdy nie liczyły mniej niż cztery metry wysokości.

- Nie ma strażników? - zdziwił się Malley. - Nie ma recepcji?

- U nas nie... - zaczęła Suze i zamilkła, powstrzymana jego gestem. Uśmiechnęła się. - Dobra, dobra.

Moi ludzie zaczęli zmieniać kombinezony w stroje właściwe dla słabej grawitacji. Suze przekształciła swój w drelichowy ubiór roboczy i plecak. Ja zdecydowałam się na błękitne spodnie i top ze sztucznej skóry, przezroczystą koszulę oraz torbę na ramię. Malley zaskoczył mnie - i chyba samego siebie - średniowiecznym przyodziewkiem, z obcisłymi nogawicami, spodenkami, tuniką i płaszczem z mnóstwem czarnego futra.

Poprowadziłam naszą gromadę korytarzem, skręciłam w lewo i szłam tak długo, aż błękitny zmienił się w czerwono-biały. Przyjrzałam się wiszącej na ścianie ręcznie wypisanej kartce, skręciłam przy najbliższym skrzyżowaniu i zatrzymałam się przed drzwiami niedawno zorganizowanej sali konferencyjnej. Tu wreszcie spotkaliśmy strażnika - faceta w ciężkiej zbroi, uzbrojonego w dwa pistolety i lekki karabin maszynowy. Rozpoznał mnie i skinął głową.

- Jesteśmy umówieni - rzuciłam.

Zapukałam i weszłam. Może i byliśmy umówieni, ale obecni w pokoju tkwili po uszy

w robocie i minęło parę minut, zanim zebrali się wokół długiego stołu, zajmującego dużą część obszernego pomieszczenia. Wokół niego stało mniej więcej dwadzieścia krzeseł. Reszta pokoju była jeszcze lepka od świeżej izolacji. Za stołem znajdował się ekran oraz parę terminali, a dalej bank średnich babage'ów, wypełniających chwile ciszy łagodnym klikaniem i ćwierkaniem. Między nimi pracował jakiś tuzin nieco znękanymi ludźmi: jako członkowie Komitetu Dowodzenia nie mieli doświadczenia w wykonywaniu tak podrzędnych prac. Przeciwległy koniec pokoju stał na czystym lodzie. Dziesiątki robotów pracowały

przy rozbudowywaniu pomieszczenia: odsysały wodę, filtrowały substancje organiczne, rozwijały przewody i kable i nanosiły warstwę izolacyjną. Z czasem nowe elementy ścian przymarzały pod jej osłoną.

8 Dywizja Cassini

— 113 —

Sylvester Tatsuro jako pierwszy podniósł głowę znad babbage'a, którego programował w pocie czoła. Podeszedł, żeby nas powitać. Był niewielkim krępy męczyzną z rzędnącymi czarnymi włosami, których nigdy nie starał się zagęścić, oraz wąskimi ciemnymi oczami. Miał na sobie coś w rodzaju szlafroka z zielonego futra, o rękawach nabijanych ekranopisami, a na szyi zawiesił sobie mały panel sterowniczy.

Uścisnął dłoń Malleyowi, skinął głową Suze i odwrócił się do mnie.

- Po co ją zabrałaś?

- Bo chciałam. Spotkałam jąprzypadkowo, ale mi pomogła i sądzę, że możemy wysłuchać jej poglądów.

Tatsuro wzruszył ramionami.

- Jest tu na twoją odpowiedzialność. Jeśli chcesz ją zatrzymać jako doradcę, proszę bardzo.

- Wstąpiłam do Dywizji - wtrąciła Suze.

- Witamy, towarzysko. W tym Komitecie jesteś wyłącznie doradcą. Możesz odejść, kiedy zechcesz, ale nie wolno ci się komunikować na własną rękę z nikim spoza Dywizji. Wszystkie próby zostaną zauważone i pociągną za sobą konsekwencje. -

Uśmiechnął się przelotnie. - Czuję się jak policjant z dawnych czasów, ale chyba rozumiesz, że muszę ci odczytać twoje prawa.

- Oczywiście, sąsiedzie - zapewniła go Suze. - Rozumiem. Jestem bardzo dumna, że mogę tu być.

- Dobrze - oznajmił Tatsuro z uśmiechem noszącym wszelkie pozory szczerości. - Co do reszty twojej gromadki... - dodał, patrząc na mnie.

- Moja załoga zostaje. Zmierzyliśmy się wzrokiem. Skinął głową.

- Co się tam dzieje? - spytał Malley, wskazując przeciwległy koniec pokoju.



Tatsuro obejrzał się w tamtą stronę.

- Montujemy filtry informacyjne dla danych zwrotnych z sond, które mają za parę godzin wejść w atmosferę Jowisza - wyjaśnił. - Oczywiście szczegółowe przetwarzanie danych jest zadaniem naszych zespołów naukowych, ale my sprawdzamy

pierwsi. To najlepszy sposób, by przekonać się, czy nie ma tam wirusów mózgu. - Uśmiechnął się blado. - Jeden z przywilejów naszej pozycji.

- Przemowa dobrego socjalisty - mruknął Malley.

-114-

Tatsuro odpowiedział półuśmiechem i wzruszeniem ramion, jakby nie chciało mu się dyskutować. Głośno zastukał w stół.

- Podejdźcie, towarzysze - zawołał bezceremonialnie. - To tam może poczekać.

Członkowie komitetu oderwali się od swoich zajęć i kolejno zajęli miej sca przy stole. Gestem nakazałam załodze, żeby rozproszyła się między nimi, zamiast siadać w zwartej grupie, a sama znalazłam się pomiędzy Malleyem i Suze. Tatsuro siedział po mojej prawej stronie, nie naprzeciwko. Nie zamierzałam dawać mu nawet cienia przewagi, skoro chciał mnie odpytać z tego, co zrobiłam na Ziemi.

Wyglądało na to, że nie miał takiego zamiaru. Pierwszym tematem dyskusji byliśmy oczywiście my, ale komitet - same znajome twarze, sami starzy przyjaciele - zadał nam tylko parę pytań po wysłuchaniu krótkiego streszczenia wypadków.

Dopiero kiedy wspomniałam o umowie z Malleyem, zaczęły się pomruki i ciche protesty.

- Nie braliśmy pod uwagę kontaktu - oznajmił Tatsuro. - To by zmieniło naszą sytuację. Znowu powstaną dyskusj e, które zakończyliśmy już dawno temu.

- Zmieniły się okoliczności - zaprotestowałam. - Nie wierzę, żeby wyszło nam to na zdrowie, ale jeśli taki warunek stawia doktor Malley za podzielenie się z nami swoimi przemyśleniami, zdecydowanie chcę spróbować.

Tatsuro pokręcił głową.

- To zbyt niebezpieczne. Nie możemy cię stracić, nie stać nas na to... i nie

będziemy marnować czasu na jakieś negocjacje.

- Możemy przygotowywać się do Uderzenia. Kontakt, jeśli w ogóle do niego dojdzie, nie musi nam przeszkadzać. Sądzę, że negocjacje mogą zostać zakończone przed terminem uderzenia. Zdażymy się wycofać, jeśli nie przyniosą spodziewanych efektów. Jeśli są tam umysły postludzi, z pewnością potrafią myśleć szybko - to jedno, czego jesteśmy pewni. A co do niebezpieczeństwa... czy to coś gorszego niż bezpośrednio obserwacje?

- Czy mogę? - odezwała się Yeng. Wszyscy pokiwali głowami. -To jest gorsze, Ellen. Musisz nawiązać łączność i bardziej się odsłonić niż przy obserwacji. Ale wzmocniłam obronę, a to - machnęła rękawem głębi pokoju - najwyraźniej zostało zainstalowane w celu filtrowania otrzymywanych informacji i izolowania ich.

- Zgadza się - warknął Tatsuro.

-115-

- Więc powinno zupełnie wystarczyć. Ale zalecam zrobienie kopii zapasowej... na wszelki wypadek.

Spieraliśmy się przez godzinę, ale wreszcie doszliśmy do porozumienia - właściwie do kompromisu. Nie musieliśmy nawet głosować. Osoby, których dotyczyło

to osobiście, ruszyły do roboty, a zebranie trwało dalej.

Yeng rozpoczęła proces sporządzania kopii zapasowej. Aparatura zawsze była pod ręką, ponieważ ten, kto wyciągnął krótką słomkę lub zgłosił się na ochotnika, mógł być jeszcze potrzebny. Cały zabieg trwał czterdzieści minut; dla mnie każda sekunda była zdecydowanie nieprzyjemna. Zaczęło się od macki, wpełzającej do nosa, a skończyło na leku przeciwbólowym na najgorszą migrenę świata -prawdziwy atak z dudnieniem w uszach i brudnożółtymi mroczkami przed oczami, kiedy ból zmienia się w doznawanie równoczesne.

Potem ustępuje, a na jego miejsce pojawia się tępa ulga. Stoję, trzymając na dłoni trzy centymetry sześciennie inteligentnej materii, w których została odbita moja dusza, a ona wtapia się w mój kombinezon i znikają jak w tanim triku; nie

mam niczego w rękawie.

- To cała ty - powiedziała Yeng. Potem nagle dotarł do nas absurd sytuacji i wybuchnęliśmy śmiechem. Zrobiło mi się trochę lepiej i wstałam. Komitet zaczął właśnie omawiać nadchodzącą wizytę reprezentanta Rady Solarnej. Jak zwykle, zdołali skupić się na konkretnym problemie, zostawiając poprzednią dyskusję do rozwiązania.

Podczas mojej próby odwagi ekran telewizyjny był przez cały czas odwrócony, a Malley oglądał w nim Bramę, z bliska i w czasie rzeczywistym. Zarysy Bramy były wyraźniejsze niż na starych nagraniach, ponieważ w czasie tych kilkudziesięciu lat otoczyliśmy ją całym arsenałem przyrządów i rakiet. Przyrządów używaliśmy do obserwacji, rakiet po to, żeby przesuwać położenie Bramy, która obecnie znajduje się pomiędzy zewnętrznymi księżycami. Obraz widoczny na ekranie pochodził z myśliwca, jednego spośród zwykłego roju strażników.

Tam, gdzie do niedawna stał ekran telewizora, teraz znajdował się inny, mniejszy, ukazujący dane na temat zbliżającej się Misji Kontrolnej, deszczu sond już teraz opadających na planetę. Obok spoczywał pulpit kontrolny oraz hełm dla tego wybrańca, który miał zejść razem z nimi.

- Przeprogramowałam je na odległość - odezwała się Yeng. - To standardowe jednostki nurkujące. Tu masz nagraną wiadomość,

-116-

samo powitanie i pierwsze pytanie. Możesz ją nadać na długościach fal, które Jowiszanie uważają za znane wyłącznie im. To jest izolowany rdzeń na wypadek jakiejś odpowiedzi.

- Skąd mam wiedzieć, które namierzyć?

- To jedyne, do których się przebijesz. Nie martw się, stanowią na tyle duży ułamek, że masz sporą szansę, żeby podejść blisko.

- W porządku - mruknęłam. Spojrzałam na ekran Misji Kontrolnej. - Zostało pięć minut.

Malley odwrócił się od swojego ekranu i podniósł kciuk do góry. Usiadłam i

włożyłam hełm z kamerą.

Jowisz widniał pode mną, a ja spadałam.

Najpierw uderzyła mnie niezwykła przejrzystość światła. Niby teoretycznie wiedziałam, czego mam się spodziewać, ale przywykłam do spoglądania na Jowisza z

dołu, z wielkiej odległości, przywykłam do skłębionej masy chmur i powierzchni jak plaster miodu. Zbliżenie i odległości pomiędzy tymi chmurami były dla mnie wstrząsem. Pomiedzy słupami chmur znajdowały się przepaście, w które Ziemia mogłaby wpaść aż po metaliczno-wodorowe jądro.

Setki sond, wymyślnych lecz opłacalnych, jednakowych jak kapsle w nanofabrykach, działały na zasadach pasywnej aerodynamiki: szybowce zbliżone wielkością i kształtem do kamiennych grotów strzał, o fasetach lśniących jak odłupany róg i o cienkich jak witki drzewcach, w których tkwiły kotwice. Za nimi ciągnęły się równoległe włókna lotek. Groty sond miały lotki i stery, więc można było sterować ich lotem, lecz wobec opóźnienia w obie strony, wynoszącego co najmniej dwanaście sekund, taka kontrola to po prostu zawracanie głowy.

Kiedy weszły w atmosferę przy prędkości stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę, zaczęłam przełączać się z sondy na sondę, szukając tych, które wydawały się kierować w interesujące miejsca. Pierwsza, na której się usadowiłam, spadała spiralą w czystym prądzie wstępującym ku jednemu z „gron pęcherzy” (nie byłam jeszcze gotowa nazywać ich miastami), który się w nim unosił. Przeskoczyłam na inną, która zmierzała prosto ku „ścianie” komory w plastrze miodu, i już na niej zostałam. Obok mnie migały pomarańczowe i różowe chmury.

Za moimi plecami - wrażenie było nieodparcie realne - sondy wystrzeliwały kotwice i opadały. Zanim zniknęła ostatnia, moja son-

-117-

da zwolniła do marnych siedemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów na godzinę i opadła na trzysta kilometrów w atmosferze, schodząc coraz ściślej szym wirem w

studni czystego wodoru ku gronu pęcherzy. Wcisnęłam kontrolne powierzchnie sondy

i zatrzymałam ją niemal dokładnie nad gronem, okrążając je niczym kołujący liniowiec. Grono miało tysiąc pięćset kilometrów średnicy i składało się z setek przezroczystych baniek. Tyle widzieliśmy już przez teleskopy; to i ślad ruchu wewnątrz.

Bliżej. Teraz widziałam już te czarne nitki, każda szeroka na co najmniej czterysta metrów. Wysnuwały się z bąbli i znikały w ścianach chmur. Wydawało się niewiarygodne, żeby nici łączyły się z innymi gronami, zważywszy odległości - ale jedyne inne wyjaśnienie, uznające je za jakieś wlotowe i/lub wylotowe rury, na razie pozostawało bez potwierdzenia, aczkolwiek nadzieja, iż są to zwykłe rury kanalizacyjne i wentylatory, wydawała się kusząca.

Jeszcze bliżej... ścianki baniek stały się zupełnie przejrzyste: złożone heksagonalne płaszczyzny w kracie mocnych białych podpór. Za nimi widziałam jakiś ruch - tak, bez wątplenia. Wiedziona bezmyślnym impulsem kazałam sondzie zwolnić tuż nad gronem. To, co zobaczyłam, było oczywiście zamazanym, trwającym

minutę obrazem, po którym nastąpiła ciemność, gdy sonda zanurzyła się w chmury. Odłączyłam się od sondy i włączyłam odczyt. Przesuwałam nagranie w zwolnionym tempie, powiększając widok każdej płaszczyzny, aż wyglądały tak, jakbym widziała je na wyciągnięcie ręki, za oknem.

A za tymi oknami zobaczyłam - wyglądające ku mnie, najwyraźniej śledzące lot maleńkiego błyskającego obiektu - głęboko fioletowe oczy w gigantycznych twarzach, tak słodkich i spokojnych jak wyobrażenia aniołów. Ich ciała także przypominały anielskie sylwetki: długie, falujące kaskady złotych, srebrnych lub miedzianych włosów, powłóczyste szaty w barwach tęczy, oznaczone na piersiach tarczą słońca z wysadzanego klejnotami filigranu. Nie były bezpłciowe czy androginiczne - stanowiły różnorakie wersje ideału męskiej i żeńskiej urody.

Wnętrze bańki lśniło i migotało światłem ich trzepoczących skrzydeł. Nie

wyglądały jak skrzydła owadów, ptaków czy nietoperzy. Były doskonałymi parabolami, zakrzywionymi jak pole magnetyczne, lśniącymi jak zorza polarna; skrzydła utkane z jutrzeńki.

Zmieniali się na moich oczach, przybierali kształty fantastycznych ryb, falujących różnobarwnych szarf, deszczu kwiatów, fajerwerków. Obraz skończył się, kiedy sonda minęła bańkę.

-118-

Odtworzyłam nagranie raz jeszcze, tym razem jednocześnie z wiadomością, którą wysłałam i przekonałam się, że ją słyszeli i udzielili odpowiedzi. Zawahałam się, podjęłam decyzję i przepuściłam ją przez filtry. To, co otrzymałam, nie było żadnym rodzajem wirusa, lecz zupełnie prostą wiadomością, sformułowaną i powtarzaną regularnie w j ęzyku angielskim. Maszyny oczyściły ją i zostawiły dźwięk, który brzmiał w moich uszach jak muzyka. Przed oczami przesuwaly mi się świetliste litery:

„W odpowiedzi na sondę: cieszymy się z waszej wiadomości. Czekamy na dalszą łączność. Prywatnie: cześć, chłopaki i dziewczyny! Kopę lat! Pogadajmy! Na razie!”

Piękno Jowiszan, ciepło - i to właściwie ludzkie swojskie podejście - wystarczyły, żeby rozproszyć wszelką wrogość i podejrzliwość. Wesoły ton ich listu, radość i miłość w głosie, obudziły we mnie pragnienie, by jeszcze raz na nich spojrzeć, porozmawiać. Wyplątałam się z hełmu, odłożyłam go i spojrzałam na Yeng. Czułam, że usta rozciągają mi się w uśmiechu, a po policzkach płyną łzy. Yeng uśmiechnęła się także i zerknęła na coś nad moją głową. Obróciłam się i ujrzałam całą załogę i Komitet, stojący za moimi plecami.

- No i? - spytał Tatsuro. - Nawiązałaś kontakt?

- Tak - powiedziałam. Głos mi drżał.

- Nie było wirusów? Yeng pokręciła głową.

- Czysto. Bez wirusów.

- Ani jednego - dodałam. - Sami zobaczcie. Popatrzcie i powiedzcie mi, że to nie

są najpiękniejsze istoty, jakie kiedykolwiek widzieliście. Są... zachwycające. Uwodzicielskie. - Westchnęłam na ich wspomnienie. -1 najwyraźniej zdolne do porozumienia z nami. Cokolwiek się z nimi działo, nadal zachowują łączność z ludzkim gatunkiem.

Obrazy, które oglądałam, pojawiły się znowu, tym razem na ekranie. Suze i Malley patrzyli zachłannie, wniebowzięci. Komitet i załoga zachowywali większą nieufność.

- I co sądzicie? - odezwał się Tatsuro. Inni przez chwilę byli zbyt wstrząśnięci, żeby przemówić, więc zaczęłam pierwsza.

- Dlaczego by nie spojrzeć na innych Jowiszan? Tych, z którymi się nie skontaktowałam. Zobaczmy, na ile jest to typowe, zanim dojdziemy do ostatecznych wniosków.

-119-

Pozostali niechętnie oderwali się od oszołomionej adoracji. Wzięliśmy się do roboty. Parę sond przeleciało równie blisko lub nawet bliżej gron i można było otrzymać z nich obrazy mieszkańców bąbli. Ich wygląd przybierał różne formy i zmieniał się gwałtownie na naszych oczach. Postać „anioła” zdarzała się dość często, lecz były także inne, nie mniej piękne. Najpowszechniej spotykany kształt przypominał motyla z parabolicznymi, barwnymi skrzydłami, takimi jak skrzydła „aniołów”, rozciągającymi się od głównej kolumny czy rdzenia. Symbol słońca, który w przypadku „aniołów” występował na piersiach, był cechą wszystkich osobników, choć czasami ginął w przejściowym kształcie.

- Te ozdobione klejnotami przedmioty to chyba nasi Jowiszanie

- zauważyłam. - Może to centralne procesory? Są osadzone w otaczającym go lśniącym kształcie, jak magnes w polu...

- Co jest całkiem możliwe - wtrąciła Yeng. - Ta większa forma jest jak kontrolowana zorza, niemal jak obraz telewizyjny, który Jowiszanie mogą dowolnie zmieniać. - Uśmiechnęła się. - Są tacy... rozbawieni, radośni...

- To oznacza - powiedział surowo Tatsuro - stopień porozumienia z nami, którego

nie mogły osiągnąć stare makra Zewnętrznych. Tempo ich reakcji wskazuje, że nadal są „szybkim ludem”, ale ich wygląd zewnętrzny stał się bardziej...

pociągający, a oni sami wydają się autonomicznymi osobowościami. Muszę powiedzieć, że automatyczna reakcja na ich widok stoi w zupełnym przeciwieństwie do przerażenia i nienawiści, jakie budziły makra. - Musnął ręką własny monitor, wywołując sekwencję pięknych, migoczących obrazów.

- Kiedy ludzie ich zobaczą, z pewnością okażą takiego zdecydowania, by ich zniszczyć, jakie posiadamy my... lub też jakie posiadaliśmy.

Członkowie Komitetu kiwali poważnie głowami, gładząc się po ogolonych lub zarośniętych podbródkach. Wyglądali jak wieśniacy, słuchający intelektualisty. Spojrzałam na nich, oburzona i zdumiona, że tak łatwo dali się omotać.

- To chyba oczywiste, co się tu dzieje! - rzuciłam. - To właśnie jest wirus mózgu, zabójczy dla nas. Szybki lud przybrał postać, która powstrzymuje ludzki atak lepiej niż siła. To piękno jest wabikiem, precyzyjnie skalkulowanym, by wyzwolić w nas reakcje estetyczne. Ta wiadomość, ten pokaz, to ich pierwsza linia obrony. Musimy się przez nią przebić albo będziemy zgubieni.

-120-

7 Zetazny obcas

rik zaczęła się dyskusja. Członkowie Komitetu wiedzieli równie dobrze jak ja, że życie to walka, w której piękno jest potężną bronią; jest narzędziem przetrwania, tak jak płacz niemowlęcia lub uśmiech dziecka. Wiedzieli, że wiadomość, którą nagrałam - oraz dalsza wymiana informacji - może być dziełem maszyny. Wiedzieli... ale po co to tłumaczyć? Posiadali prawdziwą wiedzę.

Dlatego nadal trudno mi wybaczyć lub choćby zrozumieć ich późniejsze decyzje.

Każda była poddana głosowaniu i za każdym razem otrzymywaliśmy wynik dwanaście

przeciwko dwóm (ja i Joe Lutterloh, nasz specjalista od łączności). Komitet zdecydował: należy podać do wiadomości Dywizji wszystkie zdjęcia Jowiszan oraz inne dostarczone przez sondę dane; przygotować się do kontaktu bezpośredniego za



pomocą (dobrze strzeżonego przed programami wirusowymi) połączenia radiowego; współpracować z wysłannikiem Rady Solarnej, który miał przybyć za trzy dni.

Ciągle mieliśmy mnóstwo czasu, by skierować w inną stronę strumień komet z Pasa Ku-iperu - wszystkie miały przymocowane rakiety naprowadzające i mogliśmy bez trudu zawrócić je z normalnej, nieszkodliwej trasy.

Tatsuro przekonał członków komitetu argumentem, że nie mamy nic do stracenia, a może coś zyskamy. Dywizja pierwotnie miała zaprezentować to zajęcie reszcie Unii jako fakt dokonany. Nie zamierzaliśmy ostrzegać Jowiszan, choć wiedzieliśmy, że później będziemy mieć kłopoty. Teraz mieliśmy dopuścić Unię do głosowania.

Gdyby

się okazało, że współegzystencja z Jowiszanami jest niemożliwa - lub gdyby tak sugerowały wyniki głosowania - Jowiszanie nadal nie mieli by czasu na reakcję w razie bombardowania. Z ich punktu widzenia, komety były nie bardziej niebezpieczne niż normalny ruch powietrza, aż do ostatniej, śmiertelnej poprawki ich kursu.

Uważałam, i zdanie to wyraziłam w dyskusji, że nie znaliśmy ich możliwości.

Niestety, poruszając kwestię negocjacji dla zapewnienia sobie współpracy

Malleya, sprowokowałam innych członków

-121-

komitetu do wystąpienia ze wszystkimi możliwymi wątpliwościami i obawami oraz naraziłam ich na kontakt ze zdrazieckąurodąsob-ników z Jowisza. Pocieszyłam się myślą, iż na dłuższą metę współpraca Malleya jest najważniejszą dla mnie sprawą.

Obrady Komitetu Dowodzenia prowadzono w ukryciu tylko ze względu na możliwe zagrożenie wirusami. Skoro najwyraźniej nie byliśmy już na nie narażeni, zebranie stało się równie otwarte jak wszystkie inne, a podjęcie decyzji należało do całej Dywizji. Mimo to postanowiono zachować obecną salę konferencyjnajako centrum dowodzenia, z którego nadal zamierzano prowadzić

rozmowy z Jo-wiszanami. Podczas kontaktu sala miała zostać ponownie odizolowana.

Malley był oczywiście zachwycony wnioskami i z zapalem zabrał się do roztrząsania problemu korytarza. Suze także wydawała się zadowolona; wyglądało na to, że jej ulżyło, kiedy nie zdradziłam żadnych oznak wrogości wobec niej lub kogokolwiek, kto się ze mną nie zgadzał. Zrobiłam dobrą minę do złej gry. Wewnętrznie zgrzytałam zębami, ale nie trzeba dwustu lat, żeby umieć się opanować. Byłam w tym dobra od czasów, kiedy miałam kilkanaście lat (no, może troszkę więcej).

Tak samo było z innymi. Tatsuro nie został przewodniczącym bez powodu. Na koniec

zebrania powiedział łagodnie:

- Ellen, najwyraźniej nie interesuje cię dalszy udział w negocjacjach i nie masz zbyt wiele do powiedzenia w kwestii analizy danych z sondy. Czy mogę zaproponować, żebyś nadal pracowała z doktorem Malleyem, służąc mu praktyczną pomoc przy rozwiązywaniu problemu nawigacji w korytarzu?

Oczywiście wyraziłam zgodę, a reszta z najwyższą radością pozwoliła, żebym zajmowała się czymś, co nie budziło moich sprzeciwów.

- Mamy wiele roboty - ciągnął Tatsuro. - Ale proponuję także, żeby załoga „Terrible Beauty” wypoczęła przed dalszą pracą. Zwłaszcza ty, Ellen, musisz być wyczerpana. Pracę z doktorem Malleyem możesz zacząć rano.

Skinęłam głową z uśmiechem. Kiedy wstawaliśmy, Tatsuro odwrócił się ku mnie tak,

że przez chwilę tylko ja widziałam jego twarz. Dostrzegłam niemal niewidoczne mrugnięcie i wiedziałam już, że nasze przymierze jest nadal aktualne.

-122-

Suze została z Malleyem, któremu przydzielono miejsce pracy w przeciwległym końcu sali, gdzie miał prowadzić obserwacje korytarza. Reszta z nas udała się do kwatery, którą otrzymaliśmy jako załoga, choć kilkoro z nas najwyraźniej nie

zamierzało wrócić na noc. (Noc i dzień w jaskiniach Callisto nie miały nic wspólnego z niedogodnym okresem jej obrotu dookoła osi - podobnie jak na statku, posługiwaliśmy się narzuconym arbitralnie czasem Greenwich. Dla wielu z nas nie miało to nic wspólnego z godzinami spoczynku, często dyktowanymi przez pracę zmianową i organiczne substancje nie pozwalające mi zasnąć. Te ostatnie miały umiarkowaną skuteczność: rytm dobowy tak mocno wrósł w nasze komórki, że wszelkie genetyczne zabiegi czy interwencja farmaceutyczna okazały się wobec niego bezradne. Mózg domaga się regularnego snu i nie daje się oszukać.)

Wpuściłam do środka innych; drzwi zasunęły się za mną z cichym kliknięciem. Oparłam się o nie ciężko. Pokój wyglądał tak, jak go zostawiliśmy przed trzema tygodniami. Wszystkie porzucone przedmioty, ubrania czy naczynia były przez ten czas bez wątpienia cierpliwie i bezmyślnie odkurzane. Bardzo dobrze. Kwiatki zostały podlane; niski sufit promieniował zwykłym przyćmionym światłem wieczoru,

kuchnia mruczała do siebie, a sypialnie czekały na nas z utęsknieniem. Skrzynka pocztowa zachowała grzeczne milczenie, choć z pewnością pękała w szwach od wiadomości od naszych kolegów, przyjaciół, rodziny i dzieci. Dobrze wiedziała, że nie powinna nas nękać tuż po powrocie. Powiodłam wzrokiem po Borysie, Yeng, Tonym, Andrei i Jaime.

- Nie wiem jak wy, towarzysze - oznajmiłam - ale ja nie zamierzam dyskutować. To był długi dzień, długa podróż i wszyscy potrzebujemy odpoczynku. Zamierzam strzelić sobie drinka, wykąpać się w jacuzzi i kochać się z kimś. W dowolnej kolejności albo wszystko na raz i więcej niż raz.

- To, Tamto i Jeszcze Jedno. Podstawowa logika programu - uśmiechnęła się Yeng. Wzięła Tony'ego za rękę. - Napijemy się, ale wychodzimy.

- No to postanowione - powiedział Tony. Ucisnął rękę Yeng, pocałował ją w czubek głowy i podszedł do szafki z alkoholami, gdzie zaczął wystukiwać zamówienia wykrzykiwane przez innych. Andrea i Jaime także wybierali się gdzieś.

- Zostajemy tylko my - zwróciłam się do Borysa. - I co, wielki bojowniku, chcesz

to zrobić ze mną, czy zostawisz mnie z kombinezonem?

-123-

Objął mnie za ramiona i zaprowadził do kanapy.

- Ach, Ellen... Oczywiście, że zostanę z tobą. Wszystkie dziewczyny w barach Callisto... - Zamilkł, rozmarzony i tęskny. Musiałam wymierzyć mu przyjacielskiego kopniaka. - ... nie skusiłyby mnie do opuszczenia mojej dobrej pani, której jestem winien nieskończoną wdzięczność.

Po raz pierwszy spotkałam go w dwa tysiące sto dziesiątym, podczas misji wojskowej Chinosowietów. Znaleźliśmy się na zamrożonej Lenie pod Jakuckiem.

On

był olbrzymem w futrach, ja seksowną kobietą z kosmosu w nowiutkim kombinezonie

z inteligentnej materii, z wielkim hełmem o czarnej szybie. Raczej anioł śmierci niż miłosierdzia. Dostarczałam chałupnicze zestawy służące do przekształcenia syberyjskich kruszców i rosyjskiej rdzy w lśniące, doskonale zmechanizowane małe armie. Bo-rys miał głos jak czarna melasa: amerykański akcent, głęboki, soczysty. Przywodził mi na myśl Paula Robesona, zresztą nadal przywodzi. Nigdy nie mogłabym zapomnieć tego głosu ani jego samego.

W ciągu następnych dziewięćdziesięciu lat widywaliśmy się w rozmaitych dziwacznych okolicznościach, ale janie mogłam zostać, a on nie mógł odejść.

Wreszcie spotkaliśmy się w ostatniej bitwie przeciwko ostatnim zwolennikom, ostatnim szalonym altruistom, którzy chcieli poświęcić swoje śmiertelne ciała i potencjalnie nieśmiertelne umysły dla Boga, kraju, obowiązku czy własności innych ludzi. Wyciągnęłam go ze zniszczonego, płonącego czołgu na przedmieściach Lizbony, zabrałam ze sobą na orbitę i już nigdy nie pozwoliłam mu odejść.

-Nie chcę twojej wdzięczności - powiedziałam, wyciągając jedną rękę po wódkę z lodem, a drugą sięgając w dół. - To nie dlatego wywlokłam cię z tego czołgu.

Powodowało mną czyste egoistyczne pożądanie, towarzyszu, i tego właśnie od ciebie chcę.

I to dostałam. Zrobiliśmy To, Tamto i Jeszcze Jedno, a także Aż Do Wyczerpania. Są tacy, którzy uwielbiają swobodne spadanie; co do mnie, królestwo za dzień lub noc w słabej grawitacji. W ten sposób więcej się zyskuje. Co do ziemskiej grawitacji... może być, ale mocno przygnębia. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że Ziemianie zdołali się tak rozmnożyć. Pewnie klonowanie.

Wreszcie zapadliśmy w sen. Śniły mi się anioły, a czasami budziłam się ze wzdrygnięciem na wspomnienie innych wydarzeń. Tuliłam się wtedy do Borysa tak długo, aż znowu zasnęłam.

-124-

Jest rok dwa tysiące osiemdziesiąty dziewiąty i wszystko się rozpada: tak w dole, jak i na górze. Z każdym dniem, z każdą godziną na naszych ekranach pojawia się nowa katastrofa, wybrana przez coraz bardziej malejącą liczbę agencji informacyjnych, a także o wiele większą, choć także szczuplejącą grupę radiowców amatorów, hake-rów i piratów. Sieć, która połączyła świat, umiera teraz w jego ramionach. Od lat z powierzchni Ziemi nie uniosła się rakietą, która nie byłaby uzbrojona. Teraz jesteśmy zdani na własne siły; setki tysięcy ludzi, miliony owadów i zwierząt, jeszcze więcej potencjalnych ludzi i zwierząt w zamrożonej spermie i komórkach jajowych in vitro jako próbki komórek i zarejestrowane obrazy mózgu; niezliczone digitalne duchy. Razem tworzą część biosfery. Są fragmentem zbioru milionów innych, rozproszonych wokół Ziemi, na Lagrange, Lunie, Marsie i Pasię; ludzkość i jej zwierzęcy sprzymierzeńcy nie znają żadnych zagrożeń, z wyjątkiem może supernowej. Niebo nie rozpadnie się na kawałki. W przeciwieństwie do Ziemi.

To wczesny etap Zielonej Śmierci. Już teraz płoną laboratoria biomedyczne, jedyna nadzieja na ratunek. Zieloni łączą się w gangi i ze wszystkich sił starają się odwrócić od siebie podejrzenia. Ja w tym czasie jestem absolutnie przekonana, że z premedytacją zaplanowali Śmierć jako ludobójczą ofiarę dla swojej złej bogini, Gai.

I tak, po tym okropnym ostrzeżeniu o konsekwencjach postępowania, przeciwko

któremu zawsze występowaliśmy, ukazanym nam z barwnymi i niepokojącymi szczegółami, oba odłamy ruchu kosmicznego, Zwolennicy Ziemi i Zewnętrzni, zjednoczyły się pomimo dzielących ich różnic, by razem stawić czoła przyszłości... Nie. Kłócimy się o bogactwa naturalne, omal nie zaczęliśmy o nie walczyć - głównie o wodę. Wsadziliśmy w kondensatory wysoko energetycznych laserów całą energię słoneczną, jaką zdołaliśmy z siebie wydusić. Sposobimy do użytku rakiety nuklearne.

Zewnętrzni już dawno się wynieśli - lub zostali wyniesieni - ze starej Ziemi, na której nadal mieszkam. Przeprowadzili się na Lagrange 4; z przyczyn tkwiących głęboko w tradycji Ruchu Kosmicznego większość osadników wybiera inny punkt Lagrange, L5, gdzie budują flotę statków potrzebną do wyprawy na Jowisza. Inni pracują w kopalniach na Księżycu.

To jedno ze źródeł konfliktu. Chcą zdobyć dla potrzeb ekspedycji wodę z lunarne arktycznego lodu. Nam jest on potrzebny do przeżycia - w Pasie także jest lód, ale dociera do nas słabym stru-

-125-

myczkiem. Prawo do eksploatacji konkretnych obszarów lunarne lodu byłoby trudne do ustalenia, nawet przy najlepszych intencjach i przyzwoitym systemie prawnym. (Odkrycie? Pierwsze wydobycie? Obecne posiadanie? Czy liczy się pierwsza identyfikacja satelitarna? Pierwsze lądowanie? Pierwszy obóz? Pierwszy kombinat wydobywczy?). W tych czasach wszyscy jesteśmy ekspertami od teorii dowolnego korzystania z własności. Problem w tym, że każdy dysponuje przynajmniej jedną dobrze umotywowaną teorią oraz oddziałem uzbrojonych po zęby ekspertów.

Martwię się o polarne kopalnie, ponieważ moi rodzice, z którymi utrzymuję kontakt, choć od dziesiątków lat nie oddychaliśmy tym samym powietrzem, zarządzają jedną z nich w imieniu dawnej korporacji Ruchu Kosmicznego.

Tymczasem my - Zwolennicy Ziemi - czynimy donkiszotowskie próby wykorzystania

bogactw naturalnych, jak na przykład medyczne zrzuty orbitalne (nie aż tak nieefektywne, jakby się mogło wydawać -zrzucamy medyczne nanofabryki) oraz orbitalna broń, wycelowana w te jednostki wojskowe, które w tym tygodniu grają rolę czarnych charakterów (duży błąd) oraz satelity łącznościowe, które i tak by zdechły (dobra decyzja, poza tym mogłyby ich używać czarne charaktery - patrz wyżej). A Zewnętrzni twierdzą, popierając swój e zdanie każdą dostępną pasującą teorią, że przynajmniej część bogactw naturalnych

- które rzekomo niszczymy, pomagając cierpiącej Ziemi - należy do nich. Na przykład to oni pomogli przy wydzwignięciu tej stacji na obecną orbitę; splacamy ich, owszem, ale teraz życzą sobie jeszcze zwrotu kwoty należnej im za miejsce na orbicie. Z procentem.

- Pieprzone prawa własności - mówię do Tony'ego, nie spuszczać wzroku z radaru kosmicznego. - Już one same wystarczą, żeby z każdego zrobić komunistę. Siedzimy naprzeciw siebie, każde z nas wbija wzrok w ekran za ramieniem partnera. Znajdujemy się w module stacji, w którym ledwie się mieścimy we dwójkę, upchnięci w płataninie kabli, przewodów i unoszących się powietrze przestarzałych przyrządów. Przed otwartym lukiem modułu widać innych pracujących

ludzi, powoli poruszających się stęchłym powietrze.

- Ha! - Tony nie odwraca spojrzenia od komputera, na którym zestawia przepustki ośmiuset pięćdziesięciu sześciu pracowników stacji. - Ty już jesteś komunistką, tylko o tym nie wiesz. Kiedy ostatnio za coś płaciłaś albo kiedy płacono tobie?

-126-

- E tam, to co innego - rzucam, machnąwszy ręką. Jeszcze nigdy nie pomyślałam o tym w ten sposób; nigdy ani przez chwilę nie zastanawiałam się nad warunkami, w jakich zostałam wychowana (zapchana do niemożliwości puszka sardynek na Lagrange, nazywana Nowym Widokiem) czy nad życiem na satelicie wojennym. -

Przecież tu jesteśmy między swoimi. Wszyscy wiemy, co trzeba zrobić i na co możemy sobie pozwolić, więc problem nie istnieje. Chodzi mi o to... poza tym, rany, to miał być dowcip! ... Że te dyrdymały na temat tego, co kto posiada, sprawiają, iż czuję się trochę jak ten... bolszewik, tak to się mówi?

- Aha - podchwytuje Tony. - Jak Chinosowiec.

Unia Chinosowiecka to zbieranina kołchoźników, byłych członków Unii i weteranów Ludowych Wojsk Wyzwoleńczych, których czerwone szeregi właśnie oblegają- albo, zgodnie z ich teorią, oswo-badzają - Xinjiang.

- Myślałam, że chodzi nam o ustanowienie demokracji.

- No, może na razie... choć nie wiem, czy można mówić o demokracji, nawet jeśli partyzanci podbijają jakieś miasto i zwołują zebranie. Ale na dłuższą metę, kiedy Chinosowiec podbija świat -śmiejemy się obydwójce - ich teoretycy ustanowią najdziwniejszą odmianę komunizmu: wszyscy posiadają wszystko albo nie

posiadają niczego.

- To to samo, co mówi każdy komunista od czasów Munzera...

- Nie, nie! Tam każda jednostka posiada wszystko. Cały cholerny Wszechświat.

- Oraz inne jednostki?

- Tylko jeśli zdoła tego dokonać.

- Byłoby miło. Ja chcę tylko zostać księżniczką Galaktyki.

- To bardzo skromne życzenie, moja słodka. Ale na tym polega ten haczyk: możesz sobie wziąć Wszechświat, jeśli zdołasz.

- Więc co może mnie powstrzymać?

- Tylko inni uczestnicy wyścigu, a także ewentualni oporni poddani. Oraz rozmiar Wszechświata. Jeśli zdołasz go ogarnąć - do dzieła!

- A, rozumiem. A ja myślałam, że nie powinno się pożerać ludzi. Teraz Tony zerka na mnie z ukosa.

- Zjadanie ludzi to marnotrawstwo... a poważnie, jeśli uważasz, że to nieładnie, proszę bardzo. Zupełnie zgadzam się z tobą. Trzeba coś z tym zrobić. Uzbroidź



ofiary! Ustanowić tabu. Dać im zęby! Tylko niech ci sienie wydaje, że ogłaszając swoje moralne przekonania

-127-

wpłyniesz na jakąkolwiek część Wszechświata, do której nie dotrze twój głos.

- A oni chcą zrobić z tego podstawy komunizmu... z tego bezgranicznego egoizmu? Co może sprawić, że nie stoczymy się w wojnę wszystkich przeciwko wszystkim? Tony wzrusza ramionami.

- Pewnie sądzą, że damy się jakoś przekonać.

Recytuj ę mu wszystkie powody, dla których to się nigdy nie uda, a on dzieli swoją uwagę pomiędzy rozmowę ze mną i mamrotanie do siebie na temat kliki Minskyite (mnie pytasz?), kiedy nagle włącza się alarm, a ja zdaję sobie sprawę, że to ja go uruchomiłam, odruchowo, zanim jeszcze moja świadomość zarejestrowała, iż na polu radaru widnieje światełko i bardzo szybko się zbliża.

-O,o,o,OOOO! -raportujęczynnię. Palce migają, wystukują wiadomość do Kontroli Komunikacji (mam nadzieję, że klika Minskyite, czymkolwiek jest, zdaje sobie sprawę, gdzie mają odbiorniki), światełko ginie za chmurą, światła stacji przygasają, a obiekt wypełnia cały ekran, potem przemieszcza się na prawo i znika, zaś ja kurczę się w sobie odnosząc wrażenie, że słyszałam świst, kiedy obiekt przechodził nad naszymi głowami.

- Stutonowa skała na naszym kursie, wytrącona przez laser -ogłasza spokojny głos w moim uchu. Nie muszę dodawać, że cały proces wykrywania i odchylenia z kursu był automatyczny; zarówno ja, jak i obsada działa jest tu tylko po to, by trzymać rękę na pulsie. Mamy tu wyłącznie głos doradczy, jak mówili kiedyś pracownicy USA/ONZ.

Alarm cichnie, światła znowu rozbłyskują.

- Co to, do cholery, było? - pyta Tony.

Zmieniam widok pokazywany na ekranie, podczas gdy komputer ciężko pracuje nad opracowywaniem danych z kamer na kotwicach w osadach. Nagle widzę przed sobą miejsce habitatów i statków na Lagrange 4. Tam, gdzie się kiedyś znajdowały,

dostrzegam kropkę radioaktywnego, atomowego światła. Przez chwilę myślę, że zostali trafieni, że to my ich trafiliśmy. Posłaliśmy im bombę.

Potem widzę, że światełka się poruszają. To silniki termojądrowe, nie głowice. Statki Zewnętrznych ruszają ku Jowiszowi. Nasze łącza aż brzęczą. Po chwili oglądam inne krótkie sceny:

-128-

Teleżołnierze skaczą po powierzchni Księżyca, wdzierają się do obozów w kopalniach, przejmują kontrolę nad statkiem. Strzelali z niego do nas na ostrzeżenie, a statek nadal wysyła kolejne ładunki cennej wody w ślad za flotą Zewnętrznych.

Nasi ludzie z obozów umierają, zastrzeleni lub wdychając próżnię. Widzę obraz z kamer systemu ochronnego: teleżołnierze zatrzymują się nad trupami i przykładają im do czaszek jakieś szponiaste przyrządy. Podnoszę pięść do ust, wbijam zęby w palce.

Później nazwiska moich rodziców pojawią się na liście zaginionych.

Twarz Davida Reida, właściciela firmy dostarczającej przymusowych pracowników, pojawia się na naszych ekranach jako ostatnia wiadomość ze statków Zewnętrznych. Reid wygląda jak zakładnik -zapadła, zarośnięta twarz, drżący głos, oczy nieustannie uciekające spojrzeniem w niewidoczny punkt.

Jakieś przeprosiny, jakieś wyrazy żalu.

Potem gładka, pewna siebie twarz Zewnętrznego. A więc nadal są ludźmi. Jeśli można ich tak nazwać. Mówi nam, co zrobili.

Moje palce zaczynają krwawić.

Przedstawiciel Zewnętrznych powiedział nam, co stało się z naszymi ludźmi w obozach-kopalniach. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, zostali zabici na miejscu. Reszcie zrobiono skanowanie mózgu, zanim zostawiono ich ciała na pastwę próżni. Zewnętrzni zostawili nam szczegóły swoich żądań co do kopalni: mają dowody na to, że kupili je wiele lat temu od firmy, czego nie możemy sprawdzić i o czym zapomnieli nam powiedzieć. Nasza eksploatacja kopalni była kradzieżą,

zbrodnią tym większą, że stawiliśmy opór teleżołnierzom. Teraz żądają zadośćuczynienia, zająknie uważajanie-wolniczą pracę ludzi, których „zainstalowali”. Użyją i uruchomią obrazy ich mózgow, by obsługiwały roboty; to tańsze i szybsze niż sztuczna inteligencja.

Nigdy nie powiedzieli nam, których zmarłych zeskanowali, a wyschnięte zwłoki, które znaleźliśmy później, nie nosiły żadnych śladów i nie naprowadziły nas na najmniejszy ślad. Jeszcze przez wiele lat śniły mi się koszmary o tym, co zrobiono z moimi rodzicami. Innym razem zjawiali się w moich snach i przemawiali do mnie z ekranu telewizora. Po konflikcie byłam przeciwna Zewnętrznym nie ze względu-

9 Dywizja Cassini

— 129 —

dów ideologicznych czy estetycznych. Nienawiść stała się piętnem wypalonym w moim mózgu.

Między innymi z tego właśnie powodu nie martwiłam się zbytnio decyzją Komitetu Dowodzenia, który postanowił negocjować z nowymi Jowiszaniem. W nocy, która nastąpiła po podjęciu tej decyzji, od czasu do czasu budziłam się i leżałam w ciemnościach, przytulona do nieświadomego niczego Borysa. Rozmyślałam. Bez względu na to, jak piękni wydawali się Jowiszanie, bez względu na to, jak wiele pozornej słuszności mogła zawierać ich wiadomość, ciągle żyją ludzie, którzy pamiętają i nigdy nie wybaczą. Oczywiście nie był to racjonalny powód zniszczenia Jowiszana, ale miał wielki wpływ na tę decyzję. Świadomość, jak wygląda los tych, którzy znajdą się na łasce Zewnętrznych, dała mi - oraz wielu innym - niezłomne przekonanie, że nigdy nie dopuścimy do istnienia siły większej niż ta, którą dysponujemy. Może istnieć tylko j eden nadrzędny gatunek. Ludzkość nie zrezygnuj e z tej pozycji. (A, jeśli zrezygnuje, ja się z tym nie pogodzę.)

Emocjonalne wspomnienia tego, co zrobili nam Zewnętrzni, oraz tego, co ich potomkowie uczynili z Ziemią podczas komputerowej infekcji, powinny umocnić nasze serca, kiedy dojdzie do starcia.

Kiedy dojdzie do starcia... Uśmiechnęłam się do siebie i ponownie zapadłam w

sen.

Wstałam przed Borysem, w powolnie narastającym blasku sztucznego poranka o widmie dziennego światła, i sprawdziłam mój c-mail. (Elektroniczne połączenie było zbyt cenne i zbyt obciążone różnymi środkami bezpieczeństwa, by używać go do rzeczy mniej ważnych niż pilne wiadomości lub połączenia w czasie rzeczywistym. Stąd poczta chemiczna.) Niektóre z nich miały charakter praktyczny, inne sentymentalny. Nie miałam teraz rodziny, jeśli nie liczyć skomplikowanych związków z załogą, ale miałam potomków. Odpowiedziałam na listy,

na które trzeba było odpowiedzieć, wysłałam małe zakodowane molekularne nośniki informacji, które pomknęły po naczyniach włosowatych do obiegu bazy, a potem do miast w kraterach: Skuld, Trindir, Igaluk, Valford, Loni... W skrzynce pocztowej nie znalazłam nic pilnego, więc nastawiłam kawę dla Borysa i ruszyłam ku siedzibie kierownictwa.

Szłam wolno. Korytarze były zatłoczone, a wszyscy po drodze chcieli ze mną rozmawiać. Dyskusje i decyzje komitetu, zdjęcia

-130-

z sond, wszystko to obiegiło sieć optyczną Callisto. Wszystkie koła dyskusyjne, wszystkie ekrany i ulice były pełne wyłącznie tych wiadomości.

- .. .masz rację, Ellen, trzeba ich rozwalić i nie marnować czasu...

- ... czekaliśmy zbyt długo...

- .. .poczekajmy i zobaczmy...

- .. .przykro mi to mówić, ale sądzę, że straciłaś kontakt z rzeczywistością.

..

- .. .dajmy im szansę, przecież to właściwie nie oni...

- .. .poła magnetyczne, tak? No, jeden dobry strzał...

Za każdym razem moje zmysły były od nowa bombardowane barwnymi ubraniami, pięknymi twarzami (nie mylili się, nazywając się dawno temu pięknymi ludźmi); natarczywe, ożywione głosy, absolutne przekonanie co do najbardziej skrajnych

opinii; dzieci, wprost rwące się, żeby także wtrącić swoje trzy grosze. Ja także miałam coś do powiedzenia, ale unikałam dyskusji. Wszystko to budziło moje zadowolenie, nie rozdrażnienie. Nawet ci, którzy się ze mną nie zgadzali upewniali mnie w przekonaniu, że mam rację: ci ludzie, którzy wybrali sami siebie, ta ułamkowa destylacja ludzkości była o wiele więcej warta niż ktokolwiek w całym Wszechświecie. Musi istnieć jakieś źródło, jakiś odnośnik, kryterium, ktoś, dla kogo „dobre” znaczy „dobre dla nas” - i tym kimś jesteśmy my. W naszym milionie jest więcej sił życiowych niż w miliardach na Ziemi, więcej piękna jest w nas niż w obrazkach, które wysłał nam Jowisz.

A jednak wejście do względnie spokojnej sali konferencyjnej sprawiło mi ulgę. Od wczoraj utraciła ona swój prowizoryczny wygląd. Wraz z instynktem samozachowawczym wszystkich osadników kosmicznych sprowadziliśmy szybko rosnące

rośliny, których liście i pędy już teraz rozprzestrzeniały się na żywej warstwie izolacyjnej. Postawiono automat do kawy, a czyścicielzaki, te dbające o higienę karaluchy, roiły się już w nieuniknionych stertach zużytych plastikowych kubków. Roboty poszerzyły salę przez noc o co najmniej dziesięć metrów, a szeregi maszyn dotrzymywały im kroku. Zainstalowano także działające kamery dla potrzeb informacyjnych, jak poinformował mnie kombinezon.

W sali zastałam paru członków Komitetu Dowodzenia. Niektórzy dopiero przyszli, inni byli tu przez całą noc. Clarity Hardingham, naj-młodsza członków KD, młodsza nawet od Yeng, podniosła głowę i spoj-

-131-

rzała na mnie. Łączyła się właśnie z jednym z komputerowych banków danych, najwyraźniej przez wirtualną projekcję: widziałam skupienie w jej oczach, rozszerzające się zwężające źrenice w zielonych tęczówkach. Sądząc po ciemnych sińcach pod oczami, nie spała przez całą noc. Odgarnęła ze skroni rudawe kędziory i zatrzymała projekcję.

- Dzień dobry, Ellen - odezwała się. - Przynieś mi kawę, dobrze?

Podalam jej kubek.

- Wygladasz tak, ze powinnaś pic tylko kakao.

- E tam - mruknęła, przelękając narkotyk i popijając go kawą. - To zbyt interesujące, żeby spać. Przynajmniej dla mnie. Bronię fortu mniej więcej od czwartej.

- Przed czym? Przed protokołami informacyjnymi?

- Ha! Chciałabym! No, nad tym pracowałam wcześniej, więc nie mogę narzekać.

Nie,

od ostatnich czterech godzin badam opinie. Później, kiedy będziemy podejmować decyzję, przeprowadzimy bardziej szczegółową ankietę. To tylko wstępne pytania, takie macanie, co sądzą towarzysze na temat naszej postawy podczas negocjacji. -

Uśmiechnęła się krzywo i podrapała za uchem. - Jakbyśmy mieli jakąś postawę.

Masz więcej zwolenników niż dwoje na dwanaścioro.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Mnie też nie. Ale ci, którzy chcą negocjować, najczęściej domagają się położenia kresu atakom wirusów. Następnie jakiegoś uzgodnienia... stref wpływów, by tak powiedzieć. Większość towarzyszy sądzi, że Jowiszanie powinni zatrzymać Jowisza, a my resztę.

Spojrzałam na nią ponuro.

- To głupie. Dobrze, powiedzmy raczej: pochojne. Wiemy, że Jowiszanie stworzyli swoją kulturę od zera w ciągu kilku tygodni. Ich siła rośnie z każdym dniem...

- Wcale nie. Sprawdzaliśmy to, kiedy podróżowaliście. Nie zwiększyli liczby lotów ani gron. Może dotarli do martwego punktu. W końcu nie zapominaj, że mogli odziedziczyć całą technologiczną wiedzę po przodkach, a teraz ją tylko udoskonalają więc ten wcześniejszy gwałtowny rozwój niekoniecznie musi oznaczać,

że... hm... że powtarzają ludzką ewolucję od ery kamiennej, tylko w szybszym tempie.

- Z naszego punktu widzenia to j jeszcze gorzej. A j jeśli ich przodkowie w

wirtualnej rzeczywistości zajmowali się pracą nad wynalazkami? To tylko nasze domysły, że makra starych Zewnętrznych oszalały i że ich potomkowie muszą także być szaleni. Mogliśmy się

-132-

mylić. Ci, którzy pojawili się na prawdziwym świecie, mogą mieć za sobą niezliczone symulacje prób, które teraz mogą sobie udoskonalać, jak im się spodoba.

Clarity wzruszyła ramionami.

- Masz rację, za wcześnie, żeby kłócić się o metodę negocjacji, zanim dowiemy się, do czego są zdolni. A to oznacza, że najważniejszym problemem większości z nas jest znalezienie pełniejszych informacji na ten temat i zdobycie jakiegoś wiarygodnego potwierdzenia tego, co nam powiedzą o swoich zamiarach.

- Prawo wglądu? To przynajmniej sugeruje zdrową nieufność.

- Można to i tak ująć. - Clarity opróżniła kubek i rzuciła go w stronę dużego stołu. - Zwłaszcza ty to możesz.

Obie roześmiałyśmy się, ale czułam w jej głosie lekkie napięcie. Tak samo jak w moim.

Inni pochłonięci pracą członkowie KD nie zareagowali na moje nadejście. Nie narzucałam się im. Przez jakąś godzinę siedziałam przed wolnym komputerem, wyciągając z niego streszczenie tego, co osiągnięto przez tę noc. Tymczasem w sali pojawiali się inni ludzie. Zespoły naukowe, w bezpiecznej odległości, badały właściwości fizyczne i skład chemiczny osobników z Jowisza: na razie określono jedynie, że pęcherze były wykonane z laminowanych arkuszy monomoleku-

larnych diamentów; skrzydła stanowiły, zgodnie z naszymi podejrzeniami, strumień zjonizowanych molekuł w polu elektromagnetycznym; natomiast „ciała” były kombinacją projekcji hologramowej. Ogólny efekt nie był tylko ozdobą czy sposobem ekspresji, lecz środkiem porozumienia, językiem światła. Rdzeń jowiszowych osobników, ich rozum i silnik, był skomplikowanym urządzeniem,

wyglądającym jak wysadzany klejnotami medalion na piersiach aniołów. Ten aerodynamiczny obiekt pobierał energię bezpośrednio z szybkich wiatrów i silnych elektrycznych impulsów w atmosferze Jowisza, które nawet w naj -spokojniejszych momentach były (z ludzkiego punktu widzenia) nieustannym gwałtownym sztormem.

Dziwne, jak mocną strukturę miało ciało Jowiszan. Zniszczenie projekcji ich postaci, nawet rozbicie diamentowych baniek mogło okazać się tak łatwe, jak spodziewali się rozmaici entuzjaści rozwiązania nuklearnego. Natomiast źródło ich mocy można było zniszczyć wyłącznie dzięki temu, co zamierzaliśmy.

-133-

Malley i Suze przybyli o dziewiątej rano. Mieli ten zadowolony, senny wygląd ludzi, którzy spędzili razem pierwszą nie zaplanowaną noc. Rozłączyłam się z komputerem i wstałam.

- Dzień dobry - powiedziałam.

Suze odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Malley wyszczerzył zęby.

- Cześć. - Potarł zaczerwienione oczy. - Boże, czy jest tu jakaś kawa?

Przyniosłam trzy kubki; ruszyliśmy do miejsca pracy Malleya. Suze przywlokła dwa dodatkowe krzesła i usiedliśmy. Miały kształt wrzeciona; na Ziemi zawałyby się pod nami.

-1 jak, są powody do zadowolenia? - spytałam.

- No... - odezwała się Suze. - Było naprawdę bardzo... Urwała i zachichotała.

- No tak - zgodził się Malley. Znowu się do niej uśmiechnął. - Suze uczyniła czarującą uwagę. Sądzi, że związek z niezależnym to rodzaj dekadencjonalnej perwersji.

-Wcale nie!

- Muszę powiedzieć, że to mi dodało nieco, hm, energii reakcji. Nie żeby mi czegoś brakowało. Miałaś rację co do tego odmładzającego leczenia. Zapomniałem już, że można odczuwać w ten sposób. - Przeciągnął się z westchnieniem. - Z drugiej strony... czuję się bardzo dziwnie. Częściowo ze względu na grawitację i



otoczenie, a częściowo przez was. Przez twoich ludzi. Nie są tacy, jak się spodziewałem, nawet po podróży z wami. Ten tłum na korytarzach jest taki... - Pokręcił głową. - Wy, z Dywizji, nie przypominacie ludzi z Unii, przynajmniej o ile zdołałem zauważyć. Ludzie z Unii wyda-ją się w miarę szczęśliwi i na swój sposób wolni, ale z was bije jakaś gorycz, jakieś niezadowolenie. Ty, Ellen, twoja załoga, hm... trudno powiedzieć, ale wy w ogóle jesteście inni, jakbyście mieli więcej związków z przeszłością.

- Bo tak jest. Niektórzy z nas liczą sobie niemal tyle samo lat, co ty.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Ale, nawet Yeng ma... to twarde spojrzenie.

- No tak - przyświadczyła Suze. - To jest to spojrzenie starego towarzysza, mówiłam.

- Hmm - zamyśliłam się. - No, nie wiem. Ty też wydajesz mi się twardy, Sam. - Machnęłam ręką. - O tym pogadamy później.

-134-

Chodziło mi o to, czy jesteś zadowolony z postępów w badaniach? Czy nasze cudowne nanomaszynki ożywiły twój geniusz? Malley parsknął śmiechem.

- Właśnie o to mi chodziło. Potrafisz powiedzieć coś takiego bez cienia uśmiechu, a inne kwestie traktujesz z jakąś przerażającą lekkością. No dobrze, o tym potem, jak mówisz. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Robię postępy, ale powolne, i nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z wiekiem mojego mózgu.

„Rozważania techniczne”, które niegdyś beztriosko uznałem za pozostające poza możliwościami ludzkiego umysłu, zaczynają wyglądać nieco jaśniej, a co do teorii hiperpłaszczyzny chaosu kwantowego, nawet moje dawne prace zaczynają mi wyglądać

coraz bardziej sensownie.

Nie potrafiłam wyczuć, czy to ironia.

- No to w porządku - oznajmiłam. - Słyszeliście, co wczoraj zdecydowano. Mam służyć ci wszelką praktyczną pomocą, od dzisiejszego ranka poczynając. Zdaje

się, że oznacza to udostępnienie ci wszystkich badań, maszyn liczących, jakich mógłbyś potrzebować, i tak dalej. Ale nie koniec na tym. Jeśli chcesz przyjrzeć się z bliska korytarzowi, albo na przykład osobiście przejść przez niego, możemy ci to umożliwić.

- Sądzę, że najlepiej zachować ten porządek - zauważył. - Obserwacje, próbne sondy, ekspedycja. Raczej tak, niż na odwrót. - Uśmiechnął się mimo wspaniałego sukcesu odmładzającego działania kapsulek wydał mi się nagle podobny do starego naukowca z nagrań edukacyjnych z dwudziestego wieku, kiedy nauka była istotną dyscypliną, bez względu na to, jak dziwaczne wydawałyby się nam ubrania czy dykcja wykładowców. - Ale najpierw należy zakończyć praktyczne obliczenia. Więc tak, z radością wykorzystam wszelkie maszyny liczące, jak również przegląd dostępnych programów matematycznych. A, i materiały. Nie chciałbym po raz drugi wynaleźć koła.

Przysłałam mu wszystko, o co prosił, plus łącze z naszym zespołem zajmującym się korytarzem. Kiedy zagnieździł się już wygodnie w wirtualnej przestrzeni, odwróciłam się do Suze.

- Mogłabyś zrobić coś bardzo ważnego - powiedziałam. - Jeśli Sam znajdzie sposób przejścia, będziemy potrzebować twojej pomocy w znalezieniu drogi po drugiej stronie.

- Na Nowym Marsie?

- Właśnie. Wyobraź sobie całą planetę niezależnych. - Zmarszczyłam brwi. -

Teraz, kiedy się nad tym zastanowiłam, przypomniałam so-

-135-

bie, że jest ich tam zaledwie jakieś pół miliona... ale to zamknięty świat.

Chciałabym, żebyś spojrzała na akta ze sprawozdaniem Wilde'a, a także na parę nagrań zarejestrowanych przez jego małą raketę.

- Z radością. To jak sen, naprawdę. - Na swój sposób. Roześmiała się.

- Nie jesteś zachwycona?

- Nie jestem zachwycona tym, co wiem na temat Nowego Marsa, a także tym, o czym

opowiedział nam Wilde - wyjaśniłam, prowadząc jaku niedawno zbudowanemu stanowisku pracy na końcu pokoju. Znajdowało się najbliżej skorupy lodowej i maleńkich pracowitych robotów, więc było najmniej prawdopodobne, żeby chciał je zająć któryś z członków KD. - Według mnie to potwierdza wnioski, do których doszłam już dawno temu: ludzie w świecie własności stają się własnością.

Suze usiadła i zaczęła dostosowywać stanowisko do swoich upodobań. Widziałam tylko peryferyjne projekcje hologramowe i delikatne drganie mięśni jej twarzy, kiedy dopasowywała się do środowiska. Odwróciła się do mnie i posłała mi uśmiech, dochodzący jakby z wielkiej odległości.

- Oni tego tak nie postrzegają - powiedziała. Zanim zdążyłam zareagować, opuściła na uszy system nagłaśniający i już jej nie było.

Okolo dziesiątej zjawili się wszyscy członkowie komitetu. Żaden nie wydawał się szczególnie wyspany, ale nie z tego samego powodu, co Suze i Malley (ani ja, gdyby ktoś pytał). Najprawdopodobniej dała im się we znaki cała noc spędzona przy pracy. Niektórzy uciekli się do pomocy substancji stymulujących, inni czynili użytek z automatu do kawy.

Zanim przybyli, zdążyłam sprawdzić stan techniczny „Terrible Beauty”. Według ekipy konserwacyjnej był całkiem przyzwoity, więc pozostało mi tylko zarezerwować statek dla mojej załogi. Istniały dwa powody takiego postępowania. Jednym z nich była wygoda; z pewnością przekonalibyśmy się, że wszystkie inne szybkościowce już zostały przydzielone komu innemu albo wyleciały. Poza tym zarówno ja, jak i moja załoga byliśmy bardziej obeznani w obsłudze myśliwcówbombardujących niż szybkościowców, a znajomość indywidualnych kaprysów

„Terrible Beauty” mogła nam ułatwić życie podczas następnego lotu.

-136-

Tatsuro zasiadł u szczytu długiego stołu.

- Co ty tu robisz, Ellen? - spytał.

- Doktor Malley jest zajęty - oznajmiłam. - Jeśli będzie potrzebował mojej pomocy, musi tylko się odezwać. Do tego czasu chciałabym pozostać tutaj.

- Bardzo proszę.

Inni członkowie zaczęli nadciągać ku stołowi i zajmować miejsca. Clarity uśmiechnęła się do mnie i usiadła obok; inni zdradzali więcej rezerwy. Tatsuro ogłosił początek spotkania.

- Dla informacji tych, którzy nie byli obecni w nocy - tu zerknął na mnie - uzupełniliśmy wyposażenie niezbędne do otwarcia bezpiecznej łączności. Nasze powierzchniowe zespoły ustawiły wąsko-kierunkowy nadajnik-odbiornik, połączony absolutnie niezależnym i izolowanym kablem z ekranem i głośnikami w tym pomieszczeniu. Długość fal oraz miejsce nadawania, z którym Ellen nawiązała wczoraj kontakt, będą stanowić punkt wyjścia pierwszej próby. Podczas kontaktu to pomieszczenie zostanie odizolowane, a wszyscy, którzy nie chcą w tym brać udziału, mogą wyjść.

Spojrzeliliśmy na siebie. Nikt nawet nie drgnął.

- Dobrze, towarzysze. Ellen, poproś doktora Malleya i towarzyszkę Suze, żeby wyszli.

Malley i Suze, którym przerwałam trans, oznajmili zwięźle, że ani im się śni wychodzić.

- Nigdy w życiu bym sobie tego nie darował - wyjaśnił Malley. Suze tylko patrzyła spode łba.

Tatsuro wzruszył lekko ramionami. Oboje usiedli przy stole, Suze obok mnie, Malley u jej boku. Uścisnęłam rękę Suze.

Joe Lutterloh, specjalista od elektroniki, obszedł pokój sprawdzając położenie kamer informacyjnych i rozłączył je. Zza ścian dobiegł nas pomruk zawiedzionych ludzi, ponieważ wszystkie ekrany w Dywizji nagle zgasły.

Na końcu stołu ustawiono wielki ekran z zamontowaną na nim kamerą. Łączył się z nimi izolowany kabel, przechodzący przez komputer, który miał przefiltrować

ewentualną wiadomość. Mniejszy kabel prowadził do kontrolnego pulpitu, leżącego przed Tatsuro.

- Gotowe - oznajmił Joe.

Zajął miejsce przy stole. Siedzieliśmy tak, że widzieliśmy się nawzajem. Tatsuro obrzucił nas badawczym spojrzeniem, jakby sprawdzał, czy wszyscy nadal chcą być przy tym obecni, po czym

-137-

przycisnął włącznik. Światelko kamery zaśniło czerwienią. Wysłaliśmy nagrane wcześniej powitanie, kilka razy, a także obraz pokoju i nas samych, siedzących w milczeniu.

Minęła może minuta; mnie wydawało się, że znacznie dłużej. Potem ekran rozbłysnął obrazem. Był krystalicznie czysty, od pierwszej chwili. Nie przedstawiał kształtów, które widziałam. Ukazywał głowę i ramiona młodego mężczyzny w zwyczajnym białym podkoszulku, najwyraźniej stojącego niedbale we wnętrzu jednej z baniek. Widziałam heksagonalne kształty powierzchni, jakby bardzo oddalonych. Bardziej znajome - od wczoraj - postaci Jowiszan unosiły się za plecami mężczyzny i pod kopułą dachu, niczym dziwne ptaki. Sam mężczyzna wyglądał jak typowy mieszkaniec Ameryki Północnej, biały z domieszką innych ras. Miał przeciętną twarz: zdrowy, przystojny, rozsądny i przyjazny. Obraz mógł pochodzić ze starej reklamy NASA, i tak prawdopodobnie było.

Uśmiechnął się i pomachał ręką.

- Cześć - powiedział. - Dziękujemy za ponowny kontakt. Dla nas minęły dwa lata, więc mieliśmy czas, żeby przygotować się do odpowiedzi. Nawiasem mówiąc, działałam

na waszej prędkości, więc możemy porozumiewać się bezpośrednio. -Uśmiechnął się.

-Okropna choroba lokomocyjna po podróży z prędkością światła. Widzę, że jest z wami doktor I.K. Malley. Jesteśmy zaszczyceni.

Malley mruknął coś niewyraźnie. Nastąpiło parę sekund milczenia. Jowiszanie

uśmiechnął się ponownie.

- Jak wiecie, obraz, który widzicie, nie przedstawia nas takimi, jakimi przedstawiamy się sobie. Ale to nie tylko maska. Jesteśmy ludźmi z pochodzenia i mamy z wami wiele wspólnego, może więcej, niż sądzicie. Pewnie mniej więcej to samo mówilibyśmy gorylom. .. lub rybkom w akwarium. Ale - ciągnęła przyjazna twarz - jesteśmy oczywiście postludźmi. Nie będziemy tego ukrywać czy bagatelizować. Znamy długą historię rozdźwięku pomiędzy tymi, którzy poszli naszą ścieżką oraz tymi, którzy zdecydowali się pozostać w granicach ludzkiego gatunku.

Jego spojrzenie zogniskowało się na mnie.

- Ellen May Ngwethu - powiedział ze zdziwieniem. - Zdumiewające, że cię tu widzę. Twoi dawni oponenti z pokładu rekreacyjnego przesyłają pozdrowienia. Uniósł otwartą dłoń i zacisnął ją w pięść, co - sądząc po jego minie - miało być ironicznym pozdrowieniem.

-138-

- Skąd mnie znasz? - spytałam, starając się przemawiać spokojnym głosem.

Opóźnienie w odpowiedzi było na tyle długie, żebym zaczęła się denerwować.

- Jesteśmy osobnymi jednostkami - oznajmił, przyciskając pięść do piersi. - Nie ulem, nie... - tutaj zamilkł, by się uśmiechnąć - rozumem wielkości Jowisza. Ale mamy wspólne wspomnienia i niczego nie straciliśmy. Ci, którzy byli z tobą, są teraz z nami, a ich wspomnienia są ze mną. Mam nadzieję, że uznasz nas za żywe istoty, odrębne ciała, nie symulację czy bezduszną mimikrę. Mamy myśli i uczucia, które mogą być szersze i głębsze niż te, które pamiętamy z ludzkiego etapu, lecz są podobne do twoich. My także jesteśmy ludźmi, Ellen, i mam nadzieję, że to dostrzeżesz.

Nie odpowiedziałam, a po nieuniknionym opóźnieniu Jowisza - nin zwrócił się do innych.

- Tatsuro, prawda? Nie wątpię, że chcesz nas spytać o parę spraw.

- Rzeczywiście - powiedział Tatsuro grzecznie. - Ale przede wszystkim chciałbym

powiedzieć, że cieszę się -ja i większość z nas - z możliwości przedyskutowania naszych problemów. Będę szczery; jak zapewne wiecie, reprezentujemy sobą siły obronne, które przez ostatnie stulecia - dla was musiały być one niemal epokami - są z wami w konflikcie. Nieustannie nadajecie programy wirusowe oraz generowane mechanizmy molekularne, co jest dla nas niewygodne. Ich pierwszy atak, tuż po waszym przeniesieniu się w atmosferę Jowisza, wywołał wiele milionów zgonów i zadał ostateczny cios i tak umierającej cywilizacji. Wasze wynurzenie się z rzeczywistości wirtualnej w odrębnym ciele, jak to ujęliście, zmienia sytuację, ale w sposób, który - z pewnością to rozumiecie - wielu z nas uważa za zagrożenie. Wasi poprzednicy, ludzie, z którymi nadal jesteście związani, co sami przyznaliście, zostawili nam niewesołą wizję Układu Słonecznego zdominowanego przez postludzi. Chcielibyśmy usłyszeć, co macie do powiedzenia na ten temat.

Być może ze względu na długość wypowiedzi Tatsuro Jowisza-nin odpowiedział natychmiast. Mogło to dawać złudzenie prawdziwej rozmowy, ale po chwili nasuwało

refleksję: rozmawialiśmy z obcą, wyższą inteligencją. Najwyraźniej potrafił wydedukować z subtelnych wskazówek w głosie, wyrazie twarzy i postawie Tatsuro, kiedy nastąpi dokładny moment zakończenia wypowiedzi. Bez wątplenia przetwarzał ostatnie zdania w chwili, gdy zaczynał mówić. Poczułam, że włosy jeżami się na karku.

-139-

- To dla nas szok - mówił Jowiszanie. - Zapewniamy, że nie mieliśmy świadomości tego wirusowego sabotażu. Z największym żalem dowiadujemy się, że w przeszłości spowodował on tyle szkód. Proszę, nie zapominajcie, że dopiero co wyłoniliśmy się z tego, co wy nazywacie wirtualną rzeczywistością, a dla nas było rodzajem koszmarne snu. Wasze dwa ostatnie miesiące były dla nas mniej więcej stu pięćdziesięcioma laty. Przez większość czasu walczyliśmy o przetrwanie, budując -jak widzicie - podstawy kultury materialnej w wyjątkowo trudnym środowisku.

Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, jak wiele czasu minęło pomiędzy powstaniem korytarza i teraźniejszością, byliśmy, muszę to przyznać, przerażeni. Wirusy są całkowicie poza naszą świadomą kontrolą i nie mogą być naszym dziełem, nawet w pośredni sposób. Mamy tu fizyczne i mechaniczne procesy, postbiologiczny ekwiwalent wegetacji, a wirusy mogą być ich produktem obronnym, tak jak naturalne substancje owadobójcze w przypadku roślin. - Uśmiechnął się z zawstydzeniem. - Albo może to nasz naturalny zapach. Przepraszamy za to. Może to was obraża, ale tego nie planowaliśmy. Zrobimy wszystko, co można, żeby zlokalizować przyczynę i jeśli to możliwe, położyć temu kres.

Zauważył, znów z uśmiechem, że wszyscy oprócz mnie kiwają głowami.

- Najwyraźniej musimy przezwyciężyć wiele zadrażeń z przeszłości. Jedną z korzyści, na które liczymy, jest odkrycie, co się zdarzyło podczas naszego... snu, jak się to stało i w jaki sposób można naprawić krzywdy, do których doszło w tamtym czasie. A jeśli chodzi o waszą zupełnie zrozumiałą troskę o przyszłość... przede wszystkim, chciałbym powiedzieć w imieniu nas wszystkich: nalegamy i błagamy, nie używajcie przeciwko nam tych strasznych stwierdzeń, które wygłaszali wyobcowani młodzi ludzie, jakimi niegdyś byliśmy. Czy ocenialibyście dorosłego według każdego wypowiedzianego w dzieciństwie głupiego i złośliwego słowa? A my oddaliliśmy się jeszcze dalej od naszych początków! Co do słów wypowiedzianych przez tych, którzy być może powinni okazać więcej rozumu

- filozofów i proroków postludzi, których spekulacje były oparte na tekstach stworzonych przed pojawieniem się sztucznej inteligencji - proszę, nie obracajcie przeciwko nam tych pomysłów, pełnych lęku czy natchnienia. Sądźcie nas po tym, kim jesteśmy, nie po obawach i nadziejach robotyków i autorów sciencefiction. Ellen, tak jak inni tu obecni, żartobliwie nazywała nasze odejście „Wniebowzięciem dla idiotów”.

-140-

Tak, byliśmy idiotami! I rzeczywiście, uważaliśmy to właśnie za Wniebowzięcie.



Żyliśmy we wspaniałych i wzniosłych czasach. Od tamtych dni, od dnia naszej katastrofy, rozpoczął się długi i bolesny proces ewolucji, w każdym sensie tego słowa. Wtedy to nauczyliśmy się odwracać od marzeń i koszmarów, które dały nam nasze nowe możliwości, i żyć w prawdziwym i jedynym Wszechświecie, dzieląc go z

wami i z innymi formami życia. Nie mamy wobec was żadnych planów. Prosimy tylko,

żebyście chcieli żyć z nami w pokoju. Żebyście pozwolili nam cieszyć się życiem w tym miejscu, które należy do nas, a sami żyli w miejscu, które jest waszą własnością. Mamy nadzieję, że nie poprzestaniecie na tym i będziecie razem z nami odkrywać możliwości, które możemy razem osiągnąć. Wybór należy do was. Rzeczywiście, tak było. Nie wiem, ile osób z obecnych na sali zrozumiało, czego dotyczył ten wybór.

Jowiszczanin rozpostarł ręce.

- Ten kontakt wyczerpał nasze zapasy, przyjaciele. Chcielibyśmy was teraz opuścić, żebyście mogli się zastanowić. Czekamy na waszą odpowiedź.

Ekran zgasł. Tatsuro dotknął pulpitu kontrolnego i światelko kamery również zgasło. Zapadła chwila ciszy, po której nastąpiły westchnienia i szuranie krzesłami.

- Cóż - odezwał się Tatsuro. - Była to wyjątkowa wiadomość. Warta przemyślenia. Posiedzenie komitetu zostaje odroczone, dopóki się nie zastanowimy. Nie mówcie wszyscy na raz.

Nikt go nie posłuchał; udał, że tego nie dostrzega. Wstał i podszedł do automatu z kawą. Inni poszli w jego ślady i po chwili wszyscy otaczaliśmy go pierścieniem. Było to znakomite posunięcie ze strony Tatsuro, ponieważ dawało nam wytchnienie, możliwość oprzytomnienia po napięciu. W tłumie koło automatu odnalazłam Mal-leya.

- Spojrzałem na ciebie w ostatniej części przekazu - oznajmił. - Mam nadzieję, że wykonano nagranie naszego zespołu podczas kontaktu. Miałaś bardzo typowy

wyraz twarzy.

- Tak? - Wyciągnęłam rękę i wystukałam kawę espresso. - Czyli jaki?

Wyszczrzył zęby.

- Hmm... Widziałem kiedyś zdjęcia z dwudziestowiecznej gazety. Przedstawiały szaloną moskiewską żebraczkę, trzymającą por-

-141-

trety Stalina i ostatniego cara. Spoglądała na wystawę pełną telewizorów, na których politycy składali narodowi obietnice po kontrrewolucji. Miałaś dokładnie taką samą minę.

- Wiesz, Sam - powiedziałam - czasami prawie nie rozumiem, o czym mówisz. Ale jeśli chodzi ci o to, że mogłam wyglądać nieco sceptycznie i nawet odrobinę wrogo...

- Tak, o to mi chodzi - zachichotał. Wreszcie trochę spoważniał. - To dość przerażające. Pomyśleć, że gdybym nie nalegał na rozpoczęcie kontaktu nigdy nie usłyszeliśmy, co mają do powiedzenia Jowiszanie.

- Tak. - Przesuwaliśmy się, wypychani z tłumu przez napierające ciała. Znalazłam wolne miejsce przy stole i usiadłam. - Bez tego przekazu nie wiedzielibyśmy, jak dalece są naszymi wrogami.

Malley o mało nie rozlał kawy.

- Wrogami? Wystąpili ze wspaniałomyślnąpropozycjąpokojo-wego współistnienia. Niczego lepszego nie mogliśmy się spodziewać.

Pokręciłam głową.

- Czasami mogę wydawać się uprzedzona, ale mimo to potrafię sobie wyobrazić, jak powinna wyglądać prawdziwie wspaniałomyślna pokojowa propozycja Jowiszana.

Nie

twierdzę, żebym w nią uwierzyła, a gdybym uwierzyła, zapewne bym jej nie zaakceptowała, ale mogę ją sobie wyobrazić. A to, co usłyszeliśmy, w niczym jej nie przypomina.

- Prawdę mówiąc, zaskoczyłaś mnie. Co ci się nie podoba?

- Jeszcze nie zdecydowałam. Diabeł tkwi w szczegółach. Malley skrzywił się.

- W porządku. Jestem naukowcem, nie politykiem. -1 jak postępy? - rzuciłam lekko.

- No wiesz... - opuścił wzrok, po czym podniósł go na mnie. -Jak powiedziałaś: diabeł tkwi w szczegółach. Najważniejsze jest znalezienie kąta wejścia do korytarza; w ten sposób wyjdziemy z ko-rytarza-córki, a nie wpakujemy się na sondę. Kiedy już to osiągniemy, będziemy mieli z górki. Ale do tego jeszcze daleko. Nawet fizyczne zmierzenie kąta zależy od tego, jak zdefiniuje się quasi-powierzchnię, a to dość trudne. No, ale... w końcu po to tu jesteśmy, nie?

Wszyscy kotłowali się wokół Joego i Clarity, którzy przepuszczali wiadomość przez program diagnostyczny. O ile mogli się zo-

-142-

rientować, informacja była czysta. Tatsuro zastukał w stół i rozpoczął posiedzenie na nowo.

- No dobrze, wiemy już, że przekaz nie zawiera żadnego wirusa czy pułapek semiotycznych, więc proponuję, żeby bezzwłocznie udostępnić go Dywizji. Jakies sprzeciwy?

Nikt się nie odezwał.

- Świetnie.

Joe ponownie włączył kamery. Znowu usłyszeliśmy odgłosy z zewnątrz. Tatsuro uderzył w parę klawiszy i rozmowa między Jo-wiszaninem i nami zaczęła rozgrywać się na zewnętrznych ekranach. Nasza dyskusja potoczyła się własnym torem.

- Następny punkt: czy ktoś jest zdecydowanie przeciwny dalszym kontaktom? Znowu nikt nie zaprotestował.

- A zatem proponuję, żeby szybko zredagować odpowiedź. Z tego, co mówił Jowiszanin, wynika, że szybki lud jest nadal tysiąc razy szybszy od nas. Tym razem nie zostawimy im dwóch lat pomiędzy przekazami. Mieliście czas, żeby określić swoje pierwsze wrażenia. Oto moje: raport opisujący, w jaki sposób zaistniała obecna... kontynuacja postludzkiej inteligencji, wydaje się doskonale

pasować do tego, czego się sami domyślaliśmy. Jednostki te zdradzają ciągłość wspomnień z ludzkimi przodkami, co nie jest zaskoczeniem, choć ich zdolność rozpoznawania konkretnych osób spomiędzy nas jest, muszę powiedzieć, niepokojąca. Najwyraźniej poczynili wysiłki -z pewnością chęć, byśmy uwierzyli, że wiele ich to kosztowało - by pokazać nam ludzką twarz. Dosłownie. Wystosowali deklarację, którą musimy starannie rozważyć, a która nakłania nas do współpracy i życia w pokoju. Według mnie to dowodzi, że nie mają - na razie - wystarczających środków, by nas pokonać. Przy obecnym przewidywanym tempie postępu, równowaga sił może się gwałtownie przechylić na ich stronę. Na razie w niczym nie zdradzili, że potrafią sięgać poza atmosferę Jowisza inaczej, niż przez przekazy radiowe i to dziwne molekularne wrzenie, które rzekomo nie jest efektem ich świadomego działania. Wzburzenie, jakie okazali na wieść o szkodach poczynionych przez wirusy przenoszone na falach radiowych oraz odżegnanie się od odpowiedzialności za nie - to wszystko również przewidywaliśmy. Nie możemy tego potwierdzić, ale sądzę, że powinniśmy zachować nieufność. Natomiast co do wezwania do współpracy... Prośba, by nie sądzić ich po uczynkach przodków czy

-143-

spekulacjach myślicieli sprzed czasów Osobliwości, jest dobrze przemyślanym argumentem. Ale za rym idzie coś więcej. Jeśli Jowisza-nie będą w dalszym ciągu się rozwijać i zdołają uniknąć pułapki wirtualnej rzeczywistości, wkrótce oddalą się od obecnego poziomu tak, jak oddalili się od swojej przeszłości. Teraz spoglądajana tych, którymi niegdyś byli i wypierają się związku z nimi. Cień przyszłości, który im wydaje się bardzo odległy, dla nas pozostaje boleśnie bliski. W ciągu kilku dni lub tygodni może się okazać, że Jowiszanie z pozycji tych, którymi są teraz, zlekceważyli swoje obietnice i troski, jak my lekceważyliśmy przeżycia niemowlęcia. Jak mamy ich zmusić do dotrzymania obietnic, powstrzymując się od wywierania nacisku? I jak możemy utrzymać się na poziomie

wyższym od nich? Nie możemy tego dokonać. Albo im zaufamy, albo ich zniszczymy.

Tatsuro położył dłonie na stole i powoli powiódł wzrokiem po zebranych. Usiadł. Byłam zdumiona treścią jego przemowy, lecz poczułam ulgę. Przynajmniej on nie dał się uwieść retoryce Jowiszan. Inni nie wydawali się szczęśliwi, widząc koniec swoich pięknych nadziei. Zdradzały to ich twarze, choć nikt nie chciał się odezwać pierwszy.

Więc zaczęłam.

- Istnieje jeszcze jeden problem, który należy wyjaśnić w następnej wymianie wiadomości. Jowiszanie powiedzieli, że chcą cieszyć się życiem w swój ej części Układu i pozwolili nam robić to samo w naszej części. Byłoby bardzo interesujące przekonać się, jakie tereny mieli na myśli. Co uważają za swoje, a co za nasze. O ile pamiętam, początkiem naszego rozłamu był właśnie problem praw własności. Człowiek ten - jeśli jest człowiekiem - wspomniał także o zadośćuczynieniu lub rekompensacie za krzywdy, których doznali podczas swego tak zwanego snu. Nie powiedzieli, kto ma je rekompensować, komu i za co.

- Ale on na pewno miał na myśli... - zaczął ktoś.

- Nie! - przerwałam. - Nie możemy przyjmować, że mówił o krzywdzie, którą nam wyrządzili! Mogli wspominać o krzywdzie, którą my wyrządziliśmy im. Niektórzy bardzo bogaci ludzie zostali Zewnętrznymi i nadal twierdzą, że ukradliśmy im - my, czyli Unia - ich własność podczas rewolucji. Posługując się terminologią ich systemu prawnego, ci wyzyskiwacze posiadali połowę Ziemi i mogliby zechcieć ją odebrać, wraz z odsetkami! Z tego, jak ja pojmuję prze-

-144-

mowę Jowiszanina, wynika ten sam wybór: albo ostrzelamy ich kometami, albo będziemy żyć pod ich żelaznym obcasem, w niewolnictwie, jakie pociągnie za sobą konieczność zwrotu ich tak zwanej własności.

- Och, Ellen! - jęknęła Clarity. Zerknęła na Tatsuro. - Przepraszam, towarzyszu przewodniczący. Obawiam się, że Ellen zaprezentowała przykład błędnej

interpretacji sytuacji. Myśl, iż postludzie mogliby być zainteresowani Ziemią lub tymi jakimiś odsetkami, choć mają cały Wszechświat i przyszłość przed sobą, prowadzi tylko do kontynuacji dawnych wojen. Uważam, że nawet nie powinniśmy o

tym wspominać. Nie twierdzę, że mamy im wierzyć bez zastrzeżeń, ale przynajmniej okażmy dobrą wolę, jak każdemu obcemu, zamiast babrać się w historii starożytnej.

W sali zaszemrał rozbawiony pomruk wobec brawury tej pięć-dziesięciolatki, która odesłała przeżycia większości zebranych pomiędzy dzieje ginące w mrokach starożytności. Suze podniosła rękę. Tatsuro skinął głową.

- Towarzyszu Tatsuro - zaczęła. - Moje poglądy są zgodne z opiniami Clarity, ale chciałabym zauważyć, że Ellen ma dużo racji. Jeśli Jowiszanie naprawdę rozumujątak, jak opisała, mogą rozgrzeszyć się niemal ze wszystkiego. Z drugiej strony, jeśli znajająkąś wersjępraw-dziwej wiedzy, wszystko, co chcą zrobić z nami, stanie się usprawiedliwione, kiedy tylko urosną w siłę. Byłoby dla nas dużym ułatwieniem, gdybyśmy mogli skłonić ich do zdefiniowania tego, co uważają za swoją własność i wbudowania tej świadomości w każdą następną wersję ich osobowości, przez co nie będą mogli nas zdradzić bez poważnego wewnętrznego konfliktu. Będą wtedy musieli nas szanować, obojętne czy są moralistami, czy egoistami.

- Towarzyszeko Suze - Tatsuro uśmiechnął się przyjaźnie. - Może masz rację, ale i tak rzecz sprowadza się do pytania, czy możemy im zaufać. Bez siły szacunek jest martwy. Ale nasza siła nie musi leżeć w umiejętności zniszczenia ich; na nas mają wpływ nawet niemowlęta i niższe gatunki zwierząt, ponieważ wiążą się z nimi nasze interesy. Cenimy je, a naturalna selekcja wbudowała te przekonania w nasz system nerwowy tak bardzo, że nie możemy nawet chcieć tego zmienić, choć niewątpliwie gdybyśmy bardzo zapragnęli, moglibyśmy tego dokonać. To proste: drugie powtórzenie prawdziwej wiedzy. Pytanie, które naprawdę nas interesuje, brzmi: czy Jowiszanie będą cenić naszą niezależną egzystencję?

- A to - odezwał się niespodziewanie Joe Lutterloh - sprowadza się do problemu, czy będziemy żyć jako zwierzęta dzikie, czy też udomowione.

Rozgorzała zapalczywa dyskusja, która ciągnęła się co najmniej przez godzinę, zanim Tatsuro nie uciął jej niecierpliwym bębnieniem palców po blacie stołu.

- Towarzysze - powiedział twardo. - Sądzę, że doprowadziliśmy dyskusję do punktu, w którym zebraliśmy dostatecznie dużo materiału do przedstawienia podczas następnego kontaktu. Jednak muszę stwierdzić, że jestem mocniej niż dotąd przekonany, iż praca doktora Malleya musi przebiegać równolegle. -

Spojrzał na Malleya i na mnie. - Rozumiem powody, dla których chcieliście być świadkami pierwszego kontaktu, ale czy mogę przyjąć, że to was zadowala?

Malley skinął głową.

- Bardzo dobrze. Z pewnością doktor zechce wrócić do problemu korytarza. Ellen, sądzę, że wyraziłaś już swoją opinię. Nie wydaje mi się, żebyś mogła wnieść coś nowego do dyskusji lub negocjacji. Mam rację?

- Chyba tak - mruknęłam.

- Doskonale. Rozumiem, że tamta część sali została już wygłoszona. Doktor Malley może kontynuować pracę bez przeszkód. Jeśli cokolwiek będzie wymagać waszej obecności, damy wam znać.

Wstałam, obdarzyłam resztę zebranych życzliwym uśmiechem i poszłam za Malleyem

do jego stanowiska pracy. Suze dołączyła do nas po krótkim wahaniu.

-No, no! - szepnęła. - Pokazał nam, gdzie nasze miejsce!

Poklepałam ją po plecach.

-Nie ma się czym martwić. Tatsuro powiedział nam prawdziwy komplement, jakkolwiek by to wyglądało w oczach innych. Przyznał, że nasza praca jest tak samo ważna jak to, co może wyniknąć z kontaktu z Jowiszczanami.

Malley usiadł na stanowisku pracy i spojrzał na ekran. Przycisnął skronie czubkami palców.

- Wiesz, Ellen, on miał rację. My staramy się dotrzeć do gwiazd.

- Oto właściwe nastawienie - oznajmiłam. Obejrzałam się w stronę stołu. Joe znowu rozłączał zewnętrzne kamery. Zaczynała się następna sesja kontaktu. Ciekawe, na ile zmienili się przez ten czas Jowiszanie.

-146-

- No dobrze - westchnęłam. - Suze, pomóż mi znaleźć jakieś roboty, niech rozstawią tu ekran dźwiękochłonny.

W ciągu następnych trzech godzin pomogłam Malleyowi znaleźć i zestawić tysiące nagrań Bramy i przeszukać dane nawigacyjne ze statku Wilde'a, który przeszedł przez korytarz w odwrotną stronę. Niestety, ścieżki nie były porównywalne; nie wystarczyło wziąć przykład ścieżki z Nowego Marsa i puścić ją od tyłu. Za plastikową ścianką, która przepuszczała światło, ale nie dźwięk, widziałam nasz komitet, nieustannie nawiązujący kontakt z emisariuszem Jowiszan. Suze była pochłonięta badaniem społeczeństwa Nowego Marsa. Od czasu do czasu mruczała coś do siebie.

Około piętnastej odwiedziła nas Clarity z trzema kubkami kawy. Przerwaliśmy pracę i uśmiechnęliśmy się do niej z wdzięcznością.

- Jak postępy? - spytałam. Zmarszczyła mały, zgrabny nosek.

- Chyba dobrze. Jowiszanie są ciągle bardzo przyjaźnie nastawieni i już nam nie pokazują samego obrazu mężczyzny. Teraz wokół niego pojawiają się inne postaci, czasami wydaje się, że przekazują odpowiedzi przez niego. Jakby zrozumieli, że zaczynamy do nich przywykać.

- A co na froncie wirusowym?

- Ciągle jeszcze nie znaleźli żadnego problemu.

- Hmm... Co z problemem podziału dóbr?

- A, to! Jowiszanie byli wstrząśnięci, że w ogóle o tym mówimy. Twierdzi z naciskiem, że nie mieli planów wykorzystania Układu poza Jowiszem, który jest dla nich wystarczająco duży, jak podkreślił.



Uśmiechnęłam się demonicznie.

- Brak planów nic właściwie nie oznacza, poza dosłownym znaczeniem tych słów. A „nic” jest wystarczająco duże, by z czasem urosnąć, co jest ulubionym sposobem postępowania Zewnętrznych.

Wzruszyła ramionami.

- Na pewno nie pozwolisz nam o tym zapomnieć. Miłego wypoczynku.

- Dzięki.

Malley spojrzał za nią; Suze spojrzała na Malleya. Ja spojrzałam na Suze i uśmiechnęłam się.

- To wszystko przez odmłodzenie - mruknęłam.

- Co? - spytał Malley.

-147-

-Nic.

- Wiesz, kim jesteś? Jesteś jastrzębiem.

- Fajnie - odparłam. - Jak wszyscy tutaj. Nie spodziewałam się jednak, że zmienią się w gołąbki pokoju, jak tylko nieznany wróg do nich zagada.

Malley wyjął fajkę z woreczka u pasa i włożył ją do ust., ale zaraz wyjął, odłożył i pociągnął łyk kawy.

- Wiesz - powiedział z pewnym żalem - chyba nawet już nie lubię smaku tytoniu. -

Upuścił fajkę i po chwili złapał, zafascynowany jej powolnym upadkiem.

Przechylił się do tyłu, spojrzał w ekran i dotknął czegoś w przestrzeni wirtualnej.

- Do roboty - rzucił.

Pracował przez godzinę, po czym nagle przerwał. Rozmawiałam właśnie z Suze, odświeżając wspomnienia o złożonej teorii prawa anarcho-kapitalistycznego, które usiłowali wyjaśnić mi niektórzy Zewnętrzni na pokładzie rekreacyjnym, a którego logicznym skutkiem stał się Nowy Mars. To jak ptolemejskie epicykle, nieskończone szeregi na nowo wynalezionych kół. Nie pojmuję, dlaczego ci ludzie nie widzą odpowiedzi?

Przerwał nam nieartykułowany okrzyk Malleya.

- Masz jakiś problem? - spytałam.

- Mam problem jak cholera. - Znowu wyjął fajkę, tym razem nabił ją tytoniem i zapalił, wściekle pykając. Małe roboty zatrzymały się w połowie pracy i wciągnęły powietrze. Niektóre z nich pospiesznie zaimprovizowały sprzęt gaśniczy i zaczęły nas okrążyć.

- Nie dam rady - oznajmił Malley. - Wszystko to zależy od kąta, pod jakim wejdzie się do korytarza. Nie potrafię go określić na podstawie kąta, pod jakim w dwa tysiące dziewięćdziesiątym trzecim weszły do niego statki buntowników z kolonii. Korytarz ma jakiś cykl, którego fazy nie umiem określić. Na razie obliczenie go jest poza moimi możliwościami. Gdzieś napewno istnieje klucz do tego, ale jest matematycznie niewykrywalny. Trzeba by zbudować korytarz, żeby wiedzieć, czym on jest.

- Nie potrafisz nawet zgadnąć?

- A, nie. Zgadnąć potrafię. Ale nie dałbym głowy.

- Nie musisz! Wyślemy sondę. Zobaczymy, czy wróci... Malley dziabnął ekran cybuchem fajki.

- Jasne - warknął. - Problem tylko w tym, że możemy sobie wysyłać sondy aż do końca świata. Moje domysły są tak samo dobre, jak domysły twoich kolegów, a im nic nie wróciło.

-148-

Z wysiłkiem ukryłam przerażenie. Nie mieliśmy czasu na bawienie się w sondy. Liczyliśmy na Malleya, byliśmy pewni, że przy jego głębokiej wiedzy teoretycznej i ogromnej ilości naszych danych zdołamy przebić sobie ścieżkę.

Malley zmarszczył brwi.

- Coś mnie zastanawia - wyznał. - Tak?

- Ta czasoprzestrzenna ścieżka stąd na Nowego Marsa... jak to możliwe, że mamy właśnie ją, a nie ścieżkę biegnącą w odwrotnym kierunku?

- To dość śmieszne. Wilde miał ścieżkę powrotną w komputerze. Zdołaliśmy zdobyć

do niego dostęp. Ścieżkę zewnętrzną-która może nie być już aktualna - miał, by tak powiedzieć, w głowie. To znaczy istniał taki moment, kiedy obie były przechowywane w programie tego samego komputera, ale nawet gdybyśmy to wiedzieli, nie potrafiliśmy się włamywać do ludzkich mózgów, choćby takich w komputerach. Nie mając ścieżki dostępu, adresów...

Malley uśmiechnął się blado.

- Wiem. Chodzi mi o to, w jaki sposób Wilde zdołał odtworzyć ścieżkę z Nowego Marsa. Czy mieszkańcy planety mają supernowoczesne komputery, czy może fizyków z podrasowanymi mózgami?

-Niezupełnie. Na Nowym Marsie istniały zmagazynowane oryginalne obrazy mózgów

Zewnętrznych oraz niektórych „makr” sprzed katastrofy. Zdaje się - nie mogę o tym myśleć spokojnie - że Nowi Marsjanie zrobili sobie ich kopie i uruchomili je w kontrolowanym środowisku, po czym poprosili, żeby opracowały ścieżkę powrotną.

A kiedy mieli już odpowiedź na to pytanie i na parę innych, na przykład jak wskrzesić ludzkie umysły i ciała, które także przechowywali... no, po prostu ich stuknęli. Użyli czegoś, co nazywane jest Błękitną Mazią. Nanospecyfik do usuwania nanoprogramów.

- Jezu! To znaczy, że odtworzyli całą kulturę postludzi w wirtualnej rzeczywistości, zadali im parę ważnych pytań, a potem ich zniszczyli?

- Tak - przyznałam. Nie mogłam się powstrzymać od chichotu na widok zgrozy, malującej się na jego twarzy. Nawet Suze była zdumiona słysząc historię, której Dywizja zdecydowała się nie rozgłaszać. - Jasne, było to trochę ryzykowne. Ja nie zaufałam kulturze postludzi nawet wtedy, gdybym trzymała ją obok siebie w słoiku. Ale sami rozumiecie, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

-149-

-Nie ma zwłaszcza moralności - dodał Malley. - To jakby miniatura tego, co

zamierzacie zrobić z Jowiszanami, w dodatku z mniej ważnych powodów.

Skinęłam głową.

- Wilde ma swój wkład w prawdziwą wiedzę. Nawet jeśli jest niezależny.

Malley westchnął.

-Nie ciągnijmy tego. Więc skąd mają ścieżkę oryginalną, ścieżkę prowadzącą przez korytarz-córkę na Nowego Marsa? -A, to. Z makr. Malley wybałuszył oczy.

- Zewnętrzni dali je makrom? Rozłożyłam ręce.

-Niektórym. Nie wiemy, czy była to umowa, która miała stanowić zapłatę dla kierownika firmy pracy przymusowej, niejakiego Dave Reida, bardzo paskudnego typu, który prawdopodobnie nadal jest wielką fiszą na Nowym Marsie. A może korytarz-córka został zbudowany przez Zewnętrznych dla ich celów, a Reid i reszta zdołali uzyskać te informacje, kiedy makra uległy degeneracji.

- Aha... - mruknął Malley. - Właśnie mi zaświtało, że sami możemy to zrobić. Zapytać.

To mi naprawdę nie przyszło do głowy.

Tatsuro siedział u szczytu długiego stołu, stukając palcami po pulpicie i przeczesując rzednące włosy. Członkowie komitetu stali lub siedzieli wokół niego, rozmawiając i pijąc kawę. Zakończono właśnie kolejną sesję rozmów, przefiltrowano nagranie przez program antywirusowy i puszczono reszcie Dywizji. Clarity siedziała po uszy w sondażach opinii na temat kontaktu. Sądząc po jej minie, były one sprzeczne.

Podeszłam z Malleyem do Tatsuro.

- Mamy problem - oznajmiłam. -1, być może, rozwiązanie. Wysłuchał nas, a ja przyglądałam się jego twarzy; nie zdradzała prawie niczego, jeśli nie liczyć minimalnych drgnień mięśni pod gładką skórą. Zaniepokojenie, rozczarowanie, gniew, zwątpienie i słaby promyk nadziei - niczego nie dało się zauważyć!

- Sądzę, że warto spróbować - powiedział na koniec. - Ale w ten sposób zdradzamy im nasze zamiary.

-150-

- Dowiedzą się dopiero, jak przejdziemy - odparłam. - Przynajmniej musimy to przyjąć.

Tatsuro skinął powoli głową.

- Być może. Choć muszę powiedzieć, że obserwacje astronomiczne z wnętrza atmosfery mogą być dość trudne, nawet dla nich. W każdym razie, jeśli spytamy ich o ścieżkę, będziemy musieli to zrobić tak, żeby nie zaniepokoiili się naszymi intencjami.

Wzruszyłam ramionami.

- Chyba mamy prawo interesować się innym społeczeństwem...

- Aha! - zakrzyknął Malley. - A to co? Jowiszanie mogą mieć nadal jakieś, hm, problemy z buntownikami, co? Takjak wy, jestem pewien. Czy ten właściciel obozu pracy przymusowej angażował waszych ludzi?

- Można to i tak nazwać - syknęłam. Było to coś, co zdążyłam już przemyśleć: odpowiedzialność za te długoletnie łapanki i zgony spoczywała bardziej na firmie Reida niż na jego klientach, Zewnętrznych. Co w tej chwili nie miało znaczenia.

- Więc im to powiedzcie. Powiedzcie, że chcecie zadośćuczynienia za to, co się stało. Jowiszanie mogą to uznać za całkowicie usprawiedliwioną motywację.

- Zwłaszcza jeśli sądzą, że dzięki temu się nam wywiną- dodał Tatsuro. - Dobrze, powiemy to przy następnym kontakcie.

- A przy okazji - wtrąciłam. - Z kim my właściwie się kontaktujemy? Czy mamy pewność, że w jakiś sposób reprezentują Jowiszanie?

- Takjak my Unię? - spytał sucho Tatsuro. - Chyba nawet bardziej, ośmielę się zauważyć. Mamy dowody na to, że transmisja naszych rozmów jest rozpowszechniana

wśród ludności Jowisza. „Przedstawiciel”, którego widzimy, to produkt prezentujący pogląd większości.

- Podsumowanie historii - zauważył Malley.

Jeszcze raz rozpoczęto przygotowania do kontaktu. Powoli zaczynały nam wchodzić

w przyzwyczajenie, tak jak i sam kontakt. Znowu ujrzeliśmy twarz. Pierwsze wymiany zdań dotyczyły kwestii, które powstały podczas wcześniejszych, nie znanych mi sesji. Następnie Tatsuro poruszył problem korytarza i ścieżki na Nowego Marsa.

Po raz pierwszy rzecznik Jowiszan się zawahał.

- Chwileczkę - poprosił. Jego twarz nagle przybrała nieobecny wyraz, jakby stała się pustą maską. Migające kształty innych Jowi-

-151-

szan zaczęły przechodzić gorączkowe transformacje, zmieniając się w fontanny, wyciągając w długie kolumny, tworząc ciemne gmachy...

- To chyba nie był dobry pomysł - szepnął ktoś w sali. Zamknij się, powinnam powiedzieć, ale gardło miałam wyschnięte. Kolory i faktura wypłynęły na twarz Jowiszanina niczym rumieniec.

- Przepraszamy - powiedział. - Informacja, o którą prosiliście, była ukryta głęboko w naszych archiwach pamięci. Poza tym niektórzy z nas nie chcieli wam jej udzielić. - Uśmiechnął się. - Ale przegłosowaliśmy ich, więc proszę bardzo. Tatsuro postukał palcami po pulpicie; pulsująca świetlista linia na dole ekranu oznaczała transmisję danych. Trwała niespełna pięć sekund.

- To wszystko, czego potrzebujecie - oznajmił Jowiszanin. - Pozdrówcie naszych byłych pracowników i powiedzcie im, że nie żywimy urazy za to, iż nam uciekli. Na razie do widzenia.

Obraz zgasł.

- O w mordę - odezwał się Malley. - Ależ toto szybkie. Miałam ochotę się roześmiać. Inni patrzyli jeszcze przez chwilę na pusty ekran. Potem spojrzeli na nas.

- Poruszyliście jakąś strunę - zauważyła Clarity.

- To pierwsza oznaka rozdźwięku pomiędzy nimi - powiedział Tatsuro. - Proponuję, żeby wyjątkowo dokładnie sprawdzić te dane na obecność wirusów.

Wydzwoniłam Yeng i ściągnęłam ją do sali. Wraz z Joe i Clarity przeczesali

przekaz wszelkimi dostępnymi programami. Nie znaleźli niczego. Malley wprowadził

dane do swojej wirtualnej przestrzeni i powiadomił nas, że pasują do jego niedokończonych obliczeń.

Zapał już wieczór. Yeng, Suze i ja siedziałyśmy wokół Malleya. Za naszymi plecami trwała praca. Kiedy Malley odchylił się na krześle i skinął głową ze znużeniem, wszystkie wydałyśmy okrzyk, który ściągnął na nas uwagę.

- Najpierw próba - oznajmiłam.

Zadzwoiłam do kosmodromu i podałam dane komputerowi nawigacyjnemu.

Wkluczowałam

okienko na ekranie Malleya i razem przyglądaliśmy się całej misji, od startu małej rakiety po jej starannie wyliczone wejście do korytarza. Zajęło to około godziny. Ostrzeżyliśmy patrolowe myśliwce, stojące na orbicie przed Bramą. Mimo to wyjście sondy z korytarza postawiło je w pełnej gotowości bojowej.

Wyobrażałam sobie ich napięcie.

-152-

Sonda nie miała na pokładzie niczego prócz teleskopowej kamery - z filmem fotograficznym, nie telewizyjnym. Jeden z naszych myśliwców bombardujących przyjął sondę i puścił nam film z własnych kamer telemetrycznych.

Zobaczyliśmy ziarniste zdjęcia nieznajomej przestrzeni kosmicznej, nieznane żółte słońce i odległy czerwony glob, poznaczony kanałami.

- Przecież to jest, naprawdę niesamowite - powiedział Malley w osłupieniu. -

Tylko popatrzcie. Do tej pory chyba w to nawet nie wierzyłem.

Objęłam naszą gromadkę.

- Więc lepiej uwierz - poradziłam. - Bo się tam wybieramy. Jutro.

8 Miasto żywych trupów

Kekrzywiony pierścień Jowisza wcinął się białym pasem w przestrzeń przed nami. O piętnaście kilometrów przed nami unosiła się o wiele mniejsza elipsa Malleya. Z tej odległości silniki pomocnicze i dysze korygujące wydawały się

maleńkimi czarnymi paciorkami wokół jej tęczowego pierścienia.

Myśliwiecbombardujący „Turing Tester” znajdował się tuż obok nas, gotowy do zajęcia naszej pozycji, kiedy tylko ją opuścimy.

„Terrible Beauty”, wraz z pozbawionym załogi myśliwcembombardującym „Carbon Conscience”, który przywarł do jej boku jak czarna mucha do białego jajka, szykowała się do ostatniego skoku w kierunku Bramy. Cała załoga znajdowała się na pokładzie, włącznie z Malleyem i Suze. Malley, mimo protestów Tatsuro i innych, uparł się, że poleci z nami. W końcu czyja to cholerna teoria, chciałby wiedzieć! Czyje nazwisko służy temu czemuś, co? Równie uparte naleganie Suze cechowało się większą logiką: potrzebowaliśmy jej, ponieważ jest jedyną osobą mogącą się zorientować, w jaki sposób funkcjonuje społeczeństwo Nowego Marsa.

-153-

- Kąt podejścia 1.274066 radianów - oznajmił Jaime.

- Kurs potwierdzony - powiedziała Andrea. - Odległość czternaście koma cztery kilometra, prędkość względna sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Sprawdzone.

Teraz wszystko zależało od nich; od nich i od naszego komputera, który naprawdę kierował statkiem. Ale, pod wpływem impulsu datującego się od czasów Wostoku i Merkurego, kiedy ludzie wchodzą na statek, chcą mieć ostatnie słowo. Może to iluzja, może byłoby lepiej, gdyby maszyny zajęły się wszystkim... ale kiedy zaczyna się tak myśleć, na czym się skończy? W ogóle się nie skończy i ani się obejrzyś, a po Wszechświecie zaczną latać statki bez ludzi. Jeśli się dobrze zastanowić, pomyślałam, unosząc się w pasach tuż nad leżanką i starając się nie myśleć zbyt dużo, byłoby to dokładnie to, przeciwko czemu walczymy.

- Dwanaście kilometrów.

Teraz, kiedy przyglądałam się Mili Malley'a, rozpościerającej się przed nami na ekranie, nie miałam wrażenia, żebym miała na coś wpływ. Spadaliśmy w dziurę w niebie, a ja nie mogłam nic na to poradzić.

- Sześć mil.



- Gotowe do odpalenia - zaśpiewała Andrea. - Trzy minuty.

Musieliśmy przejść tamtędy podczas przyspieszenia, jak poinformował nas Malley.

Usiłował nawet wyjaśnić dlaczego, ale większość z nas odpadła przy czwartym równaniu, które miało być jeszcze dość proste. Spojrzałam na Malleya. Zajmował leżankę obok mnie. Wydawało mi się, że ma bardzo mocno zaciśnięte powieki.

Poruszał ustami. Odwrócił się i otworzył oczy.

- Ach - szepnął. - Więc mnie przyłapałaś.

- Na czym?

Zamknął oczy na sekundę, otworzył je i uśmiechnął się.

-Na modlitwie.

-Nie wiedziałam, że jesteś wierzący.

- Właściwie nie. - Malley spojrzał na nasz cel na ekranie. - Ale zakładam, że Bóg słucha wszystkich, wierzących czy nie.

Nie była to pora na dyskusję filozoficzną.

- Tak - szepnęłam. - Andrea mówi to samo o medaliku ze świętym Krzysztofem.

- Wszystko słyszałam - odezwała się Andrea. - Nie wierz jej. Może jestem sentymentalna, ale nie przesądna.

-154-

Malley uśmiechnął się i jakby odrobinę rozluźnił.

- Ja widziałem Boga - włączył się do dyskusji Borys z leżanki po lewej stronie.

- Na niebie pod Brnem.

- Chcesz powiedzieć, że dostałeś się w inteligentny deszcz z przestarzałej hanzeatyckiej broni psychochemicznej - oznajmiłam. -Nie mieszaj pojęć.

- Wiem, co mi się stało - oznajmił Borys pogodnie. -I wiem, co widziałem.

- Wy tam, cisza w szeregach - rzuciła Andrea. - Odpalenie za dziesięć sekund, dziewięć, osiem...

Tym razem przyspieszenie było łagodne; narastało powoli do pół g. Brama korytarza zaczęła zbliżać się bardzo szybko. Zanim zdążyłam pomyśleć, zanim zdążyłam się zdziwić, zanim Malley zdołał odmówić j jeszcze j edną modlitwę,

ekrany błysnęły przelotnie błękitem, po czym zgasły.

- Odcinam napęd - oznajmiła Andrea. Niewielki ciężar znikł. W zupełnej ciszy rozległ się głos Jaime'a.

- To już?

Andrea sprawdziła ekrany i ustabilizowała je na czerwonym sierpnie planety, którą widzieliśmy wczoraj, o dziewięćdziesiąt trzy tysiące kilometrów od nas, na końcu czasu.

- Tak - potwierdziła. - To już. Przeszliśmy.

Jaime sprawdził mapę nieba w atlasie astronomicznym komputera. Babbage działały przez parę sekund, fiksele migwały i pracowały ze wszystkich sił; skatalogowany obraz 3D przedstawiał przyspieszony ruch gwiazd i po paru poprawkach nałożył się na widok, który się przed nami otwierał. Jaime odczytał wynik.

- Dziesięć tysięcy lat świetlnych od domu, trochę ponad dziesięć tysięcy lat w przyszłości, lekko licząc - powiedział. - Witajcie w Ramieniu Strzelca.

- Rany - szepnęła Suze.

- Wyraziłaś zdanie nas wszystkich - mruknęłam. - Nie zdejmujcie pasów. Yeng, mogłabyś zrobić skan?

Yeng usłuchała natychmiast; ściągnęła swój komputer, upewniając się że jest odizolowany od innych, po czym ostrożnie przepuściła przez program antywirusowy spektrum elektromagnetyczne i ewentualne przekazy.

- Jest zajęty - powiedziała.

- Nie spiesz się.

-155-

- Jest naprawdę zajęty. W życiu nie widziałam czegoś takiego. Sygnały na każdej możliwej długości fal! Sprawdzenie ich pod kątem wirusów potrwa wieczność. - Machnęła bezradnie w stronę ekranu, na którym przesuwwały się długie szeregi próbek. - Tutaj nic nie ma, ale to tylko maleńki wycinek.

- Spróbuj na chybił trafił gdzieś w środku widma - poradziłam.

Zajęło to około godziny, podczas gdy dryfowaliśmy ku planecie. Dobrze

wykorzystaliśmy ten czas. Po pierwsze, obróciliśmy statek i zaczęliśmy hamować, tak że gdyby Yeng odkryła coś paskudnego, mogliśmy od razu uciec w stronę korytarza. Następnie umieściliśmy małego satelitę w stałej pozycji obok korytarza, w położeniu, które miał utrzymać. Został zaprogramowany na kierowanie lasera komunikacyjnego pod odpowiednim kątem, by wiązka przedostała się przez korytarz do czekającego po drugiej stronie „Turing Tester”. (Światło, jako pozbawione masy, przedostaje się bez przyspieszenia, które oczywiście i tak było niemożliwe; niestety, obawiam się, że dalsze wyjaśnienia Malleya, iż do tego jest zdolne jedynie światło koherentne, jakoś mi umknęły.)

Sprawdziłam nerwowo łącze. Malley sterczał mi nad głową.

- „Terrible Beauty” do „Turing Tester”, jak mnie słyszycie? Sekundy ciszy.

- „Turing Tester” do „Terrible Beauty”, słyszymy was głośno i wyraźnie.

Jesteście na miejscu?

- Tak - odpowiedziałam. - Dziesięć tysięcy lat świetlnych od domu. Tak twierdzi Jaime.

Znowu krótka przerwa.

- Przekazaliśmy waszą wiadomość Komitetowi Dowodzenia. Będzie mówić Tatsuro.

Zmiana głosu.

- Gratulacje, towarzysze, właśnie przeszliście do historii. Mały krok, wielki skok i tak dalej.

Jeden mały krok dla Jowiszan, jeden wielki skok dla nas.

- Dziękuję - powiedziałam. Po krótkiej wymianie zdań, głównie na tematy techniczne, rozłączyliśmy się.

Następnie wysunęliśmy lustro i ustawiliśmy je przed statkiem, nieco przechylone na jedną stronę, co umożliwiało nam wzrokową obserwację poprzez znajdujący się z przodu statku teleskop. Wyłącznie dzięki łutowi szczęścia przybyliśmy w samą porę, kiedy główne osiedle planety, Miasto Statków, wyłoniło się na środku półksiężyca,

zmierzając w stronę mroku. Na ciemnej stronie planety migotały światełka mniejszych osiedli, a wkrótce dołączył do niej pięcioramienny kształt miasta, niczym jasna gwiazda. Wilde opowiadał nam o wielu innych osiedlach, a samo miasto wydawało się większe i jaśniejsze niż to opisywał.

- Według mnie tam mieszkają ludzie - zawyrokował Tony.

- Właśnie, że nie - odparłam. - Wilde twierdzi, że cztery z tych ramion są zamieszkane, jeśli to właściwe słowo, przez zdziczałe roboty.

- Światło się pali, ale nikogo nie ma w domu? - podsunął przebiegle Malley.

- Właśnie - zgodziłam się. - Więc nie zakładajmy niczego z góry, dobrze?

- Zdaje się, że oni też coś założyli, jeśli chodzi o nas - odezwał się Borys.

-Co?

- Spokojnie tu - dodał łagodnie. - Pewnie przyjęli, że nie mamy złych zamiarów.

- Dzięki, że to powiedziałaś - mruknął Tony. - Zawsze mi się wydawało, że takie rzeczy trzeba trzymać w głębokiej tajemnicy.

- Przestańcie się pieklić, towarzysze.

- Kto się piekli?

Przez jakiś czas rozmawiali w tym tonie.

- Kiedy już sobie pogadacie - Yeng odsunęła od siebie przyrząd, który automatycznie powrócił na swoje miejsce - może zechcecie wysłuchać wstępnego raportu ze sprawdzenia losowo wybranej próbki sygnałów radiowych.

- Słuchamy - powiedziałam.

- Czysto. Masa zaszyfrowanych wiadomości, ale nic szkodliwego. Po prostu dane, żadnych żywych programów. Radzę wam wysłuchać tego, co dzieje się w układzie, w

którym ludzie mają spektrum tylko dla siebie i nie muszą się martwić - spojrzała ponuro - o wyzerające im mózgi „pasożytnicze programy z potwornych umysłów”.

- Dawaj.

Unieśliśmy się na leżankach, by wysłuchać, co mają sobie do powiedzenia ludzie, którzy nie muszą się martwić o szkodliwe działanie Jowiszan. Uśmiechnięta

złośliwie Yeng sięgnęła po przełącznik. Głośniki na pokładzie rozbrzmiały najbardziej żalobną muzyką, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć. Smutny, gardłowy głos

-157-

śpiewał jednocześnie z melodią. Słowa opisywały coś, co musiałam wygrzebać z najbardziej zakurzonych archiwów pamięci: bezrobocie, nadużywanie alkoholu, opuszczenie, zdrada, seksualna frustracja, zazdrość, religia...

- To straszne - wykrztusił Tony po paru minutach przysłuchiwania się z otwartymi ustami. - Tam na dole musi być piekło.

Suze parsknęła śmiechem. -Nie. Kapitalizm.

- Country - zauważył Malley.

- Dajcie coś innego - poprosił Borys. - Cokolwiek.

- Jasne - mruknęła przeciągle Yeng. Przez chwilę przysłuchiwaliśmy się upiornemu wyciu, aż wreszcie jakiś głos powiedział:

- ... i chciałbym powitać was nas Czarnej Fali, pierwszej i najlepszej bluesowo-soulowej rozgłośni Miasta Statków. Jesteśmy tu, by pomóc wam przetrwać noc...

Trzeba uczciwie przyznać, że muzyka nadawana przez lokalne rozgłoszenie nie zawsze wydawała się zachętą do popełnienia samobójstwa; czasami była zdecydowanie podżeganiem do morderstwa. Całkiem niezłe zgadzało się to z tym, co zobaczyliśmy w telewizji -od pierwszej chwili przedstawiła obraz społeczeństwa, w którym morderstwa zdarzają się na porządku dziennym. Jednak Suze i Malley zapewnili nas, że Wilde mówił prawdę podczas przesłuchania -było to tylko udawanie, gra, imitowanie przemocy w celach rozrywkowych. Przynajmniej w większości przypadków.

Walka na śmierć i życie była tu legalnym sportem, tak jak twierdził Wilde i jak wkrótce przekonaliśmy się sami. Patrzyliśmy na ekran z pełną zgrozy fascynacją.

- To chore - powiedział Borys. - W ciągu ostatnich trzydziestu minut widziałem więcej zabójstw niż podczas Wojny Stuletniej.

- O ile sobie przypominam, większość zabójstw widziałeś z daleka - wytknęłam. -

Patrzenie to jedno, dokonywanie to całkiem co innego. Poza tym - dodałam, wskazując przegranego, wywlekanego ze stadionu przy grzmiących okrzykach widowni

- on za parę dni stanie na nogi. Jak już mu je poskładają.

- Brzydka rana głowy - mruknęła Yeng.

- Zanim wyjdą na arenę, robią sobie kopie zapasowe, więc tracą tylko wspomnienie o tej walce. Przynajmniej tak to widzą.

-158-

- Ty nie? - spytał Malley. Pokręciłam głową.

- Śmierć to śmierć i nie czuję ulgi na myśl, że klon z czyimiś wspomnieniami będzie sobie żył długo i szczęśliwie.

Malley odepchnął się od ściany, na którą omal nie wpadł, i natychmiast podryfował w kierunku odwrotnym do obranego.

- Uważam - rzucił przez ramię - że właśnie usłyszeliśmy jedną z twoich niereformalnych opinii. To chyba jakaś usterka w twoim programie umysłowym. Te wszystkie „maszyny nie mają świadomości” ... - Chwycił się rośliny, obok której przepływał, ale udało mu się tylko oderwać pół liścia.

- Świadomość to właściwość węgla - zacytowała radośnie Yeng. - Przestań dręczyć nasze rośliny.

Potrzebowaliśmy tej chwili przerwy, żeby rozładować napięcie przejścia przez korytarz. Było większe, przynajmniej dla mnie, niż podczas wszystkich innych manewrów, w jakich zdarzyło mi się uczestniczyć od czasów bitwy o Lizbonę, która miała miejsce dawno temu. Przemierzenie tego pęknięcia w czasoprzestrzeni było dla mnie bardziej przerażające niż lądowanie podczas ostrzału, a także nie mniej kłopotliwe. Zabroniłam sobie o tym myśleć. Minie trochę czasu, zanim dotrze do nas, czego dokonaliśmy, a do tego czasu chciałam bezpiecznie wrócić do domu. Mylący wpływ radia i telewizji, chociaż w pewnym sensie przedstawiały one zarysy codziennego życia, przygotowały nas na kontakt z bardzo obcym nam społeczeństwem.

- Dobra, towarzysze! - wrzasnęłam. - Przestańcie się śmiać z programów porno i wracajcie na stanowiska. Mamy robotę.

Kiedy wszyscy odpłynęli - albo, jak Malley, zostali zawleczeni - ku leżankom, poluzowałam pasy i ustawiłam się tak, żeby widzieć i być widzianą.

- Ustaliliśmy, przynajmniej z grubsza, że Nowy Mars nie znajesz-cze Osobliwości. Jeśli jest inaczej, ktoś dopilnował, żeby sprawiać mylące wrażenie. Nie możemy tego wykluczyć. Najprościej jest to sprawdzić, wysyłając parę małych, dyskretnych sond. Zobaczymy, jak to wygląda z bliska. Ale przedtem damy im znać, że tu jesteście. O ile nam wiadomo, jeszcze nas nie zauważyli, ale z pewnością zauważą, kiedy tylko wejdziemy na orbitę. Wszyscy już to ćwiczyliśmy, ale pozwólcie, że jeszcze powtórzę. Nie mają obrony kosmicznej w sensie

-159-

militarnym, ale mają działa laserowe, atakże uzbrojoną flotę po wietrzną. Używają ich, kiedy dostrzegają zbliżające się fragmenty komety, które wyglądają, jakby miały spaść tam, gdzie nie powinny, albo zbyt mocno uderzyć. Nie mają dość silnych laserów, żeby nam zagrozić, tylko małe działka laserowe obsługiwane przez roboty, takie jak to, w którym pojawił się Wilde, ale są w stanie narobić nam poważnych szkód, a nawet myśliwiec bombardujący może nie oprzeć się takiemu

ostrzałowi. Nawiasem mówiąc, zdradzają czarującą lekkomyślność przy używaniu broni jądrowej. A zatem zrobmy to po bożemu. Po pierwsze proponuję, żeby Yeng i Suze ułożyły i wysłały sympatyczne powitanie. Jaime i Andrea skierują nas na kurs ku orbicie planety. Geo-stacjonarny, albo dokładniej - uśmiechnęłam się, świadoma własnej pedanterii - neoareostacjonarny nad Miastem Statków.

- Niezupełnie nad nim - poprawił mnie Tony. - To zbyt onieśmielające.

- Dobrze, niech będzie. Zanim zaczniemy wysyłać pozdrowienie, niech Borys przygotuje jakiś tuzin sond - tych małych, które w ostatecznym stadium unoszą się w powietrzu jak liść - i niech wyśle je tuż po wejściu na orbitę. Na razie od chwili wysłania przekazu siądź przy działkach i nie odchodź, zanim nie

będziemy pewni, że jesteśmy mile widziani; ty i Jaime zajmiecie się myśliwcembombar-dującym. Yeng, będziesz odbierać odpowiedzi na nasze wezwanie w

kanałach kontrolnych ruchu powietrznego czy co tam oni mają, a Suze zajmie się stacjami nadawczymi. Z pewnością wkrótce staniemy się tematem numer jeden. I na koniec... według ostatnich wiadomości, na tej planecie nie ma państw. To dobrze, bez wątplenia, ale za to mają mnóstwo konkurujących ze sobą organizacji obronnych. Nie wyglądają jak Dywizja ani nawet Unia; naszym problemem nie są uzbrojeni po zęby żołnierze, ponieważ nie będziemy zdradzać złych zamiarów. Ci ludzie mogą nie być tak agresywni, jak sugerujących programy telewizyjne, ale są trochę... hm, drażliwi i nieprzewidywalni. - Spojrzałam pytająco na Malleya.

- Sądzę, że wyraziłaś się oględnie - przyznał.

- Dobrze. Do roboty. Po bożemu. Tak, jak każą w podręczniku.

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Pierwszy historyczny kontakt pomiędzy Układem

Słonecznym oraz pierwszą i j edyną zamieszkaną przez ludzi kolonią poza nim brzmiał j ak następuj e:

-160-

- Tu statek pasażerski Unii Solarnej, „Terrible Beauty” z Calli-sto via Mila Malleya. Wzywamy kontrolę lotów Miasta Statków. Prosimy o pozwolenie wejścia na orbitę...

- Spieprzaj no z tego kanału, mały! Ostrzegam cię, możesz narazić na niebezpieczeństwo ruch powietrzny, a my cię już namierzamy. Siedzisz po uszy w gównie, ty mały popaprańcu. Dobra, mamy cię, i...

Długa chwila ciszy.

- Oho, Jones, mamy tu jakąś mistyfikację. Powtarzam, mistyfikację. Żółty Alarm. Przechodzę na szyfr binarny, powtarzam, szyfr binarny od tej chwili, krzkrzkrzkrz...



- Spróbuj na innym kanale - poradziła Suze. - Może ich konkurenci są bardziej otwarci.

Yeng przetestowała kolejno ATC sp. z o.o, Linie Lotnicze Rei-da, Wieżę Kontrolną Lowell Field, Braci Barsoom, Przyjazną Kontrolę Lotów Xaviera...

- Kiedy wspominałaś o książce, mogłaś od razu powiedzieć, że chodzi ci o książkę telefoniczną - pożalił się Malley.

Musiałam się roześmiać (tak, mieliśmy książki telefoniczne, nawet w naszej nie znającej pieniędzy wspólnocie); wszyscy zdawali sobie sprawę, ile rozmów telefonicznych musi się w tej chwili odbywać na planecie, zwłaszcza z firmami sprzedającymi zabezpieczenie przed zbliżającymi się kosmicznymi śmiećkami.

Wiedzieliśmy także, że ludzie z Nowego Marsa mogą się niepokoić wszystkim, co wychodzi z korytarza. Pięć lat temu kopia Jonathana Wilde'a zniknęła w Mili Malleya, gnana rozpaczliwym niepokojem, iż szybki lud zdołał opanować Wszechświat po tamtej stronie. Było inaczej, lecz kopia nigdy nie powróciła...

A nasze intencje nie były do końca przyjazne. Gdyby Nowi Marsjanie zdawali sobie z tego sprawę, wezwaliby wszystkie siły powietrzne i rozwalili nas w drobny pył.

- Jesteśmy w dzienniku! - krzyknęła Suze.

Yeng pochyliła się i obróciła ekran tak, żeby wszyscy mogli go widzieć. Ukazywał małego przejętego chłopca, który mówił coś bardzo szybko, stojąc przed zdjęciem nieostrego, lecz rozpoznawalnego jajowatego kształtu.

- ...UFO ciągle powoli zbliża się w naszym kierunku od strony Bramy korytarza.

Z wiarygodnego źródła wiemy, że jest to rzekomo ekspedycja z Układu Słonecznego!

Nasze źródło zachowuje milczę-

11 Dywizja Cassini

— 161 —

nie co do tego, czy istotnie mamy do czynienia z ludźmi, czy też szybki lud

wraca do domu! Czy jesteśmy gotowi na prawdziwą... lub też wirtualną... inwazję?

Służby Programów Specjalnych apelują do wszystkich o unowocześnienie systemów antywirusowych. Nie ryzykuj, zadzwoń już teraz! - Na dole ekranu przewinął się

długi numer. - A teraz transmisja na żywo! Wzajemna Ochrona, łowcy komet, uderzają z Lowell Field! Żadne zadanie nie jest zbyt poważne dla Wzajemnej Ochrony-i żadne nie jest za małe! Czy twój dom i biuro są tak bezpieczne, jak mogłyby być? Zadzwoń do Wzajemnej Ochrony, a także ty będziesz mógł skorzystać z

usług najbardziej doświadczonych strażników, pracowników firmy mogącej się poszczycić tradycją, która sięga Starej Ziemi i jest pierwsza na Nowym Marsie!

-1 poleciał - zakończył dzieciak z podziwem, a na ekranie pojawiło się zadziwiające zdjęcie ostrych jak igły rakiet, śmigających przez niebo niczym strzały. Ryk startujących silników zlał się w jeden huk.

U dołu ekranu pojawił się numer, pod który należało zadzwonić.

- Borys, Jaime, do myśliwca bombardującego - rzuciłam. - Nie oddzielajcie się, dopóki nie zobaczycie przeciwnika. Jaime, daj nam przybliżony czas pojawienia się rakiet...

- One się nie pojawią- oznajmił Borys spokojnie. - To kit. Archiwalne nagranie albo zwykłe oszustwo. To przeciw pociski. Ten typ nazywaliśmy Obywatelami. Nie używa się tego przeciwko komecie, dopóki nie znajdzie się tuż nad tobą. To zmyłka.

Włączył się alarm; we wstecznych ekranach zobaczyliśmy rozbłysk lasera trafiającego w cel. Potężne drgania wstrząsnęły statkiem - nie były to uderzenia, jak pomyślałam w pierwszej chwili, lecz pociski-przynęty, wyrzucane w szaleńczym, nieregularnym rytmie, by zmylić wszelkie nakierowujące się na promieniowanie pociski z zadziwiającą różnorodnością wariantów emisji radiowej, radarowej i podczerwieni.

- Pasy! - ryknęła Andrea. Nasze kombinezony, które zareagowały na alarm prawie, jeśli można tak powiedzieć, odruchowo, już sztywniały wokół nas, zaciskając pasy. Andrea włączyła dysze korygujące i pełny napęd. Przyspieszenie przydepnęło mnie niczym potwornie wielka łapa. Mimo ochrony kombinezonu miałam wrażenie, że

zebra zaraz mi pękną, jeśli odważę się odetchnąć. Zaczęłam tracić przytomność, ale od razu poczułam mrowienie skóry, gdy kom-

-162-

binezon podał mi tlen prosto do krwi przez mikroskopijne kanaliki. Ekrany przedniej szyby - a raczej to, co widziałam pomiędzy purpurowymi plamami, efektem nacisku na gałki oczne - przedstawiały burzę rozszerzających się sferycznych błysków.

A potem znowu zaczął się swobodny spadek. Leżałam, dysząc z wysiłkiem.

Kombinezon wycofał z mojego ciała maleńkie igielki, czego nawet nie poczułam w obolałym ciele.

- Zostańcie na swoich miejscach! - Ostrzeżenie Andrei było zupełnie zbyteczne.

Nikt z nas nie podniósł nawet głowy. - Udało się - ciągnęła. - Uciekliśmy.

Borys przeglądał raporty zniszczeń.

- Nieźle - ocenił. - Uszkodzenia kadłuba w granicach normy. „Carbon Conscience” jest nietknięty i zdaje się, że całkiem nieźle sobie radził.

- Co się stało? - spytała Suze żałośnie. - Zaatakowali nas?

- Jasne - powiedział Borys. - Chociaż nie było to nic nadzwyczajnego. Zdaje się, że mieli wokół korytarza małe stadko kometoła-maczy, które niezbyt sprawdzają się jako działa obronne. Właściwie zmarnowaliśmy na nich przynętę. Szkoda.

- I co? - spytałam, wpatrując się z niedowierzaniem w rosnący czarny krąg przed nami. - Lecimy prosto na Nowego Marsa?

- Ach... - zmartwiła się Andrea. - Przepraszam, towarzysze. To chyba odruch. Mogę wprowadzić poprawkę kursu, jeśli...

- Nie, nie, na razie zostaw. - Zaczęłam zastanawiać się nad sposobem naszego podejścia, tak dosłownie, jak i w przenośni. Ciągłe odbieraliśmy wiadomości telewizyjne:

- UFO przebiło się przez naszą pierwszą linię obrony i zmierza wprost na nas! Za chwilę dalsza...

- UFO! Też coś - parsknął Malley.

- Co to jest UFO? - chciała wiedzieć Yeng.

- Coś, w co wierzono przed prawdziwą wiedzą- warknął Malley.

- Yeng - wtrąciłam w porę, zanim zdążyła poczuć się zraniona - czy możesz połączyć się z Nowym Marsem i zadzwonić pod ten numer?

- Zadzwonić do Wzajemnej Ochrony?

- Tak. Dlaczego by nie? Suze, możesz z nimi pogadać? 7jd?mTQt umowę?

Parsknęła śmiechem.

- Nie wiem, ale na pewno mogę nieźle namieszać.

-163-

- Warto spróbować. Dobra, nie rozpinajcie pasów. Nie będziemy ich przekonywać, żeby nie zachowywali się jak szaleńcy. Możemy dać im prawdziwy powód do zmartwień. Andrea, daj kurs na trzy g, obróć statek i ląduj gdziekolwiek, byle było pusto i niezbyt daleko od Miasta Statków. Suze, Yeng, dzwońcie. Borys, Jaime, wsiadajcie do „Carbon Conscience” i trzymajcie się nas, jak długo można; odłączcie się, kiedy wejdziemy w atmosferę, lądujcie i róbcie co chcecie, ale torujcie nam drogę.

- To lubię - mruknął Borys. - Osłanianie lądującego statku. Jak za dawnych czasów. - Odpiął się od leżanki i podryfował za Jaime.

Uznałam, że nie powinnam mu teraz przypominać, kto robił takie rzeczy - nie on, tylko ja. To by źle wpłynęło na jego morale. Po chwili odezwał się do nas z myśliwca bombardującego i oznajmił, że są gotowi.

- Dobrze - powiedziałam. - A teraz pokażemy tym niezależnym, z jakiego materiału nas zrobiono.

- Mam nadzieję, że nie będą się musieli tego dowiadywać z naszego DNA - zauważyła Andrea tuż przed włączeniem napędu. Tym razem grawitacja była słabsza niż podczas uniku, natomiast trwała znacznie dłużej. Moment swobodnego spadania nie przyniósł ulgi: ciało, do tej pory pulsujące tęnym bólem, teraz odezwało się ostrym spazmem, który nie ustał po rozpoczęciu hamowania. Znowu poczułam przygniatający ciężar.

- Rozłączamy się - powiedział Borys. - Do zobaczenia na dole, jeśli zdołacie.

- Ja też cię kocham - rzuciłam. - Uważaj na siebie. Owadopodobny kształt myśliwca bombardującego przesunął się

obok i w gwałtownym rozbłysku dysz odskoczył do tyłu. Dysza głównego napędu rozbłysła i statek śmignął koło nas, schodząc do niebezpiecznego lądowania.

Suze i Yeng odezwały się równocześnie; ich głosy brzmiały dziwnie niewyraźnie, stłumione przygniatającym je ciężarem.

- Powtórzcie jeszcze raz - wymówiłam z trudem.

- Połączyliśmy się - jęknęła Suze boleśnie. - Ze Wzajemną Ochroną. Chyba potraktowali nas poważnie. Mam ich na łączach.

- Daj na główny ekran - poprosiłam.

Twarz poważnego młodego człowieka pojawiła się nade mną.

- Cześć - powiedziałam słabo. - Zamierzamy wylądować koło waszego miasta i chcemy was zapewnić, że jesteśmy przyjaźnie na-

-164-

stawieni. Prosimy, żebyście wstrzymali ostrzał. I tak potrafimy go odeprzeć. -

Był to bluff, ale podejrzewam, że z mojej zniekształconej twarzy nie dawało się odczytać żadnego wyrazu. - Ale wolimy wylądować bez kłopotów.

- Czy to wy jesteście gwiazdnym statkiem „Terrible Beauty”?

- Tak - przyznałam. Gwiazdny statek, dodałam w myślach. I tak lepiej niż UFO!

- Czy możecie zaproponować nam zastaw? -Zajaki staw?

- Przepraszam - wtrąciła Suze. - Możemy zaproponować wam co najmniej tonę złota jako zastaw w razie spowodowania jakichś szkód.

- Ach... - Młodzieniec zmarszczył brwi. Najwyraźniej ze wszystkich sił starał się nie okazać wstrząsu. - Tonę angielską czy metryczną?

Zanim negocjacje potoczyły się dalej, dotarliśmy do górnej warstwy atmosfery, a obraz na ekranie zamglił się i zniknął. Powietrze Nowego Marsa jest bardziej rozrzedzone niż ziemskie - zresztą nie liczyliśmy na nie przy hamowaniu. Na zewnątrz zrobiło się czerwono i ani łącza, ani działa nie mogły nam pomóc. My

sami także nie mogliśmy. Mogliśmy tylko leżeć i mieć nadzieję, że zgrzyty i podskoki to wynik naszego wejścia w atmosferę, a nie bliskich wybuchów, z których każdy mógł być naszym ostatnim wspomnieniem. Malley chyba znowu się modlił, a ja właściwie zapragnęłam zrobić to samo, mimo agnostycznych zastrzeżeń. Jednak byłam zbyt zawziętą materialistką, żeby teraz zmieniać front. Wszystkim, czego chciałabym od tego jakiegoś boga, byłaby bezgraniczna miłość i osłona przed ostrzałem, a w obu sprawach mogłam polegać na Borysie.

Kotwice szarpnęły nami trzy, cztery, pięć razy ... rzadsze powietrze oznaczało, że potrzebujemy ich więcej niż na Ziemi, nawet przy słabszej grawitacji. Ostatni płomień z dysz, który przywalił nas jeszcze większym ciężarem i wysunął podpory... i wylądowaliśmy. Nie słyszałam niczego, prócz skrzypienia moich żeber i pneumatycznego westchnienia ustawiających się podpór.

- Jesteśmy w j ednym kawałku - oznajmiła Andrea. - Brak ostrzału, a „Carbon Conscience” właśnie się zameldował. Schodzą do lądowania i donoszą, że wszędzie czysto.

Załoga resztkami sił wzniosła okrzyk radości. Andrea uruchomiła laser komunikacyjny i wysłała wiadomość o bezpiecznym lądowaniu.

-165-

Bardzo powoli i z wysiłkiem, korzystając z pomocy kombinezonu, wydźwignęłam się

do pozycji siedzącej. Potem wstałam.

- Wszyscy zdrowi?

Pozostali podnieśli się chwiejnie.

- Jakby mnie ktoś pobił - mruknął Tony. - Gdzie jesteśmy?

- Sześćdziesiąt kilometrów za Miastem Statków - odczytała Andrea. - Na polu porośniętym jakąś monokulturą.

- To coś, co ludzie robią, kiedy nie mają upraw hydroponicz-nych - pouczył Malley.

- Jakieś wynalazki niezależnych, co? - spytała Yeng.

Z przyjemnością przekonałam się, że wraca jej złośliwy dowcip.

Po chwili odkryliśmy, że istotnie był to wynalazek niezależnych. Wyrzalam z luku komory powietrznej i ujrzałam mężczyznę stojącego w półmroku, tuż za rzucanym przez nasz statek okręgiem światła i wewnątrz większego kręgu zniszczeń, które spowodowało nasze lądowanie. Trzymał coś, co wyglądało mi na broń. Teren był tu płaski, od czasu do czasu poznaczony oświetlonymi kształtami; odgadłam, że są to jakieś zabudowania. Gwiazdy wydawały się bliższe niż w przestrzeni kosmicznej i, co dziwne, jaśniejsze.

-Nie wieejejm, kim jesteecie - krzyknął - ale zapłacicie za teej szkody, albo jazda z mojeej ziecejmi!

- O jaką zapłatę chodzi? - odwrzasnęłam, nieprzytomna z ulgi i gotowa zaproponować mu tonę złota, angielską lub metryczną.

- Hej - odezwała się Suze zza mego ramienia. - Pozwól, że ja się tym zajmę. Farmer, który przedstawił się jako Andrew Calvin Powell, okazał się zupełnie inny od niezależnych z Londynu. Po paru minutach rozważań (co to w ogóle jest?) przyjął z najwyższym zadowoleniem to, co Suze zaproponowała mu tytułem odszkodowania i zaprosił nas do środka, żeby „poczeejkać na helikoptery”.

- Wojskowe? - spytałam, zerkając niespokojnie na statek. Mężczyzna roześmiał się, aż błysnęły białe zęby w przyjaznej, opalonej twarzy.

- Dobry Boże, nie! Z tego, co słyszałem, Wzajemna Ochrona wzięła was pod skrzydła. Nie, zaraz będą tu wielkie szychy z miasta. Wyciągnęli ich z ważnych zebrań... albo z łóżek i barów. Ale zjawią się dopiero za jakąś godzinę, jak już ustalą, co mająrobić. A wa-

-166-

si koledzy z bombowca wylądowali bezpiecznie na lotnisku, gdzie gadają z reporterami.

Skinęłam na resztę, przywołując ich do siebie. Nie było sensu zostawać we wnętrzu statku. Sam potrafił unieść się w górę. Nasze kombinezony będą

utrzymywały z nim zakodowaną łączność radiową, a także z myśliwcembombardującym,

jeśli znajdzie się bliżej. Właściwie można zrobić coś jeszcze, pomyślałam i dotknęłam mankietu, jakby swędziała mnie ręka. Na materiale kombinezonu wykwiły maleńkie jak paciorki, niemal niezauważalne oczka nanokamer.

- Skąd to wiadomo? - spytałam, kiedy zebraliśmy się wokół Powella i ruszyliśmy zaoraną ziemią ku jasnym oknom jego domu, mającego kształt długiego, niskiego pagórka.

- A wy nie macie łącz korowych?

- W pewnym sensie - powiedziałam ostrożnie. - Ale nie puszczamy na nich wiadomości.

Zerknął na mnie spode łba.

- Czerwoni! Zawsze tacy sami. Kontrolowanie wiadomości i koszmarna konsumencka

elektronika. No, przynajmniej jeejścieście przyjaźni, całkiem jak stary Nowy Wietkong.

- Hej - ucieszył się Tony, brnąc koło mnie w błotnistym polu. -Pamiętam ich.

- Zaraz - wtrąciłam, zanim zdążył rozwinąć temat. - To nie tak. Mamy problemy z elektroniką, jasne, ale to przez szybki lud. Posiadamy wszystkie wynalazki, jakich można zapragnąć, ale rozwinęliśmy się w innym kierunku.

- Mój dziadzio mówił, że cholerne Ruski zaajwsze tak gadają-oznajmił Powell rozwlekle i niewzruszenie. -I mieejli rację tylko co do prądniczy Energii, myśliwca Mig i AK-47. Reszta to bujda.

Za plecami usłyszałam parsknięcie Malleya.

- No nie - zirytowałam się. - A niby jak to możliwe, że widzimy w ciemnościach?

- Na pewno nie dzięki genetycznym wzmacniaczom optycznym - oznajmił.

Podkreśliłam mrugnięciem szkła kontaktowe do większej ostrości i zamilkłam,

dopóki nie dotarliśmy do tylnych drzwi domostwa Powella. Staął na progu i

gestem zaprosił nas do środka. Zanim to zrobiłam, kazałam kombinezonowi pozbyć



się błota z butów i przejść spektakularną transformację. Zrobiłam wspaniałe wejście do jasno oświetlonego pokoju.

-167-

Obróciłam się furkocie spódnicy; zauważyłam, że przynajmniej niektóre kamery zmieniły się w widoczne koraliki.

- Macie tu ubrania, które to potrafią? Powell wyszczerzył zęby.

- To bardzo ładna sukienka, droga pani - powiedział tylko. Zaczekał, aż wszyscy wejdziemy (pozostałe kobiety poszły za moim przykładem, każda na swój sposób), przekroczył próg, postawił strzelbę na stojaku przy drzwiach i poprowadził nas do wnętrza domu.

Pierwszy pokój, przez który przeszliśmy, był tylko magazynem: nagie betonowe ściany - materiał bardzo podobny do oceanobetonu, tylko tu elementem wapiennym jest kamień - z szeregiem stojaków, półek, narzędzi, zapasów ziarna i zaparkowanych robotów. Powell zaprowadził nas korytarzem ku głównej części domu.

Gdzieś po drodze powierzchnia podłogowa zmieniła się w gruby dywan, na który Powell wstąpił, nie wycierając zabłoconych buciorów. Po paru krokach błoto zniknęło. Nie zauważyłam, jak to się stało. Dywan cicho zaszemrał i to wszystko. Z zewnątrz dom wyglądał na dość przestronny - pagórek pokryty sztuczną trawą, o długości może trzydziestu metrów i wysokości czterech. Wewnątrz wydawał się nawet większy, ponieważ okazało się, że jest częściowo ukryty pod ziemią.

Wyszliśmy z korytarza na balkon, obiegający podziemne atrium o szklanym dachu, nad którym unosiły się nieruchome ryby oraz zniekształcone, gwiazdziste niebo.

Oświetlenie było mocniejsze na niższym poziomie, umeblowanym sofami i krzesłami

o skórzanej tapicerce oraz paroma stołami. Przy jednym z nich siedziała kobieta, która na nasz widok wstała z uśmiechem. Powędrowaliśmy za Powellem po schodach, obok stawu porośniętego wysokimi roślinami, wśród których pluskały ryby.

Wszystkie ściany wyłożono ekranami, teraz pustymi; zauważyłam też parę nieruchomych obrazów ludzi i ziemskich krajobrazów, a także wiele nieznanymi przedmiotów, w większości pochodzenia organicznego, choć sztucznie wykonanych. Wisiały na ścianach, stały na półkach lub zwisały z sufitu. Nie zauważyłam, żeby się ruszały, ale robiły dziwnie rozpraszające wrażenie.

- Poznajcie moją żonę - powiedział Powell, spoglądając na nas. Kobieta podeszła do nas, ciągle uśmiechnięta. Miała jakieś sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i pulchną figurę, której obcisła, wysadzana klejnotami czerwona sukienka raczej nie kryła. Jasne włosy spadały jej na ramiona kaskadą wymyślnych kędziorów i fal.

-168-

Jej twarz pokrywały kosmetyki, zupełnie niepotrzebnie; była młoda i ładna pod wszystkimi tymi pudrami i kolorami. Ujęła moją dłoń w obie ręce.

- Witajcie - powiedziała. - Jestem szczęśliwa i zaszczycona, mogąc was poznać. Mam na imię Abigail, a pani musi być Ellen May.

- Wystarczy Ellen, sąsiadko Abigail - powiedziałam. - Ja także czuję się szczęśliwa i zaszczycona.

- Och, jak to miło. - Miała znacznie słabszy akcent, niż jej towarzysz.

Właściwie przestałam go już zauważać. Jej głos brzmiał wyjątkowo ciepło. Kiedy przedstawiłam jej resztę załogi, powitała ich jak dawno nie widzianych przyjaciół. Słyszała o Malleyu i wydawała się pełna podziwu. Zanim skończyliśmy, Andrew - lub ktoś, a może coś innego - nakrył do stołu, na którym widniały zachęcające rzędy butelek i kieliszków. Małżeństwo zachęciło nas, żebyśmy usiedli na największych sofach. Podali nam drinki, po czym usiedli przy stole i sami się obsłużyli.

Andrew Powell podniósł kieliszek.

- Za pokój i wolność!

Spełniliśmy toast. Czuję się trochę zaniepokojona, co o tym pomyślimy za parę dni; ale w końcu zawsze można mieć nadzieję. Nastąpiła chwila niezręcznego

milczenia. Nic dziwnego. Zasady kontaktu między przedstawicielami dwóch od dawna

rozdzielonych społeczeństw dopiero się rodziły.

- Okazałeś wiele odwagi - zwróciłam się do Andrew - wychodząc do nas uzbrojony jedynie w strzelbę. Nie wiedziałeś, kim jesteśmy i jak zareagujemy.

Machnął ręką.

- To nie odwaga. - Uśmiechnął się do żony; odpowiedziała tym samym. - Abigail osłaniała mnie z domu. Mamy tyle broni, że możemy powstrzymać całą armię.

- Ach - powiedziałam z namysłem. - Ale to ty byłeś na linii ognia, prawda?

Wzruszył ramionami.

- W zeszłym tygodniu zrobiłem sobie kopię. Najwyżej przypadłoby mi parę wspomnień. - Znowu uśmiech i chichot Abigail. - Ale nie martwiłem się specjalnie.

Mam cholerne szczęście, żeście wylądowali akurat na mojej ziemi. Będę pokazywać to miejsce przez lata, nie za darmo!

Abigail chyba źle zrozumiała nasze miny.

-169-

- Och, widzicie, my nie mamy problemu ze zmartwychwstaniem. Oboje zasnęliśmy w

dwudziestym pierwszym i wstaliśmy dopiero pięć lat temu. To dlatego - powiodła wokół gestem ręki - nie jesteśmy najlepiej sytuowani, jak sami widzicie.

Naprawdę nie możemy sobie jeszcze pozwolić na dzieci. Ale mamy siebie i naszą małą farmę, a Bóg był dla nas łaskawy.

Przesadne trzepotanie oblepionych czymś rzęs.

- Do śmierci nie byłem specjalnie pobożny - wyjaśnił Andrew ze skrepowaniem. -

Ale to doświadczenie jakoś przybliżyło do spraw ducha. Kiedy obudziłem się, cały mokry i goły jak święty turecki, a nade mną latał helikopter Czerwonego Krzyża, powiadam wam, padłem na kolana i modliłem do Boga.

- Można cię nazwać nowo narodzonym chrześcijaninem - zauważył Malley. Reszta z nas nie rozumiała, dlaczego Andrew i Abigail wybuchnęli tak gwałtownym

śmiechem, że musieli się nawza-jem podtrzymać.

- No, rzeczywiście - wykrztusił Andrew, ocierając oczy. Odetchnął głęboko i spoważniał nieco. - Ale mimo tej, hm, ulgi i wdzięczności, i tak dalej, kiedy się nad tym zastanowiłem, dotarło do mnie, no wiecie... jeśli zwykły człowiek może robić coś takiego, trzeba by zupełnie zgłupieć, żeby nie wierzyć, że Wszechmocny także wskrzesi wszystkich zmarłych w odpowiednim czasie. Wiem, że tego dnia tylko Jezus może stanąć pomiędzy mną i swoim sprawiedliwym gniewem. Uśmiechnął się do naszych uprzejmych i nieruchomych twarzy.

- No dobrze, starałem się was nawrócić, bezbożnych komunistów, ale teraz nie usłyszycie z moich ust bożego słowa, dopóki sami nie poprosicie, a wtedy z radością się nim z wami podzielę. Dobra Księga mówi, żeby nie rzucać pereł przed...

- Właśnie - przerwała Abigail pospiesznie. - Jeszcze drinka?

Czterdzieści minut korzystania z gościnności Andrew i Abigail dobrze nam zrobiło, choć przez cały ten czas nie mogliśmy się rozluźnić; dręczyło nas poczucie nierealności po przejściu z warunków niebezpiecznego lądowania do tego luksusowego otoczenia. Kiedy tylko gospodarze skończyli nas „nawracać”, co chyba oznaczało jakąś misję wobec każdego obcego, zaczęliśmy prowadzić swobodną pogawędkę. Gospodarze mówili głównie o sobie, jakby nie chcieli, żebyśmy się czuli jak na przesłuchaniu. Dobrze wiedzieliśmy, że i na to przyjdzie wkrótce pora.

-170-

Dumnie nazywali się „rolnikami”; warzywa hodowane w prawdziwej ziemi były tu luksusem, dostarczonym do ekskluzywnych restauracji dla elity, która chciała poznać różnicę pomiędzy odbitkami i mogła sobie pozwolić na o wiele wyższą cenę. (Tutaj musiałam dać Yeng dyskretnego szturchańca.) Ich specjalnością była różnorodność. Andrew opowiedział nam, jak wiele trudu kosztowało go przeszukiwanie banków genetycznych, żeby nadążyć za zmieniającą się modą.

Większą część pracy na farmie wykonywały „głupie maszyny”, a nie „wynajęta pomoc” (kolejny szturchaniec, żeby uciszyć Yeng.)

Ich pytania na temat Układu Słonecznego były grzecznie ogólnikowe.

Odpowiadaliśmy równie ostrożnie. Wyrazili ulgę na wieść, że Ziemia jest zaludniona, szacunek wobec naszych zapewnień, że dobrze się nam wiedzie i jedynie żartobliwy żal, że po ich odejściu wszyscy „poszli w komunizm” (jak to ujęli.)

- Nie sądzę, żeby to było to, co wy uważacie za komunizm -odezwał się Malley. - Nie należę do ich społeczności, więc możecie mi wierzyć.

- Jestem pewna, że wam to odpowiada - oznajmiła Abigail pojednawczo. - Co do nas, wolimy być tutaj.

- Każdy w swojej winnicy i pod swoim drzewem figowym, i nikt mu nie zagrozi - dodał Andrew.

- Trochę się tu pozmieniało od odejścia Jonathana Wilde'a -zauważyłam.

- Od odejścia? O... aha, rozumiem. - Abigail pokręciła głową. -To właśnie uważam za nienaturalne: uruchomienie drugiej kopii. Ale masz rację, rzeczywiście dużo się zmieniło. Wiesz, w dawnych czasach, przed Abolicją, nie nadawaliśmy praw obywatelskich nawet robotom, które były równie inteligentne jak ludzie, jeśli nie bardziej!

- Mieli tu androidy i gynoidy, nie do odróżnienia od ludzi - dodał Andrew. -

Tylko Bóg jeden wie, czymają dusze, ale z pewnością mają własne rozумы, a każdy mógł je posiadać na własność jak głupie zwierzę!

Zanim zdołaliśmy zareagować - nasze osłupiałe spojrzenia, w moim przypadku także pełne zgrozy, zostały uznane za oburzenie wobec ciemnoty panującej w dawnych czasach - w oddali rozległ się dzwonek.

- To chyba delegacja oficjeli - oznajmił Andrew. Spojrzał na płytę na stole, która nie była już szara i lśniąca. - Lądowanie za parę minut. Lepiej chodźmy do patio.

Kiedy wstaliśmy, Abigail odezwała się:

- Jeszcze jedno... bardzo to miłe ze strony pań, że wybrałyście te ładne sukienki na spotkanie z nami, ale sądzę, że pokażą was w telewizji i w ogóle, więc lepiej, jeśli będziecie wyglądać, jakbyście dopiero wyszli ze statku, a nie z dansingu, wybaczenie to sformułowanie.

No dobrze, pomyślałam, będziemy miały inne okazje, żeby się popisać. Ale poczułam lekkie ukłucie żalu, kiedy mój szyfon, brokat Yeng, koronki Andrei i srebrny aksamit Suze rozpląły się i zmieniły w poważne służbowe kombinezony. Andrew uśmiechnął się na widok naszego przeobrażenia.

- Niektórzy już teraz twierdzą, że wszystko to mistyfikacja jakiejś organizacji obronnej, która chce powiększyć swoje obroty. Bo ja wiem... chyba jednak nie powinniście wyglądać jak przestrze-niowcy.

Abigail zaaprobowała moje błękitne dzinsy i wysokie buty.

- Ale kurtka niech będzie ciemniejsza... i może dodaj parę odznak. ..

Kiedy pomaszerowaliśmy w górę po schodach, okrążyliśmy balkon i wyszliśmy na patio, każde z nas miało na piersi okrągłą błękitną odznakę z gwiazdzistym pługiem Ziemi i wyobrażeniem „Terrible Beauty”.

Szerokie patio znajdowało się jakieś dwa metry pod ziemią i było jasno oświetlone. Po lewej stronie, nad nasypem, zauważyłam inne jasno oświetlone miejsce, na którym stał mały helikopter. Nad nim zawisł inny, o wiele większy. Wyglądał jak dorosły przedstawiciel jakiegoś dziwnego gatunku, pilnujący swojego nowo narodzonego dziecka. Wydaje mi się, że to sprytnemu ukształtowaniu terenu, a nie nowoczesnej technologii zawdzięczaliśmy, iż prąd powietrza szedł nad naszymi głowami, a nie wprost na nas.

Helikopter wylądował; drzwi się rozsunęły, ku ziemi opadły schodki. Zanim ktokolwiek się pojawił uderzyła mnie myśl, że to my, nie oni, zachowujemy się tak, jakbyśmy mieli spotkać obcych.

Po schodkach zszedł mężczyzna; jego powolne, dostojne ruchy tylko częściowo brały się z ostrożności, z jaką stawiał stopy w butach na wysokich obcasach. Był

dość niski, szczupły, co maskował wysokim cylindrem i rozpinanym czarnym surdudem, pod którym

-172-

nosił kolorową kamizelkę i białą koszulę z czarną aksamitką. Stroju dopełniał pistolet w kaburze; szeryf z Rio Grandę we własnej osobie. Podszedł do nasypu patio, rozejrzał się, znalazł schodki i zszedł na dół.

Tuż za nim podążał inny mężczyzna i dwie kobiety, a za nimi cały tłum. Zdążyłam tylko rozpoznać drugiego mężczyznę. Był to David Reid, który zaopatrywał Zewnętrznych w przymusowych robotników, pomiędzy którymi byli niektórzy z nas. Nasz stary wróg...

Ale mężczyzna w cylindrze już potrząsał moją dłońią.

- Witam - powiedział - Nazywam się Eon Talgarth. Z radością witam was w Mieście Statków - uśmiechnął się nieco krzywo - gdzie jestem, nie całkiem z własnej woli, najwyższym sędzią. Czy mam przyjemność z Ellen May Ngwethu, kapitanem tej ekspedycji?

- Zgadza się - przyznałam. - Miło mi cię poznać, sąsiedzie.

Jego głos i akcent skojarzyły mi się dość zaskakująco z londyńskimi niezależnymi. Ustabilizował swój wiek około czterdziestki, ale był dużo starszy, może nawet starszy ode mnie - upiorna myśl, która zrobiła na mnie większe wrażenie niż jego dziwaczny strój.

- Tak, zdaje się, że teraz wszyscy jesteśmy sąsiadami - zgodził się. Odwrócił się, jakby chciał nam przedstawić owych sąsiadów, ale oficjalne powitania nagle się skończyły: ludzie z tamtej strony ściskali dłonie nam wszystkim, przedstawiając siebie lub innych. Talgarth przez chwilę wydawał się zdezorientowany, może nawet zmartwiony, ale potem wzruszył ramionami i przeszedł

nad tym do porządku. Reid, co zauważyłam, uwijał się szczególnie gorliwie.

Podejrzewałam, że chce na razie uniknąć kontaktu ze mną i zrobić dobre wrażenie

na innych towarzyszach. Abigail i Andrew wpadli na dobry pomysł i zaczęli podawać drinki i wkrótce wszyscy zachowywali się jak na zwykłym, półoficjalnym przyjęciu.

- Towarzyszko... - usłyszałam przyjazny, choć nieco nieśmiały głos.

Odwróciłam się z uśmiechem wobec tego niespodziewanego pozdrowienia.

Dziewczyna, która stała przede mną, miała długie jasne włosy, opadające splątana grzywą na plecy. Kombinezon podkreślał jej dobrze umięśnioną, lecz zdecydowanie kobiecą sylwetkę. Wzrostem niemal mi dorównywała; wielkie niebieskie oczy, szeroki uśmiech, spiczasty nos. Raczej interesująca niż piękna, ale wcale mi to nie przeszkadzało.

-173-

- Ellen? Cześć. - Wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją uściśniłam. - Nazywam się Tamara Hunter - ciągnęła. - Cieszę się, że cię poznałam.

- I wzajemnie - odparłam grzecznie. - Co tu...

- Robię? - Podrapała się po głowie. - Nieźle się namęczyłam, żeby dostać się do delegacji. Żeby ci potentaci i sędziowie nie zagarnęli wszystkich miejsc dla siebie. Jestem przedstawicielką związków.

- Negocjujesz warunki dla płatnych niewolników?

- Dokładnie! - ucieszyła się. - Paskudna robota, ale ktoś to musi robić.

- Też mamy coś takiego - powiedziałam z krzywym uśmiechem. Tamara rozejrzała się, jakby nie chciała, żeby ktoś ją usłyszał.

- Czy to prawda - spytała, nachylając się ku mnie - że w Układzie Słonecznym macie anarcho-komunizm?

Zastanowiłam się nad tym dziwnym słowem.

- Nie musimy się sprzedawać i nikt nam nie mówi, co mamy robić, więc podejrzewam, że można to tak nazwać.

- Jej! - Oczy jej załśniły. - Sama świadomość, że to możliwe, że to się sprawdza, może tu wiele zmienić.

- Tego nie wiem - mruknęłam, porównując to, co Abigail i Andrew uważali za stan



niezadowolający, z tym, co mieliśmy po rewolucji socjalnej. - To nie tylko kwestia idei...

- Przestań knuć, Hunter! - zawołał jakiś męski głos. - Będziesz mieć na to czas później.

Mężczyzna podszedł i chwycił mnie mocno za rękę. Czarne włosy sięgały kołnierzyka obcisłej bawełnianej marynarki; miał ciemnobrązowe oczy, gęste czarne brwi, gładką opaloną skórę; okazywał niewzruszoną pewnością siebie, która w naszym społeczeństwie wyróżniała „starych towarzyszy”, a tutaj, jak się domyślałam (całkiem słusznie, co okazało się później) - bogaczy.

Ale nie koniec na tym. Mężczyzna był przerażająco stary, najstarszy z żyjących ludzi; w przeciwieństwie do swojego rówieśnika, Wilde'a, od trzydziestu pięćdziesięciu lat żył w tym samym ciele. Miał również - znowu w odróżnieniu od Wilde'a - pragnienie i możliwość zdobycia władzy, która uczyniła go silnym i sprawnym.

- Cześć, Ellen May - powiedział. - Nazywam się David Reid. Cieszę się, że wreszcie się spotkaliśmy. Słyszałem o tobie w dawnych czasach od... - roześmiał się - muszę to przyznać, od Zewnętrznych!

-174-

- Twoi byli klienci przesyłają ci pozdrowienia - oznajmiłam chłodniej niż zamierzałam. - Zapewniają, że nie mają do ciebie żalu o ten nagły... wyjazd.

- Naprawdę? - wydawał się zaskoczony i ucieszony. - No, jak powiedziałem, będzie na to czas. To wspaniała okazja.

Pociągnęłam łyk alkoholu.

- Wszyscy mi to mówią. Wyszczrzył zęby, niezrażony.

- Niezły galimatias, co? Nie sądzę, żeby istniał protokół dyplomatyczny kontaktów między socjalistami i kapitalistami-anarchistami. Twoi towarzysze z „Carbon Conscience” opowiadają właśnie reporterom o waszym społeczeństwie. Fascynujące.

- Nie wątpię - mruknęłam, żałując w duchu, że nie poinstruowałam Borysa i Jaime,

co mają mówić.

- Niegdyś sam byłem socjalistą - ciągnął Reid. - Rzuciłem to, jak kiepską robotę. - Wyszczrzył zęby do Tamary. - Może nie powinienem rezygnować. Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem; jego twarz przez chwilę nie wyrażała niczego. Potem potrząsnął głową i znowu się uśmiechnął.

- Dawne walki - powiedział. - A skoro o tym mowa, Dee ma ci coś do powiedzenia...

W naszą stronę zbliżała się kobieta na niebotycznie wysokich szpilkach, ubrana w króciutką sukienkę z czarnej koronki narzuconą na drugą, białą i dłuższą, bardzo powiewną i wdzięczną. Miała długie czarne włosy, bladą cerę, zielone oczy, szerokie kości policzkowe i ciepły uśmiech.

- Cześć, Ellen - powiedziała. - Jestem Dee. Miło mi cię poznać.

- Witam - odezwałam się, z wysiłkiem usuwając lodowate brzmienie z głosu.

- Jestem partnerką Dave'a - ciągnęła. - Byłam jego, hm... Jego mechaniczną zabawką. Klonem z komputerem w czaszce.

Maszyną do pieprzenia.

- Wiem - oznajmiłam. - Wilde opowiadał nam o tobie. Gynoidalna kobieta uścisnęła mi rękę; wydawało mi się - ale

może tylko to sobie wyobraziłam - że z jej dłoni przeskoczyła iskra elektryczna.

Uśmiechnęła się do mnie szeroko rozstawionymi, świetlistymi oczami i rozchylonymi ustami.

- Więc udało mu się - powiedziała cicho. - A Meg?

-175-

Meg. Towarzyszka Wilde'a, sztuczna kobieta. Druga mechaniczna lalka, pieprzona maszyna.

- Tak. Oboje wrócili.

- Ellen... - Dee chwyciła moje dłonie. - Mój umysł działa... inaczej niż twój.

Mam dostęp do wszystkich starych akt firmy i do miejskiej sieci. Chciałabym ci coś powiedzieć. Wielu z tu obecnych, jak wiesz, zostało ożywionych ze

zmechanizowanej siły roboczej szybkiego ludu. Twoich rodziców... nie ma pomiędzy nimi.

- Nie? A może po prostu nie wsiedli na statek?

- Wszyscy na niego wsiedliśmy - odezwał się Reid. - Dopilnowałem tego jak niczego w życiu. Nie zostawiłem nikogo, człowieka lub eks, żywego czy umarłego, pracującego w mojej firmie dobrowolnie albo nie.

Spojrzałam na niego i zmusiłam się, by rozewrzeć zaciśnięte zęby i palce.

-To dla mnie wielka ulga - powiedziałam. -Naprawdę. Z radością dowiaduję się, że dwieście lat sennych koszmarów o moich rodzicach, uwięzionych w korpusach robotów, to tylko złe sny, nawet jeśli to oznacza, że nigdy nie zobaczę nawet ich kopii. - Zamilkłam, wzięłam głęboki oddech. - Mogę to znieść, ale nie zapomnę, kto ich zabił.

Reid pokręcił głową.

- To nie ja organizowałem łapanek... ani moja firma. To dzieło Zewnętrznych. Ocaliłem tych, których zdołałem ocalić i dałem im szansę na nowe życie. Nikt nie narzekał.

- Świetnie - syknęłam. Chwyciłam go za ramię i uśmiechnęłam się; na ten widok przez twarz Reida przemknął słaby, ale bardzo mnie satysfakcjonujący cień strachu. - Teraz wiem już, kogo szukam i wierzę ci na słowo, że nie ty jesteś tą osobą.

Puściłam jego rękę; Reid cofnął się o krok. Jego rękaw był wilgotny i pomięty.

Machinalnie wytarłam dłoń o udo. Obie kobiety patrzyły na mnie jakby ze współczuciem. Eon Talgarth, sędzia, być może zwabiony ku naszej grupce ożywioną rozmową, przerwał niewygodne milczenie.

- Jeśli pragniesz sprawiedliwości, Ellen, jeśli między innymi po to tu przybyłaś, możesz ją znaleźć.

Pokręciłam głową.

- Przepraszam - mruknęłam już spokojniej. - To wspaniałe, radosne spotkanie, i

nie chcę go popsuć. - Wskazałam moją załogę,

-176-

bratającą się ze wszystkimi. Miałam nadzieję, że towarzysze nie posuną się za daleko. - Ale powinniście coś wiedzieć o nas... o mnie. Nie szukam sprawiedliwości. Nie wierzymy w sprawiedliwość. Mamy prawdziwą wiedzę. Sprawiedliwość nie istnieje, ale istnieją obrona, środki zapobiegawcze i zemsta. To coś, czego pragnę. I dostanę to wszystko.

Ku mojemu zaskoczeniu, Reid znowu podszedł do nas z uśmiechem. Był ode mnie niższy, ale patrzył mi w oczy tak, jakby spoglądał na mnie z góry.

- Wiem, o co ci chodzi. Byłem tam. Jeśli chcesz się zemścić na szybkim ludzie, witaj w klubie! - Machnął ręką. - Chcesz, to w parę chwil zawiozę cię tam, gdzie przechowujemy ich wzorce. Możesz ich ożywić, powiedzieć dokładnie, co zamierzasz

zrobić i dlaczego, po czym zabić po tysiącokroć, zanim zalejemy ich Błękitną Mazią. A jeśli zechcesz, możesz to powtórzyć. I jeszcze raz. I...

- Dość - chwyciłam go za ramię. - Wystarczy.

Bezsens najgłębszych i najmroczniejszych, choć nie najskrytszych motywów mojego przybycia sprawił, że nagle zrobiło mi się zimno i słabo. Jednym z motywów była nadzieja wbrew nadziei, że spotkam tu kopie moich zmarłych rodziców. Teraz czułam jednocześnie rozczarowanie i ulgę. Pragnienie zemsty na tych, którzy bez wątpienia pozostawali najbliżsi oryginalnym Zewnętrznym - co proponował mi Reid - także ukazało bolesną pustkę. Kara nie dawała satysfakcji, nie było powodu dręczyć jednostek, których nie znałam nawet na tyle, by cieszyło mnie ich cierpienie, jeśli w ogóle mogłabym im je zadać. Byłoby to równie daremne, jak kopanie odpornej maszyny.

Dla mnie istniał już tylko jeden środek zaradczy, jeden sposób obrony, jedna zemsta: odesłać ich tam, gdzie oni wysłali moich rodziców i wielu innych - w wieczną śmierć bez nadziei zmartwychwstania. Nie mogło tego zmienić nic, co bym teraz powiedziała czy zrobiła.

Uśmiechnęłam się do Reida.

- Oczywiście masz rację. To tylko taka fantazja, czyż nie? Kie-dyjąodegraszi zakończysz, dociera do ciebie, jakie to głupie i dziecinne.

- To zrozumiałe - odparł. - Wiem, jak musisz się czuć. - Chwył mnie za rękę. - Chodź. Za parę minut będziemy tu mieć rój reporterów. Musisz z nimi porozmawiać. Kiedy będziemy to już mieli z głowy, wszyscy zwiedzicie miasto.

12 Dywizja Cassini

— 1 // —

- Świetnie - powiedziałam. - Już się nie mogę doczekać. - Kolana ugięły się pode mną. Reid zauważył to i podprowadził mnie do krzesła za stołem. Dał znak Talgarthowi i obu kobietom, a oni wmieszali się w tłum i zaczęli rozmawiać. Reid usiadł obok mnie, otworzył srebrną piersiówkę i podał mi ją. Pociągnęłam łyk jakiegoś palącego płynu i oddałam piersiówkę.

- To nie to samo - przyznał z żalem. - Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze, jak się pędzi bimber.

Musiałam się uśmiechnąć. Ten człowiek, chociaż miał opinię okrutnika, został obdarzony rozbijającą zdolnością rozluźniania atmosfery.

- Będziesz musiał poprosić o to ludzi z Japonii - powiedziałam.

- Boże. - Pociągnął łyk. - Wy naprawdę macie świat bez pieniędzy? Więc czego używacie w zamian, komputerów?

- Tak - przyznałam dumnie. - Staramy się unikać planowania, ale kiedy już musimy, używamy do tego komputerów. Największych na świecie.

Reid odchylił głowę i wybuchnął grzmiącym śmiechem. Dlatego nie zauważył mojego

wyrazu twarzy, kiedy przypominałam sobie, dlaczego nasze najważniejsze komputery

były zrobione z mosiądzu i stali i wyglądały jak starożytne lokomotywy - niewzruszone maszyny analityczne, których nic nie mogło naruszyć ani uszkodzić. Oto rok dwa tysiące dziewięćdziesiąty ósmy. Pode mną uciekające do tyłu miasto ze starymi wieżowcami z betonu i szła, ginącymi w cieniu nowych nanobudowli i

otoczone przedmieściami małych domków; te domki pożrą i przetrwają budynki rosnące nad nimi jak grzyby na mokrej, ciemnej ziemi. Za przedmieściami - żywa zieleń lasu z szarobrazowymi szramami dróg; nad wieżowcami - coraz wyżej - kolumny oleistego dymu.

Dym unosi się nad każdą katastrofą. Oto wieżowiec płonący, od dwudziestego piętra w górę, na którego ścianie widnieje rozmazany helikopter, niczym owad na przedniej szybie; oto ulice pełne rozbitych pojazdów; oto samolot, który spadł z nieba i zajął ogniem kwatery drewnianych domków.

Unoszę się na pokładzie telemetrycznej stacji; bezzałogowy transportowy statek powietrzny przepływa nad Lagos, a jego kamery pokazują mi sceny, wobec których jestem bezradna. Jeszcze pół dnia

-178-

temu było to kwitnące miasto. Ludzie z Zachodniej Afryki, w dwudziestym stuleciu dziesiątkowani przez choroby, w dwudziestym pierwszym stali się niemal zupełnie na nie odporni. Przetrwali Śmierć, a nawet przyjęli tłumy uciekinierów z Europy, którzy teraz gnieźdzą się na przedmieściach i kręcą wokół wieżowców. Nadal mają ropę naftową, nadal mają sieci komputerowe. Tutaj cywilizacja ciągle się wznosi, nie upada.

Aż do teraz.

Dziś infekcja zjada komputery i niszczy wszystko, co miało z nimi związek: ruch uliczny, ruch powietrzny, loty, procesy przemysłowe, giełdę, telekomunikację i dostawę elektryczności. Ludzie zaczynają kraść żywność z nagle nieczynnych i rozmrażających się lodówek, zanim się zepsuje; napadają na sklepy, zanim znikną z nich towary; zbroją się, zanim sami zostaną obrabowani; ruszają piechotą ku wsiom, zanim reszta wpadnie na ten sam pomysł. Wszyscy odkrywają, że inni robią to samo, co oni.

My także jesteśmy na złej drodze. Kierujemy wszystkim albo ręcznie, albo dzięki rezerwom. Nasze programy komputerowe oszalały, wirusy uszkodziły systemy, zniszczyły pamięć, okaleczyły sprzęt... ale nasze podstawowe systemy są żywe i

zdrowe. Zostały zbudowane na chybcika i chałupniczo, i nic z wyjątkiem siły fizycznej nie może ich zepsuć. Nadal mamy powietrze i żywność.

Ludzie z dołu są w gorszym położeniu. Paradoksalnie, są wiele bardziej zależni od sieci sztucznych organizacji niż my. Głównym towarem eksportowym Lagos są usługi finansowe, lepiej opłacalne niż wyczerpująca się ropa naftowa. Teraz nie ma już niczego.

Ludzie, którym mogę się tylko przyglądać, są w gorszej sytuacji niż potrafią sobie wyobrazić. Pomoc nie nadejdzie, ponieważ wszyscy jadana tym samym wózku. Z

przerazającą pewnością zdaję sobie sprawę, że duża część tego tłumu jest już martwa - tak samo jak w innych miastach, wówczas j jeszcze licznych - ponieważ opada na nich deszcz pyłu radioaktywnego z płonących reaktorów.

Samolot wpada na ścianę nanowieżowca i przekaz gaśnie.

Drzwi helikoptera otwarły się znowu i rzeczywiście, tak jak powiedział Reid, wyleciał z nich rój reporterów. Sądziłam, że mówił to w przenośni; myliłam się.

„Reporterzy” okazali się maleńkimi helikopterami, wyposażonymi w mikrofony, kamery i głośniki. Niektó-

-179-

re potrafiły wyświetlić hologram ludzkiej postaci, która poruszała ustami w rytm słów płynących z głośnika.

- Wydają się całkiem realni, kiedy nastawisz soczewki - zapewnił mnie Reid.

- Nie wiem, czy mi na tym zależy - mruknęłam. Zawołałam do siebie załogę i razem stawiliśmy czoła kamerom

i mikrofonom. Uznałam, że Borys i Jaime zaspokoiли ich ciekawość, gdyż większość z pytań, które zadawano (najwyraźniej media wytypowały mnie na przedstawiciela ekspedycji) brzmiała jak uzupełnienie posiadanych wiadomości.

- Panno Ngwethu, wydaje się pani zdziwiona na nasz widok - odezwał się przezroczysty młodzian o parę kroków ode mnie. - Nie macie czegoś takiego w Układzie Słonecznym?

-Oczywiście, że mamy - odparłam. - Ale, jakz pewnością wiecie, dzięki wysiłkom naszej lokalnej wersji szybkiego ludu mamy także problemy z elektroniczną komunikacją. W każdym razie wątpię, czy nawet w sprzyjających okolicznościach używalibyśmy czegoś takiego do... jak to nazywacie, gromadzenia wiadomości? Rzeczywiście, korzystamy z nich w ograniczonym stopniu, dla badania lub monitorowania niebezpiecznych terenów i tak dalej.

- Więc czego używacie do zbierania wiadomości? Czy reporterzy muszą biegać wszędzie osobiście?

- Właściwie nie mamy reporterów jako takich. To znaczy, niektórzy z nas piszą biuletyny i zasilają kanały informacyjne, ale nikt nie zwraca na nich wielkiej uwagi.

- Więc jak... - Reporter zamilkł, zbity z tropu. - Skąd wiecie, co się dzieje na świecie?

-A! O to chodzi? No, wszyscy w Unii mogą przekazywać wszystko innym i uczestniczyć w każdym zebraniu administracji społecznej, a także wygłaszać dowolne opinie. Także na temat administracji, chyba że zaczną marnować czas. Wtedy są wyrzucani.

- Więc ten wasz Komitet Centralny, ta Rada Solarna, mogłaby zebrać na jednym posiedzeniu tysiące jednocześnie gadających ludzi?

- Ależ skąd - powiedziałam z urazą. - Może w teorii, ale komu by się chciało? Nie licząc delegatów Rady Solarnej, niektórych trzeba dosłownie wypychać na zebrania. Są bardzo konkretne i, prawdę mówiąc, trochę nudne. Spotkania lokalne są bardziej interesujące, ponieważ jest więcej do zrobienia.

-180-

- Czy to odnosi się także do waszej organizacji, Dywizji Cassini? Zastanowiłam się.

-Nie.

- Dlaczego?

- Walka jest czymś innym. Czasami trzeba dochowywać tajemnic, ale nie na długo.



Reporter zawahał się na moment i został uprzedzony przez koleżankę. Miała proste jasne włosy i wyglądała na dwanaście lat.

- Po co tu przybyliście?

Posłałam jej najpiękniejszy z moich uśmiechów.

- Bardzo nas interesuje, co się stało z jedyną odrębną ludzką społecznością istniejącą poza Układem Słonecznym. Chcemy nawiązać z wami przyjazne stosunki. I, oczywiście ze względów naukowych, interesuje nas korytarz - Mila Malleya. Posłała mi spojrzenie pod tytułem „nie urodziłam się wczoraj”. Dość zabawne, wzięwszy pod uwagę różnicę wieku między nami.

- A co oprócz tego.

- Czy to nie wystarczy? Po co jeszcze mielibyśmy was odwiedzić?

- Żeby narzucić nam wasz system.

Słowo daję, to nie przyszło mi do głowy. Naszym zamiarem było zlikwidowanie lokalnego szybkiego ludu oraz zniszczenie tego, co Reid nazywał wzorcami.

Trzymaliśmy to w takiej taj emnicy, że musiałam dopilnować, żeby nikt nie wpadł na ten trop. Ale coś takiego? Musiałam się roześmiać.

- Wygląda na to, że świetnie sobie radzicie - oznajmiłam dyplomatycznie. - Życ w socjalizmie można dopiero wtedy, gdy większa część społeczeństwa go zrozumie, zechce i postanowi coś zrobić, żeby go wprowadzić. Z tego, co wiem o Nowym Marsie, nie ma o tym mowy... na razie.

Zostałam nagrodzona aprobującym śmiechem. Talgarth podniósł ręce i wyszedł przed reporterów.

- Proszę państwa - przemówił do widmowych postaci, otoczonych obracającymi się aureolami. - Jestem pewien, że nasi goście będą mieli wam jeszcze wiele do powiedzenia. Na razie chciałbym im zapewnić spokój i prywatność.

Mieliśmy obie te rzeczy, dopóki nie pojawił się Talgarth oraz inni wiodący obywatele, otoczeni rojem zdalnie sterowanych reporterów, ale nie narzekałam.

Pożegnaliśmy się z Abigail i Andrew

-181-

i poszliśmy ku wielkiemu helikopterowi. Usiadłam przy oknie obok Tamary. Kiedy maszyna uniosła się w powietrze, pomachałam Po-wellowi i jego żonie. Odmachali. Ostatnim widokiem, zanim znik-nęli nam z oczu, był Andrew Powell ruszający w pole i rój heliporte-rów, pędzący za nim ku naszemu statkowi. Wiedziałam, że będzie mieć dość rozumu, żeby nie podchodzić do niego zbyt blisko, ale podejrzewałam, że zdalnie sterowani reporterzy postąpią inaczej.

Rozparłam się z uśmiechem w fotelu, już teraz rozkoszując się lotem.

Zaczęłam rozmawiać z Tamarą o życiu na Nowym Marsie i na Ziemi, śmiejąc się z naszych błędnych wyobrażeń; opowiadałam też o naszej przeszłości. Jej podziw wprawiał mnie w zakłopotanie i sprawiał mi przyjemność. Poprosiłam, żeby opowiedziała mi o sobie.

Oznajmiła, że jest abolicjonistką.

- Co to takiego?

Abigail i Dee wspomniały o Abolicji, ale jeszcze nie zdążyłam się zorientować, co mogła oznaczać.

- Niegdyś byliśmy małą grupką anarchistów... niektórym chodziło o społeczeństwo, innym raczej o styl życia... Wierzyliśmy, że używanie świadomych maszyn jako narzędzi jest złe, rozumiesz, tak jak niewolnictwo. Ale pięć lat temu wszystko się zmieniło.

- Już tak nie sądzicie?

Tamara spojrzała na mnie, najwyraźniej doszła do wniosku, że żartowałam i roześmiała się bardziej z mojego dziwnego poczucia humoru, niż z rozbawienia.

- Nie, zmieniliśmy przekonania innych! Wszystko wynikło ze skomplikowanego szeregu spraw sądowych, dotyczących Wilde'a, jego kopii w maszynie, praw własności Dave'a Reida do Dee i, oczywiście, szybkiego ludu. Wielu zniewolonych zaczęło domagać się praw własności do siebie i niektórzy ludzie ich poparli, a nowi zmartwychwstali ludzie nie rozumieli, jak ktoś może tak traktować roboty - nie mieli takich uprzedzeń, jak pierwsi ludzie.

- Tak, Wilde opowiadał nam o tym. Powiedział, że kiedy was opuścił, zaczynało robić się gorąco.

-No pewnie! O mało nie wybuchła rewolucja! Wszyscy zbierali się na ulicach i się kłócili.

- A co się stało z szybkim ludem? - rzuciłam lekko.

-182-

Twarz Tamary pociemniała.

- Kiedy Reid i Wilde wykorzystali ich do rozpoczęcia zmartwychwstania... ono ciągle jeszcze trwa, przez cały czas budzimy zmarłych, których mamy w banku inteligentnej materii, mniej więcej milion przez pięć ostatnich lat. To dlatego miasto się tak rozrosło i powstają nowe osiedla... No więc wtedy wykasowali kopie szybkiego ludu, które ożywili, a Reid nadal siedzi na zmagazynowanych oryginałach. Ciągle boją się następnej złej Osobliwości. -Zamilkła, zamyślona. - Ale skoro Jowiszanie zaczęli zachowywać się przyzwoicie i nie zamierzają zwariować, może nasi także się zmieniać.

- Jestem tego pewna - oznajmiłam. - Reid przestanie się martwić o złą Osobliwość, o ile będę miała tu coś do powiedzenia.

Jej zachwycone spojrzenie wobec tej zgodnej z prawdą, lecz dwuznacznej odpowiedzi nieco mnie zawstydziło. Odwróciłam się do okna i spojrzałam na miasto pod i przed nami. Trzy z jego pięciu ramion wydawały się trochę krótsze. Długie ulice z gwiazdzistymi kanałami zbiegały się przy pierścieniowatym kanale.

Świetlista rozgwieźda w czerni nocy.

Nowoczesna utojtia

F)rtty powietrzne to spokojne miejsca; ludzie przechodzą tam spokojnie i leniwie po krytych chodnikach do czekających maszyn. Pod ścianami hali głównej znajdują się stoły z napojami i przekąskami, otwarte pokoje z zapasami przedmiotów, które można sobie wziąć i zapomnieć oddać, półki i stojaki, wśród których można myszkować i, jeśli się chce, zabrać jakąś książkę, gazetę lub dyskietkę.

Istnieje zwyczaj zabierania tyłu akurat materiałów rozrywkowych, żeby

wystarczyły na jedną podróż lub jeden jej etap, a potem odkłada sieje niedbale na półki innego portu. W niektórych można spotkać zespoły muzyczne, trupy akrobatów i innych artystów. Można się im przyglądać albo odejść. Jedyną możliwą przeszkodą są zabezpieczenia przed niebezpieczeństwem. Czasami pomagasz

innym nieść

-183-

walizki, czasami ktoś prosi cię o pomoc. Jeśli musisz długo czekać na swój lot, możesz dołączyć do służb pomocniczych i pilnować, żeby co bardziej spieszący się pasażerowie dostali pożywienie, książki lub pomoc przy ciężkich bagażach i małych dzieciach. Tak wyglądają porty powietrzne.

Ale nie w kapitalizmie. Kiedy wyłoniłam się z długiego korytarza, prowadzącego z gwarnej płyty lotniska do hali głównej kosmo-dromu Miasta Statków, otoczona przez moich towarzyszy i prowadzona przez notabli, obywateli, powitały mnie setki rozentuzjasmowanych ludzi za barierą, ogromny rój reporterów, orgia kolorów i kakofonia dźwięków. Każdy metr kwadratowy, który nie był niezbędnie potrzebny pasażerom lub oczekującym, został zajęty przez sklep lub kiosk pod fluorescencyjnym prostokątem reklamującym loty, leki, skarpetki, bieliznę, ubezpieczenia, kopie, taksówki lub hotele. Głośniki ryczały natarczywą muzyką, jeszcze bardziej denerwującą, bo przetykaną częstymi i równie natrętnymi przerywnikami.

Rozgrywało się tu coś, co najwyraźniej nie miało związku z naszym przyjazdem. Szerokim chodnikiem między nami i witającym nas tłumem sunął szereg małych automatycznych pojazdów, powoli ciągnących wyładowane przyczepy; wśród nich energicznie maszerowali mężczyźni i kobiety oraz - było to moje pierwsze doświadczenie tego rodzaju - coś, co wyglądało jak różne gatunki małpoludów. Były pomiędzy nimi roboty, z których parę dość symbolicznie nawiązywało do ludzkich kształtów. Przed budynkiem terminalu, aż po kres lądowiska, mrok nocy rozświetlały eksplozje. Żaden człowiek, hominid ani robot nie zaszczyił nas

uważniejszym spojrzeniem.

Zawahałam się, niepewna jak przejść przez ten strumień nieprzerwanego ruchu.

Talgarth wyprzedził mnie, wtargnął w sam jego środek i, zwrócony twarzą do nadpływającego nurtu, uniósł rękę. Dzięki temu władcemu gestowi zdołaliśmy się przedostać tuż przed bariery. Powitały nas wrzaski i śmiechy, wyciągnięte ręce, unoszone w powietrze kamery i dzieci. Talgarth poprowadził nas wzdłuż barier ku spokojniejszemu miejscu za rogiem, gdzie wzbroniono dostępu nawet heliporterom. Pod ścianami stały ławy z miękką tapicerką, na których siedzieli Jaime i Borys, nieco wyczerpani, ale rozmawiający poważnie z dwiema młodymi kobietami w identycznych błękitnych kostiumach. Na nasz widok pożegnali się z nimi (natychmiast wyprostowały się i przybrały dziwne nieruchome uśmiechy) i podeszli do nas.

-184-

Andrea objęła Jaime, ja objęłam Borysa i zaczęliśmy się ścisnąć, aż wreszcie Talgarth popędził nas - całkiem jak opiekun dziecięcej wycieczki - ku szklanym rozsuwanym drzwiom i płaskiej płycie, na której stało wiele różnych pojazdów. Jeden z nich czekał na nas.

Miał jakieś osiem metrów długości i dwa i pół metra wysokości, wielkie okna po bokach i nisko zawieszony podwozie. Przed otwartymi drzwiami stał mężczyzna w szarym mundurze i takiej samej czapce. Na nasz widok przywołał na twarz ten sam dziwnie bezosobowy uśmiech. Talgarth wsiadł do środka i gestem zachęcił nas, żebyśmy poszli w jego ślady. Wewnątrz znajdowały się rzędy siedzeń pokryte czymś podobnym do skóry, podłoga była wyłożona dywanem, a w powietrzu unosił się zapach nowego plastiku. Dotarłam do tylnego siedzenia i zajęłam miejsce obok Borysa. Talgarth usiadł naprzeciwko nas, a reszta po bokach. Reid, Dee i Tamara także się zmieścili. Ci, którzy przybyli z nimi, zostali na zewnątrz i machali nam, stojąc na krawężniku. Wyglądali na bardzo dumnych z siebie i jednocześnie osamotnionych.

Kierowca zamknął drzwi i usiadł za kierownicą.

- To bardzo po sąsiedzku, że sprowadziliście dla nas ten pojazd - powiedziałam do Talgartha.

- Mikrobus? - uśmiechnął się. - To standardowy środek transportu z lotniska do miasta.

- Mimo wszystko dziękuję. Dokąd jedziemy?

- Reid zrobił dla was rezerwację w hotelu, w budynku, w którym mieści się jego biuro - wyjaśnił. - Najpierw pójdziemy do jego gabinetu, jeśli się zgodzicie, ponieważ chcielibyśmy porozmawiać z wami na osobności, zanim przystąpimy do organizowania innych publicznych wystąpień.

- Świetnie - zgodziłam się. - Mamy wiele do omówienia.

Lotnisko znajdowało się pomiędzy brzegami dwóch ramion miasta. Za nim ciągnęły się kilometrami puste płaskie tereny, częściowo zalane wodą. Kiedy spojrzałam przez zaokrąglone tylne okno, w świetle dysz startującej rakiety błysnęły wielkie rozlewiska. Światła zgasły, pojawiły się inne. W tym mieście panował wielki ruch kosmiczny. Przed nami, u końca kilometrowej szerokiej drogi, wносиło się centrum. Budynki na obu zbiegających się ramionach gwiazdy stały się coraz

-185-

wyższe w miarę zbliżania się do środka miasta, które stanowiło gęszcz wysokich smukłych budynków. Nie były tak wysokie jak ziemskie wieżowce lub drzewa księżycowych kraterowych kopuł, ale wydawały się pełne wdzięku; przykuwały uwagę

i zapierały dech w piersiach. Na niższych poziomach połączono je spiralnymi lub krętymi podjazdami, przez co cały kompleks wyglądał jak wyrafinowane przybranie głowy. Pomiedzy nimi znajdowały się inne budynki, zaokrąglone i wielościenne, a także wysokie szklane prostokąty, takie jak te, które zaledwie dwa tygodnie temu widziałam podczas lądowania „Terrible Beauty”.

Wszystkie budynki lśniły światłem sączącym się z okien, lamp i wystaw.

Wpatrywaliśmy się jak zauroczeni.

- Piękne - powiedziała Suze. Reid, który siedział przed nią, odwrócił się i

rzucił przez ramię:

- To prawda. Jest w tym pewna ironia losu. Najbardziej wymyślne wieżowce i te eleganckie geodezyjne kopuły zostały zaprojektowane przez szybki lud, który czerpał wzory ze starych ilustracji w futurystycznych książkach - tylko po to, żeby nam powiedzieć: „Patrzcie, potrafimy to robić lepiej”.

- Mieli rację - oznajmił Malley. Jego chichot rozległ się całkiem wyraźnie pomimo elektrycznego szumu mikrobusa. - Ja też przypominam sobie te stare okładki. Cholerne spiralne podjazdy, nikt nie potrafił ich przedstawić jak należy. A im się udało.

Kierowca, jak zauważyłam, nie miał zbyt wiele do roboty, a większość pojazdów wokół nas w ogóle wydawała się jechać sama. Człowiek za kierownicą był tylko formalnością, gestem w kierunku ludzi, którzy lubią, kiedy im ktoś usługuje, jest na ich wezwanie. Znowu jakiś kapitalistyczny wymysł, tak jak te stewardesy, z którymi rozmawiał Borys i o których mi teraz opowiadał... Słuchałam sceptycznie; wydawał się wstrząśnięty ich losem płatnych niewolnic.

- Ale czy są bardziej przyjazne i pomocne niż sąsiedzi, którzy pomagają przynieść poczęstunek w środkach transportu? - spytałam, przypominając sobie, w jaki sposób poznałam Suze.

Borys wzruszył ramionami.

- Może i nie - przyznał niechętnie. - Ale robią to przez cały czas, żeby mieć za co żyć i dlatego to jest bardziej... niezwykle.

- Ha! - Chwyciłam go za rękę i przytuliłam się do niego. - To perwersja, przyznaj się - mruknęłam mu do ucha. - W głębi serca jesteś zwykłym chinosowieckim kapitalistą. Zakładam się, że ukradkiem od lat bawisz się w sypialni w pracodawcę i pracownika.

-186-

- Nieprawda - burknął z urazą. Odwrócił się i potarł nosem o mój nos. - Nikt nigdy nie chciał się ze mną pobawić, ale gdybyś miała ochotę...

- Baw się sam - powiedziałam bardzo cicho. Nikt spośród najbliższych siedzących nie

mógł usłyszeć moich słów, ale Dee najwyraźniej była wyposażona - czego należało się spodziewać - w super-słuch, ponieważ odwróciła się i spojrzała na nas z przyjaznym i łobuzerskim uśmiechem, całkiem jakby wiedziała, o czym rozmawiamy.

Poczułam, że na policzki wypływami gorący rumieniec i odwróciłam wzrok.

Mikrobus mknął teraz pomiędzy wysokimi budynkami. Chodniki były dość szerokie i

zatłoczone, nawet o tak późnej godzinie. Ulice także stały się gorzej przejezdne, a kiedy przebijaliśmy się przez nie, ludzie (a także niesamowici, wszechobecni quasi-ludzie, udoskonalone małpoludy, ożywieni hominidzi i autonomiczne automaty) odwracali się i spoglądali za nami z uśmiechem.

- Skąd wiedzą, że j esteśmy w tym mikrobusie? - zdziwiłam się. Dave Reid prychnął. Wskazał na płaski szary ekran za siedzeniem kierowcy.

- Ponieważ... a, przepraszam. - Strzelił palcami z irytacją i ekran rozświetlił się nagle, ukazując nasz mikrobus, widziany z góry i nieco z tyłu. Wyrzałam przez tylne okno i zauważyłam ścigające nas zdalnie sterowane heliportery.

Wszyscy w mikrobusie się roześmieli.

- Nie zachęcaj ich - poradził Talgarth; znowu spojrzałam na ekran i zobaczyłam tył własnej głowy w dużym zbliżeniu. Po chwili kamera porzuciła mnie z rozczarowaniem.

Heliportery utrzymywały się nad nami, kiedy zatrzymaliśmy się pod wieżowcem, wyglądającym jak wielki betonowy pień drzewa z wysokimi oknami, rozmieszczonymi

najwyraźniej na chybił trafił. Talgarth i Reid wyszli pierwsi i machnęli na zdalnie sterowanych reporterów, jakby opędzali się od much. Wsiadłam, podziękowałam kierowcy i pożegnałam się z nim; po raz pierwszy na mnie spoj - rzał. Uśmiechnął się, nieco zaskoczony. Jego uśmiech stał się szerszy, kiedy Dee zatrzymała się przy nim i wręczyła mu napiwek.

We wnętrzu budynku stały meble z fałszywej skóry i prawdziwego drewna, a także



nieuniknione rośliny doniczkowe i bluszcz. Niektóre ściany wykonano z nagiego betonu. Wielki wyłożony dywanem hol był cichy i elegancki. Winda, obsługiwana przez czło-

-187-

wieka w szarym mundurze, okazała się na tyle przestronna, by wygodnie pomieścić nas wszystkich. Była także szybka; kolana prawie się pode mną ugięły.

Reid zaprowadził nas do pokoju obok windy. Była to wielka poczekalnia przed małym gabinetem; za otwartymi drzwiami zobaczyliśmy masywne biurko i okno w wykuszu. Podłużne fotele i sofy ze sztucznej skóry ustawione wokół długiego, niskiego drewnianego stołu ze szklanymi popielniczkami; przyćmione światło; czarne cylindry, rzucające świetlne wiązki na obrazy, rośliny i szafkę z alkoholami.

- Rozgośćcie się - zachęcił Reid. Zdjął marynarkę i zawiesił ją na krześle u szczytu stołu, znacząc w ten sposób swoje terytorium, po czym podszedł do szafki. Talgarth zdjął kapelusz i surdut, zawinął rękawy koszuli i usiadł, rozpinając kamizelkę. Dee i Tamara zaczekały, aż zajmiemy miejsca, i dopiero wtedy same usiadły.

Mój fotel - Borys znajdował się po mojej prawej, Malley po lewej stronie - stał naprzeciw jednej z wielkich, dobrze oświetlonych fotografii na ścianie.

Większość z nich ukazywała Reida, pozującego na tle nowych modeli broni lub rozmawiającego z kimś, kogo uznałam za kapitalistów i ich wynajętych pracowników. Ta, którą miałam przed sobą, przedstawiała Reida i Dee, stojących razem na szerokim schodku przed wielkimi łukowatymi drzwiami, wśród tłumu otaczających ich ludzi.

Mężczyzna u boku Reida wyglądał kropka w kropkę jak Jona-than Wilde, a kobieta obok Dee jak sama Dee: ten sam wzrost, ta sama sylwetka, ta sama twarz. Zdałam sobie sprawę z nieprzyjemnym dreszczem, iż patrzę na oryginał Dee i kopię Wilde'a - tę, która tu została. Obaj mężczyźni mieli czarne marynarki i kolorowe krawaty, a kobieta obok Dee była ubrana w długą, wąską zieloną sukienkę,

dyskretnie elegancką.

Sama Dee miała zadowolony uśmiech i bardzo wymyślną kreację z białego atlasu, z dopasowanym stanikiem, rękawami bufiastymi do łokcia, a niżej obcisłymi i sutą spódnicą do ziemi, udekorowaną paciorkami, haftami, koronkami i organdy. Nie zapomniano o żadnej kosztownej sztuczce dla przyciągnięcia uwagi. Na głowie Dee miała srebrny diadem, z którego spływały kaskady haftowanego tiulu, opadającego fałdami na tren sukni. Cały ten lukrowany styl wydawał się kostiumem na jakąś okazję, kiedy dobry smak powinien przegrywać z efektem wizualnym. Dałam szturchańca kombinezo-

-188-

nowi, żeby to zapamiętał, na wypadek gdybym chciała zrobić wrażenie na jakiejś szalonej imprezie.

Reid przyniósł tacę z kieliszkami, a następnie butelki z mocnym alkoholem, piwem, tonikiem, wodą i colą.

- Obsłużcie się - powiedział. Kiedy wszyscy poszli za jego radą, usiadł na miejscu u szczytu stołu i postawił przed sobą butelkę piwa. Po chwili zapanował spokój; Reid rozparł się w fotelu, parę razy przeczesał palcami długie, gęste czarne włosy, i zapalił papierosa i wypuścił kłąb dymu.

- Jak miło - odezwał się. - Nie ma to, jak chwila ciszy i spokoju. Ten pokój ma wszystkie możliwe zabezpieczenia, poza tym znaj -duje się w klatce Faradaya. Odratowany beton, jak rozumiem. Całkiem skuteczne. - Zerknął na coś, co wyglądało jak zegarek. Potem spojrzał na mnie. - Dlatego, Ellen, twój zaszyfrowany sygnał telewizyjny nie wyjdzie poza te ściany. - Wyszczrzył zęby.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, ale, nic się nie stało. Możecie bez przeszkód nagrywać wszystko i składać raporty waszemu komitetowi czy jak mu tam. Dam

wam

aparaturę i pełną prywatność, jeśli będziecie chcieli.

Skinęłam głową.

- Świetnie.

- W porządku. - Reid powiódł wzrokiem po naszych twarzach. - Przejdźmy do interesów. Jeśli chcecie skłonić do czegoś naszych ludzi, powinniście najpierw dojść do porozumienia z nami. Talgarth jest właścicielem sądu, który obecnie jest uznawany przez inne za... ostatnią instancję, zwłaszcza w kwestiach stosunków ludzi i maszyn. Dee i ja prowadzimy największą agencję ochrony, która - żeby było śmieszniej - zawarła z wami kontrakt. Tamara ma wpływ na znaczną część mieszkańców miasta, nie wspominając już, że może w każdej chwili zorganizować strajk generalny.

Tamara uśmiechnęła się i machnęła ręką.

- Niezupełnie.

- Jesteś zbyt skromna. Nie rządźmy w tym mieście, nie jesteśmy przedstawicielami większości, a ja z pewnością nie mam już takiej władzy jak przed powrotem byłych zmarłych. - Uśmiechnął się krzywo. - Ale każde z nas może wam zaszkodzić lub pomóc w osiągnięciu porozumienia z ludźmi i maszynami tego miasta. Nie twierdzę, że to groźba. To zwyczajny fakt. Zakładam, że tam, skąd przybywacie, macie podobny status i że nie jesteście - zmrużył oczy - zbieraniną zwykłych przestrzeniowców.

-189-

- W pewnym sensie jesteśmy - oznajmiłam. - Nie mamy żadnego statusu, ale otrzymaliśmy pozwolenie na negocjacje i podjęcie takiego działania, jakie uznamy za konieczne.

- W imieniu trzydziestu miliardów ludzi? - upewnił się, świdrując mnie zza obłoku dymu spojrzeniem wąskich jak szparki oczu. Gdzieś w górze uruchomił się wiatrak wentylatora.

Wzruszyłam ramionami.

- W pewnym sensie. Będziemy musieli się przed nimi wytłumaczyć ze wszystkiego. Przed naszą wyprawą zorganizowano powszechne głosowanie na temat tego, co powinniśmy tutaj zrobić.

-1 cóż by to miało być? - spytał z udaną beztroską. Pociągnęłam łyk whisky

zmieszanej z wodą. Smak był niezły. Malley bawił się fajką, Suze oglądała swoje paznokcie.

- Jesteśmy tutaj - oznajmiłam z namysłem - aby upewnić się, że szybki lud, żyjący po waszej stronie korytarza, nie jest dla nas zagrożeniem, oraz by zapewnić was, że nasz nie jest zagrożeniem dla was.

Reid i Talgarth pochylili się ku nam jednocześnie, z taką samą zaniepokojoną, nieufną miną.

- Co przez to rozumiecie? - rzucił Talgarth.

- Wilde... - potrząsnęłam głową. - Ten drugi, którego tu nazywacie Jay Dwa. Powiedział nam, że cała kwestia „praw robotów” była związana z ożywieniem szybkiego ludu, a w chwili jego odejścia strona popierająca prawa robotów zaczęła wygrywać. Naturalnie byliśmy zaniepokojeni. Muszę powiedzieć, że poczułam dużą ulgę, kiedy Tamara powiedziała mi, iż nadal nie zgadzacie się na ich ożywienie. Czy możecie nam zagwarantować, że ten problem jest już zamknięty?

- Jakie gwarancje was interesują? - spytał Reid. Nic poniżej zniszczenia wzorców, pomyślałam.

- A jakie możecie nam zaproponować?

Reid zrozumiał, że nie odpowiedziałam na jego pytanie, ale nie naciskał.

Pochylił się i oparł łokieć na kolanie, unosząc do ust papierosa.

-Co powiecie na moje... nasze... niezbite przekonanie, iż byłoby niebezpiecznie znowu z nimi zaczynać?

- Już raz z nimi zaczęliście. A skutki były dla was całkowicie pozytywne: połączyliście się z tymi, których straciliście, macie populację, która powiększa dobrobyt miasta, przepchnęliście... Jaya Dwa przez korytarz i tak dalej. Nie przypominam sobie dobrze kapitalizmu, ale niektórzy z nas go świetnie pamiętają. Chyba można

-190-

zaryzykować stwierdzenie, iż w pewnym momencie znowu odczujecie pokusę, by wypuścić dzina z butelki, otrzymać od niego parę odkrywczych rad i w ten sposób

uczynić waszą firmę bardziej konkurencyjną.

Reid odchylił się w fotelu i spojrzał mi w oczy.

- To bardzo istotne spostrzeżenie - przyznał. Zaskoczył mnie, choć jego dalsze słowa nie były już tak zdumiewające. - Jednak... Sądzę, że możecie polegać na moim zwyczaju robienia tylko tego, co jest zupełnie bezpieczne.

Spojrzał na Talgartha.

- Co to ja proponowałem? Co miał robić każdy, kto może sobie pozwolić na odizolowaną platformę kosmiczną, otoczoną laserami i bronią nuklearną?

Talgarth uśmiechnął się i przytaknął.

- Zaraz... - odezwał się Borys z miną, która w kreskówkach zawsze łączy się z zapaloną żaróweczką w dymku.

- Mimo to - przerwałam mu nieubłaganie - zrobiłeś to z, jak to się nazywa?

Błękitną Mazią zamiast pełnego uzbrojenia i uszło ci to na sucho. Dlaczego nie miałbyś tego powtórzyć?

- Prawa szybkiego ludu - oznajmił zupełnie poważnie.

- Prawa czyje? - powtórzyłam. Nie byłabym bardziej zaskoczona, gdybyśmy zaczęli dyskutować o prawach kultur bakterii.

- No wiesz - machnął ręką. - Zwykły zestaw. Życie, wolność i prawo do szczęścia. Wybuchnęłam śmiechem.

- A teraz poważnie - powiedziałam, kiedy się uspokoiłam. - Co cię powstrzymuje e? Reid zgniótł papierosa i spojrzał na mnie niechętnie.

- Ja mówię poważnie. Nie można zrobić tego, czego się dopuściliśmy przed pięcioma laty. Już wtedy było to złe, ale... - skrzywił się - nie wiedzieliśmy o tym. Można było ożywić szybki lud i przygotować się na obronę przed nimi, ale nie wolno było ich przywrócić do życia i skasować, kiedy dali nam to, co chcieliśmy. Więc nie musicie się niepokoić, że znowu to zrobimy.

Talgarth przytaknął. Zmarszczyłam brwi, starając się coś z tego zrozumieć. Dee i Tamara przyglądały mi się ostro, ostrzej nawet niż mężczyźni.

- Sam zaproponowałeś, że zrobisz to dla mnie - wysunęłam zarzut. - Dla zemsty.

-191-

Uśmiechnął się zimno.

- Wiedziałem, że się nie zgodzisz. Jesteś zbyt inteligentna.

Zastanowiłam się, jakby zareagował, gdybym wzięła go za słowo, ale doszłam do wniosku, że lepiej porzucić ten nieprzyjemny temat i wrócić do głównego punktu programu.

- A zatem nie możemy być pewni, że ich nie ożywisz, ale za to z pewnością ich nie skasujesz?

- Mniej więcej - oznajmił pogodnie. - Ale, jak już powiedziałem, nie ożywimy ich bez odpowiednich zabezpieczeń. Nie ma na to specjalnej szansy w przewidywalnej przyszłości.

Dostrzegałam wprawdzie rozmaite okoliczności, kiedy jego pojęcie „odpowiednich zabezpieczeń” mogłoby się różnić od mojego, ale zostawiłam to na razie i spróbowałam jakoś przejść nad tym do porządku.

- Według Wilde'a - powiedziałam powoli - miałeś kiedyś inne poglądy.

Twierdziłeś, że szybki lud jest jedynie sztuczną inteligencją, a instalacje nie mają świadomości. A teraz mówisz, że jedyną gwarancją naszego bezpieczeństwa są twoje zupełnie odwrotne przekonania. Dlaczego je zmieniłeś?

Na jego twarzy rozlał się szeroki, szczęśliwy i głupawy uśmiech.

- Dzięki Dee.

Pokręciłam głową i spojrzałam na towarzyszy, a potem na Dee, która nie spuszczała ze mnie nieruchomego wzroku. Doznałam nieprzyjemnego wrażenia, że ona

wie, o czym myślę.

- Chyba nie rozumiem - powiedziałam nieszczerze i dyplomatycznie.

- To zupełnie proste - odparł sucho Reid. - To kwestia doświadczenia.

Zorientowałam się, że nie mogę myśleć o Dee tak, jak myślałam, zanim stała się autonomiczna. - Uśmiechnął się do niej. - Zanim ode mnie odeszła. Teraz wiem, że mój dawny, hm, związek z nią był żaloszny i chory, ale musicie nam wybaczyć

tutejsze zwyczaje. Gynoidalni i androidalni partnerzy są tutaj symbolem sukcesu wśród bogatych ludzi. Objaw kapitalizmu - uśmiechnął się z odrobiną zażenowania.

- W każdym razie, po wielu oskarżeniach, które wytoczyła Dee, po zmartwychwstaniu, kiedy zacząłem poznawać ją na nowo... zrozumiałem, że muszę ją uznać za człowieka. Nie za sprytną podróbkę, imitację, ale za prawdziwą kobietę, którą pokochałem i która pokochała mnie. A ponieważ często i uparczywie zaprzeczałem publicznie, jakoby ona i inni sztuczni ludzie mieli być prawdzi-

-192-

wymi ludźmi, nie miałem innego wyjścia, jak tylko przyznać się do błędu w bardzo oficjalny i niezaprzeczalny sposób.

Zerknął na wielką fotografię naprzeciwko mnie i znowu uśmiechnął się do Dee.

- Ożeniłem się z nią.

Więc o to chodziło! Małżeństwo oznaczało publiczną deklarację rodzaju wzajemnych

praw własności: dziwny, stary zwyczaj, dość rzadko spotykany w Unii, lecz tutaj najwyraźniej rozpowszechniony. A zatem Reid związał się z tą maszynką w ładnym ciele i w ładnej sukience, którą posiadał i używał przez lata. Miałam nadzieję, że moja twarz nie zdradziła obrzydzenia.

- Ellen - odezwała się Dee. - Naprawdę, nie jest ważne, co o nas... o mnie myślisz. - Wstała, obeszła stół i usiadła naprzeciwko mnie. Nie mogłam uciec przed jej zielonym spojrzeniem. - Wiem, że uważasz mnie za maszynę... „maszyna do pieprzenia”, tak? Ale wiem także, że jestem człowiekiem, a gdybyś mnie lepiej poznała, także zrozumiałabyś, że nie możesz mnie traktować inaczej. Nie możesz mnie posiadać, nie możesz mnie używać, nie możesz mnie włączać i wyłączać.

Chcesz, to spróbuj. Gdybyś zdołała mnie zmusić, miałabyś ze mnie pewien pożytek, ale niewielki - nie posiadałabyś mnie jako takiej. Jeśli chcesz dostać wszystko, co można wycisnąć z maszyny, musiałabyś mi pozwolić o tym zdecydować. Jeśli nawet jestem maszyną, Ellen, to taką, która nie może dobrze funkcjonować, jeśli nie jest wolna.

Dotknęła mojej twarzy. Złodowaciałam.

- Tak jak ty. Więc spróbujmy być dla siebie miłe, dobrze?

Wstała, wróciła na swoje krzesło i usiadła obok Tamary. Zerknęłam na Suze, która patrzyła na Dee; i na Yeng, która patrzyła w podłogę.

- Rozumiem - odezwał się Malley - że ktoś właśnie przeszedł przez test Turinga.

Wszyscy parsknęli śmiechem, napięcie zelżało. Reid wziął Dee za rękę.

- Przeszła go już dawno - powiedział.

Dee uśmiechnęła się do niego, potem do mnie. Ciepło tego uśmiechu zmroziło mnie w równym stopniu, jak pasja i inteligencja jej rozumowania, a także delikatny dotyk jej palców. Był to jeden z tych niezręcznych momentów, kiedy coś, co wydawało się gałązką lub listkiem, nagle rozkłada skrzydła i odlatuje.

13 Dywizja Cassini

— 193 —

- W porządku - zwróciłam się do Reida. - Przyjmuję, że twoje poglądy na świadomość maszyn już raczej się nie zmienią.

Yeng nadal badała stan podłogi. Nagle gwałtownie podniosła głowę.

- I co z tego! - zawołała gorąco. - Możecie wszyscy wierzyć, w co wam się podoba. Zaprzeczenie świadomości maszyn nie jest prawdziwą wiedzą, tylko opinią jednego z badaczy, czymś... - Poruszyła dłonią, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

- Teorią uboczną - podsunął poważnie Talgarth.

Wątpię, żeby Yeng знаła to określenie, ale przytaknęła energicznie.

- Tak! Mniej więcej. Wszystko, co powiedziała Dee, to prawdziwa wiedza. Tak samo jest z ludźmi. Jeśli chcemy mieć jak najwięcej z życia, musimy możliwie obficie czerpać z siebie nawzajem, a to oznacza, że nie możemy traktować nikogo gorzej niż na to zasługuje. - Zamilkła ze zmarszczonymi brwiami, jakby coś ją zastanowiło. Rozumiałam ją: ten rozdźwięk, wynikający z sympatii wobec zadziwiającej mimikry Dee, musiał być dla niej bolesny. - Chyba żebyśmy więcej zyskali traktując kogoś gorzej, co nie zdarza się często. Jeśli spotykamy maszyny, do których się to stosuje, możemy to znieść. - Roześmiała się bez



wesołości. - Możemy być zmuszeni! Ale to nie zmienia innego problemu: jak mamy postępować z maszynami o wiele od nas potężniejszymi, które - lub którzy, o ile mi wiadomo - mogą być czymś więcej, niż ludźmi. Nie możemy współ-egzystować z istotami, wobec których jesteśmy jak mrówki.

- „I byli w ich oczach jak koniki polne” - odezwał się Reid, najwyraźniej cytując jakiś nieznany tekst. - Dlaczego właściwie sądzicie, że koegzystencja jest niemożliwa?

- Ponieważ oni mieliby władzę nad nami - wyjaśniła mu Yeng jak dziecku.

- To, że dysponują większą siłą, nie znaczy, że mają nad nami władzę - odparł z równą cierpliwością.

- Dobrze, ale jednak zawsze mogą użyć tej siły, tak jak ty z szybkim ludem.

-Ach. Interesujące. Rozumiem, że prowadzicie negocjacje z Jo-wiszanami. I co? Zerknęłam na moją załogę. Nikt nie rzucił mi ostrzegawczego spojrzenia, więc wyjaśniłam, jak nawiązaliśmy kontakt i jak toczyły się rozmowy.

- A zatem - powiedział Reid, kiedy skończyłam - ilu ich tam jest?

-194-

Wzruszyłam ramionami.

- Możliwe, że miliony. Przynajmniej tysiące.

- I stanowią rodzaj mrowiska, tak? To jakaś gigantyczna istota kolektywna?

- Nie - oznajmiłam, nie całkiem pewna, dokąd zmierza Reid. -Utrzymują, że są indywidualnościami i wszystkie dowody potwierdzają, że mówią prawdę.

- A zatem to jakiś totalitaryzm? Wola jednostki wolą narodu, jak to ujął Lenin? A może to jakaś anielska anarchia, gdzie wszyscy zgadzają się robić tylko to, co służy wspólnemu dobru?

- Oczywiście, że nie - rzuciłam niecierpliwie. - Zauważyliśmy oznaki rozłamu pomiędzy nimi, a po każdej rozmowie dyskutują ze sobą, po czym znowu łączą się z nami.

Reid i Talgarth uśmiechnęli się do siebie. Reid uderzył pięścią w dłoń.

- Ha! - wrzasnął. - Wiedziałem!

- Co? - zainteresowałam się.

- Że prowadzicie z nimi negocjacje, jakby naprawdę byli jednostką kolektywną. I jakbyście wy nią byli! - Roześmiał się demonicznie. - Ten sam błąd popełniacie z nami - dodał. - Powiedziałem, że nie my tu rządzymy; mówiłem prawdę. Kiedy rozmawialiśmy, działało paru odważnych ludzi - takich, którzy umieją myśleć, planować, przewidywać, którzy przez pięć lat potwierdzili, że przez Bramę można przejść bezpiecznie. A teraz, podczas gdy tu siedzicie, wystartowali, żeby przejść na drugą stronę! Nieźle się kłócili, kto pójdzie pierwszy, ale z pewnością agencje ochrony czuwają nad porządkiem kolejki, która pewnie się już ustawiła przed korytarzem.

Łyknął piwa i zaciągnął się papierosem, bezczelnie rozkoszując się naszym zdumieniem i rodzącą się wściekłością Tamary, dla której także musiało być to zaskoczeniem.

- I po co to było? - spytałam, przekrzykując innych.

Reid rozparł się w fotelu, splótł palce i wygiął je z trzaskiem.

- Żeby handlować. Po cóż by innego? Parsknęłam śmiechem.

- Nie zarobią wiele na handlu z nami. Poza tym nie znają drogi.

- Rzeczywiście, oni nie znają. Ale ja ją znam. Przebyłem ją z pierwszymi spomiędzy szybkiego ludu, pamiętasz? Z tego samego źródła znam ścieżkę powrotną.

I zamierzam ją sprzedać. - Spojrzał na zegarek. - Od tej chwili zaczyna się licytacja.

-195-

Tony pochylił się ku niemu.

- Bardzo sprytne, ale szczerze mówiąc, marnujecie pieniądze. Bogacze, którym sprzedasz ten sekret, nie będą zbyt zadowoleni, kiedy odkryją, że nie potrzebujemy niczego, co macie do zaproponowania, i sami nie mamy nic do sprzedania. Albo dlatego, że dostajemy to za darmo, albo dlatego, że nie oddamy wam tego za nic. Jak powiedziała Ellen, nie zarabiana tym. -Usiadł, bardzo

zadowolony.

- Tego bym nie był taki pewien - oznajmił Reid. Machnął lekko ręką. -Zresztą nie ważne. Większość firm, o których mówię, nie jest zainteresowana handlem z ludźmi z Unii Solarnej.

- Więc z kim... - urwałam. Nie chciałam usłyszeć odpowiedzi. - Och, nie! Nie zrobicie tego.

- Zrobimy - stwierdził spokojnie. - Będziemy handlować z Jo-wiszaczami.

Przez chwilę wszyscy siedzieliśmy w osłupiałym milczeniu. Yeng przemówiła pierwsza; jej wysoki głos ochrypnął z gniewu i troski.

- To szaleństwo! Spójrzcie na siebie! Widziałam, jak działa tu komunikacja.

Macie radio do wszystkich celów, elektroniczne komputery wszędzie, nawet w ciałach, a wielu z was ma łącza w korze mózgowej! Bezpośrednie komputery w mózgach, prawda? Jesteście beznadziejnie bezbronni, absolutnie obnażeni wobec ataku wirusów. Stanowicie dla nich pożywkę! Jowiszanie wyjedzą wam mózgi i nawet

tego nie zauważycie.

- Już o tym myśleliśmy - oświadczył Reid bez wzruszenia. -Jesteśmy przekonani, że powstrzymają ich nasze środki zaradcze, jeśli Jowiszanie w ogóle zaczną się zachowywać tak podstępnie, jak ich o to posądzacie.

- Środki zaradcze! - głos Yeng ociekał pogardą. - Mieliśmy dwa stulecia ciągłej walki z wirusowymi plagami, dość żeby opracować środki zaradcze, a i tak nie przyszłoby nam do głowy to, co zamierzacie zrobić.

Reid wzruszył ramionami.

- Jesteśmy pewni, że sprawimy się lepiej, ponieważ... - zamikł na chwilę -... mamy lepsze komputery - dokończył dość niezręcznie. Może miał coś więcej do powiedzenia i w ostatniej chwili się rozmyślił.

- Nie... - zaczęłam. Borys podniósł rękę i rzucił mi szybkie spojrzenie.

- To nieważne - powiedział. - Jeśli wasze statki przejdą przez Milę Malleya, możecie być spokojni, że zniszczy je Dywizja Cassi-

-196-

ni, nasza agencja obrony. Dywizja założy, że wszystko, co wychodzi z korytarza, jest dla nas zagrożeniem, jeśli nie usłyszą od nas, że jest inaczej.

- A zatem namawiam was, żebyście tak zrobili. Skontaktujcie się z Komitetem Centralnym, czy co tam macie, i powiedzcie, żeby nas przepuścili. Jeśli tego nie zrobicie, jeśli wasze statki nas zaatakują, myśliwce Wzajemnej Ochrony, chroniące naszych kupców, podejmą odpowiednie kroki.

Borys i Andrea jednocześnie parsknęli śmiechem. Reszta załogi wydawała się przynajmniej rozbawiona. Nawet Malley zdobył się na słaby sceptyczny uśmiech wobec tej przejrzystej przechwałki. Malley widział nasze statki, Reid nie.

-Niech spróbują- zawołał Borys. Znowu się roześmiał. -Niech spróbują!

Reid wstał, podszedł do ściany i przyłożył dłoń tuż obok zdjęcia jego samego na tle smukłej maszyny, przypominającej odrzutowy myśliwiec z czasów trzeciej wojny światowej. Wyciągnął papierosa i zmierzył nas chłodnym, szacującym spojrzeniem.

Wiedziała, co zamierza powiedzieć, więc go uprzedziłam.

- Zakładam, że już przyjrzeście się „Carbon Conscience”. Być może wpuściliście do niego kamerę-muchę. I czego się dowiedzieliście?

- Rzeczywiście -przyznał Reid, cofając się mimo woli, co sprawiło mi odrobinę satysfakcji. Borys zeszytniał; moje przelotne spojrzenie kazało mu pozostać na miejscu. - Podeszliśmy do niego bliżej niż do „Terrible Beauty”. - Tym razem to on się ucieszył, ponieważ nie zdołałam ukryć zaskoczenia. - O, tak, pan Powell doprowadził do tego miejsca nasze heliportery, kiedy tylko was zabraliśmy.

Bardzo życzliwy gość, czysta uczynność, z czym się zapewne zgodzicie. Co do „Carbon Conscience”... - spojrzał nad naszymi głowami. Gałki oczne drgnęły mu kilkakrotnie, jakby oglądał wirtualną projekcję. - To dobry myśliwiec, muszę wam to przyznać. Ale tak samo dobry był nasz MiG - 29, a wszyscy wiemy, jak się sprawił przeciwko polskim EFA. - Zamikł i zmarszczył brwi. - Może nie wiemy wszystkiego. Przynajmniej niedokładnie. Wierście mi, gdyby wasze myśliwcebombardujące wpadły na to - wskazał kciukiem obiekt na fotografii -

nigdy by się nie dowiedziały, co ich stuknęło.

- Więc nie weszliście do środka? - spytałam tak obojętnie, jak tylko mogłam.

-197-

Wzruszył ramionami.

- Nie musieliśmy - odparł równie lekko. - Wystarczyła nam inspekcja zewnętrzna.

Borys omal nie rzucił się na niego. Na mój ostry gest opadł na fotel, rzucając wściekłe spojrzenia. Miałam nadzieję, że Reid to zauważył. Sama bałam się, że nie wytrzymam i wrzasnę z tryumfem: Ha! Tylko spróbuj, ty bankierze!

Skoro nie mogli przełamać systemów obronnych myśliwcabom-bardującego, z pewnością nie potrafiliby odeprzeć jego ataku. Brzydki był i podobny do owada, ten nasz myśliwiec; bardziej przypominał ornitopter niż pojazd kosmiczny, ale został zbudowany z myślą o najtrudniejszych walkach i szybkich manewrach w przestrzeni, a opracowaliśmy go po dwóch stuleciach niszczenia wszystkich większych od cząsteczki obiektów, które usiłowały uciec z atmosfery Jowisza.

Jeszcze dłuższe doświadczenie mieliśmy w niszczeniu jąder komet.

Jedynym problemem, jaki potrafiłam przewidzieć w związku z kontaktem naszych myśliwców z jednostkami Reida, był ten, na który on prawie na pewno by nie wpadł: tak niewielu z naszych pilotów kiedykolwiek zabiło człowieka - a j jeśli w ogóle, to bardzo dawno temu - że mogliby się zawahać na jeden, ale decydujący ułamek chwili. Nie sądzę, żeby ludzie z tej strony korytarza przeżywali takie wątpliwości.

-Nasze myśliwce są w pełni zautomatyzowane - oznajmił Reid. - Nie musimy wysyłać

na nich ludzi. To przechyła szalę na naszą korzyść, nie sądzisz?

Raczej nie, pomyślałam zachwycona. Teraz już na pewno rozgnieciemy was na miazgę.

- Widzę, że nie zgadzasz się ze mną - ciągnął. - Być może powinnaś rzucić na to okiem.

Poruszył ręką, jakby zamierzał klasnąć. Światła przygasły, a nad stołem

wyświetlił się hologram. Przedstawiał ciemną bryłę o wysokości dwóch i pół metra, powoli obracającą się wokół własnej osi. Na jej powierzchni lśniło światło i unosiły się małe jasne plamki, jakby metalowe plomby.

- Węglowy chondryt z nanofabrykami - wyjaśnił. - A teraz zbliżenie... -

Hologram zmniejszył się, po czym znowu się rozszerzył. Smugi światła stały się wielkimi konstrukcjami rur, głowicami wiertarek i zbiornikami: małe jasne przedmioty - dziesiątkami i setkami statków powietrznych, takich jak ten na fotografii.

-198-

- To oczywiście przyspieszone tempo - przyznał Reid. - Każdy myśliwiec j est składany przez jeden dzień. Ale jak widzicie - znowu wyświetlił widok ogólny - mamy mnóstwo pracowników.

Hologram znikł, światła rozbłysły jaśniej. Zamrugaliśmy powiekami, a Reid wrócił na swoje miejsce.

- Nawet jeśli się wam wydaje, że wasze myśliwce dadzą radę naszym w walce jeden na jednego, co mnie wydaje się raczej niemożliwe, musicie się zastanowić. To nie będzie walka jeden na jednego. Raczej setki na jednego, a naszych myśliwców ciągle przybywa.

W pokoju zapadła cisza. I tak możemy ich pobić, pomyślałam. Na Callisto mamy o wiele silniejsze lasery, orbitalne forty z bronią nuklearną, okopy na innych księżycach. Mamy siły obronne Układu Wewnętrznego. Gdyby doszło do ostateczności, mamy całą ludność Ziemi.

Ale Nowi Marsjanie mogli mieć coś lepszego niż myśliwce-bombardujące. Mogli mieć

po swojej stronie bogów, nie tylko Jo-wiszan, gdyby udało się im zawrzeć z nimi przymierze. Mieli własny szybki lud w magazynach inteligentnej materii w górach; zakładając, że jeszcze nie zostali zaktywowani, do czego Reid był całkowicie zdolny.

Takie starcie byłoby rzeczywiście straszne... dla obu stron. A zatem musieliśmy

dojść do ładu z Jowiszanami. Nie mogliśmy sobie pozwolić na dwóch wrogów.

Uśmiechnęłam się i wstałam.

- Czy to nie wspaniałe, że rozmawiając możemy zapobiec walce? A w ogóle skąd się wziął temat walki? Oczywiście, że możecie przejść przez korytarz. Jeśli chcecie rozmawiać bezpośrednio z Jowiszanami, zapraszamy. Robicie to na własne ryzyko, jak mówią kapitaliści. Możecie nawet wyświadczyć nam uprzejmość i zaryzykować w

naszym imieniu. Potrafimy o siebie zadbać, cokolwiek się wydarzy.

Moja załoga wpatrywała się we mnie z niemal jawną zgrozą. Nawet Malley i Suze wydawali się zaniepokojeni. Odwróciłam się od Reida i niepostrzeżenie mrugnęłam do towarzyszy.

- A zatem - podjęłam, znów wpatrzona w Reida - co z propozycją bezpiecznego pomieszczenia komunikacyjnego? Chyba pora, żebyś dotrzymał słowa.

-199-

- Twarde kombinezony, łącza radiowe, szyfr - zarządziłam. Nasze ubrania przybrały konsystencję galarety, po czym otoczyły nas pancierzem. Mały pokójek na szczycie wieżowca Reida był opasany pierścieniem paneli kontrolnych, oferujących więcej możliwości niż moglibyśmy wykorzystać. Wszystko na zasadzie idiotenka-mery, zapewnił nas radośnie Reid, zamykając za sobą drzwi.

W przekształconych kombinezonach towarzysze wyglądali jak pozbawione twarzy humanoidalne roboty, wykonane z anodyzowanego aluminium w żywych kolorach.

Nikt nie zdołałby nawet odczytać naszych słów z ruchu ust, a szyfr powinien do reszty zabezpieczyć nasz przekaz, chyba że tutejsze komputery były o tyle lepsze od naszych, że właściwie moglibyśmy w ogóle sobie darować porozumiewanie się. Głosy towarzyszy zapadały w martwy kanał.

Przykręciłam poziom głosu.

- Nie gadajcie wszyscy na raz - powiedziałam ze zmęczeniem. Byłam głodna i rozdrażniona. - Borys, jesteś przewodniczącym.

- Ha, ha. W co ty się bawisz? Nie możemy ich przepuścić przez korytarz, na pewno nie teraz.

- Nie możemy z nimi teraz walczyć. Mam nadzieję, że nikt z nas nie wspomniał o uderzeniu. Od tej chwili za osiem dni. Musimy zachować nasze siły w nietkniętym stanie, na wszelki wypadek... Albo powstrzymamy napływ z tej strony, albo dopilnujemy, żeby komety nie zboczyły z właściwego kursu. Nie możemy zrobić obu tych rzeczy.

- To nie są jedyne możliwości - odezwał się Tony. - I nadal musimy...

- Wiem, wiem.

- Co musicie? - spytał Malley.

- Dopilnować, żeby Reid nie zaczął następnej Osobliwości. Jeśli już tego nie zrobił. Nie martwcie się, z tym sobie poradzimy. Teraz nie my podejmujemy decyzje. Musimy się skontaktować z Dywizją i oddać to w ich ręce. Yeng, zaczynaj.

Usłuchała, a kiedy zajęła się połączeniem z satelitarnym przekaźnikiem (prawdopodobnie otoczonym flotą statków handlowych), włączyłam obraz wewnątrz hełmu i dokonałam pobieżnej obróbki nagrań, ze szczególnym uwzględnieniem najbardziej interesujących wypowiedzi Reida, które zamieściłam w całości, żeby nie było nieporozumień.

- Gotowe - oznajmił głos Yeng. - Zszyfrowane łącze konferencyjne. Wszyscy widzą komitet jako projekcję hologramową, a oni widzą wasze twarze.

-200-

Zmartwione twarze... po obu stronach.

- Wszystko w porządku? - spytał Tatsuro. - Nie nawiązywaliście kontaktu od godziny, odkąd weszliście do tego wieżowca.

- Byliśmy w klatce Faradaya - wyjaśniłam. - Nic nam nie jest. Dokonaliśmy pewnych... niespodziewanych odkryć. Opowiemy wam za chwilę. Jak tam na waszym



odcinku?

Tatsuro potarł czoło i zmierzwił brwi.

- Dobrze, dobrze. Jowiszanie wreszcie zdołali wyłączyć transmisję wirusów. To przynajmniej dowód dobrej woli, ale jeszcze nie korzystamy z łączności radiowej. Ruch w ich atmosferze znowu się zwiększa. Poza tym wykryli komety. Widzą, że zbliżają się ku orbicie katapulty. Poruszyli ten problem z prawdziwym niepokojem.

- Wcale się nie dziwię.

- Powiedzieliśmy im, że to rutynowe działanie przy przekształcaniu powierzchni Marsa i pokazaliśmy nagrania poprzednich przelotów komet, które skonfrontowali z czymś, co oni nazywają archiwami czasu snu. Wydają się uspokojeni. A teraz o was. Satelita wykrył i zgłosił zagęszczenie statków w okolicy. Co się dzieje? Tłumaczyłam mu przez dziesięć minut, ilustrując wypowiedź projekcją prosto z kombinezonu na ich ekrany. Konsternacja, jaką wzbudziłam, niemal mnie rozbawiła; gniewne, szeptane dyskusje brzmiały dokładnie tak, jak nasze. Zakończyłam oceną możliwości.

- Tak - powiedział Tatsuro, kiedy skończyłam. - To z pewnością komplikuje sprawę. Wolałbym, żebyś nie mówiła Reidowi, że mogą przejść przez korytarz. Decyzja należy raczej do Rady Solarnej, a przynajmniej do jego delegatki.

- Och... - Niemal zapomniałam o tej drobnostce. Delegat Rady Solarnej miał - lub reprezentował - władzę nad nami. Mimo całej skoncentrowanej potęgi Dywizji nie mogliśmy działać wbrew woli Ziemi i Wewnętrznego Układu - chyba, że chcieliśmy konfliktu.

- Jej szybkościowiec właśnie wszedł na orbitę Callisto - ciągnął Tatsuro. -

Towarzyszy mu parę myśliwców Wewnętrznego Układu. Nie możemy poczekać jakąś

godzinę, żeby delegatka zdążyła przybyć?

- Ta decyzja nie może czekać - oznajmiłam. - Reid za chwilę sprzeda komuś współrzędne.

Tatsuro pokręcił głową z niechęcią, lecz w oku zalśniło mu ponure rozbawienie.

- Moglibyście spróbować wytargować zwłokę o... powiedzmy, trochę ponad tydzień.

-201-

- Ciągłe można próbować. Suze podniosła rękę.

- Jeśli można, sąsiedzi... towarzysze. Nie sądzę, żeby to się udało. Mamy tu do czynienia z kapitalistami. Oni się po nas spodziewają, że będziemy ich zwodzić!

Podejrzewają, że chcemy ich wykończyć... to znaczy, zawrzeć umowę z

Jowiszanami

i wykluczyć ich z interesu.

- Co mogłoby być całkiem niezłym pomysłem - powiedziała Clarity, patrząc na nas przez lata świetlne.

- O, pewnie! - zgodziła się Suze. - Jeśli dobrze poznałam tych ludzi, będą chcieli się przebić. Zaczną się ścigać, żeby zdążyć do mety. Całe ich życie jest zbudowane na idei podejmowania wysokiego ryzyka dla dużego zysku.

- W tym przypadku ryzyko nie jest aż tak wysokie - dodałam kwaśno. -

Prawdopodobnie wszyscy porobili sobie kopie, więc będą próbować, dopóki którejś się uda.

-Albo dopóki Jowiszanie nie zainfekują ich i nie zmienią w kukły - dodała Yeng.

- Które mogą nas pokonać. Tatsuro machnął ręką.

- Mniejsza o to. Zatem pozwalamy im przejść. Zgadzam się z a-nalizą Ellen. Jeśli nawet wydarzy się to, czego obawia się Yeng, ciągle jeszcze będziemy w korzystnej pozycji. Jednak uważam, że powinniśmy wysłać niektóre nasze myśliwce na drugą stronę korytarza, żeby zajęły pozycje na terenie Nowych Marsjan.

- Sprzeciw - odezwał się Joe Lutterloh. - Nie powinniśmy narażać Unii Solarnej na kontakt z bankierami. Nie należy także pozwalać im na układy z Jowiszanami, którzy nadal są dla nas zagrożeniem.

Po paru minutach dyskusji głosowanie zdecydowało, że przepuścimy handlowców.

Osiem za, cztery przeciw. Tatsuro nie zawahał się ani przez chwilę.

- Wniosek przeszedł - oznajmił, kiedy ręce opadły. - A zatem, towarzysze,

powiedźcie Reidowi, że jego handlowcy i myśliwce mogą przejść pod warunkiem, że nasze myśliwce zrobią to samo. Dajcie nam znać, czy się zgodził. Najwyraźniej powinniście dołożyć wszelkich starań, żeby powrócić na statki. Rozumiem, dlaczego musieliście je opuścić, ale nie zostawiajcie ich na zbyt długo.

Wracajcie w przestrzeń, jeśli zdołacie, i czekajcie na rozkaz bombardowania -wy i inne myśliwce - miejsca, w którym znajdują się wzorce szyb-

-202-

kiego ludu. My przez ten czas - powiódł wzrokiem po członkach Komitetu

Dowodzenia, a na twarz wypełził mu leniwy, sarkastyczny uśmiech - ustalimy, jak to wyjaśnić delegatce Rady Solarnej. Na razie, do widzenia.

Pomachałam dłonią zebranym, bardziej dziarsko, niż się czułam. Yeng rozłączyła nas. W uszach huczały mi głosy Malleya i Suze. Rzucona od niechcienia uwaga Tatsuro była dla nich pierwszą wskazówką co do naszych prawdziwych zamiarów wobec wzorców szybkiego ludu. Zaczęłam gwałtownie machać rękami, domagając się milczenia.

- To tylko wyjście awaryjne! - wrzasnęłam. - Tylko wtedy, jeśli Reid zrobi z nimi coś głupiego! Nie patrzcie tak na mnie! Nie możemy im ufać.

- Nie martw się - oznajmił ponuro Malley. - Nie obchodzi mnie, co zrobicie z wzorcami, i tak nie są świadome. Możesz mi zaufać, nie zdradzę.

- Ani ja - dodała Suze. - Szkoda tylko, że nie zaufałaś nam wcześniej.

W jej głosie brzmiało rozczarowanie. Spojrzałam na Malleya, Suze, na moich towarzyszy; mój wzrok ześlizgiwał się bezradnie z jednej czarnej bani na następną i zdałam sobie sprawę, że nie potrafię ich rozróżnić.

- Dobrze - powiedziałam - Przepraszam. Teraz chodźmy porozmawiać z Reidem. Zanim ustanowiono światową wspólnotę, pojawiała się nieuniknione pytanie: kto odwali brudną robotę?

Zawsze odpowiadałam: ja. I była to słuszna odpowiedź.

10 Dni komety

T3rzydkie, najeżone myśliwcebombardujące wyłaniały się jeden JD po drugim z korytarza; cała eskadra, ochrzczona bohaterskimi, ironicznymi lub po prostu idiotycznymi imionami: „Gai Phong”, „De-

-203-

bug Modę”, „Virus Alert”, „Luddite Tendencies”, „X Calibre”, „Acquisitor”, „General Arnaldo Ochoa”, „Codebreaker” oraz „Necessary Evil But Still Cool”.

Jeden po drugim znikwały powolne, wyładowane statki towarowe i szybkie, zwrotne myśliwce ich opiekunów. Nawet na ekranie portu kosmicznego, w milczeniu mąconym

dziecinnym paplaniem programów informacyjnych, widok wydawał się niezwykle i przejmujący: statek po statku ginął w błysku błękitnego światła, jakby unicestwiony.

Andrea musiała pomyśleć to samo.

- Co się stało z zasadą zachowania masy i energii? - spytała. -Zniknęła razem z tymi statkami?

Siedzący obok Malley pochylił się ku nam.

- Ciekawa uwaga - powiedział, stukając fajką o ekran. - Chodzi o to, że masa korytarza zwiększa się z jednej strony, a z drugiej zmniejsza o równowartość masy, która w niego wniknęła.

Siedzieliśmy z Reidem i Dee w tym samym cichym zakątku, w którym czekali na nas

Borys i Jaime. Z cichą satysfakcją przyglądałam się, jak nasze myśliwce zajmująpozycję wokół korytarza i wyrzucają kotwice dryfujące, które wczepiają się gdzie mogą. Reid przyznał nam prawo kontrolowania Bramy. Nie wiedziałam, czy

to dzięki moim argumentom, że to jedyny sposób zyskania pozwolenia na przejście statków na naszą stronę, czy też tak wierzył w wyższość kapitalistycznej technologii, że nasze wysiłki wydawały mu się bez znaczenia.

Słuchałam pilnie ich rozmowy, starając się tego nie zdradzać; Andrea nadal nie

mogła się pogodzić z odpowiedzią Malleya.

- Czy to znaczy, że jeden koniec korytarza mógłby się rozwiać w nicość, gdyby z drugiej strony wniknęła w niego dostatecznie duża masa?

- W fizycznej terminologii, tak - powiedział ostrożnie Malley. - Ale pamiętaj, że masa może stać się ujemna.

Splotłam ręce pod głową, spojrzałam w sufit i rzuciłam konwersacyjnym tonem:

- Co to znaczy w terminologii fizycznej? Malley parsknął śmiechem.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Pozostała część korytarza - główny korytarz - może wytworzyć masę ujemną i w ten sposób podtrzymać istnienie Bramy... do pewnego momentu.

- Ale do którego? - powtórzyła Andrea ze zmartwieniem. Malley wzruszył ramionami.

-204-

- To zależy od ogólnej masy wirtualnej, której nie znam. Musi być tego więcej niż tych statków.

- Brama po drugiej stronie przyjmuje zero koma dziewięć pięć siedem milionów ton

- odezwała się nieoczekiwanie Dee. - Po tej stronie o wiele mniej: zaledwie sto tysięcy. Jeśli będziemy stale używać korytarza, musimy się upewnić, że to się wyrówna. Chyba że chcemy się dowiedzieć osobiście, czym jest ta masa ujemna.

- Na razie jesteśmy bezpieczni - dodał Reid. - Statki, które już przeszły, prawdopodobnie nie ważyły więcej niż tysiąc ton każdy.

- Nie sądzę, żeby nasza strona przysłała w rewanżu dwadzieścia tysięcy ton - powiedziałam z dezynwolturą, na którą teraz było mnie już stać.

- Nasze wróć. - Reid spojrzał na mnie i uśmiechnął się wyzywająco, jakby czekał, aż zaprzeczę. - Prawda?

Zrewanżowałam się mu równie nieprzyjemnym uśmiechem.

- Oczywiście.

Port powietrzny był znacznie spokojniej szy niż poprzednio. Zniknęły wiwatujące tłumy, przerwano starty rakiet. Zauważyłam bardzo niewielu pasażerów, zapewne z

peryferyjnych osiedli. Nawet te nieliczne heliportery, które zawisły nad nami jak komary, po chwili odleciały. Dla Nowych Marsjan był to środek nocy; dla nas wczesne popołudnie. Wszędzie poniewierały się porzucone paskudne papierowe talerze i resztki równie paskudnego jedzenia. Czekaliśmy na przybycie „Terrible Beauty”; „Carbon Conscience” uzupełniał zapasy paliwa. W powietrzu wisiało napięcie i chmury dymu. Malley pykał z fajki, Dee i Reid odpalali jednego papierosa od drugiego. Ten nałóg wydawał mi się właściwy dla społeczeństw kapitalistycznych; gdybyśmy musieli siedzieć tu dłużej, pewnie sama bym spróbowała.

- Co zamierzacie tam sprzedawać i kupować? - spytała Suze.

- Gdybym wiedział, sam bym poleciał - odparł Reid. - Ci ludzie zastanowili się nad tym znacznie lepiej niż ja. - Rozłożył ręce. - Pewnie chodzi o informacje.

- Dostaną więcej informacji niż zechcą- powiadomiła go Yeng złowieszczo. - I wy też. - Wstała, podeszła do ekranu i wskazała na niego. Jeden z myśliwców agencji ochrony wrócił i wystrzelił kotwicę przekaźnikową, o wiele większą od naszych, na tej samej linii co my. - Nie wierzę, jak można być tak zadufanym w siebie. Mam nadzieję, że zabierzemy się stąd, zanim jowiszańskie wirusy przejdą po łączach prosto do waszych mózgów.

-205-

Dee parsknęła śmiechem.

- Po prostu nie mieści ci się to w głowie, co? Rzeczywiście, mamy otwarte łącza i jesteśmy osobiście narażeni na zagrożenie... ja bardziej od innych. Właśnie dlatego się tym nie martwimy. Musieliśmy opracować środki zaradcze, bardzo skuteczne, żebyśmy mogli bronić się przez konkurencją, przestępcami albo cholernymi hackerami!

Yeng wzruszyła ramionami.

- Może - powiedziała z powątpiewaniem. - Ale skoro chcecie się skontaktować z rzekomo obdarzonymi świadomością osobnikami o znacznie bardziej rozwiniętej technice, to nie wiem, na co się wam przydadzą wasze środki.

- Ale... - zaczęła Dee. Spojrzała na Reida. Ten wzruszył ramionami.

- Powiedz im. I tak się w końcu domyśla.

- Dobrze. - Dee wstała i spojrzała na nas. - Powiem wam. - Jej ton i wyraz twarzy lekko się zmieniły, jakby nagle przybrała inną osobowość. - Świadomość albo jej symulacja, jeśli sobie życzycie -uśmiechnęła się i na moment znowu stała się sobą-jest kosztowna. Osobowość także jest bardzo drogim procesem przetwarzania danych, a ten koszt zwiększa się wraz z ilością informacji, które należy przyswoić. Nie jest to coś, co po prostu się dzieje, jak sądzą niektórzy. Ten proces musi być zaprojektowany i wbudowany, świadomie przez nas lub nieświadomie przez selekcję naturalną. Więc całkiem możliwe, że można tworzyć coraz potężniej szy sprzęt i bardziej złożone programy, które przewyższają możliwości ludzkiego umysłu, komputery, które nie zachowują się, jakby były świadome, które nie mają zainteresowań i nie protestują, kiedy używa się ich jako narzędzi.

Dziwny ton zniknął; na jego miejsce powrócił dawny spokój. Dee podeszła do jednego z długich siedzisk i wprawnie wygładziła spódniczkę, zanim usiadła. Uśmiechnęłam się do niej. Mieli rację, ona i Reid: bez względu na to, co o niej myślałam tak naprawdę, nie można było z nią przestawać i rozmawiać, by nie przyznać jej umiejętności odczuwania wątpliwości. Trzeba było zachowywać się tak, jakby jej umysł także miał głębię. I nie można jej było po prostu nie polubić.

Odpowiedziała uśmiechem.

- A my - odezwał się Reid - mamy właśnie takie narzędzia. To dlatego jesteśmy pewni, że możemy rozmawiać jak równy z równym

-206-

z kimś potężniejszym od nas. Potrafimy spotęgować naszą siłę tak, że nawet ich przerośnie. Mamy Golemów, którzy wystąpią w naszym imieniu przed bogami. - Zgniółł papierosa i wstał. - Efekt dobrego, starego kapitalistycznego współzawodnictwa. Powinniście też spróbować.

Pomyślałam o wielkich analitycznych machinach naszego socjalistycznego planowania. Ich umiarkowane możliwości wzrastały przez dziesiątki lat stabilizacji; podejmowano wtedy coraz więcej lokalnych decyzji i tylko najważniejsze z nich, dotyczące powszechnie wykorzystywanych bogactw naturalnych, były dokonywane globalnie lub regionalnie. Pomyślałam o naszych kombinezonach z inteligentnej materii i naszej cybernetyce. Może my także mieliśmy bogów - lub golemów - po naszej stronie, tylko nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby przywołać ich na pomoc.

Spojrzałam na Reida, chcąc mu to powiedzieć i zauważyłam, że spogląda na spadającą iskierkę, widoczną przez przezroczysty dach hali.

- Zbliża się wasz statek - powiedział. - Już czas.

Oswobodzenie, nareszcie swobodne spadanie! Trwało to godzinami - przestawianie statków i ponowne ich łączenie, bardzo niewygodne w tej grawitacji; półgodzinne negocjacje pomiędzy Suze i jednym z pracowników Reida, dotyczące naszego długu wobec Wzajemnej Ochrony i kolejne pół godziny z zarządem portu powietrznego, który rzekomo wyświadczył nam jakieś usługi i zdecydowanie domagał się zapłaty - i wreszcie bolesne pięć minut wydostawania się na orbitę. Ostatnie słowa, które wypowiedział do mnie Reid: „Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy”.

- Ja też mam taką nadzieję - oznajmiłam, z całej siły życząc sobie czegoś dokładnie odwrotnego.

Rozpięłam pasy, odepchnęłam się od leżanki i wywinęłam radosne salto w powietrzu, kończąc je tuż pod ekranami.

Przyciągnęłam ku sobie dźwignię zbliżenia makro, pokręciłam gałką wyostżenia.

Korytarz ciągle znajdował się daleko, lecz pole naszego teleskopu - transmitowane przez soczewki, lustra i kable włókien optycznych - ukazywało nasz cel czysto i wyraźnie: tęczowy pierścień korytarza-córki, tak jak w przypadku korytarza rodzicielskiego mierzący równo milę, oraz lśniąca gromada statków.

Dzie-

-207-



się naszych myśliwców, jeden Reida; nasze kotwice przekaźnikowe małe, ich wielka.

Przerzuciłam się na co innego, powiększony nocny widok Miasta Statków i jego okolic.

- Hej, towarzysze! - zawołałam, obracając się wokół własnej osi. Wszyscy już oswobodzili się z pasów i unosili w powietrzu, rozkoszując się nie tylko swobodnym spadaniem, lecz i tym stanem zawieszenia pomiędzy kapitalizmem a naszym odległym socjalizmem. Uśmiechnęłam się i uniosłam kciuk w górę.

- Misja zakończona... na razie - ogłosiłam.

- Tak? - odezwał się Malley. - A co było naszą misją?

- Bardzo wiele rzeczy. Potwierdziliśmy, że Nowi Marsjanie są tym, na co wyglądali: prawdziwymi ludźmi, nawet jeśli mają zwariowaną hierarchię wartości. Wiemy na pewno, że mogą stracić swoje człowieczeństwo, jeśli Reid albo ktoś inny zechce ożywić szybki lud. A z tego, co powiedziała mi ta sympatyczna anarchistka, towarzyszka Tamara, wynika, że wzorce szybkiego ludu nadal znajdują się tam, gdzie Reid je złożył: w łańcuchu górskim zwanym Górami Madreporowymi. Skinęłam ku ekranowi; po chwili bardzo kolorowy znacznik wskazał ów punkt, długi meteoropodobny ślad w atmosferze, zakończony błyskiem wybuchu. Potem następny, i jeszcze jeden.

- Otóż to - oznajmiłam, słysząc za plecami ciche okrzyki. - Tu, w pobliżu miejsca, w które kierują fragmenty komet, na początku tego długiego kanału, prowadzącego do miasta. Od lat mamy dokładne współrzędne tego punktu, uzyskane z

plików danych sztucznej kobiety... Meg. Jeśli dostaniemy - my lub inne myśliwce - sygnał do ataku, wycelujemy we wlot jaskini bombę nuklearną i rozwalimy w drobną kaszkę wzorce razem z górą.

- Macie tu bomby nuklearne? - spytał Malley ze wzburzeniem.

- Na „Carbon Conscience” - wyjaśnił Borys. - Ta ptaszyna nosi w sobie

pięćdziesięciomegatonowe jajeczko.

- Teraz już jestem spokojny - mruknął Malley. - Nie wątpię, że dobrze jest mieć pod ręką parę pięćdziesięciomegatonowych drobiazgów, na wypadek gdyby Nowi Marsjanie mieli pecha i nie pasowali do waszej definicji człowieka.

- Możliwe - powiedział Borys z namysłem.

- Nie! - zawołałam, wstrząśnięta. - Nie zamierzamy robić niczego takiego!

-208-

- A to dlaczego? - Malley unosił się w powietrzu, a jego głos ociekał sarkazmem.

- W waszym pojęciu nie byłoby to morderstwo.

- To zbyt niebezpieczne. To nie Jowisz, nie ma tu bezbronnych osobników na dnie studni grawitacyjnej. Byłby to potężny wybuch w miejscu pełnym milionów postludzi mogących podejmować podróże kosmiczne. Jeśli jest tu nowa Osobliwość, natychmiast spadamy.

- Dokąd? - spytała Andrea.

- Przez korytarz, jeśli będzie to możliwe.

- A jeśli nie? - Malley zawisł przede mną. Machnęłam mu niedbale ręką przed nosem.

- Będziemy przyspieszać, dopóki nie wyczerpiemy połowy paliwa, zrobimy swoje kopie, jeśli to będzie absolutnie konieczne, i przy pierwszej dorzeczej planecie wykorzystamy resztę paliwa na hamowanie. A potem... - Uśmiechnęłam się na widok jego zaniepokojenia. - Założymy nasze ciasne, ale własne imperium galaktyczne. Z twoją rodą i moim umysłem, sąsiedzie...

Jego lęk rozplynął się w wybuchu gromkiego śmiechu.

- Nazwę cię... Ewą!

- Mitochondrialna Ewa - dodała Suze, biorąc go mocno za rękę.

- Mamy całą furę dobrych genów w chłodni - dodał Borys. Odwróciłam się, zanim Malley mógł doznać wrażenia, że Borys

mówi serio. Cóż, każdy szybkościowiec był tak wyposażony. Dręczący strach przed

awariami stosu atomowego lub niepowodzeniem podczas zimnej wojny z Jowiszanami

był prawdziwą przyczyną tego, że statek poległ na recyklingu, a nie na zapasach; przechowywał też zamrożone nasienie i inteligentną materię ze wzorami swojej infrastruktury i technologii.

- Dość - powiedziałam. - Mamy robotę. Jaime, Andrea, zechciejcie pofatygować się do sprzętu nawigacyjnego i teleskopu. Musimy zlokalizować ealåruehomą materię wokół nas, wszystkie statki, pociski i zwłaszcza komety. Nie chcielibyśmy się wpakować na tor strumienia komet.

(W żadnym wypadku, dodałam w myślach.)

- Nie martwcie się, że zagłuszają nam radar - dodałam. - Wiedzą, że tu jesteśmy i że nie mamy wrogich zamiarów.

- Zapłaciliśmy im za ochronę - przypomniała mi Suze.

- Pożyteczna rzecz, to złoto - zgodziłam się. - Yeng, zechciej pomóc Andrei i Jaime przy lokalizacji strumieni komet. Ich kursy i czas pojawiania się muszą być gdzieś opublikowane. Poza tym muszę mieć dwa kanały: jeden, żeby sprawdzić informacje z kotwicy...

14 DywizjaCassini

— 209 —

- Najprawdopodobniej same programy informacyjne - powiadomiła mnie Suze. -1 to zakodowane, jak ich znam.

- Więc spróbujmy je rozkodować. Yeng wyszczerzyła zęby.

- A drugi kanał?

- Do tego samego, co przedtem. Połącz nas z Komitetem. - Podchwyciłam wyzywający

uśmiech Malleya i zrewanżowałam mu się tym samym. - Pora się przekonać, co nasza

demokratycznie wybrana delegatka socjalistycznej ludności sądzi o poczynaniach bohaterskich obrońców tejże ludności.

Delegatkę Rady Solarnej rozpoznałam natychmiast, ku własnemu zaskoczeniu. Nie

powinnam się dziwić, ponieważ Rada Solarna

- podobnie jak wszystkie inne, od lokalnych po globalne - została wybrana w głosowaniu, a ja teoretycznie byłam jednym z wyborców. W radach lokalnych gromadziły się lokalne sławy; im wyżej, tym większy zasięg powinna mieć popularność delegatów. Tych z Rady Solarnej powinien znać cały Układ Słoneczny, zwykle z wieloletniej pracy na rozmaitych polach; była to nowe gerontokracja, jak mawiali co bardziej cyniczni sąsiedzi. Ale na ogół wierzyłam, że delegaci są wybierani ze względu na doświadczenie i reputację (od czasu do czasu zdarzał się pomiędzy nimi absolutny żółtodziób, który straszliwie starał się wykazać). Nie licząc mojej niedawno utraconej funkcji w Komitecie Badań Anomalii

Jowisza, poprzestawałam na drobnych intrygach w Dywizji, a większe sprawy zostawiałam innym. Mimo to nawet ja słyszałam o Mary Lou „Promienny Naród” Smith.

Była Indianką Nawaho, jeśli to ma jakieś znaczenie; w każdym razie znajdowała się pomiędzy ludźmi z tych zbyt licznych plemion

- Aleutów, Kazachów, Aborygenów, Uighurów i tak dalej - którzy stali się mimowolnymi lub nieświadomymi ofiarami dawnych prób nuklearnych i teraz utworzyli niezobowiązujące, lecz aktywne lobby, nazywające się Promiennym Narodem. Zjednoczyli się nie na bazie etnicznej - którą Unia uważała za podstawę kulturalnych, choć na pewno nie administracyjnych związków - lecz dzięki całkowicie zrozumiałej, choć według mnie nieco przesadnej trosce o cywilne eksperymenty oraz likwidowanie wybuchów. Tak, mówili, możemy leczyć raka, naprawiać chromosomy i regenerować ekosystemy, ale

-210-

nie znamy strat, ryzyka, o którym się nie mówi... Były to prawnie usankcjonowane argumenty, mimo gadania o Zielonych, a Mary Lou „Promienny Naród” Smith, jako szacowny biolog i statystyk, miała kwalifikacje do udowodnienia swoich twierdzeń.

Jej twarz ujmowała w ramy czarna czupryna, ciemne oczy lśniły jak węgle. Siedziała u boku Tatsuro, którego niedbały wygląd -zmierzwione włosy i brwi, zjeżone, jakby naelektryzowane wąsy -kontrastował z jej opanowaniem i elegancją.

- Ellen May Ngwethu - powiedziała takim tonem, jakby miała na myśli wyjątkowo paskudną chorobę. - Towarzysze i przyjaciele. - Omiotła nas spojrzeniem, podciągając wszystkich pod tę niepocholebną diagnozę. - Oraz szacowny niezależny doktorze Malley. Jestem szczęśliwa mogąc się z wami wreszcie spotkać, nawet na taką odległość. Zwłaszcza na taką odległość, powinnam powiedzieć. Wasza energia i odwaga są zdumiewające. Nie mieliśmy pojęcia, że planujecie tak śmiały ruch. Nie tylko opracowaliście plan zniszczenia Jowiszan, ale jednocześnie rozpoczęliście z nimi negocjacje! Nie wątpię, że macie przygotowane wyjście na wypadek, gdyby te nadludzkie umysły przejrzały waszą wysoce prawdopodobną wersję wydarzeń i zareagowały. Nie mogę się doczekać tej zachwycającej chwili, kiedy przedstawicie nam skuteczny w stu procentach plan uniknięcia ich prawdopodobnej furii. Nie psujcie mi przyjemności i jeszcze tego nie zdradzajcie - choć oczywiście nadmierna gadatliwość nie należy do waszych największych wad. Zamilkła, złożyła dłonie i oparła brodę na czubkach palców.

- A zatem? - rzuciła. - Słyszałam już... wyjaśnienia towarzyszy z Komitetu Dowodzenia. Co macie do powiedzenia?

- Towarzysko... hm, sąsiadko „Promienny Naród” Smith...

- Wystarczy Mary Lou - oznajmiła ze słodyczą. - Albo sąsiadka Smith, jeśli wolicie bardziej oficjalnie. „Promienny Naród” to przydomek, tak jak twoje nazwisko.

Z jej punktu widzenia była to bardzo niestosowna aluzja do powodów, dla których wybrałam to stare hasło za nazwisko. Ngwethu! Wolność! A przecież byłam wolna, może bardziej niż ona. Ukłucie jej złośliwości szybko przestało boleć; wstyd się przyznać, ale z mroków pamięci napłynęły do mnie na wpół zapomniane dźwięki hymnu „Nkosi Sikelele Afrika”.

- W porządku, Mary Lou - powiedziałam. - Dywizja ma wolną rękę we wszystkich sprawach dotyczących powstrzymywania i likwi-

-211-

dacji zagrożenia ze strony Zewnętrznych i to właśnie tu robimy. Uznałam, że wszystkie nasze poczynania dadzą się wytłumaczyć przed Unią, a w razie konieczności przed podjęciem ostatecznej decyzji zostanie przeprowadzone globalne głosowanie. Problemy są dobrze znane i były dyskutowane od dawna, więc nie powinno być żadnych nieporozumień.

- Żadnych nieporozumień - powtórzyła z martwym spokojem. - Oczywiście niepowiadanie Jowiszan o naszych decyzjach to wyłącznie kwestia ciszy radiowej i absolutnej autodyscypliny miliardów ludzi, z których wielu przyjęłoby z przerażeniem choćby wzmiankę o tym, co zamierzacie, nie wspominając o tym, co już zrobiliście. Wiesz, prawie potrafiłabym to sobie wyobrazić, gdyby nie inne wasze bohaterские wyczyny. Otwarty kontakt i działania wojenne wobec Jowiszan już wam nie wystarczają. - Pokręciła głową. - Co to, to nie. Ostatnim waszym wyczynem, zaledwie na godzinę przed moim przybyciem, było wpuszczenie do Układu

Słonecznego przedstawicieli drapieżnie rozwijającego się kapitalizmu, w dodatku anarchistycznego. Jestem pewna, że gdybyście mogli wybierać pomiędzy Nowym Marsem i jakąś nudną statystyczną tyranią, pełną nudnych statystycznych tyranów, z którymi moglibyśmy dojść do jakiegoś takiego porozumienia i w dodatku je utrzymać, i tak wybralibyście Nowego Marsa, z czysto naukowej ciekawości, która anarchia podporządkuje się której. Pozwolę sobie zauważyć, że ta ciekawość jest absolutnie usprawiedliwiona... Doktorze!

Malley podskoczył (na ile można to zrobić w swobodnym spadaniu) niczym student drzemający na wykładzie.

-Tak?

-Nie do mnie należy czynienie ci wyrzutów, ponieważ jako niezależny nie możesz postępować zgodnie z naszymi zasadami. Jednak będziesz musiał żyć z

konsekwencjami swoich uczynków. Oto niektóre z nich: po dziesiątkach lat radiowej ciszy na Ziemi twoje śmiałe eksperymenty zachęciły studentów do budowania własnych aparatów, co doprowadziło do radosnego plotkowania na falach eteru. Nasi niezależni przyjaciele dowiedzieli się, że się tu wybieram i postanowili podzielić się tymi nowinami z niektórymi niezależnymi spoza Ziemi. Zdziwilibyście się, jakie interpretacje naszych dobrze znanych kłopotów krąży obecnie po Układzie Słonecznym. Najwyraźniej handlarze z Nowego Marsa pilnie się

im przysłuchiwali, co nie jest trudne, ponieważ my nie mamy stałej łączności radio-

-212-

wej... na razie. Przed paroma godzinami otrzymałam indywidualną wiadomość z jednego z tych statków. Ktoś przedstawił mi „niepowtarzalną, jedyną ofertę”, cokolwiek by to miało oznaczać, „koncesji importu” - to rozumiem, dziękuję uprzejmie, „biomechanizmów przyswajających promieniowanie alfa”, cokolwiek by to było.

- I co odpowiedziałaś? - spytał Malley z godną podziwu bezczelnością.

- Kazałam im zamknąć sklepik - brzmiała nieco opryskliwa odpowiedź. - Jednak wkrótce potem otrzymaliśmy inną wersję tej samej oferty, wysłaną ku Ziemi do wszystkich, którzy byliby nią zainteresowani. Jest to jedna z tysięcy podobnych propozycji, które stanowią drobny procent łączności pomiędzy tymi sklepikarzami a Jowiszem. Większość jest zaszyfrowana, więc nawet nie wiemy, czego dotyczą ich rozmowy.

Nie zaskoczyło nas to, choć wszystko działo się szybciej niż oczekiwałam. Nie przewidziałam, że nieunikniony kontakt pomiędzy niezależnymi z Nowego Marsa i niezależnymi z Ziemi spowoduje aż taki przeciek informacyjny. Teraz utrzymanie naszych planów w tajemnicy przed Jowiszczanami było prawie niemożliwe.

- W porządku - odezwałam się. - Rozumiem. To oznacza, że będziemy musieli

najpierw działać, a potem głosować... jeśli większość społeczeństwa nie przyjmie z ulgą faktu, że pozbyliśmy się zagrożenia ze strony Jowiszan.

Mary Lou Smith w mgnieniu oka pozbyła się maski opanowanej, ironicznej pogardy. Omal mnie nie zabiła wzrokiem.

- Najpierw działać, potem głosować? W takiej sprawie? Co za obrzydliwy stosunek do pokrewnych nam ludzkich istot!

- To nie jest mój stosunek - zaprotestowałam. - Tego wymaga sytuacja.

- Tak! Sytuacja, którą sami spowodowaliście! - Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała zacząć walić głową w stół. Wreszcie opuściła ręce i głęboko odetchnęła.

- Dość - powiedziała. - Musimy jakoś wybrnąć z tej sytuacji, a przyczyny tego zamieszania wyjaśnimy w bardziej dogodnej chwili. Związek Unii z Dywizją musi...

Przerwała i cofnęła się o parę kroków, by móc patrzeć jednocześnie na Komitet i na nas.

- Jak powiedziałam, dość. Oto, co proponuję przekazać Radzie Solarnej i co - zgodnie z moim mandatem - polecam wam niezwłocz-

-213-

nie wprowadzić w życie do czasu dalszych decyzji Rady. Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie wolno wam prowokować Jowiszan, dając im jakiegokolwiek powody do obaw

przed bombardowaniem kometami. Oznacza to, że musicie natychmiast skierować strumień komet na szerszą i nieodwracalnie bezpieczną orbitę. Po drugie, musicie zwiększyć patrole myśliwcówbombardujących po tej stronie korytarza. Co do tego nie może być żadnych kompromisów z Nowymi Marsjanami. Musimy dać im wyraźnie do

rozumienia, że są tu na naszej łasce. Po trzecie, musicie przygotować się do wygłuszenia całej łączności radiowej w atmosferze Jowisza i pomiędzy nim a Układem Wewnętrznym, czy to ze strony Jowiszan, Nowych Marsjan, czy też niezależnych. Podeszła bliżej i znowu usiadła.



- To wszystko. Jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał. Powiodłam spojrzeniem po twarzach członków Komitetu i zauważyłam, że przeważnie wyrażały ulgę; w przypadku Clarity i paru innych było to nawet coś więcej. Przyjrzałam się ich nieśmiałym uśmiechom, nie zmieniając neutralnego wyrazu twarzy. Tylko Joe Lutterloh zdradzał gniew, który powstrzymywał z dużym wysiłkiem. Tatsuro spoglądał na mnie poważnie.

Minimalne

skłonienie głowy mogło być ukradkowym przytaknięciem lub nieświadomym ugięciem

się przed nieuniknionym. Mary Lou może nie mogła wyrzucić na nas bezpośredniego nacisku, ale była zdolna narzucić nam ograniczenia. Dywizja nie miała prawa wystąpić przeciwko wyartykułowanej woli Unii, a nawet jej przedstawiciela. Nieposłuszeństwo oznaczało rozłam. A rozłam wydawał nas na pastwę wroga. Może inni byli zbyt onieśmieleni, żeby przemówić. Nie ja.

- Proponujesz ryzykowny kurs - odezwałam się. - My także naraziliśmy się na pewne ryzyko, przyznaję, ale zawsze mieliśmy w odwodzie uderzenie komet. Nadal możemy się wycofać ze wszystkich ustępstw wobec Jowiszan lub Nowych Marsjan.

Ale

ty chcesz nam wytrącić broń z ręki i zostawić nas na ich pastwę.

Smith zerwała się na równe nogi i pochyliła się ku mnie z pięściami na blacie stołu.

- Ellen May Ngwethu! - wrzasnęła. - Mam już dość twojej krnąbrności! Mam już powyżej uszu twoich przewrotnych przemówień! Mam już...

Urwała, cofnęła się i zaczerpnęła głęboki oddech. Na chwilę spuściła głowę i pomasaowała sobie skronie. Potem spojrzała na mnie z uśmiechem.

-214-

- Przepraszam za ten wybuch, sąsiadko. Rozumiem twoją sytuację lepiej, niż ty sama. Przetrwałaś dwieście lat nie kończącego się konfliktu, dwieście lat swoich prywatnych urazów, które przerodziły się w nienawiść. Zbyt długo tkwiłaś w

najbardziej ekstremalnym wariancie prawdziwej wiedzy... czyli w jej ciemnej stronie, jeśli wolisz, by móc dostrzegać prawdę. Prawda tkwi w całości, a przenosząc aspekt walki ponad tę całość, zmieniłaś prawdziwą wiedzę w kłamstwo. Gdybyś mogła siebie zobaczyć, tak jak ja, kiedy obserwowałam sama siebie na nagraniach posiedzeń tego komitetu, które ty i twoi towarzysze odrzuciliście... ślepi na prośby myślących istot, czy to przedstawiciela Jowiszan, czy też gynoida z Nowego Marsa. .. gdybyś mogła to zobaczyć, mam nadzieję, że poczułabyś wstyd.

Powoli pokręciła głową.

- Prawdziwa wiedza ma dwie strony, a ty zapomniałaś o jednej z nich, mimo nazwiska, jakie sobie przybrałaś. Nie istnieje sama amandla - siła. Jest jeszcze ngwethu - wolność.

- Wiem doskonale - powiedziałam spokojnie. - Ale stracimy jedną i drugą, jeśli zrezygnujemy z możliwości zniszczenia Jowiszan, póki jeszcze ją mamy!

Na ułamek chwili straciła równowagę, jakbym ją uderzyła. Po chwili przemówiła:

- Wobec tego użyję języka, który rozumiesz. Nie odrzucamy ostatniej możliwości zniszczenia Jowiszan, bo nigdy nie mieliśmy takiej możliwości. W chwili, w której pojawiła się stabilna, realistyczna społeczność Jowiszan, straciliśmy szansę zniszczenia ich jakimkolwiek dostępnym nam środkiem. Praprzodkowie tych istot zdezintegrowali Ganimedesa i przebili korytarz w czasoprzestrzeni! Jak sądzisz, ile godzin zajęłoby im opracowanie metody, dzięki której rozgoniliby twoje komety jak muchy? Kiedy tylko przywiozłaś ze sobą pierwsze nagrania i pierwszy przekaz, nie było szansy, by Unia zdołała zareagować na pojawienie się Jowiszan czym innym niż nadzieją, a na pomysł ich unicestwienia innym uczuciem niż przerażenie. Widziałaś, jak zareagowała typowa przedstawicielka Unii, Suze, i typowy inteligentny niezależny, doktor Malley, a nawet twój Komitet. Wszyscy mieli opory, w różnym stopniu, ale mieli! Naszą jedyną możliwością przetrwania jest przetrwanie razem z nimi, a jedynym efektem prób zniszczenia Jowiszan jest

zrobienie sobie z nich śmiertelnych wrogów, za jakich i tak ich uważasz.

Odwróciła się do Tatsuro.

-215-

- A, właśnie. Nikt oprócz Ellen nie zaprotestował przeciwko moim instrukcjom.

Czy chcecie przeprowadzić głosowanie?

Tatsuro skinął ze znużeniem głową.

- Kto jest za przyjęciem instrukcji delegatki? Wszyscy z wyjątkiem Joe podnieśli ręce.

- Kto przeciw?

Ja i Joe. Uśmiechnęłam się do niego. Pokręcił głową zaciskając usta w cienką linijkę i przeciągnął palcem po gardle. Chyba nikt oprócz mnie nie zauważył tego gestu. Zza moich pleców dobiegł mnie wyraźny głos Yeng.

- Cholera.

- Wniosek przeszedł większością głosów - powiedział Tatsuro. Ujął panel kontrolny wiszący mu na szyi i wystukał długą sekwencję kodu.

- Zrobione - oznajmił. - Ostrzał rozpoczęty. Zgodnie z twoim życzeniem strumień komet został przesunięty na orbitę.

- Pozwól, że to sprawdzę. Bez obrazy, sąsiedzie.

Mary Lou przemówiła cicho i zwięźle do osobistego telefonu, odczekała parę chwil i skinęła głową.

- W porządku, lokalne obserwatoria potwierdziły informację. Poruszyła ramionami, jakby zrzucała z nich ciężar.

- A teraz, Ellen... Pozwól, że uspokoję cię co do Jowiszan. Serce zaczęło mi bić jak młotem, usta wyschły.

Mary Lou usiadła na brzegu stołu, obrócona tak, by na mnie patrzeć. Poza swobodnej rozmowy.

-Widzisz, to nie są potwory. Dlaczego sądzisz, że istoty silniejsze i bardziej inteligentne muszą być od nas gorsze? Czy nie rozsądniej będzie przyjąć, że są od nas lepsze? Dlaczego silniejszy ma oznaczać gorszy?

Prawie nie wierzyłam, że słyszę to, co słyszę. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że Andrea, Jaime i Yeng pracują, lecz pilnie słuchają Mary Lou, a inni nie odwracają od niej oczu. Przywołałam na pomoc najbardziej podstawową wiedzę i wyartykułowałam to:

- Ponieważ „dobry” oznacza dobry dla nas.

Mary Lou uśmiechnęła się zachęcająco i przemówiła łagodnie, jakby zwracała się do dziecka:

- Właśnie. Ale kim jesteśmy „my”? Wszyscy - ludzie, postludzie, nieludzie - jesteśmy maszynami wyposażonymi w umysły, które żyją w nierozumnym wszechświecie. Wypada, żebyśmy razem ko-

-216-

rzystali z naszych umysłów, jeżeli nam się to uda. Ta możliwość wspólnego działania czyni „nas”, a niemożność tworzy „ich”. To prawdziwa wiedza w pełnej postaci.

Przed oczami stanęła mi wizja Jowiszan w ich różnorodnych postaciach. Miałam wrażenie, że po skórze pełźnie mi coś małego, zimnego, nieprzyjemnego.

Przypomniałam sobie zimny żywy metal robotów, ciepłe ciało palców Dee i wiedziałam, że moja reakcja na te maszyny, jakkolwiek nerwowa i podejrzliwa, a nawet pełna uprzedzeń, nie była tym samym, co lodowaty intelektualny wstręt do Jowiszan, bez względu na ich piękno. Roboty, gynoidy i reszta, świadoma czy nie, stała się częścią nas, podczas gdy Jowiszanie...

- Chcesz powiedzieć, że powinniśmy rozważyć zawarcie z nimi unii?

Przytaknęła z ożywieniem.

- Oczywiście. Z tymi, którzy zechcą. Możesz nie zdawać sobie z tego sprawy, ale Jowiszanie także mają prawdziwą wiedzę... na swój sposób. Niektóre z ich działań są niemal socjalistyczne!

Niech nas Bóg broni, pomyślałam bluźnierczo.

- Przez to stali się tylko bardziej niebezpieczni - oznajmiłam. - Są silniejsi, ponieważ się zjednoczyli, tak jak my jesteśmy niebezpieczni dla nich, albo

przynajmniej byliśmy, zanim wy...

Ugryzłam się w język; za późno. Mary Lou uderzyła w stół. Odepchnęła się od niego powolnym, wdzięcznym ruchem w słabej grawitacji Callisto i otrzepała dłonie, jakby coś do nich przywarło.

- Koniec - oznajmiła. - Koniec dyskusji. Jeśli teraz jesteśmy „my” i „wy”, nie możemy mieć z tobą nic wspólnego. Nie mam ci nic do powiedzenia, Ellen. Odejdź. Trzymaj się z dala od kłopotów, nie przysparzaj ich nam i niech ktoś inny poukłada ci w głowie, ponieważ ja nie mam ochoty. Żegnam.

Uniosła rękę, zerknęła na Tatsuro i niecierpliwie strzeliła palcami. Tatsuro posłał mi ostatnie bezradne spojrzenie, sięgnął po coś, czego nie widziałam i ekran zgasł.

Teraz wszystko zależy ode mnie, pomyślałam. Pora na plan B.

Odwróciłam się w powietrzu i przytrzymałam słupa. Towarzysze i Malley patrzyli na mnie albo na ślepy ekran. Jeszcze nigdy nie słyszałam takiej ciszy na pokładzie.

- Czyli wszystko jasne - powiedziałam.

-217-

- Bardzo mnie to cieszy - oznajmił Malley. Suze spojrzała na niego, potem na mnie i skinęła głową.

- To koniec - dodała. - Daj spokój, Ellen. Decyzja jest już podjęta. Nie będzie bombardowania, a Mary Lou nagięła Komitet do swojej woli. Wiem, istnieje pewne ryzyko, ale ona ma rację - twoje rozwiązanie ma więcej słabych punktów. Musimy to po prostu zaakceptować i mieć nadzieję, że to właściwy wybór.

- Nadzieja - powtórzyłam.

Była tu, ta nadzieja, rozświetlała oczy Suze i Malleya. Na twarzach pozostałych towarzyszy nie widziałam ani nadziei, ani przerażenia, które sama odczuwałam.

Byli zatopieni we własnych myślach, z których najgorsza mogła dotyczyć tego, że przyjdzie im wybierać pomiędzy mną, czyli nami, załogą- a Unią, a nawet Dywizją.

Mimo naszego niezłomnego indywidualizmu wszyscy czerpaliśmy - świadomie lub nie

- siłę z Unii. Przynajmniej tutaj Mary Lou się nie myliła: pojęcie „dobry dla nas” rzeczywiście miało dwie strony.

- Nic się nie skończyło - oświadczyłam. - Nie zostaliśmy wyrzuceni z Unii ani nawet z Dywizji, a bez względu na to, co wyobraża sobie Mary Lou, nadal należę do Komitetu. - Machnęłam ręką w stronę zgaszonego ekranu. - Jeśli towarzysze zdecydują się mnie wyrzucić, świetnie. W pierwszym rzędzie poinformują nas o tym. Na razie tego nie zrobili. Dopóki nie usłyszę tego z ich ust, nadal uważam się za jedną z nich.

Malley spochmurniał, Suze wzruszyła ramionami, reszta nieco się rozpogodziła.

- Słuchajcie teraz - ciągnęłam. - Muszę wam coś powiedzieć. Od długiego czasu ja i Tatsuro mamy rodzaj... porozumienia. Oboje wiedzieliśmy, że może dojść do takiej sytuacji i zdawaliśmy sobie sprawę, że będziemy potrzebować zabezpieczenia na wypadek, gdyby nasze komety nie dotarły do mety. -

Uśmiechnęłam się i otrzymałam parę słabych uśmiechów w odpowiedzi. -

Wiedzieliśmy, że może dojść do takiej decyzji. Wiedzieliśmy, że sami moglibyśmy się z nią zgodzić. Nie mieliśmy... nie miałam wobec Jowiszan tak jednoznacznych zamiarów, jak sądzi Mary Lou. To ja pierwsza wysunęłam propozycję próby kontaktu, wbrew ich woli, pamiętacie?

- Przestań - warknął Malley. - Zrobiłaś to po to, żeby zdobyć moją współpracę.

- Naturalnie. Ale nie był to akt ślepej nienawiści, nieprawda? To ja zaryzykowałam własny umysł przy pierwszym kontakcie. Wiesz,

-218-

jakie są moje poglądy na temat kopii i bez względu na to, czy przyznajecie mi rację, wiecie, że jestem szczerą. Dla mnie ryzyko było prawdziwe. Zaufałam im na tyle, by przejść wskazaną przez nich ścieżką przez korytarz. Owszem, wszyscy naraziliśmy się na ryzyko, ale z pewnością nie zdecydowałabym się na nie, gdybym sądziła, że Jowiszanie są potworami.

- Przedstawiłaś swój punkt widzenia - odezwał się Malley. -Dlaczego nie powiedziałaś tego Mary Lou?

- Potrafię się zorientować, kiedy walka przestaje mieć sens. -Wzruszyłam ramionami. - Owszem, ona także ma swój punkt widzenia, ale sądzę, że dostrzega wyłącznie szansę rozwiązania ugodowego i jest ślepa na inne możliwości. Nie zrozumcie mnie źle, nic nie ucieszy mnie bardziej niż odkrycie, że to ona ma rację, że możemy współistnieć i współpracować z Jowiszaniem. Że nie okażą się źli albo szaleni, jak ich przodkowie. Ale dopóki nie będę o tym przekonana, dopóki nie uznam, że jesteśmy bezpieczni, zamierzam zrobić wszystko, by zapewnić nam ostatnią deskę ratunku. Tylko w ostateczności i tylko wtedy, kiedy każdy będzie musiał martwić się o siebie. Bez obaw, jest to coś, co nie zagrozi Jowiszaniem, dopóki oni nie zagrożą nam.

Jaime i Andrea spojrzeli na ekrany, przy których pracowali i uśmiechnęli się do mnie, zaczynając rozumieć.

- To właśnie postanowiliśmy - ciągnęłam. - Oto prawdziwy powód, dla którego tu przybyliśmy. Tutaj mamy nasz własny strumień komet, którego Jowiszanie nigdy nie zauważą, a który uderzy ich bez ostrzeżenia. Możemy przepuścić komety przez korytarz.

- Ale komety nie... - zaczął Tony.

Malley rzucił mu krzywy uśmiech i spojrział na mnie z niechętnym podziwem.

- Bardzo sprytne - przyznał. - Ruch względny.

- Tak jest. Przesuniemy korytarz.

Nie było to aż tak proste, ale proces przygotowywań przekonał towarzyszy, że do pewnego stopnia jestem upoważniona do podjęcia akcji. I byłam; zanim wyruszyłam na poszukiwania Wilde'a i Mal-leya, Tatsuro i ja zawarliśmy prywatną umowę co do planu awaryjnego. Fakt, iż myśliwcebombardujące po obu stronach korytarza wykonywały moje polecenia upewnił wszystkich (nie wyłączając

-219-

mnie), że nie zostałam wyrzucona z Komitetu Dowodzenia. Przynajmniej na razie.

Siedziałam obok Yeng, wysyłającej zaszyfrowane instrukcje do eskadry po naszej stronie i „Turing Tester” po drugiej. Działanie tego ostatniego miało dla nas ogromne znaczenie, ale minęło niezauważone między ogólną reorganizacją szyków wokół Mili Malleya, na co - co ironio - naciskała, nie kto inny, jak Mary Lou. „Turing Tester” wysłał własne instrukcje ku rakietom stabilizującym wokół Bramy, które zareagowały szeregiem szybkich pufnięć. Stopniowo, powoli, niemal niezauważalnie, wielki tęczowy pierścień przesunął się wokół własnej osi, zwracając się ku powierzchni Jowisza.

A my zbliżaliśmy się coraz bardziej do Bramy korytarza-córki. Nie stanął nam na drodze żaden myśliwiec, ani jeden bezzałogowy strażnik - wszystkie, jak zauważyłam z rozbawieniem, należały do firmy Reida. Jaime i Andrea nieustannie namierzali zbliżający się strumień odłamków komet, które niemal co godzinę spadały na nie-zamieszkane rejony Nowego Marsa - po dziesiątkach lat powolnych wędrówek od strony tutejszego odpowiednika Pasa Kuipera i Obłoku Oorta. Obliczyliśmy, że możemy osiągnąć dostatecznie dużą prędkość, by dokonać skutecznego bombardowania, w czasie od pół godziny do dwóch, jeżeli statek będzie ciągnął korytarz z przyspieszeniem do trzydziestu g, w przypadku szybszego wariantu: to maksymalne dopuszczalne przyspieszenie trwające tak długo, nawet przy pełnym wsparciu naszych inteligentnych kombinezonów.

- Jak umocujemy korytarz? - spytał Malley.

- Już to kiedyś robiono. Wszystko gotowe. Małe stabilizujące kotwice są wzorowane na tych, którymi chwyciliśmy Miłę Malleya po tamtej stronie.

Szaciśnięte wokół niej i mają drugi komplet klamer, które można przymocować do lin statku. To całkiem wykonalne; Brama będzie przechylona pod odpowiednim kątem

tuż za nami, znajdziemy się w centrum grawitacji, a nasz statek będzie strzelał prosto w korytarz...

Uniosłam brwi. Malley wzruszył ramionami.

- Kto wie?



Tuż przed spotkaniem będziemy musieli wyłączyć napęd, oddalić się sprzed korytarza i wystrzelić z dysz korygujących kotwice, by ustalić kąt położenia korytarza. W ten sposób komety pójdą tym samym kursem co statki i wynurzą się dokładnie naprzeciw Jowisza. Połączone prędkości Bramy korytarza-córki i fragmentów komet wyzwolą dość

-220-

energii kinetycznej, by zniszczenia szerzyły się na dziesiątki tysięcy kilometrów wokół punktu uderzenia. Najlepiej byłoby, gdyby jednocześnie statki po drugiej stronie rozsunęły wyjście korytarza, nakierowując je na Jowisza w ten sposób, żeby komety przeorały całą planetę i musiały ją okrążyć. Ale nie mogliśmy liczyć na tyle szczęścia. Jak również na konfigurację trwającą przez dziewięciogodzinny jowiszowy dzień, przesuwającą wylot korytarza wokół planety. Mogliśmy liczyć na jedno, że nieźle przyłożymy Jowiszanom.

Yeng namierzyła kilka kanałów komercyjnych i parę wewnętrznych informacyjnych, które nie zostały zaszyfrowane lub których szyfry dały się łatwo złamać.

Skierowaliśmy nasze lasery na komunikacyjną kotwicę Nowych Marsjan.

Trzymaliśmy

się blisko leżanek, przyglądaliśmy się ekranom i czekaliśmy.

Mijały godziny.

Nie spuszczałam oka z wąskopasmowego kanału monitorującego, transmitowanego z kamery i mikrofonu w górnym rogu pomieszczenia tamtego statku. Żadnych szyfrów,

nic specjalnego. Intensywne kolory, zamglony obraz, dźwięk mono. Pewnie znowu jakiś kapitalistyczny wynalazek: szpiegostwo na rzecz kierownictwa. A może coś bardziej niewinnego, na przykład rodzaj czarnej skrzynki. Z pewnością nie był to główny kanał komunikacyjny statku, który wysyłał nieprzenikniony strumień zakodowanych danych. Obraz był stały i niezmienny - pokład dowodzenia, sądząc z wyglądu. O wiele bardziej przestronny niż nasz. Brak sprzętu uzdatniającego, brak wijących się przewodów i pnących pędów. Pięć leżanek, wypukłych i lśniących

jak czarne cukierki. Czterej mężczyźni i kobieta w identycznych błękitnych kombinezonach unosili się w powietrzu, sprawdzając przyrządy, przyglądając się ekranom, żartując i gadając. Chyba nie mieli za dużo do roboty. Byli bardzo ożywieni możliwością zobaczenia Układu Słonecznego. Jeden z mężczyzn był tu już przedtem, co przejęło mnie nieprzyjemnym dreszczem, zwłaszcza kiedy z rozmowy dowiedziałam się, że to jeden ze zniewolonych umysłów w robotach Zewnętrznych. Prawdziwą pracę odwalał ich pokładowy komputer, którego nazywali Suka, najwyraźniej na cześć nazwy statku „Running Dog”. Nie byłam tak znudzona jak oni, częściowo ze względu na ciągle obecne napięcie, a częściowo dlatego, że - co udowodniły pokolenia producentów tapet ściennych - widok ludzi w przestrzeni ko-

-221-

smicznej ma w sobie coś hipnotyzującego, podobnie jak powierzchnie planet. Strzępy rozmów, podchwyczone przez dyskretny mikrofon i prze-transmitowane do pobliskiej kotwicy, przeniesione za pomocą lasera pod odpowiednim kątem przez korytarz, przemierzały tysiące lat czasu i przestrzeni, docierały do kolejnego przekaźnika i trafiały do jakiegoś niewątpliwie znudzonego strażnika na Nowym Marsie. Po drodze podchwytywały je wścibskie anteny Yeng, by wreszcie dotarły do moich uszu:

- Suka się rozgrzała!
- Aha, zadarła ogon. Pewnie spotkała Jowiszanina.
- Spotkanie umysłów.
- Niuch, niuch. Śmiech.
- Czerwoni ciągle wokół Mili?
- Jak muchy na gównie. To mi się nie podoba, mówię wam.
- Baza mówi, żeby się nie przejmować.
- Ale im nie ufam, cholera. To ich terytorium...
- Kto tak mówi?
- Baza, a kto? Nie wiemy, co mogą nam zrobić. (Rzeczywiście, pomyślałam, nie

wiecie.)

- Nie za dużo, j eśli to te same komuchy, których znamy i kochamy.

- Ha, ha. Nie wiedziałem, że jesteś taki stary.

- Ale wyglądają ładnie. Widziałeś tę dużą czarną? -Aha!

Sprośne okrzyki. Zdałam sobie sprawę, że na mój temat i poczułam się pochlebiona. Mężczyźni robili salta w powietrzu, żartobliwie się poszturchując.

Potem przez śmiech przebił się głos kobiety, jak chluśnięcie zimną wodą.

-Coś jest nie tak.

- Co takiego?

- Patrzcie na ekran! Co, do...

- Suka, nic ci nie jest? Suka!

Skoczyli na leżanki, które przytrzymały ich i objęły, zamykając w pseudostrąkach ze szklistej czarnej galarety. Wszyscy rzucili się do gorączkowej pracy.

Dostrzegałam ruchy ich głów, zdradzające pracę w wirtualnej przestrzeni; ich palce poruszały się po niewidzialnych klawiszach. Działalam niemal identycznie, jak oni: krzyczałam, przełączałam widok z tego kanału na inne ekrany, wgrywając go w ich kanał.

-222-

Na kanale z wiadomościami jeden z kupieckich statków - o nazwie „Running Dog” - zaczął się dziwnie poruszać, nieregularnie strzelając z dysz korygujących.

- Oni chyba... - zdziwiony dziecięcy głos.

- Borys! - krzyknęłam. - Laser przedni, już! Przygotuj się do uderzenia w kotwicę komunikacyjną! Yeng! Wyświetl wszystkie za-szyfrowane wiadomości! Andrea, rozgrzewaj stos!

Głosy z „Running Dog” ciągle napływały.

- Nie mogę ożywić Suki! Nie mogę ożywić Suki!

- Cicho, cicho, próbujemy. Cholera, napęd nie odpowiada.

- „Running Dog” do bazy, „Running Dog” do bazy. Mamy tu problem. Silnik nie działa, Suka oszalała. Wpadamy w jakiś nieregularny ruch. Powtórzcie,

powtórzcie... niech to. Łącza wysiadły.

- Światła się palą.

- Ale nikogo nie ma w domu.

- Ha, ha.

-Sprawdzam... Oho, siedzimy po uszy w gównie. Suka dostała potężne uderzenie danych, zdechła... Nie! Działa!

- A gdzie tam, to tylko... Cholera, muszę to zgłosić, muszę... Cholera! Łącza ciągle nie działają.

- Hej, monitor!

Obrócone twarze, wpatrzone wprost we mnie.

- Jeśli ktoś nas odbiera - powiedział kobiecy, całkiem spokojny głos - proszę, pospieszcie się. Wydaje nam się, że ktoś włamał się do naszego komputera i przejął nad nim kontrolę...

- Pieprzone Jowiszany nas atakują! - zawył inny głos, a tymczasem z oddali rozległ się trzeci: „Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami wszystkimi teraz i w godzinie... hej, moment, patrzcie, już dobrze, dobrze, patrzcie!

Na moich oczach ich twarze wygładziły się, zniknął z nich gorączkowy niepokój, ustępując miejsca spokojnej uldze. Kobieta machnęła ręką ku monitorowi.

- Nieważne - powiedziała z uśmiechem. - Falszywy alarm. Przepraszamy, fałszywy alarm! Burza w atmosferze Jowisza, jakieś przebicie, tylko tyle, koniec paniki.

Mężczyźni za jej plecami poruszali się teraz zupełnie inaczej niż przedtem; w ich gestach nie było nic alarmującego, oprócz faktu, iż były identyczne, jak zwielokrotnione odbicie. Cztery głowy obróciły się jak jedna i uśmiechnęły do monitorów; dłonie wycią-

-223-

gały się, poruszały palcami niczym w tańcu mechanicznych kukiełek.

- Borys - odezwałam się.

We wstecznym ekranie zobaczyłam wirujący parasol nowomar-sjańskiej kotwicy komunikacyjnej; rozbłysła w skupionej wiązce naszych laserów i w ułamku chwili

ekspłodowała w milionie kawałeczków migoczącej folii.

Andrea włączyła napęd w tej samej chwili, w której ekrany zgasły.

Był to potężny kopniak, na tyle silny, by wynieść nas w pobliże Bramy. Mieliśmy zaledwie parę minut na działanie. Nagle wszystko zaczęło się dziać jednocześnie.

- Myśliwiec wroga robi obrót - zaraportował Borys spokojnie. -Zaczął ostrzał.

Pocisk zbliża się do nas. Przystępujemy do obrony...

Wsteczna szyba rozjaśniła się potężnym błyskiem, po czym drobne iskierki laserów sprzątnęły pozostałe fragmenty pocisku.

- Myśliwiec wycofuje się. Wyrównuję laser. Przełączam na ostrzał automatyczny.

Cel zniszczony. - Zastanowił się przez chwilę i dodał: - Juu-huu!

- Dlaczego nas zaatakowali? - spytała Suze.

- Za zniszczenie kotwicy.

- Powinni nam podziękować.

Jaime obliczał trasę przelotu najbliższego strumienia komet, Andrea ustawiała statek tak, by odpowiadał jego obliczeniom. Dysze korygujące co chwila spluwały ogniem, dziko kołysząc statkiem. Yeng przekazała dane myśliwcom bombardującym, a

„Necessary Evil But Still Cool” wysłał wiadomość do małych dyszy stabilizujących wokół Bramy. Zanim zdołaliśmy dotrzeć do Bramy, znalazła się pod dziwnym kątem,

najwyraźniej poniżej nas, jak przekrzywiony talerz, a my prześliznęliśmy się

„nad” jej obliczem. Kątem oka zauważyłam na jakimś ekranie, że nasza mała

kotwica komunikacyjna skacze jak pchła na patelni, marnując paliwo w bezmyślnych próbach utrzymania właściwej pozycji w odpowiednim położeniu wobec dysku

Bramy.

Też ją zniszczyć? Nawet teraz nie wiedzieliśmy, czy komputery i środki łączności Dywizji nie padną ofiarą jowiszańskiego wybuchu.

Statek ustawił się odpowiednio, gotów zakłócić trasę przelotu strumienia komet.

Wystrzelono liny z kotwiczkami; kadłub zadygotał od ich szarpnięcia. Pomknęły

przed siebie i zostały schwytane

-224-

przez klamry wokół Bramy. Andrea znowu przy dusiła dysze korygujące, wyrównując

naszapozycję, a liny napięły się pod ciężarem masy Bramy.

Sto tysięcy ton, powiedziała Dee. Plus jeszcze dwadzieścia tysięcy za flotę statków, które przez nią przeszły w poszukiwaniu przygody. .. by spotkać przynajmniej jednego osobnika, kierowanego pokusą lub potrzebą współzawodnictwa,

by być pierwszym na mecie. Pomyślałam o Dee i zastanowiłam się, jak jej słynne środki zaradcze radzą sobie z tym, czym został zarażony biedny, opętany „Running Dog”. Miałam nadzieję, że sprawiają się lepiej niż przewidywałam, ze względu na mnie... i na nią, zdałam sobie sprawę w nagłym porywie solidarności z jednostką, ludzką czy nie, która przynajmniej była równie wyjątkowa jak ja.

- Pozycja utrzymana - powiedziała Andrea.

- „General Arnaldo Ochoa” do „Terrible Beauty” - przesłała Yeng wiadomość do moich słuchawek. Głos brzmiał niemal ospale. - Sytuacja w domu: drastyczna ugoda. Sytuacja tutaj: totalne zamieszanie. Proszę o radę.

Ktokolwiek to mówił, miał sto procent racji. Włączyłam się w kanał łączności międzystatkowej.

- Cześć, chłopcy i dziewczyny, tu „Terrible Beauty”. Sytuacja wygląda jak następuje. Przynajmniej jeden statek z Nowego Marsa, wraz z załogą, został opanowany przez jowiszańską instalację lub kopię osobowości. To wiadomość potwierdzona, powtarzam, potwierdzona. Kotwica komunikacyjna zniszczona przez nas w celu zatrzymania infekcji wirusowej. Nie wiemy, powtarzam, nie wiemy, czy zdążyliśmy na czas. Zaleca się ekstremalną czujność wobec nadchodzących wiadomości z Nowego Marsa. Zamierzamy oddalić się, holując Bramę. Spróbujemy przepuścić przez nią strumień komet, które uderzą w Jowisza. Macie dwie minuty na odwrót lub próbę powrotu do domu.

Leniwy głos powrócił.

- Dziękujemy za wyjaśnienie, „Terrible Beauty”. W domu trwają poważne walki.

Wezwano wszystkie statki. Życzymy powodzenia. Zbieramy się. Czy chcecie otrzymywać wiadomości z naszej kotwicy komunikacyjnej ?

- Tak! - wrzasnęła Yeng, tak głośno, że jej głos pokonał izolację słuchawek.

- Łączę.

15 Dywizja Cassini

— 2.2.5 —

Na wirtualnych ekranach pojawił się przekaz ze stabilnej teraz kotwicy. Nasze kombinezony nadal sztywniały i otaczały nas twardą skorupą. Przekaz nadszedł z zewnętrznej kamery „Turing Tester”, lojalnie czuwającego przed Bramą.

Miałam wrażenie, że ten kłęb zamieszania na środku to Jowisz. Reszta ekranu rozbłyskiwała wybuchami laserowych dział, seriami pocisków zwykłych i smugowych

na energię kinetyczną. Zauważyliśmy dwa lub trzy statki handlowe, otoczone rojem myśliwców. Jeden oddalał się w absolutnie prawidłowym bojowym manewrze. Inne poruszały się w ten sam dziwaczny sposób, co „Running Dog”, kiedy wirus zaatakował jego systemy. Niemal czułam pulsowanie nowych mózgow w jeszcze nie znanych ciałach, nowe impulsy mknące przez połączenia i walkę programu, który opierał się nowemu panu. Podrygiwanie statku było oznaką zmagania się dwóch przeciwstawnych sił. Przez ekran przemykały ciemne sylwetki naszych myśliwców bombardujących, karkołomnymi manewrami unikających wybuchów energii

kinetycznej i pocisków, ale już w pierwszej chwili naszej obserwacji dwa z nich zostały trafione i eksplodowały w bezgłośnej agonii.

Myśliwce bombardujące z drugiej strony przemykały jeden za drugim, znikając z pola widzenia naszej kamery; za każdym przelotem statkiem wstrząsało drzenie.

Doliczyłam się dziewięciu, po czym usłyszałam znajomy głos:

- „General Arnaldo Ochoa” żegna się i życzy powodzenia.

- Do zobaczenia - powiedziałam.

Po raz dziesiąty i ostatni naszym statkiem wstrząsnęły drgania przelatującego myśliwcabombardującego. Zauważyłam, że jego ciemna, nietoperzowata sylweta zakołysała się w salucie, zanim weszła w korytarz. A zatem zostaliśmy sami. Potem zobaczyłam zmierzającą wprost na nas bryłę statku kupieckiego. Sunął naprzód, chociaż coś wbiło się mu w bok kadłuba. Ostatnim widokiem, jaki przekazała nam kamera „Turing Tester”, był rozmazany kształt jego zbliżającej się tarczy. Ostatnim - i jedynym - dźwiękiem, który przedostał się przez kanał komunikacyjny, był jakiś rozgorączkowany głos, wykrzykujący ostrzeżenie: - „Running Dog”!

Nasz statek zakołysał się przy przejściu tysiactonowej masy, która jednocześnie zabrała tyle samo wirtualnej masy Bramy. Jedna lina pękła i śmignęła przed naszymi ekranami. Przez pełną sekundę - kiedy przerzuciłam się ze ślepego ekranu wewnętrznego na kamerę ze-

-226-

wewnętrzną, którą Yeng przełączyła natychmiast i odruchowo - przyglądałam się, znieruchomiała ze zgrozy, jak ogromny statek wyłania się z Bramy, niosąc na dziobie wrak „Turing Tester”.

Natychmiast po opuszczeniu Bramy jego dysze wypaliły z o wiele większą precyzją, niż działało się to do tej pory. Najwyraźniej nowy umysł poczuł się pewniej. Zwracał się do nas dziobem.

- Andrea! - chciałam krzyknąć, ale ona już włączyła napęd. Zgniotło mnie najgorsze przyspieszenie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam, i wcisnęło w leżankę. „Running Dog” zniknął momentalnie z naszego pola widzenia, po czym pojawił się, namierzony przez naszą kamerę.

- Borys -jęknęłam. - Bomba...

-Nie mogę-usłyszałam jego głos, silniejszy od mojego. -Nie zdążę zaprogramować kursu.

- Dobrze - wytchnęłam. - Wyślij z nią „Carbon Conscience” w samobójczym locie.

- Mam nadzieję, że samobójcą ma być autopilot?



- Nie... marnuj... sił...

Nie zmarnował ani sił, ani czasu, ale minęły długie minuty, zanim zdążył przesłać instrukcje. Myśliwiecbombardujący oderwał się od naszego boku i śmignął do tyłu.

Yeng włączyła kamerę na jego dziobie. W tę niecałą minutę, kiedy się rozpędzał zobaczyliśmy wszystko jego oczami, gdy tak mknął z misją śmierci. Znowu zamajaczyła przed nami bryła „Running Dog”. Ujrzyliśmy bezgłośnie eksplozję nuklearną o masie pięćdziesięciu megaton... ale nie poprzez kamerę.

Przysięgam, że widzieliśmy to przez pancierz naszego statku.

Biały rozbłysk powoli się rozproszył, zastąpiony czerwonym pulsowaniem bólu. Nie oddychałam - kombinezon robił to za mnie - a cienkie jak włos kanaliki dostarczające tlen zmieniły się w rozpalone ostrza, które przeszywały moje niemal puste płuca.

Przyspieszymy na krótko. Zobaczyłam wiadomość od Andrei, rozwijającą się zielonymi literami na falującym fiolecie mojego pola widzenia. Swobodne spadanie za dwadzieścia minut, pierwszy kontakt za następne dwadzieścia.

„Możemy pozostawić przyspieszenie na dłużej?” - spytał Borys.

„Nie mamy paliwa” - odpowiedziała.

-227-

Nikt nie miał więcej pytań. Żywiłam nadzieję, że Andrea wygospodarowała jakąś rezerwę na powrót do domu, gdziekolwiek on się znajdował, ale nie miałam ani serca, ani sił, żeby zapytać.

Jaime wyświetlił dane dotyczące naszego strumienia komet: długi, obfity strumień odłamków, przed wieloma laty ładnie uporządkowany przez zautomatyzowane przyrządy Nowych Marsjan - albo, jak na ironię, Zewnętrznych - daleko stąd, w ogromnym obłoku lodu i substancji organicznych: gigantyczne i nieregularne, dryfujące w przestrzeni góry lodowe, każda naszpikowana chemicznymi materiałami wybuchowymi zsyntetyzowanymi z inteligentną materią. Materiały te miały wybuchnąć w odpowiedniej chwili, rozbijając skały na okruchy, na tyle drobne,

żeby nie spowodowałyby szkód w atmosferze i na powierzchni planety.

Czułam, że coś mi nie daje spokoju - coś, o czym zapomniałam. Leżałam, miażdżona przyspieszeniem i nagle doszłam do wniosku, że to chyba o to chodziło: a jeśli wybuchną przed uderzeniem w Jowisza? Uznałam, że to nieprawdopodobne.

Nanomaszynki nie pomylą gazowego olbrzyma z małym i kamienistym światkiem. Poza tym i tak nie mogliśmy nic na to poradzić, absolutnie nic. Był to, dosłownie, nasz ostatni cios.

Dławiący nacisk ustąpił. Wszyscy wciągnęliśmy pierwszy oddech i zawyliśmy z bólu. Natychmiast potem nasze kombinezony wprowadziły nam do krwi środki narkotyczne, dokładnie odmierzone, by złagodzić cierpienie, a nie wprowadzić nas w stan euforii. Tego ostatniego mogliśmy się zresztą raczej nie obawiać.

- Dobra - odezwała się Andrea drżącym głosem. - Mamy dwadzieścia minut na ustawienie tego wszystkiego. Zostańcie, gdzie jesteście.

Bardzo potrzebna instrukcja, pomyślałam, próbując poruszyć palcami, by włączyć ekrany. Udało mi się to już po minucie. Kombinezon jeszcze nie wycofał się z mojego ciała. Miał do wykonania zadanie - pierwsze ekrany, które wywołałam, ukazywały mi odczyty fizjologiczne, mój i pozostałych. Wszyscy przeżyli i zachowali przytomność, i z każdą chwilą mieli się coraz lepiej.

A ja nie.

Patrzyłam na ekrany, nie wierząc własnym oczom; nie wierząc, że właściwie nie patrzę na to własnymi oczami czy nerwami, czy rozumem. Mój mózg nie zamarł zupełnie. Podtrzymywał funkcje organizmu, ale to, co Dee nazwała kosztem podtrzymania świadomości,

-228-

zachowania osobowości, zostało przeniesione gdzieś indziej. Kombinezon wchłonął mój umysł w siebie i uruchomił mnie jako udoskonalenie modelu, który pobrał przed paroma dniami - z kopii zapasowej sprzed pierwszego kontaktu z Jowiszczanami.

A zatem już wiedziałam. Wiedziałam, w jaki sposób symulacja umysłu postrzega

świat. Właściwie tak samo.

Przynajmniej o ile mogłam to stwierdzić, sama będąc symulacją umysłu.

Dlaczego kombinezon mi to zrobił? Dlaczego mnie?

W tej chwili odkryłam różnicę w moim położeniu. Nadal miałam świadomość obecności kombinezonu, tej, lojalnej, rozumnej, żywej rzeczy; docierały do mnie jego odpowiedzi.

Nie istniejesz jako jedna „ty”, powiedział. Potencjalnie jest was więcej. Nosisz w sobie plód. Podjąłem decyzję, kierując się przewidywaniem twoich preferencji. Wybór należy do ciebie. Możesz narzucić mi swoją wolę, jeśli sobie tego życzysz. Nie życzyłam sobie.

Przyglądałam się, jakby z wielkiej odległości, jak Yeng wciąga liny z kotwiczkami, jak Andrea ustawia nas w stabilnej pozycji o parę mil od Bramy korytarza, a Jaime manipuluje doczepionymi dyszami korygującymi Bramy, by ustawić ją precyzyjnie pod właściwym kątem do zbliżającego się strumienia komet.

- Gotowe - oznajmiła. - Kotwice też już prawie nie mają paliwa.

- Trzy minuty - rzuciła Andrea.

Komety zbliżały się tak szybko, że nawet teraz, w ostatniej chwili, nie były widzialne dla zewnętrznego teleskopu. Nawet jeśli odbite przez nie światło mogło zostać zauważone, aż do ostatnich sekund przed przechwyceniem nie było widać ich ruchu na tle gwiazd. Tylko radar zwiastował ich nadejście. Leżałam nieruchomo, wystukując kody zewnętrznych projekcji: słońce tego układu, małe w porównaniu z naszym, widocznym z Ziemi, wielkim i rażącym moje callistańskie oczy; odległy dysk Nowego Marsa o barwie ochry; paradoksalna elipsa Bramy.

- Dwie minuty.

Andrea zaczęła odliczać sekundy ostatniej minuty. Kiedy powiedziała „dwa!”, zobaczyłam najednym z ekranów jakiś ruch na tle gwiazd: pierwszą kometa, dostrzegalną nieuzbrojonym - prawie - okiem.

- Jeden! -Ze...

W błysku efektu Czerenkowa zginęło wszystko.

Pozostałe fragmenty komet przybywały częściej niż co sekundę. Błękitne światło migotało stroboskopowo. Dziesięć brył kometarnych, każda ważąca setki tysięcy ton. Cztery przeszły przez Bramę, dodając swój ciężar do naszej strony korytarza i pobierając go z przeciwległej.

- Teraz pewnie znajdujemy się w masie ujemnej - oznajmił Malley. - Żałuję, że chciałem się dowiedzieć, jak to jest.

Znajdowaliśmy się w swobodnym spadaniu, ale pozostawaliśmy na leżankach, zbyt wyczerpani, żeby się poruszyć, i może także zbyt przestraszeni. Nie mieliśmy nic do roboty, mogliśmy tylko czekać i obserwować proces, za pomocą którego zamierzaliśmy dokonać zniszczenia świata. Teraz wiedziałam - teraz, kiedy ja także byłam skopiowanym umysłem, działającym w inteligentnej materii - że Jowiszanie nie są maszynami, że rzeczywiście są wyższym gatunkiem, nie tylko ze względu na swoją potęgę, lecz również na głębię umysłów. Podobnie jak my, mieli w sobie niezmierną przestrzeń, świat subiektywny. Nie byli tylko osobnikami, byli osobami.

I w tej samej chwili - nie, w zupełnie innej, w przeszłości oddalonej od nas o dziesięć tysięcy lat - nasze pierwsze pociski ruszyły ku nim, niszcząc te subiektywne światy. Nasze prymitywne skalne złomy rozbijały czaszki cieńsze niż nasze i dużo głębsze umysły. Oczywiście, jeśli nam się udało.

Dotarło do mnie, że to, co właśnie robimy, już się stało, że interakcja Bramy i fragmentów komet z naszą najbliższą przyszłością już się dokonała. W ciągu tych dziesięciu tysięcy lat słonecznych Wszechświat został już skolonizowany przez naszych - lub ich - potomków. Oczywiście nie można było tego stwierdzić. Być może oni, lub my, „zdążyli” już wynaleźć statki na Napęd Malleya, osiągające prędkości zbliżone do prędkości światła. Być może przebijają już nowe korytarze, ale jeśli dotarli dalej niż do Nowego Marsa, nie pojawiliby się po tylu latach w przyszłości. Ta myśl napełniła mnie dziwnym, fatali-stycznym spokojem - w przerwach, kiedy mój umysł nie skręcał się w supły, które tylko Malley

potrafiłby rozwiązać.

Leżałam i czekałam. Będzie, co ma być.

Brama nadal była otwarta, ciągle pozostając na orbicie zbliżających się fragmentów komet, gotowa przechwycić następny strumień - co naprawdę miało miejsce pół godziny później. Następny strumień był większy, mniej uporządkowany, ale na tyle mały, by przejść przez korytarz. A potem zjawił się następny, i jeszcze jeden, aż wreszcie po dziesięciu godzinach i niezliczonych stadach resztek komet,

-230-

dotarliśmy do granic możliwości struktury korytarza, który nie mógł już dłużej utrzymywać masy ujemnej.

Malley mruknął pod nosem, jakby zgodziły mu się jakieś obliczenia.

- Wszystko jasne - powiedział.

Ostatnie fragmenty komet przemknęły w miej scu, w którym niegdyś znajdowała się Brama.

Brzeg Bramy, nie skupiany już jej napięciem, rozsypał się na kawałki: matowe łuki rozpląnęły się na wszystkie strony, po czym, bardzo powoli, zestawily się znowu w poprzedni kształt, przyciągane potężną, niewidzialnąmasąjakiejś materii egzotycznej, pozostałej z przestrzeni, jaką zakrzywiły. Brzeg ruszył w kierunku odwrotnym do przelotu komet, ku ich źródłu.

1 1

Spogfęcując naprzód

Usunąć czy skopiować? Dla mnie istniała tylko j edna odpowiedź na pytanie kombinezonu. Nie miałam ochoty porzucić drugiej siebie, pozostającej w obwodach kombinezonu. Ale moje drugie ja miało własne wątpliwości. Czy mam - prawdziwa ja, istniejąca aż do tej chwili - umrzeć? A raczej popełnić samobój stwo na rzecz innej osoby, która obudzi się z moimi wspomnieniami w nieświadomym ciełe? A może ja - kopia - mam zamordować prawdziwą siebie, która obudziłaby się, nie pamiętając tego, co się wydarzyło pomiędzy utratą świadomości i odzyskaniem jej?

Takie rozważania można snuć w nieskończoność, pomyślałam.

- Usunąć - odezwałam się.

Wówczas coś się stało, w tym ułamku chwili, trwającym wieczność, kiedy przeskoczyłam przez przepaść pomiędzy kombinezonem a czaszką. Zobaczyłam sto miliardów gwiazd, takich jakimi się staną za sto tysięcy lat. Była to oczywiście wizja, halucynacja, a może intencja

-231-

programu, plan; ale aż do dzisiejszego dnia nie wiem, czy wizja ta należała do mnie, czy też nadeszła sama... i komu zechciała złożyć wizytę.

Zobaczyłam galaktykę zieleni i złota, światło gwiazd przesiewające się przez nieskończone, niezliczone habitaty - federację naszych snów. A za tym wszystkim, w granicach wszystkich naszych światów, ujrzałam potężną, lecz skończoną łaskawość, wielki mechanizm opieki i przetrwania, Boga stojącego po naszej stronie, postrach dla naszych wrogów i przyjaciela dla nas, słowa nie mające końca.

Bóg, który się uśmiechał, i jego widzialne dzieło. A teraz uśmiechnął się do mnie.

Ktoś mnapotrząsał. Obudziłam się z wysiłkiem w zbyt realnym ciele.

- Ellen! - wołał Borys. - Nic ci nie jest?

Otworzyłam oczy i wykrzywiłam się w paskudnym uśmiechu (wiem, bo widziałam nagranie, dokonane przez kamerę w jego oku).

- Wszystko dobrze - oznajmiłam. - Na chwilę... straciłam przytomność.

- Sprawozdanie - odezwała się żywo Andrea. - Prawie nie mamy paliwa, choć oczywiście ciągle możemy czerpać z napędu. Znajdujemy się na orbicie ciemnej materii czy czegoś tam, co niegdyś było Bramą, a teraz zmierza gwałtownie ku lokalnemu obłokowi Oorta. Nie wiemy, czy Nowy Mars otrzymał jakiegokolwiek przekazy radiowe z „Running Dog” i nie wiemy, czy nasze bombardowanie uderzyło w

Jowisza. Było znacznie słabsze niż potężne uderzenie, które przygotowaliśmy w

Układzie Słonecznym. - Zamilkła, wpatrzona w upstrzony iskierkami gwiazd widok w

przedniej szybie. - A teraz, skoro Bramy już nie ma, nigdy się nie dowiemy.

- Dopóki nie pojawią się pierwsze statki z napędem Malleya -dodałam ponuro. - Nasze lub ich.

- Dlaczego statki? - zaciekawiał się Malley. Wydawał się rozbawiony.

Zrobiłam wielkie oczy.

-No bo - zaczęłam - zakładając, że ktoś wynalazł napęd na masę wirtualną, który opisałeś i który szybki lud zbudował dla swojej sondy, można by dzięki niemu podróżować z prędkością zbliżoną do prędkości światła, a my znajdujemy się o dziesięć tysięcy lat świetlnych od nich, ale także o dziesięć tysięcy lat w przyszłości, więc...

-232-

Urwałam, nagle czując się bardzo głupio. Wszyscy jednocześnie zrozumieli to samo i wybuchnęli śmiechem.

Przez dziesięć tysięcy lat sygnały radiowe z Układu Słonecznego z powodzeniem mogły do nas dotrzeć; sygnały wysłane tuż po naszym starcie.

- Łatwe to to nie będzie - powiedziała Yeng. - Muszę zbudować radioteleskop.

- Jak długo ci to zajmie? - spytałam. Zmarszczyła brwi.

- Sporo. Będę musiała odkopać nasz ostatni spadochron i ożywić jakieś roboty, żeby pokryły go monomolekularną foliową siatką. Ma prawie kilometr szerokości, więc powinien być dość czuły, zwłaszcza że wiemy, gdzie go skierować. - Zaczęła obliczać w pamięci. -Co najmniej parę godzin.

- Co, tak długo? - parsknął Malley. - Wielkie nieba, kobieto, myślałem że parę lat!

Osobiście stawiałam na parę miesięcy, ale nie przyznałam się do tego.

Uśmiechnęłam się do Yeng i powiedziałam:

- Dobrze, świetnie. Ale najpierw musimy się dowiedzieć, co się stało z Nowym Marsem. Bo jeśli coś jest nie tak, lada chwila możemy mieć poważne kłopoty.

Mimo protestów - raptem myśl o czekaniu wydała się nam nieznośna - zaczęliśmy sprawdzać łączność radiową na Nowym Marsie. Yeng przedarła się przez wszystkie zabezpieczenia i włączyła do tej samej natarczywej i hałaśliwej paplaniny, co przedtem. Wypadki ostatnich godzin były komentowane i analizowane przez wiele podniesionych, zgiełkliwych głosów. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że nadal jesteśmy w ich układzie, a my nie mieliśmy na razie zamiaru ich o tym informować.

A zatem przynajmniej Nowy Mars był bezpieczny. Dla uczczenia tego faktu zostawiliśmy włączone radio. Stara muzyka Nowych Marsjan, perwersyjnie celebrująca dziwne, smutne pragnienia i rozpaczliwe tęsknoty, zaczęła przenikać nasze mózgi niczym rodzaj wirusa. Towarzyszyła nam, kiedy pomagaliśmy Yeng przy

ustawianiu i adaptowaniu cienkiego jak bańka mydlana spadochronu. Nazwaliśmy to projektem PZI - poszukiwanie ziemskiej inteligencji.

Był to dość historyczny dowcip. Żadne z nas nie miało pojęcia, czego się dowiemy. Nie zdradzaliśmy głośno naszych obaw, ale baliśmy się, że z odbiornika popłynie ku nam niezrozumiały - albo

-233-

zbyt dobrze rozumiały - głos, świadczący o tym, iż nasza wyprawa i wielka, dumna zbrodnia poszły na marne.

Kiedy teleskop został ukończony, wszyscy zawisliśmy w powietrzu wokół Yeng. Każdy dźwięk wydawał nam się zbyt głośny: szum klimatyzacji, pomruk statku, pikanie radaru, nasze oddechy. Yeng jakby ich nie słyszała. Opracowywała pierwsze słabe sygnały, które wychwyciłajej ogromna antena satelitarna.

Przesiałaje przez wszystkie możliwe programy i analityczne fiksele. Po paru długich minutach przyjrzała się im i bez słowa, bez jednego spojrzenia, włączyła głośniki i podkręciła dźwięk.

Pokład zapełnił się dźwiękami z odległej przeszłości: rozmowami, śpiewem, kłótniami, krzykami i dyskusjami - co natychmiast zaczęliśmy naśladować, w



rozmaitej kolejności, ale głośniej. Potem przestaliśmy wrzeszczeć i znowu natężyliśmy słuch. Większość transmisji była dziełem niezależnych; spośród wielu mylnych informacji - całkiem jak na Nowym Marsie - wyłuskaliśmy dowody na to, że

nasza akcja odniosła sukces. Wewnętrzne wiadomości Dywizji były, tak jak się spodziewaliśmy, nadawane wąskokierunkowo i na razie żadna z nich nie dotarła w naszym kierunku.

Tego dnia wypiliśmy morze alkoholu.

Nieco później zorientowałam się, że zjadłam pizzę z syntetycznymi anchois, oliwkami, bananami i ananasami. Jeszcze nigdy w życiu nie jadłam tak wstrząsającej kombinacji; zastanawiałam się nad tym leniwie, zajadając ostatniego loda przed snem. Spałam wiele godzin, dłużej niż inni. Obudziłam się pomiędzy nimi, ciągle na głównym pokładzie i natychmiast publicznie zwymiotowałam.

Suze rzuciła mi rozbawione, domyślne spojrzenie.

- Towarzysze - przemówiłam. - Muszę wam coś powiedzieć.

Mniej więcej miesiąc później teleskop Yeng odebrał pierwszy sygnał skierowany bezpośrednio do nas, jawny i niezaszyfrowany. Na jego dźwięk wszyscy porzuciliśmy to, czym się zajmowaliśmy i rzuciliśmy się ku najbliższemu ekranowi. Pojawiła się na nim twarz Tatsuro. Siedział w wirtualnej sali konferencyjnej, w towarzystwie paru członków Komitetu Dowodzenia, grupy ludzi w

komercyjnych mundurach z Nowego Marsa i, ku memu zaskoczeniu - Jonathana Wilde'a

(kopia tego, który... ale przestałam już tak o tym myśleć. Zostałam zreformowana).

-234-

- Czuję się bardzo dziwnie - zaczął Tatsuro. - Ta wiadomość zostanie wysłana przez najpotężniejszy nadajnik, jakim dysponujemy i będzie powtarzana przez

coraz silniejsze nadajniki, które znajdą się w naszym posiadaniu w najbliższych latach. Oczywiście wiadomość ta nie dotrze do właściwych odbiorców przed upływem

dziesięciu tysięcy lat. Jeśli to słyszycie, sami wiecie, jak dziwna jest to sytuacja. Ale muszę przyjąć, że tam jesteście, w przyszłości, i że ta wiadomość dojdzie do was niemal natychmiast. A więc... A więc, załogo „Terrible Beauty”, wszyscy przesyłamy wam wyrazy wdzięczności. Wasze bombardowanie wystarczyło, by

zniszczyć postludzi. O ile nam wiadomo, zupełnie wyginęli, nie tylko dzięki waszym i naszym wysiłkom, lecz również na skutek walk wewnętrznych. Nie musicie

się martwić, że zniszczyliście osobników, którzy mieli dla nas przyjazne uczucia -jeśli trafiali się tam tacy, zostali zniszczeni przez innych, gorączkowo

poszukujących jakichkolwiek nosicieli, w których mogliby się zainstalować. Co dziwne, celem ich ataku stały się statki handlarzy z Nowego Marsa, a nie my.

Nasze komputery są niemal nietykalne, podczas gdy ich okazały się, hm... dość wrażliwe. Nasze ostatnie dochodzenia i rekonstrukcje dowodzą, że Jowiszanie zamierzali dotrzeć do Mili Malleya, by opanować cały korytarz, a wraz z nim większą część Wszechświata. Uratowaliście więcej niż się spodziewacie. Nie

wiemy, czy ocaliliście ludzi i postludzi z Nowego Marsa. Jeśli nie, a ta wiadomość trafiła do naszych wrogów, mam nadzieję, że zniszczenie Jowiszanie jest wystarczającym ostrzeżeniem przed czynami, do których zdolny jest nasz gatunek.

Zamierzamy zbudować nowe statki z napędem na fluktuację kwantów masy wirtualnej

oraz nowe bramy korytarzy, kiedy tylko stanie się to możliwe. Odnowimy kontakty z Nowym Marsem. A teraz życzę wam szczęścia i przekazuję głos tym uczestnikom ekspedycji handlowej, którzy przeżyli. Oni także chcą wam coś powiedzieć.

Mężczyźni i kobiety z Nowego Marsa wstawali po kolei, by wygłosić wzruszające i poruszające przemówienia - niektóre wydały mi się nieco dziwne, gdyż były

skierowane do ich własnych kopii. Jeden z Nowych Marsjan zakończył słowami:  
- To tylko ogólne przesłanie dla was wszystkich. Zrobimy wszystko, żeby utrzymać tę jednokierunkową łączność. Pozostaniemy w kontakcie, dopóki nie zbudują tu statków. I, oczywiście, nowej Bramy. Do tego czasu statki będą kursować tylko w jedną stronę, jeśli chodzi o powrót do tego czasu i miejsca. W każdym razie wra-

-235-  
camy do domu. I nie martwcie się o to, jak traktujanas ludzie z Unii Solarnej. Wilde żyje na ich garnuszku od lat i niczego mu nie brakuje, jak twierdzi. Ale większość z nas chce prowadzić interesy, choćby tylko z niezależnymi, jeśli nie będzie innych chętnych... choć wydaje mi się, że znajdziemy więcej partnerów. Na Ziemi jest mnóstwo energicznych ludzi, a teraz mogą do woli korzystać z elektronicznych urządzeń. Dużo się tu zmieniło. Do zobaczenia.

Wilde dowiedział się od handlowców o przeżyciu swojej drugiej osobowości oraz swojej wskrzeszonej żony. Miał wiadomości dla nich i dla mnie.

- Ellen May - powiedział. - Sądziłem, że zdołasz pokonać Zewnętrznych, nie odnajdując drogi na Nowego Marsa. Cóż, myliłem się. Udało ci się dokonać obu tych rzeczy. Wiesz, czego się bałem? Że napadniecie na Nowego Marsa, do którego mam... pewną słabość. Teraz, kiedy się tutaj rozglądam, nie jestem pewien, kto właściwie jest najeźdźcą. Życie jednak potrafi nas zaskoczyć.

Wzruszył ramionami.

- To wszystko. Powodzenia.

Spoglądam przez to, co z przyzwyczajenia nadal nazywamy przednią szybą. Słońce Nowego Marsa jest maleńkim, odległym krążkiem, niemal niedostrzegalnym pomiędzy

innymi gwiazdami. Znajdujemy się w gęstym obłoku materii kometarnej, ale ta gęstość jest dostrzegalna tylko podczas symulacji, nie w rzeczywistości. Wokół mamy pustą przestrzeń kosmiczną, z wyjątkiem naszej prywatnej komety - otoczonej kruchymi z pozoru, ale twardymi jak diament strukturami, które zbudowaliśmy z dostarczonego przez nią materiału - a także dziwnej ruiny Bramy.

Materia egzotyczna to bardzo przydatna rzecz. Pociągnęła nas na orbitę ogromnej bryły zwykłej materii, a dokładnie kometarnej - milionów ton kamienia, lodu i substancji organicznych. Przedostanie się do obłoku zajęło nam pięć lat, więc do tego czasu potrafilismy już w pełni docenić nasze osiągnięcie. Obecnie resztką Bramy zaczęła zbierać własny dysk akrecyjny. Jest to, jak twierdzi Malley, siła przyciągania.

Ma ją każdy dom.

Dom... jest tutaj, w pewnym sensie. Inny znajduje się o dziesięć tysięcy lat świetlnych stąd, i istniał przed dziesięcioma tysiącami lat. (Choć mnie się raczej wydaje, że to my wybiegliśmy o dziesięć tysięcy lat w przyszłość.)

-236-

Nadajniki z Układu Słonecznego rosną i stają się coraz liczniejsze. Od chwili pierwszej transmisji przybywa ich z godziny na godzinę. Za parę miesięcy będą odbierane nawet przez mniej czułe aparaty niż nasz, w tym również te z okolic Nowego Marsa.

Transmisje donoszą o ciągłych konfliktach, które zapowiedział tamten handlarz, a których zakończenia nikt nie może przewidzieć: o walkach pomiędzy posiadaczami, o niepokonowanym przywłaszczaniu sobie bogactw naturalnych przez jednostki i całe grupy; jest to historia, której przysłuchujemy się na równi z Nowymi Marsjanami. Ma ona aktualność codziennych wiadomości i doniosłość wydarzeń historycznych, których nie możemy zmienić, bo wydarzyły się tysiące lat temu.

Jest to temat licznych filmów dokumentalnych, częstych dyskusji i kilku kompletnie fikcyjnych i zabawnie pomysłowych nowomarsjańskich seriali.

Obłok kometarny jest ogromny, a my prowadzimy łączność na wąskich, utajnionych pasmach. Wokół nas śmigają bardziej ostentacyjne sygnały Nowych Marsjan oraz ich

zrobotyzowanych statków wydobywczych. Wiemy o wszystkim, co robią, a oni wiedzą,

że tu jesteśmy, ale niewiele więcej. Ograniczamy kontakt do minimum. Nam to

pasuje, na razie; chcemy zbudować własny świat z tego, co tutaj mamy - ze skały, lodu, związków węgla i słabego słonecznego światła - zanim odwiedzimy czyjś dom. Pewnego dnia Unia Solarna lub organizacja, która ją zastąpi, zbuduje własne statki na Napęd Malleya. I za dziesięć tysięcy lat, czyli teraz już w każdej chwili, pojawią się tutaj, być może wlokąc za sobą nowy korytarz. Nie będę im miała za złe, jeśli nie zechcą podzielać naszych przekonań. Z pewnością nie damy im dostępu do naszej własności. Do tego czasu może zdołamy już położyć podwaliny pod nasze małe imperium galaktyczne, ukryte w głębi tego obłoku. Kiedy zbierzemy wystarczająco wiele masy, zaczniemy hodować ludzi, zwierzęta i maszyny z nasion, które przechowujemy. I urośniemy w siłę, zanim komukolwiek przyjdzie do głowy nas powstrzymać.

Przyglądam się właśnie odczytowi składu nowego złoża, marszcząc brwi na widok nieczęstych śladów metalu, kiedy wpada na mnie drobne ciało, a jakiś głosik woła:

- Ellen, mówią o tobie!

Stef ma już cztery lata, jest chudy i wesoły. Trochę przypomina swojego ojca, fotografa, którego poznałam na Graciosie, ale będzie

-237-

od niego wyższy: dopilnują tego moje geny i otoczenie mikrograwitacyjne.

Nakłonienie go do regularnych wlewek roztworów izotopowych to taka sama męka,

jak ciągle boje o mycie zębów i włosów. Twierdzi, że tym zajmuje się jego kombinezon i ma rację, ale to nie wystarczy.

- W domu? - pytam z ożywieniem.

Niecierpliwie potrząsa głową. Dla niego Unia Solarna jest mitem z zamierzchłej przeszłości, bajką z dni Heliocenu. Nowy Mars jest, w każdym sensie, o wiele bliższy.

- Na świecie - informuje mnie.

- Dobrze, połącz.

Stef wsadza rękę w rozpięcie kombinezonu i wyszarpuje kawałek inteligentnej materii, czyli robi dokładnie to, czego go usiłuję oduczyć. Jak widać, bez powodzenia. Uważa kombinezon za coś pomiędzy wymyślonym przyjacielem a inteligentną pluszową zabawką i wszelkie próby narzucenia systemu ich prywatnemu językowi są uważane za akt agresji z mojej strony.

Obraz na moim ekranie rozplywa się i zostaje zastąpiony przez j eden z nadawanych późną nocą programów, j akie nowomarsj ańska telewizja emituje dla najmniejszej garstki widzów, najprawdopodobniej ludzi, którzy sami pracują w mediach lub są z nimi związani i mogą udawać, że lekceważą tandetę, którą produkują dla innych.

Formuła programu jest całkowicie konwencjonalna: młoda prezen-terka - nastolatka, a zatem osoba bardziej dojrzała niż większość lokalnych dziennikarzy - oraz paru starszych, dyskutujących poważnie przy stole. Rozpoznaję kobietę-biskupa, która obecnie jest- świadomie lub nie - papieżem, rabina, przedstawiciela Zreformowanych Humanistów, paru duchownych z zakonu Postrezurekcjonistów... i Davida Reida.

-.. .nazwanie tego usprawiedliwionym ludobójstwem jest, powiedzmy, niepożądane - mówi jeden z Postrezurekcjonistów. - Rozumiem, że chciała nas pani sprowokować - szybki braterski uśmiech do prezen-terki. - Ale sądzę, że powinniśmy używać nieco bardziej, hm... moralnie neutralnej terminologii. W końcu mówimy o maszynach.

Reid pochyła się ku niemu, jak zwykle podkreślając swoją wyższość krętą wstążką dymu z cygara. Prezenterka kiwa głową ze znużeniem. Dobrze wie, na ile może sobie pozwolić.

- Bzdura - mówi Reid. - Jeśli chcesz mówić o moralności, nie możesz pomijać maszyn. Samijesteśmy maszynami. Problem polega na tym, że wątpię, by ktokolwiek mógł zdobyć się na to, co trzeba było zrobić

-238-

z Jowiszanami, nie mając dość obojętnego stosunku do cierpienia maszyn.

Przypominam wam, że Zewnętrzni mieli bardzo mało współczucia dla ludzkich cierpień, a Jowiszanie odziedziczyli po nich tę cechę, więc...

- Grzech pierworodny? - wtrąca biskup. - A to dopiero! Dwaj kalwińscy duchowni uśmiechają się grzecznie. Reid kręci głową.

- Udowodnili to swoimi postępками. Tym, co zrobili z naszymi statkami.

- Ach, ale czy to wystarczy, żeby potępić cały... gatunek? -pyta Zreformowany Humanista. - Podejrzewam, że Ellen May Ngwe-thu i jej załoga działali pochopnie, lecz z pewną premedytacją, z niechęcią do rozważenia alternatyw, co w samej swej istocie...

- Świat jest brutalny - mówi rabin. - Jak mówi przysłowie mojego ludu, życie jest krótkie i można wdepnąć w gówno.

Parę minut gwałtownej dyskusji.

- Wszyscy chyba zapominają- wtrąca prezenterka, usiłując ich przekrzyczeć - o dowodach z Układu Słonecznego, które przynajmniej sugerują, że jowiszański wybuch nie był zagrożeniem dla ludzi z Unii Solarnej. Tak więc, w rezultacie, cokolwiek pomyślimy o czynach załogi „Terrible Beauty”, zrobili to dla naszego dobra.

- I dla dobra nowych społeczeństw powstających w Układzie Słonecznym - dodaje jeden z duchownych. - Nie mogłyby istnieć przy zagrożeniu ze strony Jowiszan, które - czy nam się to podoba, czy nie - zostało usunięte dzięki Dywizji Cassini.

Zreformowany Humanista kiwa poważnie głową.

- Która poniosła wielkie koszty, moralne i materialne. Następna uwaga ginie w cynicznym parsknięciu Reida, który pyta:

- Po co w końcu są komuniści?

Zgodny śmiech wszystkich dobrych liberałów zmienia atmosferę dyskusji na lżejszą, lecz ja przestałam już słuchać. Tulę mojego syna do siebie, przyglądam

się tym roześmianym, gadającym twarzom i myślę: poczekajcie, wy bankierzy!

Tylko

poczekajcie!

Nasz czas znowu nadejdzie.